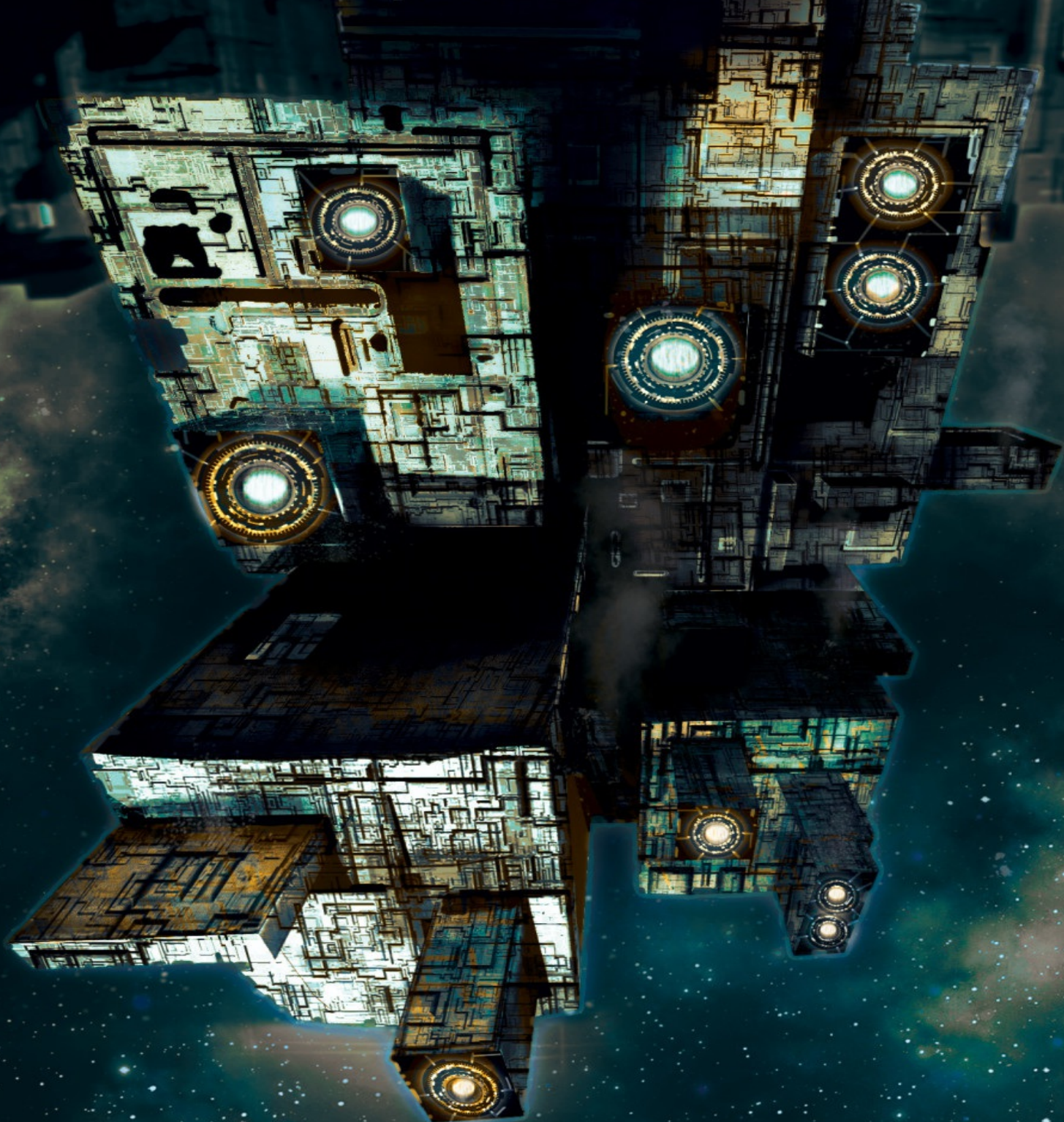


IAN DOUGLAS

# STAR CARRIER

TOM VI

GŁĘBIA CZASU



Ian Douglas

# Star Carrier

Tom VI

## Głębia czasu

Przekład Justyn „Vilk” Łyżwa



Warszawa 2015

W serii **Star Carrier** dotychczas ukazały się:

**TOM I**  
**PIERWSZE UDERZENIE**

**TOM II**  
**ŚRODEK CIĘŻKOŚCI**

**TOM III**  
**OSOBLIWOŚĆ**

**TOM IV**  
**OTCHŁAŃ**

**TOM V**  
**CIEMNA MATERIA**



# Prolog

– Co to, do cholery, jest?

– Nie mam pojęcia, kontrola – odparł głos ze stacji orbitalnej Kapteyn. – To... po prostu pojawiło się na ekranach znikąd. Szybko się zbliża... prawie połowa c. To...

Komandor Gerwin Dressler wzdrygnął się, gdy ekran holograficzny ponad jego stacją roboczą rozświetlił się niebieskobiałym blaskiem. Coś, co poruszało się z połową prędkości światła, uderzyło właśnie w platformę badawczą orbitującą wokół lokalnej gwiazdy, zmieniając pięć tysięcy ton metalu, ceramiki, plastiku oraz ciała załogi w powiększający się obłok gorącej plazmy.

AI bazy zameldowała, że obiekt był w rzeczywistości chmurą cząsteczek. Chmurą mającą rozmiary wielu jednostek astronomicznych i ważącą biliony ton. Było tam jednak coś jeszcze... Enigmatyczne struktury, ledwo widoczne konstrukcje, coś wielkiego i schowanego w tej chmurze.

Wszystko to wkrótce miało dotrzeć do Heimdall.

Klikając w myślach, Dressler uruchomił alarm w bazie.

– O co chodzi? – rozległ się w jego głowie zaskoczony głos kapitana Roesslera. Według czasu lokalnego mogło być południe, ale zegary bazy, ustawione zgodnie z czasem Greenwich i odmierzające dni i noce dostosowane do biologii ludzkiego organizmu, wskazywały wczesną godzinę poranną.

– Straciliśmy właśnie stację Kapteyn, sir – odparł Dressler. – Oto dane...

– Amerykanie?

– Nie, sir. Coś... coś innego.

Coś zupełnie innego.

Oficer poczekał, aż dowódca stacji przejrzy dane

przetransmitowane z orbity. Niebo na zewnątrz było takie piękne...

Kopuła mieszcząca dowództwo bazy i centrum kontroli w tym momencie ustawiona została tak, że ukazywała widok na zewnątrz: niebo, którego kolor przechodził od ciemnego błękitu do głębokiego fioletu, zdominowane przez ogromną krzywizną gazowego giganta, Bifrosta. Gwiazda Kapteyna, będąca czerwonym karłem typu M1.5 o średnicy i masie poniżej jednej trzeciej wymiarów Słońca, świeciła prawie dokładnie nad kopułą. Z odległości trzech i pół jednostki astronomicznej gwiazda była tylko jasnym czerwonym punkcikiem. Dysponując sokolim wzrokiem, można było zobaczyć jej dysk, jednak obecnie wschodnią część nieba dominował znacznie bliższy gazowy gigant. Kolorowe pasy i zawirowania rozciągające się od lodowców na horyzoncie Heimdalla aż do krzywizny Bifrosta były doskonale widoczne. Fantasmagoryczne zorze otaczały bieguny giganta, a towarzyszyły im tańczące kurtyny świetlne na północnym niebie Heimdalla.

Był on księżycem Bifrosta, obiegającym planetę w odległości zaledwie sześciuset tysięcy kilometrów w ciągu trzech dni. Oddziaływanie planety ogrzewało powierzchnię Heimdalla dużo mocniej niż odległe słońce.

Dressler gołym okiem widział błysk, który przyniósł zagładę stacji orbitalnej Kapteyn – rozmazane białe światło, przecięte horyzontem Bifrosta. Automatycznie zlokalizował miejsce eksplozji na tle gwiazd i przeraził się.

– Cokolwiek to jest, kapitanie – powiedział do Roesslera – nadciąga mniej więcej z wektora Omega Centauri.

Personel stacji badawczej został oczywiście zapoznany z wydarzeniami w ogromnej gromadzie kulistej, miejscu, w którym krążyła tajemnicza rozeta czarnych dziur. Ludzie wiedzieli także o Obcych z Rozety. Nie wpływało to dobrze na ich samopoczucie.

Krzywizna Bifrosta zapłonęła nagle błękitem i fioletem, zorze na obu biegunach pojaśniały, a potem rozszerzyły się, obejmując całego gazowego giganta błyskami i impulsami.

– Jest pan pewien, że to nie Amerykanie? – zapytał Roessler. – Może mają jakiś rodzaj masowej broni kinetycznej...

Siły USNA znane były z częstego używania taktyki polegającej na wystrzeliwaniu chmury piasku z prędkością podświetlną. Dressler obserwował jednak obiekt przesuwany się po horyzoncie Bifrosta i częściowo widoczne ogromne kształty za planetą. Niektóre z nich były większe od globu i miały średnicę milionów, a nawet dziesiątek milionów kilometrów.

– Jestem pewien, sir.

– Ale...

– To nie są Amerykanie. Jestem tego całkowicie pewien.

Oficer sprawdził pozycje okrętów Konfederacji na orbicie Heimdalla. Jeden z nich znajdował się właśnie nad antypodami, osłonięty przed obcą chmurą.

– Sugeruję, sir – dodał Dessler – abyśmy wysłali „Kalmara” na Ziemię z kompletnym meldunkiem.

*O ile zdążymy* – uzupełnił w myślach.

# Rozdział pierwszy

**29 czerwca 2425**

1/5 Marines

Fort Douaumont

Francja, Unia Europejska

Godzina 6.10 GMT

Formacja lądowników z rykiem pojawiła się na wschodnim niebie, świszcząc dyszami manewrowymi. Kierowały się ku starej fortecy. Sierżant sztabowy Marines Gerald Swayze przyglądał się kamiennym murom, używając linku łączącego go ze skanerami croca i modląc się w duchu, by tym razem dane wywiadu się sprawdziły.

CL/BL-5 Crocodile był paskudną maszyną: tęponosą, pękatą, zaopatrzoną w kołnierz dokujący na kwadratowym dziobie, szeroko rozstawione golenie podwozia i parę wieżyczek, które sprawiały, że lądownik podczas wykonywania misji zamieniał się w mobilną fortecę.

W tym przypadku misja polegała na dostarczeniu czterdziestu ciężko opancerzonych i uzbrojonych marines USNA na powierzchnię wrogiej planety.

Planetą tą była Ziemia, a obiektem masywna, kilkusetletnia, kamienna twierdza położona głęboko na terytorium Unii Europejskiej – twierdza ta znana była z kart historii jako Verdun.

– Przygotować się! – W głowach podwładnych rozległ się czysty i ostry głos porucznika Widnera. – Piętnaście sekund!

Swayze próbował doszukać się w nim śladów strachu czy niepewności, ale takowych nie usłyszał. To była pierwsza

operacja Widnera w roli dowódcy plutonu, jednak wyglądało na to, że nie dźwigał on typowego dla nowicjusza bagażu arogancji i nadmiernego zaufania do rozwiązań podręcznikowych. Znaczyło to, że młody oficer zwracał uwagę na to, co robią jego starsi podoficerowie, a w szczególności Swayze. Z takim podejściem powinno im się udać przeprowadzić tę operację.

– Hej, mały, słyszeliście porucznika! – ryknął sierżant na kanale taktycznym kompanii. – Powstań! Zwrot! Kiedy nano wywalą drzwi, chcę widzieć tylko śmigające zielone plamy przemykające się przez kołnierz.

„Zielone plamy” były oczywistym anachronizmem, ale nadal chętnie używanym w Korpusie. Każdy marine z plutonu szturmowego miał na sobie pełny pancerz Mark I – oryginalnie czarne, lecz pokryte nanopowłoką maskującą powierzchnie mieniły się kalejdoskopem kształtów, kolorów i świateł wnętrza transportowca. Nanopowłoka chwytała kolory otoczenia i odbijała je. W polu dawało to praktyczną niewidzialność, jednak we wnętrzu przedziału desantowego powodowało zawrót głowy.

Kadłubem transportowca wstrząsnęło, gdy jego nos zetknął się ze ścianami twierdzy. Zgodnie z planami, które widział Swayze, miały one w tym miejscu dwa metry grubości. Kołnierz desantowy potrzebował kilku sekund, by się przez nie przegryźć.

Coś zadźwięczało na pancerzu, ostro i natarczywie. Swayze słyszał pracę mechanizmów wieżyczek obracających się w lewo, a następnie wycie pomp chłodzących, gdy plunęły gigawatowymi laserami. Na przedzie kołnierz dokujący wydłużał się coraz bardziej, wgryzając się w mury twierdzy, rozbijając beton i stal na atomy i kierując je specjalnymi kanałami na zewnątrz. Podczas operacji w przestrzeni kosmicznej nanokołnierz pozwalał marines przebijać się przez kadłuby wrogich okrętów bez utraty ciśnienia wewnętrznego. Tu ciśnienie nie miało znaczenia. Należało się tylko przebić przez te dwa metry betonu i stali, zanim nieprzyjaciel zareaguje.

Gdy do pokonania zostało kilka ostatnich centymetrów, lądowniki wystrzeliły przez przegrodę grupę sond, mikroskopijnych dronów bojowych, które dostały się do wnętrza



twierdzy. Na wewnętrznym wyświetlaczu Swayze zobaczył obraz przekazywany przez miniaturowe maszyny – tuzin ciężko uzbrojonych żołnierzy Konfederacji, schylających się w tunelu z bronią gotową do strzału.

Nie zapowiadało się na łatwą robotę.

– Mamy enpli po obu stronach wejścia – poinformował pozostałych – a także na wprost. Prowadzący zespół ogniowy skupia się na tych przed nami. Ci po bokach będą mieli kłopoty, żeby nie strzelić sobie samobója.

Obrona najwyraźniej zorganizowana została doraźnie, z żołnierzy znajdujących się w pobliżu i skierowanych w okolice punktu przebicia. Ustawienie strzelców po obu stronach naprzeciwko siebie stwarzało wielkie prawdopodobieństwo bratobójczego ognia.

Sierżant nie zazdrościł jednak prowadzącemu zespołowi. Dwóch jego członków wyposażono w ogromne tarcze ochronne, jednak ostrzeliwani mieli być z trzech stron.

– No to zaczynamy! – powiedział Widner.

Wewnętrzna gródź croca opadła i marines rzucili się do natarcia.

– Naprzód! Naprzód! Naprzód! – darł się Swayze.

Pierwsi weszli „dorkikerzy”<sup>[1]</sup> schowani za tarczami. Te lustrzane powierzchnie, wspomagane przez pochłaniającą energię ceramikę, zapewniały im niezłe zabezpieczenie przed pociskami kinetycznymi i promieniami lasera, jednak nie były tak skuteczne przeciw strumieniom plazmy. Zasłonięty przez pancerne sylwetki, Swayze nie widział, co dzieje się przed nim, wewnętrzny wyświetlacz pokazywał mu rytm bicia serc członków zespołu prowadzącego, ale nie to, co widziały kamery na ich hełmach. Sierżant musiał wiedzieć, co dzieje się z całym plutonem, a skupiać się na wiodącej czwórce.

– Uwaga! Jesteśmy pod ostrzałem! – zameldował kapral Addison z zespołu prowadzącego.

– Gaynor dostał! Ranny!

Z przodu rozległ się huk eksplozji, która zatrzęsła maszyną. Marines parli naprzód, a do wnętrza pojazdu wdzierał się dym.

Swayze pochylił się, przechodząc przez rękaw dokujący, i wcisnął się w tunel. Znajdował się w połowie grupy, co znaczyło, że przed nim było dwudziestu żołnierzy, cztery zespoły ogniowe.

Po chwili znalazł się już z drugiej strony, wchodząc w wąskie przejście między ścianami, podłogą i sufitem z kamiennych bloków. Dwaj marines leżeli na podłodze, na szczęście obaj się ruszali. Z przodu i po bokach widać było kilkunastu żołnierzy Konfederacji.

Rozpoczął się szturm twierdzy.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 00.12 EST

Dla prezydenta Alexandra Koeniga wyglądało to tak, jakby faktycznie przebywał w rejonie działań bojowych.

Sztab przygotował bezpośrednie połączenie i polityk sprzęgnięty był z myślami i odczuciami porucznika Flanklyna K. Widnera poprzez jego kombinezon bojowy Mark I. Te sygnały nerwowe transmitowano do implantu znajdującego się w korze mózgowej Koeniga.

Z punktu widzenia prezydenta znajdował się on w kombinezonie porucznika i poruszał się ciemnymi, kamiennymi korytarzami zgodnie z odczytami elektronicznej mapy, widocznej na wewnętrznym wyświetlaczu. Słyszał pokrzykiwania mężczyzn na kanale taktycznym, rozkazy Widnera i jego przyspieszony oddech, czuł nawet ciężar pancerza i jego odpowiedzi na ruchy mięśni porucznika. Jedyne ograniczenie stanowił zupełny brak kontroli. Prezydent był jedynie „pasażerem”, odbierającym bodźce, bez możliwości choćby odwrócenia głowy, by zobaczyć, co dzieje się za nim.

– Talman! Gonzalez! – krzyczał Widner. – Położyć ogień na to przejście. Na godzinie drugiej!

Przez chwilę Koenig rozważał przejście na obraz transmitowany z któregoś drona bojowego, wolał jednak pozostać przy dowódcy plutonu. Mógł transmitować do niego wiadomości na kanale taktycznym, ale wiedział z własnego doświadczenia, jak frustrujący i często śmiertelny bywa mikromenadżment. Widner nie potrzebował jego pomocy i z całą pewnością nie byłby mu za nią wdzięczny. Koenig pozostawał więc tylko biernym obserwatorem bitwy.

Ponadto akcja, której świadkiem był prezydent, stanowiła tylko niewielki wycinek operacji Fallen Star. Trzy inne plutony kompanii Alfa szturmowały z sąsiednich czołów, a za pierwszą falą transportowców posuwała się następna, złożona z potężnych UC-154 Choctaw, w których znajdowało się po dwustu marines. Fallen Star była operacją przestrzenno-lądową, w której brał udział cały batalion: ponad tysiąc żołnierzy plus personel wsparcia.

Koenig nadal zastanawiał się jednak, czy to wystarczające siły. Verdun miało paskudną reputację.

To leżące nad Mozą miasto w północno-wschodniej Francji, które w zamierzchłej przeszłości odparło Attyłę, na początku dwudziestego wieku zamienione zostało w kompleks obronny składający się z dwudziestu ośmiu fortów. Krwawa bitwa z 1916 roku kosztowała życie sto pięćdziesiąt tysięcy Francuzów i prawie tyłuż Niemców. Fort Douaumont był największym z bastionów francuskich, posiadał zewnętrzne mury o długości ponad czterystu metrów, zbudowany został na dwóch podziemnych poziomach i wyposażony w wiele wieżyczek strzeleckich oraz miejsca dla setek żołnierzy. Po wojnie zamieniony został w muzeum i pozostawał nim do 2367 roku, kiedy to wybuchł konflikt ze Sh'daar. Wtedy Unia Europejska powiększyła i umocniła budowlę, dodała silosy rakietowe i wieże z działami plazmowymi, przekształcając starą twierdzę w bazę obrony planetarnej.

Intencją była obrona Unii Europejskiej przed atakiem Sh'daar. Taki scenariusz stał się więcej niż prawdopodobny po tym, jak w 2404 roku Turuschowie przebili się przez zewnętrzny system

obronny Ziemi, zrzucając pocisk kinetyczny o ogromnej energii do Oceanu Atlantyckiego. Zdaniem Koeniga nikt nie spodziewał się, że forteca stanie się ostatnim punktem oporu zwolenników generała Janosa Matonyi Korosiego, Rzeźnika Columbus i przywódcy Konfederacji Terrańskiej.

W momencie rozpoczęcia wojny domowej pomiędzy Konfederacją a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej zapanował powiększający się chaos. Według wywiadu USNA to Korosi był odpowiedzialny za atak nano-D na Columbus DC, była stolicą Ameryki. Atak ten uznany został za niewyobrażalną zbrodnię wojenną. Roettgen, prezydent Konfederacji, zniknęła wkrótce potem, uwięziona lub zamordowana przez siepaczy Korosiego. Ze składu Senatu Konfederacji wyznaczony został nowy prezydent, Christian Denoix de Saint Marc, ale według powszechnie panującej opinii był on albo bezwolną marionetką, albo skorumpowanym „rzecznikiem” ugrupowania Korosiego.

Następnie wojskowa placówka komputerowa pod górą Cheyenne przeprowadziła operację Luter, używając nauki o rekombinowanych memach do stworzenia poprzez elektroniczną infrastrukturę Konfederacji nowej religii. Religia ta, nazywana Światłem Gwiazd, rozprzestrzeniała się zadziwiająco szybko, wywołując rewolucję przeciw rządowi, który użył nanotechnologii do fizycznej anihilacji centrum miasta wraz ze znajdującymi się tam ludźmi. Spowodowało to błyskawiczne odsunięcie od władzy Partii Globalistów i prawie zakończyło wojnę domową.

Prawie...

Genewa, stolica Konfederacji, poddała się siłom Światła Gwiazd zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Wykorzystując tylne wejście do systemów elektronicznych Konfederacji, umieszone tam podczas operacji Luter, wywiad USNA usiłował odnaleźć liderów upadłego reżimu, a także Ilse Roettgen. Obecnie podejrzewano, że Denoix i Korosi znajdują się w Douaumont. Istniały także spore szanse, że jeżeli Roettgen żyje, to tam właśnie jest przetrzymywana.

Wystarczyło złapać Korosiego i jego popleczników, aby wojna

dobiegła końca.

Z tego powodu Koenig zatwierdził operację Fallen Star, bardzo ryzykowny szturm, którego celem było zabicie bądź aresztowanie Korosiego i Denoix, uwolnienie Ilse Roettgen i zakończenie paskudnego konfliktu.

Po dokonaniu tego pozostanie jeszcze tylko zakończyć wojnę ze Sh'daar, dowiedzieć się, czego chcą Obcy z Rozety, i ustanowić nad połową Ziemi legalny, rozsądny, a przede wszystkim pokojowo nastawiony rząd, który zarówno uzna niepodległość Stanów Zjednoczonych, jak i będzie chciał z nimi współpracować w interesie całej ludzkości.

Nic więcej.

– Koncentracja na dwunastej! Ognia! Ognia!

– Ranny marine! Ranny marine! Medyk naprzód!

– Ruchy, ruchy, ruchy!

– Pierwsza sekcja. – To głos Widnera, rozlegający się zarówno w uszach, jak i wewnątrz głów, na kanale taktycznym. – Za mną!

Przeście przed nimi było zablokowane kamieniami na podłodze i po obu stronach. Coś znajdowało się z przodu, na końcu korytarza, jednak AI hełmu Widnera miała kłopoty z przetworzeniem obrazu. Co to, do cholery, było?

Opancerzone sylwetki wyłoniły się z za obiektu, który okazał się improwizowaną barykadą, złożoną z mebli, bloków betonu i stalowych bębnow.

A dalej...

– Uważaj! Do cholery, uwaga!

Coś uderzyło Koeniga w pierś, odbierając dech. Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że to nie on został trafiony, a strumień gorącej plazmy smagnął pancierz Widnera. Odczyty parametrów życiowych porucznika zamigotały i spadły do zera. Koenig poczuł się uwięziony, patrząc na jakieś kamienie w suficie korytarza, bez możliwości ruchu, zrobienia czegokolwiek, oprócz leżenia.

Widner nie żył, a jego kombinezon bojowy właśnie wygaszał wszystkie funkcje, przygotowując ciało do transp...



VFA-96 „Black Demons”

Niska orbita Ziemi

Godzina 00.14 TFT

Porucznik Megan Connor odwróciła swojego nowego starblade'a tak, że oświetlona pierwszymi promieniami Słońca Ziemia zawisała nad jej głową. Przed nią rozciągał się obszar, nad którym wstawał dzień. Na Wschodnim Wybrzeżu USNA minęła dopiero północ, nad Francją i większością Unii Europejskiej było kilka minut po szóstej. „Black Demons” znajdowali się na niskiej orbicie ziemskiej, dryfując dwieście kilometrów nad zachodnią Europą. Pod nimi światła miast rozjaśniały poszarpane chmury nad Anglią. Wschód słońca nad Verdun nastąpił mniej niż trzydzieści minut temu, jednak na tej wysokości Connor widziała dużo więcej dnia niż marines na powierzchni.

Dostroila wyświetlacz wewnętrzny, mocniej integrując się z dalekosiężnymi zmysłami myśliwca.

*Bogowie, ta maszyna to marzenie.*

Teoretycznie w procesie nanotworzenia dało się wyprodukować nowy myśliwiec w ciągu godziny, co powinno wyeliminować problem zaopatrzenia floty USNA, pozbycia się starszych modeli takich jak SG-92 Starhawk i SG-101 Velociraptor i zastąpienia ich najnowszą technologią, w tym wypadku SG-420 Starblade. Problemem nie były materiały konieczne do wytworzenia maszyn, lecz przeszkolenie pilotów. Zarówno ich organiczne mózgi, jak i oprogramowanie w implantach zostały przystosowane do kontroli starszych modeli.

Jednak SG-420 używał ulepszonych AI, które były w stanie wykorzystać trening zaliczony na starhawku czy velociraptorze i tylko dodać do niego nowe elementy. Mimo wszystko lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” cierpiał na brak pilotów. Kampanie z ostatnich ośmiu miesięcy – Arianrhod, Ozyrys i Vulcan – pozbawiły życia zbyt wielu dobrych myśliwców. Uzupełnienia napływały wciąż z bazy Oceana, ale było ich zbyt

mało, by zapewnić pełną gotowość bojową.

Connor czuła przepływ danych od maszyny i siłą powstrzymywała się, by nie krzyczeć z radości. Piękno wschodu słońca eksplodowało wokół niej, oświetlając błękit wód, zieloną mozaikę pól i białą pierzynkę chmur. Przy możliwościach nowego systemu łatwo było zapomnieć, że jest się istotą z krwi i kości wciśniętą w klaustrofobicznie mały kokpit. W zasadzie było się samym myśliwcem. Connor rozprostowała ramię, a maszyna zareagowała natychmiastowym obrotem w osi podłużnej.

– Uważaj, Demon Pięć – odezwał się w głowie Megan komandor Mackey. – Nie daj się ponieść.

– Ciężko będzie, skipper – odpowiedziała. – To jest nieprawdopodobne.

– Być może, ale skup się na misji. Zbliżamy się do Verdun i nie chcemy niczego przegapić, prawda?

– Tak jest.

Przegapienie czegokolwiek nie było zbyt prawdopodobne. Eskadra VFA-96 „Black Demons” dysponowała obecnie pełną siłą bojową, dwunastoma myśliwcami, jednak w tej misji uczestniczyli tylko Mackey, Connor i para innych pilotów. Kontrola przestrzeni oznaczała rozciągnięcie sił na całej orbicie, by w każdym momencie w pobliżu przebywało przynajmniej kilka myśliwców mogących zareagować na ewentualne zagrożenie. Pozostali członkowie eskadry zostali rozmieszczeni na przestrzeni czterech tysięcy kilometrów, a dwie inne eskadry „Ameryki” kryły resztę orbity. Zmiany następowały rotacyjnie, żeby co dziesięć minut nad Verdun znajdowała się czwórka myśliwców.

– A swoją drogą, jak im idzie tam, na dole, skipper? – zapytał porucznik Enrique Martinez, jeden z nowicjuszy przybyłych z bazy Oceana.

– Zgodnie z planem – odparł Mackey. – Pierwsze LC dotarły do ścian twierdzy. Choctaws właśnie lądują.

– Ale kiedy będziemy wiedzieć?

– Gdy tylko ktoś zdecyduje się nam powiedzieć, poruczniku. A do tego czasu oczy dookoła głowy. Buntownicy nie odpuszczą tak

łatwo.

„Buntownicy”. Dziwnie brzmiało to słowo w znaczeniu, w jakim użył go Mackey. Do niedawna to siły USNA były rebeliantami, walczącymi o niepodległość. Jednak od momentu, gdy rząd Konfederacji Ziemskiej upadł pod naciskiem, słowo „buntownicy” oznaczało pozostałości poprzedniego rządu, ludzi Korosiego.

– Nie widzę tam nikogo prócz „Pactors” – odpowiedziała Connor, patrząc na wyniki skanowania dalekosiężnego. Sześć myśliwców z VFA-31 „Impactors” ponad godzinę wcześniej zeszło w atmosferę, unieszkodliwiając wielkie wieże obrony planetarnej, zamontowane na szczytach twierdzy. Uderzenie to było drugą fazą operacji Fallen Star, niezbędną, aby transportowce mogły wylądować w miarę spokojnie.

Pierwsza faza, zapoczątkowana w Wirtualnym Centrum Bojowym w Colorado Springs, była elektronicznym atakiem przeprowadzonym przez byłych pilotów podłączonych do sieci operacyjnej Konfederacji przez „tylne wejścia” odkryte lub wręcz stworzone przez super-AI Konstantina.

– Czekajcie sekundę – odezwał się młodszy porucznik Chris Dobbs, kolejny nowicjusz, który w eskadrze był niecałe siedemdziesiąt dwie godziny. – Widzę wielokrotne odpalenia. Dokładnie za nami. Odległość dwa tysiące sześćset kilometrów!

*Cholera, młody ma rację!*

Odległość wskazywała na Turcję jako miejsce wystrzelenia, a Turcja nadal była członkiem Konfederacji. Te myśliwce mogły należeć do buntowników – sił wspierających Korosiego. Z całą pewnością moment wystrzelenia został idealnie dobrany w stosunku do położenia amerykańskich myśliwców.

Connor pozwoliła na przepływ danych. Ile maszyn? Jakiego typu? Czy ich celem była grupa prowadząca? Czy też czwórka starblade'ów?

– Strzelają! – ostrzegł Mackey.

Osiem myśliwców, todtadlerów Konfederacji, zbliżało się do Connor i jej kolegów z dużym przyspieszeniem. Wystrzeliły właśnie chmurę piasku, która pędziła w stronę czwórki

myśliwców jak wystrzał ze starej strzelby.  
Bitwa się zaczęła.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia  
Toronto  
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej  
Godzina 00.16 EST

Koenig kliknął w myślach ikonę i odzyskał przytomność we własnym ciele, z trudem łapiąc powietrze. Siedział w fotelu w swoim biurze w Toronto, a Marcus Whitney, jego asystent i główny doradca, pochylał się nad nim z zatroskaną twarzą.

– Panie prezydencie?

– Nic mi nie jest.

– Pana parametry życiowe wykonały gwałtowny skok.

– To było nic w porównaniu z parametrami porucznika Widnera.

Dwadzieścia lat wcześniej, jako admirał dowodzący lotniskowcową grupą bojową, Koenig miał zawsze problemy z wydaniem rozkazów, które wysyłały ludzi na pewną śmierć.

Dziś wcale nie było mu łatwiej.

– Wracam tam – powiedział Koenig. – Połączcie mnie z... zobaczmy...

Przebiegł wzrokiem przez listę marines z plutonu Alfa, tych, którzy nadal byli wśród żywych.

– Sierżant sztabowy Gerald Swayze.

Był to pomocnik dowódcy plutonu, który po śmierci Widnera powinien objąć dowodzenie.

– Sir – powiedział zaniepokojony Whitney – przecież nie może mieć pan wpływu na przebieg bitwy. Cholera, flirtuje pan z VRSD.

Akronim, wymawiany jako „ver-sid”, był skrótem od Virtual Reality Stress Disorder – zespół stresu postwirtualnego. W rzeczywistości chodziło o całe spektrum uszkodzeń

neurologicznych, uzależnień, patologii. Niektórzy, choć niezbyt często, doświadczali ataku serca, udaru lub wpadali w komę, gdy „umierali” pomimo tego, że ich własne ciało było w doskonałej formie fizycznej.

Koenig zdawał sobie sprawę z ryzyka, ale brał już osobiście udział w bitwach, miał doświadczenie w redukowaniu psychologicznego wpływu nawet najbardziej stresujących przeżyć. Ponadto istniały elektroniczne zabezpieczenia, zaprojektowane tak, by odciąć połączenie, jeśli monitory stanu fizycznego stwierdzą, że jego ciało w Tymczasowym Stanowisku Dowodzenia reaguje zbyt silnie.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział prezydent. Podniósł nieco głos. – Monitor zdrowia? Co powiesz?

– Rytm serca wzrósł do stu dwudziestu sześciu – odparła medyczna AI kompleksu prezydenckiego. – Oddech trzydzieści pięć. Oba parametry w granicach tolerancji.

– Widzisz, Marcus? Nic mi nie jest.

– Nadal mi się to nie podoba, panie prezydencie. Mógłby pan kazać ludziom z wywiadu zrelacjonować panu wszystko już po zakończeniu działań. Tak zrobiłby normalny prezydent.

– A tam, cholera. To nudne. Nie wydaje mi się...

Przerwał w połowie zdania. W sieci sztucznych inteligencji nadzorujących bitwę zabrzmiał alarm. Wywołany został przez dane przekazane przez jedną z eskadr lotniskowca „Ameryka”. Osiem myśliwców Konfederacji wystartowało z centralnej Turcji i zaatakowało cztery amerykańskie maszyny na niskiej orbicie. AI odpowiedzialna za rozpoznawcze zabezpieczenie bitwy określiła atakujących jako buntowników Korosiego.

*Interesujące.*

Nie było możliwości, aby osiem todtadlerów mogło stanowić realne wyzwanie dla trzech eskadr myśliwskich Stanów Zjednoczonych, szczególnie że grawitacja była po stronie Amerykanów. Nawet gdyby atakującym udało się przebić przez myśliwce, pozostawało jeszcze głębokie wsparcie złożone z trzech niszczycieli i czterech fregat. Ziemia była bardzo szczelnie opasana.



*Co oni, do diabła, chcą osiągnąć?*

– Wyeliminować – nakazał Koenig. – I informować mnie na bieżąco.

Chwilę wcześniej na wewnętrznym wyświetlaczu pojawiła się nowa ikona, oznaczona nazwiskiem sierżanta sztabowego Swayze. Koenig kliknął w nią i otworzył oczy w samym centrum bitwy.

# Rozdział drugi

**29 czerwca 2425**

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 00.18 EST

Koenig ponownie znalazł się w korytarzu. Widok częściowo zasłonięty był przez zmieniające się liczby oznaczające odległości, kąty, poziomy energii oraz czerwony znak celowniczy sprzęgnięty z laserem Swayze'ego. Na drugim końcu korytarza lasery nie mogły sobie poradzić z barykadą.

– Grossmann! Nobunaga! – krzyczał Swayze. – Przytargajcie tu wreszcie dupę! Usmażyć drani!

Koenig rozpoznał slangowy zwrot, którym marines określali DP-80, przenośne działo plazmowe używane jako broń wsparcia plutonu i zdolne do przebicia większości osłon pancernych.

Swayze strzelał ze swojego karabinka laserowego, próbując dosięgnąć przeciwnika na barykadzie. Za jego plecami pojawiły się dwie opancerzone postacie, ustawiające trójnog ciężkiej broni. Jeden z marines został trafiony strumieniem plazmy, jego hełm wyparował, tak więc sierżant odciągnął ciało Grossmanna na bok i zajął miejsce obok strzelca, podnosząc pokrywę i ciągnąc dźwignię przeładowania. Klepnął w ramię Nobunagę, sygnalizując gotowość do otwarcia ognia.

– Dajesz!

Białoniebieski płomień zabłysnął w korytarzu, oświetlając

pociemniałe ze starości kamienie. Barykada eksplodowała, rozsiewając deszcz płynnego metalu, a schowane za nią opancerzone postacie uciekły lub pozostały na podłodze bez ruchu.

Dupa wypaliła ponownie, tworząc dziurę w stalowych drzwiach znajdujących się za resztkami barykady. W chwilę potem Swayze już biegł, strzelając z biodra i wrzeszcząc:

– Naprzód, marines! Ooh-rah!

„Ooh-rah!”, stary okrzyk bojowy Korpusu Marines, rozbrzmiał z tuzina gardeł, jak zew dzikiej furii, niemający żadnego znaczenia, z wyjątkiem oznajmienia otoczeniu, że oto marines USNA właśnie poderwali się do ataku.

Żołnierze przeciwnika zaczęli rzucać broń i unosić ręce.

Koenig widział, jak dwaj marines, Jamison i Arkwright, wyprzedzili sierżanta, który zatrzymał się, by przekazać jeńca podwładnemu. Następnie pobiegł za prowadzącą dwójką, przez stopione resztki barykady do dziury w stalowych drzwiach. Swayze wpadł do kamiennej komory tuż za dwoma marines, którzy zatrzymali się zaraz po wejściu.

Żołnierz w kameleonowym nanopancerzu stał oparty o ścianę, trzymając przed sobą drobną kobietę jak tarczę.

Koenig rozpoznał ją. Ilse Roettgen, była prezydent Senatu Konfederacji Ziemskiej, mając ręce skute za plecami, próbowała się wyrwać żołnierzowi. Mężczyzna przyciskał śmiertelny pięciomilimetrowy igłowiec do gardła kobiety.

– Stop! – krzyknął, a jego głos wzmocniony został przez kamienne ściany. – Jeśli zależy wam na jej życiu, zatrzymajcie się natychmiast!

Koenig od razu poznał ten głos. Należał do generała Korosiego, Rzeźnika Columbus.

Swayze przepuścił próbkę głosu przez AI kombinezonu i w chwilę później doszedł do tego samego wniosku.

– Proszę odłożyć broń, generale – powiedział spokojnym, zimnym jak lód głosem. – Jeśli ją pan zabije, gwarantuję panu, że żyć pan będzie tylko ułamek sekundy dłużej. Zginie pan tu i teraz.

– A więc... powinienem się poddać, abyście mogli mnie sądzić za zbrodnie wojenne? – zaśmiał się Korosi. Miał paskudny śmiech. W jego angielskim słyhać było silny węgierski akcent. – „Zbrodnie przeciwko ludzkości”. Takiego terminu używacie wy, Amerykanie? A potem skazecie mnie na śmierć? Nie wydaje mi się...

– Proszę ją puścić, generale. Jeśli ją pan skrzywdzi, pogorszy pan jeszcze swoją sytuację.

– Nie możecie zagrozić mi niczym gorszym niż to, co mnie spotka, jeśli się poddam. Rozumiesz mnie?

– Mogę obiecać, że nie zostanie pan stracony.

– Abym mógł cieszyć się efektami wymazania pamięci? Ha! To gorsze niż czysta śmierć w bitwie! Nie! Rozegramy to tak, Amerykaninie. Obecna tu wspaniała Ilse pójdzie ze mną jako gwarancja waszego dobrego zachowania. Ty i twoi ludzie wycofajcie się. Oczyszczcie korytarze! Pozwolicie nam wyjść. Bez przeszkód! Załatwisz, aby na powierzchni czekał na nas grawilot, pilotowany przez AI reagującą na mój głos, mający zasięg przynajmniej dziesięciu tysięcy kilometrów. Grawilot zabierze mnie w miejsce, które wskażę. I tam może wypuszczę Roettgen, jeśli uznam, że mnie nie śledziliście. A teraz odłóżcie broń i cofnijcie się!

Czerwony znak celowniczy znajdował się na środku przyłbicy Korosiego i Koenig zastanawiał się, czy marine zaryzykuje strzał z biodra w głowę. Gdyby generał nie nosił pancerza, Swayze by spróbował, Koenig wiedział to. Jednak odpryski roztopionego kompozytu mogły ciężko poparzyć Roettgen.

Oczywiście Swayze mógł zaakceptować straty uboczne i zranienie zakładnika, jeśli zlikwiduje porywacza. Mógł nawet zaakceptować śmierć zakładnika. Zgodnie z rozkazami operacji Fallen Star znalezienie i uwolnienie Ilse Roettgen miało niższy priorytet niż unieszkodliwienie Korosiego.

Tak więc najprostszym rozwiązaniem było strzelenie teraz do generała, nawet gdyby miało to oznaczać śmierć byłej prezydent Konfederacji. Nie była to opcja, którą wybrałby Koenig, jednak to nie on trzymał palec na spuście.

– Okay, okay – powiedział Swayze po pełnej napięcia chwili. – Wygrał pan.

Czerwony znak znikł, a sierżant powoli odłożył broń na podłogę.

– Proszę nie robić jej krzywdy!

– Reszta! Odłożyć broń!

– Róbcie to, co mówi – powiedział Swayze do podwładnych. Przeszedł na częstotliwość ogólną. – Uwaga, marines! Oczyszczyć przejście. Korosi wychodzi... z zakładnikiem.

– Transport, sierżancie – przypomniał Korosi. – Zapewnijcie mi lot stąd.

– W porządku. Meteor! Tu Jeden-Pięć Marine! Potrzebuję chippera na dachu tego fortu ASAP!

„Meteor” był sygnałem wywoławczym dowództwa batalionu przeprowadzającego tę operację, zaś „chipper” slangową nazwą automatycznego transportowca C-28 Chippewa, o zasięgu zdecydowanie przekraczającym dziesięć tysięcy kilometrów. Koenig zastanawiał się nad tym warunkiem. Dziesięć tysięcy kilometrów wystarczyło, by dotrzeć do którejkolwiek z wind kosmicznych w Ekwadorze, Kenii czy Singapurze. Ale co później? Korosi musiał zdawać sobie sprawę z tego, że będzie śledzony. Bez wątplenia gdzieś czekali na niego wspólnicy.

Koenig zaczął to rozważać. Nie będą czekali w kosmosie. Winda kosmiczne zbyt łatwo zablokować i izolować. Najprawdopodobniejszym scenariuszem było krótkie przyziemienie gdzieś na linii prostej prowadzącej do jednej z wind i skuteczne zniknięcie, podczas gdy transportowiec nadal kontynuowałby lot.

Cholera, imperatywem tej operacji było nie pozwolić Korosiemu uciec. Jeśli mu się to udało, wojna mogłaby trwać jeszcze lata w formie działań partyzanckich prowadzonych w dżunglach, wioskach i górach od Ameryki Południowej, przez Afrykę, do Azji Południowo-Wschodniej.

Prezydent nie był podłączony bezpośrednio do myśli sierżanta, do jego wewnętrznego monologu. Tego typu elektroniczna telepatia wymagała o wiele bardziej skomplikowanego sprzętu



niż dostępny w Toronto. Nie było to jednak potrzebne. Nie mógł pomóc marine w podjęciu decyzji.

Swayze uniósł bezbronne dłonie.

– Panie generale, niech pan weźmie mnie, dobrze? Ona będzie tylko kłopotem. Obiecuję się zachowywać...

Korosi roześmiał się.

– Co, ciebie? Jesteś podoficerem, żołnierzem liniowym! Co niby czyni cię cenniejszym od byłej prezydent Konfederacji Terrańskiej?

Swayze postąpił kilka kroków naprzód, cały czas mając uniesione ręce.

– To proste: znam rozmieszczenie wszystkich sił w tej operacji oraz plany, które zostały stworzone na różne nieprzewidziane okazje. Znam położenie sił naziemnych tutaj i wiem, co Marynarka ma w przestrzeni. Generale Korosi, mogę panu pomóc. Bardzo.

Kolejny ostrożny krok...

– Nie zbliżaj się! – Konfederacki generał wykonał znaczący gest igłowcem.

Wystarczyło.

Od pierwszej połowy dwudziestego pierwszego wieku wyposażenie wojskowe pozwalało użytkownikowi nosić więcej sprzętu niż dawniej. Wspomaganie neuronowe, nowe obwody umieszczane bezpośrednio w mózgu, zapewniały opancerzonemu człowiekowi także krótszy czas reakcji, umożliwiały szybsze ruchy.

Janos Korosi prawie na pewno także był wspomagany... Jednak niewystarczająco.

Ubrana w rękawicę dłoń sierżanta spadła z niewiarygodną prędkością, zamykając się na igłowcu, a jej kciuk zablokował wylot lufy. Dłoń Korosiego szarpnęła się gwałtownie, pistolet wypalił, Swayze krzyknął. Zapas mocy małej broni pozwalał na oddanie ośmiu przerywanych impulsów koherentnego światła lub jednego kilkusekundowego strumienia. Igłowiec Korosiego ustawiony był na strumień i pięciomilimetrowy strumień laserowy w czasie krótszym niż pół sekundy stopił rękawicę i

część dłoni sierżanta.

Do tego momentu marine zdążył wykręcić dłoń generała tak, że broń nie była już wymierzona w zakładniczkę. Swayze przesunął się do przodu. Cały czas zaciskając straszliwie pokiereszowaną dłoń na igłowcu, zdołał odepchnąć Roettgen nieco w bok i wcisnąć się między nią a generała. Cały czas kontynuował zaciskanie, z ciśnieniem, na jakie pozwalała rękawica, unieruchamiając plastikowy korpus igłowca, pomimo że roztopiony metal i kompozyt wżerały się w jego ciało. Wewnętrzne odczyty monitora zdrowotnego najpierw podskoczyły, ze względu na ból, jaki musiał znosić, a potem opadły. Swayze albo zmusił mózg do ignorowania bodźców, albo zakończenia nerwowe spaliły się.

Korosi szarpnął się. Laser zawiódł, prawdopodobnie ze względu na wyczerpanie energii, i sierżantowi udało się powalić Korosiego na podłogę. Kilku innych marines doskoczyło natychmiast i unieruchomiło Węgrowi ręce i nogi.

– *Nem! Nem! Nem! Engedj el!* – krzyczał Korosi w swoim ojczystym języku, co w głowie Swayze’ego natychmiast zostało przetłumaczone na: „Nie! Nie! Nie! Puść mnie!”. Swayze w końcu unieruchomił mężczyznę, siadając mu na klatce piersiowej. Kołysał uszkodzoną dłonią, w której system medyczny kombinezonu już zaczynał procesy lecznicze.

W tym momencie Koenig wiedział, że bitwa o Fort Douaumont praktycznie się zakończyła.

VFA-96 „Black Demons”

NOZ

Godzina 00.19 TFT

Porucznik Connor przekręciła starblade’a ostro w lewo i uruchomiła przedni projektor grawitacyjny. Gwałtowne przyspieszenie wynoszące dwadzieścia tysięcy g spowodowało, że po chwili znalazła się w pobliżu pocisków, których kilka

zdażyło już wyparować, gdy smagnięte zostały zawiniętą przestrzenią przed myśliwcem. Dwa todtadlery wykonały zwrot, by wyjść jej naprzeciw, ale uchwyciła jednego z nich w celownik PBP-8 i poczęstowała strumieniem wysokoenergetycznych cząsteczek, powodując jego zniknięcie.

Europejskie todtadlery były bardzo zaawansowanymi współczesnymi myśliwcami. Z łatwością dotrzymywały kroku maszynom takim jak amerykański SG-101 Velociraptor, ale nie były równorzędnymi przeciwnikami dla starblade'ów.

Connor czuła, jak jej umysł przenika każdy skrawek świadomości maszyny, systemy uzbrojenia, moc, ciąg stanowiły jeden spójny taniec. Myśliwcem wstrząsnęło, gdy przez jedno z tymczasowych skrzydeł przeszedł pocisk kinetyczny, ale nanolaminatowa powłoka od razu zamknęła otwór i skierowała pocisk tak, że ominął kokpit i ważne elementy, po czym wyszedł z drugiej strony maszyny. Connor nie musiała nawet obracać myśliwca. Po prostu przeformowała go, biorąc na cel kolejnego przeciwnika i niszcząc strumieniem plazmy.

– Demon Pięć – zameldowała na kanale taktycznym – dwa trafienia!

– Demon Siedem! Zaznaczcie mi jednego!

Myśliwce kontynuowały taniec ognia i zniszczenia.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 00.20 EST

Koenig wynurzył się z rzeczywistości wirtualnej. Chór pokrzykiwań wypełniał stanowisko dowodzenia, pomieszczenie pełne było oficerów, cywilnych urzędników, doradców i techników podskakujących, obejmujących się i poklepujących po plecach, gratulujących sobie wzajemnie. W małym pomieszczeniu obok głównego stanowiska kontroli prezydent

zmrużył oczy, chroniąc się przed nagłym blaskiem.

– O co chodzi? Co to za hałasy? – spytał.

– Ludzie nieco powariowali, sir – odparł Whitney. – Złapali Korosiego!

– Wiem – powiedział Koenig, siadając. – Byłem tam. I to Jeden-Pięć Marines dorwał drania, nie my.

– To był wysiłek zespołowy, panie prezydencie. Oni znaleźli Korosiego – sekretarz wskazał sztab ludzi – i śledzili go aż do Verdun. A pan wydał rozkaz.

– A marines go wyciągnęli i uratowali Roettgen. Proszę im powiedzieć, aby się uspokoił i wracał do roboty. Musimy wycofać naszych.

– Tak jest.

Podjęta przez Whitneya próba rozszerzenia liczby ojców sukcesu zirytowała prezydenta. Koenig miał wyjątkowo mało szacunku dla przywódców narodowych, którzy przypisywali sobie sukcesy własnych sił zbrojnych. JA nakazałem... JA wydałem rozkaz... Gówno prawda! To ludzie w terenie, na teatrze działań, ci, którzy ginęli i podejmowali ryzyko, powinni być uważani za twórców sukcesu, a nie przekłęci sztabole, poklepujący się po plecach przy monitorach.

Admirał Eugene Armitage, szef Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, uśmiechnął się do niego.

– Ale rzeczywiście dorwaliśmy drania, panie prezydencie.

– Tak – zgodził się Koenig, siadając i przecierając oczy. – Dorwaliśmy.

Whitney pokiwał głową.

– Co więcej, panie prezydencie, bo może to panu umknęło: mamy jeszcze jeden meldunek. Złapali także Denoix, gdy próbował uciekać taksówką powietrzną.

Prezydent uśmiechnął się. Jego główny doradca delikatnie go upominał, przekazując informację, która przyszła oficjalnym kanałem meldunkowym tak samo szybko, jakby Koenig uzyskał ją z bezpośredniego łącza.

– Świetnie, Marcus.

Uśmiechnął się do Armitage'a.

– Admirale, proszę pogratulować Meteorowi ode mnie osobiście.

Oficer pokiwał głową.

– Jak pan sobie życzy, panie prezydencie.

– Jest... jeszcze coś. Jeden... nierozwiązany problem – powiedział Whitney.

– Wycofanie, wiem. Zakładam, że transportowce są już w drodze.

– Tak, sir. Ale nie o to chodzi.

– A więc o co?

– Kilka minut temu z południowej Turcji, z miasta Adana, wystrzelono osiem todtadlerów.

– Adana? A co oni tam mają?

– To jedno z większych tureckich miast, sir. Posiada mały port kosmiczny, Incirlik.

Koenig przeglądał dane na swoim wyświetlaczu.

– Mam.

Kiedyś, jeszcze w czasach starego NATO, Incirlik był wspólną turecko-amerykańską bazą wojskową. W połowie dwudziestego drugiego wieku, na początku istnienia *Pax Confoederata*, urządzenia zostały zamienione w lokalny port kosmiczny, pracujący dla celów górnictwa asteroidalnego. Turcja, leżąca na granicy Europy i Azji, była idealnym ekonomicznie miejscem do rozwoju tego typu przedsiębiorczości. Jednak wybudowanie wind kosmicznych, najpierw SupraQuito, a potem w Kenii i Singapurze, spowodowało upadek takich miejsc jak narodowe porty kosmiczne. W Incirlik niewiele pozostało, poza małą bazą wojskową.

*Czemu atakują myśliwce USNA na NOZ?*

Przez chwilę Koenig przeglądał dane dotyczące rozmieszczenia myśliwców na niskiej orbicie. To „dlaczego” stawało się coraz ważniejszym pytaniem. Po zniszczeniu obrony w Verdun przestrzenna dominacja Amerykanów stała się niepodważalna.

Chyba że...

Prezydent przywołał mapę holograficzną, ukazującą dominację myśliwców „Ameryki” nad Bałkanami, Turcją,



Półwyspem Arabskim i Oceanem Indyjskim. Czerwony migający punkt oznaczał Incirlik. Cztery amerykańskie myśliwce zestrzeliły ostatniego todtadlera, cztery kolejne były cztery tysiące kilometrów z przodu, nad Południowymi Indiami.

– Drugi start, panie prezydencie – zameldował Armitage.

– Ile?

– Pięć, sir. Nie... sześć.

– Skąd?

– Surat, panie prezydencie. Północne Indie. Również todtadlery.

– Coraz ciekawiej – powiedział Koenig, zamyślony.

Surat było dużym miastem na północno-wschodnim wybrzeżu.

– Wydaje mi się, że te chcą wybić dziurę w naszej eskadrze orbitalnej.

– Ale po co, sir? – spytał Whitney.

– By móc uciec. Admirale Armitage?

– Sir!

– Sugeruję, by „Elliot” i „Hawes” się temu przyjrzały.

– Już się robi, sir.

„Elliot” był niszczycielem o masie ośmiu tysięcy ton, zaś „Hawes” małą fregatą eskortową ważącą trzy tysiące ton. Para ta została ostatnio przydzielona do grupy bojowej „Ameryki” i znajdowała się obecnie na wysokiej orbicie ziemskiej, około trzydziestu tysięcy kilometrów nad powierzchnią.

– Kto mógłby próbować uciekać, panie prezydencie? – spytał Whitney. – Jeśli mamy zarówno Korosiego, jak i Denoix...

– Może ktoś ze sztabu Korosiego – odpowiedział Koenig. – A może prawdziwi architekci Columbus.

– Prawdziwi architekci? – potrząsnął głową Whitney. – Przecież wiemy, że stał za tym Korosi.

– Nie, Marcus, nie wiemy. To paskudny osobnik, przyznaję, ale Konfederacja nie miała powodów, by zjeść całe miasto, nie w momencie, gdy było to dla nich ogromnym ciosem propagandowym.

Tak jak zauważył Koenig, atak przeprowadzony przez konfederacki okręt „Estremadura”, przy całej swojej grozie, na

dłuższą metę więcej szkody uczynił Konfederacji niż Ameryce. Państwa, które dotychczas trzymały się na uboczu szybko rozwijającej się wojny domowej, takie jak Hegemonia Chińska czy Teokracja Islamska, aktywnie przyłączyły się do działań przeciwko Konfederacji. Być może równie istotny był fakt, że członkowie Konfederacji tacy jak Rosja, Północne Indie i Anglia natychmiast się z niej wycofały.

Jednak niektóre zagrania polityczne pozostały niejasne. Jednym z konfederackich okrętów osłaniających „Estremadurę” w jej śmiercionośnej misji był północnoindyjski ciężki krążownik „Brahmaputra”. Z całą pewnością ktoś w rządzie Indii wiedział o naturze ataku, który zniszczył Columbus, i zgodził się na to. Jeśli myśliwce startowały z Surat, mogły być pilotowane przez oficerów nadal lojalnych wobec Korosiego, nawet jeśli New Delhi oficjalnie się od niego odcięło.

Ujawnienie prawdy miało teraz pierwszorzędne znaczenie. Koenig zdawał sobie sprawę z tego, że po zajęciu największej twierdzy i aresztowaniu Korosiego zadziałanie we właściwym momencie mogło zakończyć wojnę. Pozostawało jednak pytanie: kto, do cholery, próbował wymknąć się pod nosem USNA?

VFA-96 „Black Demons”

NOZ

Godzina 00.19 TFT

Megan Connor kliknęła ikonę, wysyłając dwie rakiety VG-10 Krait w stronę ostatniego myśliwca Konfederacji. Przy odległości zaledwie dwustu kilometrów rakiety prawie natychmiast eksplodowały oślepiającym blaskiem, a todtadler zamienił się w koziółkujące stopione fragmenty.

W innych częściach nieba rozszerzające się obłoki gorącej plazmy i odłamków znaczyły koniec pozostałych myśliwców, jeden wszedł powtórnie w atmosferę, gnając ku błękitowi Oceanu Indyjskiego.

Przez link komunikacyjny Connor słyszała rozmowy pilotów ze swojej eskadry.

– Ładny strzał, Piątka! To się nazywa trafienie!

– Przynajmniej jedno. I nie straciliśmy ani jednej maszyny.

Zdaniem Connor to było spektakularne zwycięstwo. Osiem myśliwców wystrzelonych z Turcji, a potem sześć z Północnych Indii. Razem czternaście maszyn przeciw czterem starblade'om, z których żaden nie został strącony. To było naprawdę warte odnotowania.

– Hej, skipper? Tu Demon Sześć. Moje skanery nie wykrywały w tych maszynach obecności ludzi!

– Potwierdzam, Sześć. To samo mówi S-2 „Ameryki”. Wszystkie pilotowane były przez AI.

Od wieków trwała dyskusja nad tym, czy obecność ludzi w kokpitach myśliwców nadal była konieczna. Bez wątplenia sztuczne inteligencje były szybsze, dokładniejsze, czujniejsze i pewniejsze w ocenie danych, jednak ludzie wydawali się wносить do tej mieszanki pewien pierwiastek kreatywności i improwizacji. Jak na razie, za najlepsze rozwiązanie taktyczne uchodziło pozostawienie ludzi, cybernetycznie sprzęgniętych z kontrolowanym przez AI myśliwcem.

Wygrana w stosunku czternaście do zera wydawała się doskonałym potwierdzeniem takiego podejścia. Potwierdzała także, że starblade'y pozostawiały daleko w tyle najnowocześniejsze konstrukcje Konfederacji. Może jednak wynik wcale nie powinien dziwić, skoro było to starcie ulepszonych ludzi z maszynami.

Szczególnie jeśli maszyny działały zgodnie z wcześniej wpisanym programem.

– Skipper? – powiedziała Connor, patrząc na odczyty z sensorów. – Widzi pan to, tam na północy?

– Co jest, do cholery?

– To pieprzony okręt wojenny! – wyjaśniła. – Grzeje szybko pod eskortą!

W tym momencie plan Konfederacji stał się jasny. Atak z portu kosmicznego w Turcji miał za zadanie rozproszyć cztery

myśliwce, które patrolowały tę część orbity. Druga fala, startująca z Surat, powiększyła to rozproszenie. Najbliżej Connor znajdował się obecnie Mackey, a odległość wynosiła półtora tysiąca kilometrów.

W momencie gdy myśliwce rozeszły się, nieprzyjaciel wystrzelił coś dużego, w dodatku eskortowanego przez kolejnych dwanaście todtadlerów.

– Okręt jest zamaskowany – meldowała Connor – ale mam odczyt masowy około czterech tysięcy ton.

– Mały – powiedział porucznik Ruxton. – Rozmiary fregaty.

– Dowództwo Floty oznacza cel jako Charlie Jeden – zakomunikował Mackey.

– Gdzie, do cholery, jest nasze wsparcie? – Dobbs miał na myśli dwa okręty główne, „Hawes” i „Elliot”, które zostały wyznaczone do wsparcia myśliwców.

– W drodze, Demon Sześć – odparł Mackey. – A na razie zobaczymy, co sami możemy zrobić.

Connor starała się przebić przez osłonę nieprzyjaciela. Technologia zawijania światła wokół okrętu, powodująca częściową niewidzialność, była w użyciu już od kilku wieków, jednak efekt zazwyczaj nie był wart wykorzystania potrzebnej energii ani faktu, że osłonięty okręt widział na zewnątrz mniej więcej tyle, co pozostali wewnątrz bąbla. Stosowanie takiej taktyki nie miało większego sensu, chyba że na tym małym okręcie było coś, co Konfederaci bardzo chcieli ukryć przed Amerykanami.

*Co, do diabła – zastanawiała się Connor – te dranie tam chowają?*

# Rozdział trzeci

**29 czerwca 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
Baza Marynarki Wojennej Quito Synchorbital  
Godzina 00.32 TFT

Admirał Trevor „Piachu” Gray podłączony był do kanału danych w swoim prywatnym gabinecie, znajdującym się tuż przy jego kajucie. Według czasu obowiązującego na okręcie niedawno minęła północ, ale on zawsze miał kłopoty z zaśnięciem podczas trwania operacji, nie pomagał nawet elektroniczny asystent snu. Siedział więc teraz w swoim fotelu, podążając za strumieniem danych płynącym z Ziemi.

Operacja Fallen Star była z jego punktu widzenia czysto teoretyczna. Kilka eskadr myśliwskich z „Ameryki” zostało oddelegowanych na NOZ dla zapewnienia dominacji w przestrzeni, ale sam lotniskowiec zadokował w bazie orbitalnej i nie brał udziału w akcji.

Wiedział, że mógł zrezygnować. W drugim pokoju czekała na niego Laurie, chyba że już zasnęła. Jeśli tak, to jej zazdrościł.

AI „Ameryki” oczywiście także monitorowała dane, co tym bardziej powinno pozwolić mu się odprężyć. Gdyby wydarzyło się cokolwiek nieprzewidzianego, zostałyby o tym natychmiast powiadomiony. Jak na zawołanie, poczuł ukłucie niepokoju, które spowodowało, że zwrócił uwagę na nowe dane. Myśliwce Konfederacji startowały z Turcji i z Indii, ale... było jeszcze coś.

– Co jest, do cholery? – powiedział na głos. – Mostek, tu admirał.



– Tu Gutierrez, panie admirale.

Kapitan Sara Gutierrez była skipperem „Ameryki” i najwyraźniej również pochłaniała nocne transmisje.

– Co za лихо wystartowało właśnie z Północnych Indii?

– Chwileczkę, panie admirale. Śledzimy.

Kobieta była wspaniałym oficerem, zastępcą dowódcy okrętu w czasie, gdy Gray sam dowodził „Ameryką”. Zarówno jego awans na admirała, jak i jej na kapitana były tymczasowe, wymuszone przez potrzeby służby cierpiącej na brak doświadczonych oficerów liniowych. Gray nie wiedział, jak on sam zostanie oceniony, ale zdecydowanie miał zamiar rekomendować Gutierrez na stałego dowódcę „Ameryki”.

Oczywiście mogło się to także skończyć tak, że Piachu nie pozostanie „w linii”, lecz obejmie jakieś stanowisko sztabowe na Ziemi. Nie była to przyjemna myśl, ale jak zawsze, potrzeby służby stały na pierwszym miejscu.

Szczególnie w środku wojny.

– Panie admirale – rozległ się w jego głowie głos kapitan – nie dostajemy czystego obrazu. Wszystko spływa przez VFA-96. Nie mamy prostej linii widzenia.

W umyśle Graya powstał schematyczny rysunek: Ziemia, windy kosmiczne, różne kosmiczne obiekty użytkowe. Quito Synchorbital znajdowała się prawie trzydzieści sześć tysięcy kilometrów nad równikiem. Północne Indie schowane były za krzywizną Ziemi, prawie dokładnie po jej drugiej stronie.

– A co mamy?

– Cel jest doskonale zamaskowany. Śledzimy go tylko dzięki odczytom masowym.

Masa zakłócała strukturę przestrzeni samą swoją obecnością – był to efekt odczuwany jako grawitacja. Gdy obiekt się poruszał, zakłócenia ciągnęły się w czasoprzestrzeni, tworząc zmarszczki przypominające kilwatek, sygnaturę, która mogła być wychwycona przez odpowiednie skanery dalekosiężne.

– Sir – powiedziała Gutierrez po chwili wahania – te odczyty nie mają sensu. Możemy śledzić...

– Co?

– To może być obcy okręt kosmiczny. Nieludzka technologia.

Okręty kosmiczne ludzi używały pracujących z ogromną częstotliwością projektorów osobliwości grawitacyjnej, by zawinąć przestrzeń przed nimi, tworząc w efekcie poruszające się pole grawitacyjne, które ciągnęło jednostkę za sobą ze stałym przyspieszeniem. Myśliwce, samochody powietrzne i grawiloty wojskowe mogły operować wewnątrz atmosfery, jednak używanie projektorów na tyle silnych, by wprawiły okręt w ruch w pobliżu planety, było bardzo ryzykowne i skrajnie trudne technicznie. W praktyce uruchomienie następnego poziomu pracy projektorów, czyli użycie ich do zawinięcia przestrzeni wokół okrętu, by mógł poruszać się szybciej niż światło, wymagało płaskiej macierzy czasoprzestrzennej, czyli należało być w dużej odległości od lokalnej gwiazdy, nie wspominając już o pobliskich planetach.

Możliwe jednak, że inne cywilizacje kosmiczne wymyśliły już sposób na to, by oszukiwać lokalną grawitację.

– No cóż, to wyjaśniałoby, w jaki sposób dostali się na powierzchnię Ziemi – powiedział w końcu Gray.

– „Elliot” i „Hawes” opuszczają NOZ, sir – kontynuowała Gutierrez. – ETA[2]... osiem minut.

– Rozpoznanie nadal potwierdza, że myśliwce są bezzałogowe?

– Myśliwców już nie ma, sir. Wszystkie zniszczone. Ale były pilotowane przez AI.

– Daj mi bliższy obraz tego okrętu startującego z Ziemi. Jak szybko możemy opuścić dok?

– Prawie natychmiast, panie admirale. Pięć minut.

– Doskonale. Proszę wykonać. Ja idę na mostek flagowy.

– Rozgrzejemy panu fotel.

Odłączywszy się od przesyłu danych, Gray powstał i przeszedł do części sypialnej. Naga Laurie Taggart usiadła na łóżku i przeciągnęła się.

– Piachu? Idziesz do łóżka?

– Nie... Ale chcę, żebyś ty była na mostku ASAP.

Komandor Laurie Taggart była oficerem uzbrojenia na „Ameryce”. Bardzo, bardzo dobrym oficerem.

Jej zmysłowy nastrój znikł natychmiast. Zsunęła się z łóżka.

– Co się dzieje?

– Przejrzyj dane.

Gray wziął z podajnika w suficie kostkę mundurową i przycisnął ją do piersi. Czarny, zaprogramowany nanożel wysunął się spod jego dłoni i bardzo szybko pokrył całe ciało. Uniform posiadał oznaczenia stopnia i baretki.

– Coś wystartowało z Północnych Indii w piekielnym pośpiechu, a my polecimy za tym czymś.

Taggart także sięgnęła po kostkę mundurową. Obwody w kombinezonie zapewniały kontrolę temperatury i wielu innych czynników, a strój, uzupełniony o hełm i zestaw do oddychania, mógł z powodzeniem pełnić funkcję awaryjnego skafandra środowiskowego. Jeśli chodziło o wygląd, zostawiał bardzo niewiele niedopowiedzeń.

Co, jak z pomyślał z miłym zaskoczeniem Gray, było całkiem fajne. Admirał był nadal prymem i monogamistą, produktem Peryferii i życia na krawędzi w Ruinach Manhattanu, zalanych przez wodę kanionach, które były dumnymi budynkami Nowego Jorku przed podniesieniem się stanu wód w oceanach ponad trzy wieki temu. Był prymem, prymitywem, przez dużą część swojego życia niemającym elektronicznego podłączenia do większości udogodnień współczesnego świata, a także monogiem, mającym jedną, stałą partnerkę. Choroba tej kobiety zmusiła go jednak do szukania pomocy medycznej wśród cywilizacji. Za tę pomoc musiał zapłacić i uczynił to, wstępując do Marynarki. Dostosował się całkiem nieźle. Jego żona, zmieniona albo przez udar, albo przez manipulacje dokonane na jej mózgu w centrum medycznym, zostawiła go i to była chyba najbardziej traumatyczna zmiana w jego życiu. Nadal za nią tęsknił, ale znalazł oparcie w ludziach takich jak Laurie i coraz lepiej mu szło składanie życia do kupy.

Relacje seksualne pomiędzy przełożonym i podwładnym nie były wprawdzie mile widziane, ale też regulaminy ich nie zabraniały. Laurie była jego partnerką już od jakiegoś czasu i jak dotąd ich związek nie miał wpływu na wykonywanie zadań.

Gray bardzo starał się nigdy jej nie faworyzować.

Wciąż był monogiem, to znaczy w danej chwili pozostawał tylko w jednym związku. Nadal przejawiał charakterystyczny dla prymów brak zaufania dla grup małżeńskich i otwartego seksu, nawet za cenę tego, że większość ludzi w USNA uważała to za lekką perwersję.

Po spędzeniu dwudziestu pięciu lat w Marynarce Trevor Gray nauczył się mieć głęboko w dupie to, co inni sądzili o jego życiu prywatnym.

Gray „wpłynął” na mostek w momencie, gdy Gutierrez wydawała rozkaz odbijania. O ile część mieszkalna znajdowała się w obrotowych modułach zapewniających pseudograwitację o wartości pół g, o tyle na mostku, położonym w osi głównej okrętu tuż za kopułą ochronną, panowała mikrogravitacja.

– Rzucić cumy magnetyczne i chwytaki – brzmiał głos Gutierrez. – Rufowe napędy manewrowe jedna dziesiąta g.

Gray poczuł delikatne pchnięcie przyspieszenia, zanim znalazł się w swoim fotelu. Ponieważ okręty nie mogły używać napędów grawitacyjnych w pobliżu struktur takich jak Quito Synchorbital, nie ryzykując przy tym poważnych uszkodzeń, manewrowanie było kombinacją pracy holowników i dysz plazmowych.

Projekcje na ścianach i suficie mostka ukazywały „Amerykę” widzianą z tych holowników. Okręt był ogromny, największy, jaki ludzkość kiedykolwiek wysłała w kosmos. Miał ponad kilometr długości i kształt grzyba, z długim i stosunkowo cienkim korpusem schowanym za masywnym kapeluszem kopuły ochronnej. Ten przedni zbiornik, mieszczący dwadzieścia siedem miliardów litrów wody, służył zarówno jako masa reakcyjna dla dysz plazmowych, jak i ochrona przy prędkościach relatywistycznych. Z perspektywy holownika, oddalonego o kilkaset metrów, lotniskowiec bardzo powoli wysuwał się z cienia w blask słoneczny. Ziemia w tym momencie była w większości zaciemniona, ale baza orbitalna znajdowała się w wystarczającej odległości, by Słońce widoczne było ponad jej północnym biegunem.

Oczywiście ani pora dnia lub nocy, ani ilość docierającego

światła słonecznego nie miała żadnego znaczenia dla załogi. Przypisanie czasu okrętowego do GMT minus pięć godzin było czysto teoretyczne.

Po opuszczeniu wielkiej bazy wojskowej, która była jednakże tylko fragmentem całej infrastruktury rozciągającej się po obu stronach Quito, lotniskowiec uruchomił dysze manewrowe, co spowodowało kolejne szarpnięcie. Powoli zaczął wykonywać zwrot.

W głowie Graya i na wyświetlaczach pojawiły się światełka kontrolne i kolumny liczb. „Ameryka” musiała prześlizgnąć się w pobliżu Ziemi, by wejść na ogon obcych, być może uda się przy tym wykorzystać nieco ziemską grawitację, jednak w porównaniu z gigantyczną mocą napędów lotniskowca stanowiło to drobny dodatek. Wydział nawigacyjny okrętu musiał dokonać tylko bardzo niewielkiej zmiany kursu, by przejść przez wysokie partie atmosfery.

Gray był z natury niecierpliwy, ale wiedział, że proces startu ma swoje tempo. Jako dowódcę całej grupy bojowej bardziej powinien interesować go szerszy obraz, a nie prowadzenie okrętu. Podłączył się do transmisji emitowanej przez niszczyciel „Elliot”.

Niszczyciel, poza rozmiarami, ogólnie wyglądem przypominał lotniskowiec, jednak jego kopuła ochronna była nieco spłaszczonym stożkiem, tęnym, masywnym i mocno poznaczonym śladami erozji, mimo działania powłok nanolaminatowych. Mimo to oglądany z drona bojowego nadal stanowił imponujący widok.

Uciekający wyprzedzali go o ponad sześć milionów kilometrów. Gdy tylko tajemniczy okręt opuścił atmosferę, zaczął przyspieszać w takim tempie, że domysły Graya dotyczące niezemskiego pochodzenia okrętu wydawały się całkowicie potwierdzać. Okręt prawie na pewno pochodził z innej części kosmosu. Ale na pytanie „skąd” admirał miał sobie odpowiedzieć później. Na razie najważniejszą kwestią było przechwycenie go, zanim wymknie się i uda w niewiadomym kierunku.

– CAG? Tu Gray.

– Tak, admirale? – odparła w jego głowie kapitan Connie Fletcher. Jej tytuł pochodził jeszcze z czasów, gdy myśliwce potrzebowały atmosfery, by latać. Na pokładzie „Ameryki” znajdowały się myśliwce, maszyny rozpoznawcze, holowniki i inne małe jednostki pomocnicze. Wszystkie one podlegały kontroli lotów (KL), której nazwa wywodziła się z tych samych czasów.

– Musimy zatrzymać Charlie Jeden. „Ameryka” nie będzie w stanie dogonić ich w pościgu liniowym. Wątpię także, by mogły to zrobić „Hawes” i „Elliot”. Musimy zdać się na myśliwce.

– Już pracujemy nad wektorami przechwycenia, sir. To może okazać się wykonalne, ale niekoniecznie. Jeśli nawet, będzie to cholernie trudne. Diabelnie dużo zależy od tego, jak szybko Charlie Jeden jest w stanie wskoczyć w metaprzestrzeń.

– Zrób, co w twojej mocy, Connie. Ten ktoś to mogą być Sh'daar i rozmawiali z Konfedami. Jeżeli tak, musimy wiedzieć, o czym.

– Postaram się, admirale. „Black Demons” są na pozycji do przechwycenia, ale to oznacza osłabienie naszego pokrycia na NOZ.

– Działaj. Marines w Verdun już się zwijają. Charlie Jeden stał się absolutnym priorytetem.

Niestety, jedna eskadra przeciw okrętowi wielkości fregaty o nieznanych możliwościach, lecącemu pod eskortą myśliwców, to nie było zbyt wiele. Gray przesłał rozkaz do dwóch okrętów manewrujących na niskiej orbicie, by włączyły się do pościgu, choć było prawie pewne, że nie dogonią Charlie Jeden.

Admirał szybko przeglądał sieć Marynarki, szukając okrętu wojennego znajdującego się w takiej pozycji, żeby mógł przechwycić okręt obcych. Mars i Jowisz zupełnie nie wchodziły w grę, bo między nimi a okrętem znajdowała się Ziemia. Mała flotyła USNA operowała w okolicy Saturna, pilnując niedawno odzyskanych baz na Enceladusie, Tytanie i w pierścieniu Huygensa. Niestety, w tej chwili Saturn oddalony był od Ziemi o dobre dziewięć jednostek astronomicznych, co równało się opóźnieniu wynoszącemu siedemdziesiąt dwie minuty. Tyle czasu musiałoby upłynąć, zanim informacja wysłana z



„Ameryki” dotarłaby do odbiorców.

W pasie asteroid, w odległości zaledwie trzech jednostek od Ziemi, we właściwym kierunku znajdował się okręt Straży Kosmicznej „Concord”. W tym przypadku opóźnienie wynosiło dwadzieścia cztery minuty. Lepiej. Dużo lepiej. Jednostek Straży Kosmicznej nie można było porównać do okrętów Marynarki, zostały przeznaczone do pilnowania, czy ze strony asteroid nie grozi Ziemi niebezpieczeństwo, zarówno z przyczyn naturalnych, jak i za sprawą działań przeciwnika. Ten akurat okręt znajdował się na najlepszej pozycji do przechwycenia Charlie Jeden.

Gray spojrział w akta okrętu i jego dowódcy. Teoretycznie Straż Kosmiczna była organizacją podległą Konfederacji, prowadzoną wspólnie przez Genewę i USNA poprzez Dowództwo Floty na Marsie. Tak było jednak przed wojną. W ciągu ostatniego roku stała się przedsięwzięciem głównie amerykańskim, jako że zdecydowana większość załóg i sprzętu pochodziła ze Stanów Zjednoczonych.

„Concordem” dowodził komandor Terrance Dahlquist, były oficer Marynarki USNA. Doskonale.

– Łączność – powiedział admirał. – Mówi Gray. Nadajcie do „Concorda”...

Zaczął dyktować wiadomość.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 00.38 EST

– „Ameryka” rozpoczęła pościg, sir. Odbiła od doku i przyspiesza.

– Czy mają jakiegokolwiek szanse dogonić ten okręt?

Whitney wyglądał na zakłopotanego.

– Nie wiadomo, sir. Obcy mają długie nogi.

– Pytanie, które mnie teraz frapuje – powiedział Koenig,

poprawiając się w fotelu i bębniąc palcami po stole – brzmi: w jaki sposób okręt o masie czterech tysięcy ton dostał się na Ziemię, wylądował i pozostał niezauważony?

– Pracujemy nad tym, sir. Być może został przywieziony jako ładunek supercargo.

Supercargo były to ogromne transportowce używane do przewozu materiałów i konstrukcji z orbity do miast Ziemi. Mniejsze towary zjeżdżały windą, ale na przykład ważące wiele tysięcy ton materiały pochodzące z asteroid wymagały statków, mogących zabrać je prosto do miejsca przeznaczenia.

Koenig pokiwał głową. Byłby to ryzykowny ruch, jako że supercargo klasyfikowano jako uzasadniony cel wojskowy. Być może ktoś z drugiej strony uznał, że siły USNA są zbyt zaangażowane w wojnę, by atakować coś, co najprawdopodobniej jest obiektem cywilnym. Być może wcale nie ryzykował przy tym zbyt wiele. Machina propagandowa i Światło Gwiazd bez końca podkreślały, że siły amerykańskie, w odróżnieniu od Konfederacji niszczącej całe miasta, nie atakują celów cywilnych. Może na to właśnie liczyli obcy i ich konfederaccy gospodarze.

Cały problem konfederackich relacji z obcymi, a w szczególności ze Sh'daar, był źródłem ciągłego niepokoju Koeniga i jego sztabu. Fakt, że Konfederacja od dawna chciała zgodzić się na żądania Sh'daar, na ich ultimatum wymagające od ludzi porzucenia pewnych technologii, był znany od dawna. Właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, było główną przyczyną różnic politycznych, które doprowadziły do wojny domowej.

Koenig nie miał zamiaru pozwolić nieładziom ani dyktować kierunku rozwoju ziemskiej technologii, ani nakładać jakichkolwiek limitów i był mocno przekonany o tym, że większość ludzi na planecie się z nim zgadza. Zastanawiał się, co obcy zaoferowali Genewie, że przywiodło to rząd Konfederacji do zaakceptowania warunków.

Czy tajemniczy okręt z Północnych Indii miał z tą ofertą cokolwiek wspólnego?

Gdyby udało się zatrzymać obcych i nawiązać z nimi jakąś

formę dialogu, może miałyby szansę poznać prawdę. Od dłuższego czasu USNA walczyły na oślep, nie wiedząc, kim naprawdę jest przeciwnik i jakie są jego relacje z Genewą.

Teraz jednak okręt obcych gnał jak opętany, z przyspieszeniem pięćdziesięciu tysięcy g, i nie było żadnej gwarancji, że siłom USNA uda się go zatrzymać.

Prezydent zastanawiał się, czy nie wysłać Grayowi wiadomości, ale wreszcie zrezygnował. Żadne nalegania czy naciski nie mogły zmienić sytuacji. Koenig wiedział zaś doskonale, że Gray zrobi wszystko, co tylko będzie możliwe, niezależnie od tego, jakie zadanie przed nim stało.

Emerytowany admirał, obecnie polityk, mógł w tym momencie tylko przyglądać się z boku.

VFA-96 „Black Demons”

NOZ

Godzina 00.38 TFT

Cztery myśliwce Starblade minęły Indie i były na wysokości Singapuru, zbliżając się do windy. Connor mogła zobaczyć ją gołym okiem – błyszczącą, białą linię, ciągnącą się od Ziemi w niebo, prostą jak promień lasera, wychodzącą z centrum wielkiej metropolii.

Amerykanie znajdowali się na orbicie, która omijała winde kosmiczną od południa. Nawet z odległości dwóch tysięcy kilometrów urządzenie przedstawiało się imponująco, błyszcząc w świetle słońca.

– Potwierdzam, że zezwolono nam na przyspieszenie – odezwał się Mackey na kanale taktycznym. – Odpalamy za pięć... cztery... trzy... dwie... jedną... Naprzód!

Winda i leżące u jej stóp miasto znikły natychmiast, gdy cztery myśliwce uruchomiły przednie projektory osobliwości grawitacyjnej, która nadała im przyspieszenie siedemdziesięciu tysięcy g. Myśliwce błyskawicznie osiągnęły prędkość siedmiuset

kilometrów na sekundę i oddaliły się od Ziemi o trzysta pięćdziesiąt kilometrów. Po minucie stałego przyspieszania prędkość wzrosła do czterdziestu dwóch tysięcy kilometrów na sekundę, a pokonany dystans do miliona dwustu sześćdziesięciu tysięcy, czyli ponad trzydziestokrotnie więcej niż odległość dzieląca Ziemię od Księżyca. Za ogonem Connor widziała oba ciała niebieskie jako jasne dyski znajdujące się blisko siebie i z każdą chwilą malejące.

Przed nią zaś rosło Słońce.

– Hej, skipper – odezwała się. – Nie sądzę, by udało nam się ich złapać.

– Wykonujemy rozkazy, poruczniku.

– Taaa, ale oni za około minutę osiągną prędkość światła. A my dotrzemy tam za sześć.

– Po prostu wykonuj rozkazy. Nic innego nie możemy zrobić.

Przyspieszenie Charlie Jeden wynosiło pięćdziesiąt tysięcy g, czyli mniej więcej tyle, ile przyspieszenie rakiet Krait. Bardzo możliwe, że obcy dostosowywali się do eskortujących ich todtadlerów, dla których ta wartość była górną granicą.

Cały problem sprowadzał się do matematyki. Gdy Charlie Jeden i jego eskorta osiągną dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent prędkości światła w ciągu sześćdziesięciu sekund, znajdą się sześćdziesiąt trzy i dziewięć dziesiątych miliona kilometrów od Ziemi. Gdy „Black Demons” osiągną tę samą prędkość w ciągu sześciu minut, ich odległość od Ziemi wynosić będzie osiemdziesiąt dziewięć i cztery dziesiąte miliona kilometrów. Jednak do tego czasu Charlie Jeden przez pięć minut lecieć będzie z prędkością podświetlną, pokonując dodatkowe dziewięćdziesiąt milionów kilometrów, co dawało mu łączny dystans prawie stu pięćdziesięciu czterech milionów kilometrów. Innymi słowy, zarówno myśliwi, jak i ofiara poruszać się będą z tą samą prędkością, jednak dzielić ich będzie sześćdziesiąt pięć milionów kilometrów.

Antyczne powiedzenie mówiło, że pościg rufowy to długi pościg, ale w tym wypadku było jeszcze gorzej. Po prostu nie istniał sposób pokonania tej dziury. Nieważne, jakim kto

dysponował przyspieszeniem, bo zgodnie z tym, co dawno już stwierdził Einstein, niemożliwe było, aby jakikolwiek obiekt fizyczny przekroczył prędkość światła, a nawet osiągnął ją. Zgodnie z matematyką opisującą zjawiska relatywistyczne, im szybciej poruszał się obiekt, tym miał większą masę, stawał się krótszy i wymagał więcej energii przy przyspieszaniu. W efekcie przy prędkości światła obiekt taki miał zerowe rozmiary, nieskończoną masę i wymagał nieskończonej energii, by zdołać jeszcze przyspieszyć.

Tego po prostu nie dało się oszukać. Nawet przy energii czerpanej z próżni, myśliciele mogli przyspieszyć o jakiś ułamek procenta  $c$ , ale nigdy nie mogły tej prędkości osiągnąć.

Oczywiście istniała także możliwość obejścia tego problemu. Inaczej nie byłoby podróży międzygwiazdnych. Napęd Alcubierre'a wynaleziony został dwieście osiemdziesiąt cztery lata wcześniej, jako realizacja zasad opisanych przez Miguela Alcubierre'a w 1994 roku. Używając technologii projekcji osobliwości grawitacyjnej, okręt z takim napędem zamykał się w bąblu czasoprzestrzeni. Nie istniała żadna zasada fizyki, która mówiłaby, że taki bąbel nie może poruszać się szybciej niż światło. Miało to potwierdzenie w teorii Wielkiego Wybuchu. Okręt osłonięty bąblem czasoprzestrzeni pozostawał w spoczynku względem przestrzeni bezpośrednio go otaczającej, czyli nie naruszał praw rządzących kosmosem.

Napęd Alcubierre'a miał kilka poważnych ograniczeń. Po pierwsze, okręt znajdował się jakby „poza przestrzenią”, tak więc nie mógł w jakikolwiek sposób komunikować się z kimś „w realnej przestrzeni”. Po drugie – i na tym skupiała się Connor – w momencie uruchamiania napędu okręt musiał znajdować się w płaskiej macierzy grawitacyjnej. Budowniczości okrętów od wieków pracowali nad tymi problemami, jednak bez wyraźnych efektów. Tak więc jednostki nadal nie mogły uruchomić napędów nadświatlnych wcześniej niż w odległości ośmiu do dziesięciu jednostek astronomicznych od gwiazdy wielkości Słońca.

Zasadniczy problem stanowiło jednak to, że żadne z

powyższych ograniczeń mogło nie dotyczyć Charlie Jeden. Był to okręt obcych o nieznanym możliwościach. Może był w stanie uruchomić napęd Alcubierre'a w ciągu kilku sekund, kilka milionów kilometrów od Słońca. Connor uznała jednak, że jest to skrajnie mało prawdopodobne. Gdyby potrafili to zrobić, już by zapewne zniknęli. Fakt, że tak się nie stało, kazał Connor uznać, że kierowali się ku jakiejś szczególnej części nieba, że będą kontynuować przyspieszanie i podążać poza układ, zanim uruchomią napęd nadświatłowy.

Pytanie za milion dolarów brzmiało: jaka to część nieba?

Najprostszym sposobem, by na nie odpowiedzieć, było nałożenie mapy gwiazd na dane nawigacyjne myśliwca.

Odpowiedź okazała się zaskakująca.



# Rozdział czwarty

**29 czerwca 2425**

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 00.44 EST

– Myśliwce prowadzą pościg, sir – powiadomił Koeniga admirał Armitage. – Jednak nie dogonią tego cholerstwa. Chyba że Charlie zacznie zwalniać albo im uda się wycisnąć jeszcze jakąś dziesiątą procenta.

– Jak dobry jest w tym ten nowy typ?

– To zależy głównie od pilota – powiedział Armitage. – Przy tych prędkościach wszystko dzieje się straszliwie szybko, pamięta pan?

Koenig pokiwał głową. Kiedyś, dawno temu, był pilotem myśliwskim.

– I owszem.

Gdy myśliwiec coraz bardziej przyspieszał, efekt relatywistyczny nie tylko zwiększał jego masę w stronę niemożliwej do osiągnięcia nieskończoności, ale także skracał czas, który, mierzony przez zewnętrznego obserwatora, upływał dla pilota, choć ten ostatni odczuwał wszystko – zarówno masę, jak i upływ czasu – jako zupełnie normalne.

Dla myśliwców poruszających się z prędkością podświetlną minuta czasu obiektywnego, odczuwanego przez znajdujących się na zewnątrz, równała się czterem i sześćdziesięciu czterem setnym sekundy. Na pokładzie lotniskowca odnosiło się

wrażenie, że piloci myśliwców zachowują się i mówią bardzo powoli.

Była to istotna różnica, która mogła mieć duże znaczenie podczas walki. Podczas gdy relatywnie nieruchomy cel miał minutę, aby zareagować na zbliżające się myśliwce, ich piloci mieli tylko kilka sekund. Nawet cybernetycznie wspomagane reakcje nie były w stanie poradzić sobie z różnicami na taką skalę.

W rzeczywistości robienie czegokolwiek przeciw obiektowi nieporuszającemu się z prędkością relatywistyczną niosło ogromne niebezpieczeństwo. Na szczęście w tym wypadku zarówno myśliwce, jak i ich cel znajdowały się po tej samej, relatywistycznej stronie równania.

To stanowiło jedyny powód, dla którego myśliwce wysłane z prędkością podświetlną zwalniały przed osiągnięciem celu. „Szybkość to życie” – mówiło stare powiedzenie pilotów myśliwskich. Jednak dla współczesnych myśliwców zbyt duża prędkość stawała się niedogodnością.

Mając to wszystko na myśli, Koenig ściągnął z „Ameryki” schematy ukazujące wzajemne położenie i prędkości okrętu obcych i ścigających go myśliwców. Zaczął przebijać się przez różne symulacje. Jeśli myśliwcom udałoby się zwiększyć prędkość o jedną dziesiątą procent c, to z każdą sekundą zbliżałyby się do ściganych o trzydzieści tysięcy kilometrów.

Zaczął obliczać w myślach. Dystans wynosił sześćdziesiąt pięć milionów kilometrów, przy szybkości zbliżania wynoszącej trzydzieści tysięcy kilometrów na sekundę przechwycenie powinno nastąpić w ciągu trzydziestu sześciu minut.

Jednak tak, jak w przypadku psa ścigającego poduszkowiec, nie wiadomo było, co zdołają, gdy już go dogonią.

Oczywiście wszystko to miało sens, jeśli udałoby się zbliżyć jeszcze odrobinę do prędkości światła.

Komandor Terrance Dahlquist przeczytał wiadomość od admirała Graya. Nie do końca wiedział, co ma o niej sądzić, a tym bardziej, jak na nią zareagować.

Straż Kosmiczna początkowo powstała jako rodzaj sił zbrojnych Ameryki Północnej. Miało to miejsce po tym, jak w 2132 roku chińska eskadra zrzuciła małą asteroidę do Oceanu Atlantyckiego. Później oficjalna kontrola nad Strażą przekazana została Konfederacji Terrańskiej, jako że z założenia chronić miała całą Ziemię. Misja „Concorda” polegała na monitorowaniu operacji w pobliżu asteroid i zapobieganiu nieautoryzowanym manipulacjom przy ich trajektoriach. W przypadkach, gdy całe asteroidy lub ich próbki były kierowane na orbitę, Straż sprawdzała wyliczenia i upewniała się, czy Ziemia lub inna zamieszkała przez ludzi planeta nie jest zagrożona.

Ponadto Straż Kosmiczna zawsze dokładnie pilnowała Westy. Miejsce, w którym znajdowała się ogromna, automatyczna kopalnia, wyposażone było w zespół dział magnetycznych długości dziesięciu kilometrów, przeznaczonych do wystrzeliwania zbiorników z przetworzoną rudą i kierowania ich do miejsc oddalonych od trzech do pięciu lat świetlnych od Ziemi, skąd mogły być transportowane przez ogromne rudowce. Obawa, że terroryści mogą zmienić parametry dział i przerobić je w broń dalekiego zasięgu o wielkiej sile rażenia, powodowała, że w pobliżu zawsze stacjonowały jednostki Straży Kosmicznej. Prawdę mówiąc, prawdopodobieństwo takiego scenariusza było znikome. Misja taka, choć bardzo ryzykowna, mogła nie przynieść żadnego efektu ze względu na to, że radary i lidary cały czas śledziły zbiorniki i łatwo było wytrącić je z nowej trajektorii i skierować w całkowicie bezpieczne miejsce. Jednak rządy panicznie obawiały się spadających skał, szczególnie takich, które z premedytacją zmuszono do uderzenia w określone miejsce. Strach pozostawał obecny nawet trzy wieki po Wormwood, a jednostki Straży Kosmicznej, takie jak „Concord”,

miały nie dopuścić do nieszczęścia.

I na pewno nie były przeznaczone do walki z okrętem kosmicznym obcych o nieznanym potencjale bojowym.

Dahlquist chciał wysłać odpowiedź Grayowi. Problem polegał na tym, że choć teoretycznie Straż Kosmiczna nadal była częścią Marynarki USNA, nie znajdowała się pod jej jurysdykcją, a oficer liniowy, jakim był Gray, nie miał prawa odwoływać jej okrętu z posterunku.

Oczywiście prawdziwy powód wahania komandora miał więcej wspólnego z pochodzeniem admirała.

Jak większość amerykańskich oficerów Marynarki i Straży, Dahlquist był ristie. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej teoretycznie były bezklasowe, ale to pozostawało zawsze tylko teorią. Zawsze istnieli „mający” i „niemający”. We współczesnym społeczeństwie pieniądze nie liczyły się tak bardzo jak kiedyś, rewolucja nanotechnologiczna sprawiła, że większość towarów była dostępna dla wszystkich. Jednak potęga, szczególnie ta, którą dysponowali posiadający dostęp do najlepszych technologii i informacji, to coś zupełnie innego. Obecnie ci, którzy dysponowali bardziej zaawansowanymi technologicznie implantami, przedłużaczami życia i wsparciem nanomedycznym, ci, którzy posiadali dostęp do większych sieci, stanowili nową elitę. Ristie było slangowym określeniem dla technologicznych arystokratów, którzy pociągali za sznurki we współczesnej cywilizacji.

Oczywiście oni sami tego określenia nigdy nie stosowali.

Za to często i chętnie używali słowa „prym”, a Gray był jednym z najbardziej znanych prymitywów. Fakt – po opuszczeniu Ruin Manhattanu i wstąpieniu do Marynarki uzyskał pełny dostęp do technologii, jednak Dahlquist nie mógł pozbyć się uprzedzeń do takich jak on. Nie wychowali się oni wśród zdobyczy nauki, nigdy nie czuli się w pełni komfortowo, używając usprawnień technologicznych. I to, zdaniem większości ristie, rzucało się w oczy.

Komandor nigdy nie przyznałby się do technocybernetycznych uprzedzeń, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że

Piachu Gray nie do końca wiedział, co robi, że czasem przegapiał niektóre informacje, do których miał dostęp poprzez różne sieci z danymi, tylko dlatego, że nie wychował się wśród technologii. Że, w pewien subtelny sposób, nie był w pełni człowiekiem.

I to stanowiło sedno problemu. Ludzi definiowano poprzez technologię. To był powód, dla którego USNA walczyły ze Sh'daar, a ostatnio z Konfederacją: ludzie byli tym, kim byli, dzięki swoim narzędziom, od ognia poczynając, a na okrętach kosmicznych i neurocybernetycznych implantach kończąc.

A na dodatek to, co Gray nakazywał mu zrobić, było trudne i niebezpieczne. Miał przyspieszyć w stronę nadciągającego okrętu obcych i położyć zaporę z rakiet i pocisków kinetycznych w nadziei unieruchomienia go. Nie było mowy o równaniu prędkości i kursu. Ale „Concord” nadal miał się znaleźć niebezpiecznie blisko. Zaś narażanie okrętu na to, że sam nadzieje się na chmurę pocisków i rakiet, nie pasowało do sposobu myślenia Dahlquista.

Pozostawał jeszcze aspekt polityczny.

Jeśli „Concord” otwarcie pomoże „Ameryce”, a z tego, co dawało się wyczytać w danych, była to część operacji prowadzonej przez USNA przeciw nieznanym obcym współpracującym z Konfederacją, to z prawnego punktu widzenia można to będzie uznać za zdradę.

Cholera! Ten pieprzony prym stawiał Dahlquista w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Łączność – powiedział – proszę wysłać odpowiedź. Zapytać o... upoważnienie.

– Sir, oni nie oczekiwali odpowiedzi...

– Wiem. Proszę wysłać.

– Aye, aye, sir.

Komandor miał ważniejsze rzeczy do roboty niż skakanie przez obręcz trzymaną przez perwersyjnego prymana...

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

W trakcie pościgu

– Wygląda na to, że nasze myśliwce będą w stanie dogonić cel, panie admirale – powiedział komandor Dean Mallory. – Szkoda, że nie ma ich tam więcej.

– Wszystko, co muszą zrobić, to spowolnić nieco to cholerstwo – odparł Gray. – No i powstrzymać je od wejścia w metaprzestrzeń.

– Nie wiemy, jak daleko od Słońca muszą być, by wykonać skok – powiedział zamyślony Mallory. – Nie prościej byłoby spróbować ich uszkodzić?

– Wiem, że to trudne. Jeśli pan i pana zespół macie jakieś pomysły, proszę mi o nich powiedzieć teraz.

– Przychodzi mi do głowy pana stary numer z piaskiem, admirale – uśmiechnął się Mallory. – W podręcznikach taktyki nazywany jest obecnie manewrem Graya.

Gray chrząknął.

– To byłaby niebezpieczna opcja. Ryzykujemy zniszczenie naszych myśliwców.

Piachu Gray zdobył swój przydomek dwie dekady wcześniej, kiedy prowadząc grupę nowych myśliwców z bazy Oceana, nakazał wystrzelenie chmury piasku, to znaczy głowic antyrakietowych ARTO, z prędkością podświetlną. W takich warunkach nawet pojedyncze ziarno mogło być zabójcze, a cała chmura mogła zniszczyć okręt, zmieść flotę, czy nawet przeczesać hemisferę planety ogniem. W pewnych okolicznościach mogła to być wysoce efektywna broń, jednak branie na cel pojedynczego okrętu wydawało się co najmniej ryzykowne, zaś prawdopodobieństwo trafienia własnych jednostek w powstałym zamieszaniu czyniło z tego sposobu taktykę ostatniej szansy.

– To prawda. Oczywiście tylko „Concord” mógłby znaleźć się na pozycji do oddania strzału.

– Wiem, i o to właśnie go prosiłem. Myśliwce nie będą w stanie wiele zdziałać, więc to prawdopodobnie nasza jedyna szansa.



ARTO wystrzelone z myśliwców ścigających Charlie Jeden i jego eskortę mogły być całkowicie nieskuteczne, jako że zarówno myśliwy, jak i ofiara poruszały się w jednym kierunku z podobną prędkością. Jednak piasek wystrzelony z okrętu Straży Kosmicznej, podchodzącego z innego kierunku, prawie od dzioba obcych, trafiłby Charlie z prędkością będącą sumą prędkości własnej i prędkości celu, co dawałoby ogromne wartości.

– Obawiam się jednak – kontynuował Gray – że mogą się wystraszyć możliwości trafienia naszych myśliwców.

W tym momencie admirałowi przyszło coś do głowy. Przywołał dane z AI „Ameryki”, szukając informacji o kapitanie „Concorda”. Na razie sprawdził tylko absolutne minimum, by upewnić się, że jest on Amerykaninem. Teraz potrzebował nieco więcej.

Komandor Terrance Dahlquist. Urodzony w Winsdor, Ontario, większość życia spędził w Nowym Nowym Jorku. Jego wuj był gubernatorem Manitoby, a kuzyn reprezentantem USNA w Senacie Konfederacji. Do Marynarki wstąpił w 2416 roku. Akademia Marynarki Wojennej Oceana. Wyróżniony po bitwie o Freję w 2420 – był tam skiperem kanonierki „Ajax” podczas operacji przeciwko elementom floty H’rulka. Przeniesiony do Straży Kosmicznej w 2422.

Dlaczego? Porzucenie perspektywicznej kariery w Marynarce wydawało się nieco dziwne. Ach... o to chodziło. Został pominięty w awansie na pełnego komandora podczas dowodzenia „Ajaxem”. Objęcie stanowiska w Straży Kosmicznej łączyło się z automatycznym awansem.

Gray pokręcił głową. Nic nie zapalało światełka ostrzegawczego, nic szczególnie niezwykłego, czym należałoby się martwić.

Było to jednak frustrujące. Natura współczesnej wojny w przestrzeni sprawiała, że kapitanowie i dowódcy flotyli często musieli walczyć, mając u boku oficerów, których nie spotkali nigdy w życiu i w ogóle nie znali. Przy operacjach toczących się na ogromnych połaciach przestrzeni, często nie było możliwości koordynacji podczas bitwy. Opóźnienie czasowe powodowało, że

mogły minąć godziny, zanim przyszła odpowiedź na wiadomość. Czy dany oficer był agresywny? Ostrożny? Powolny? Drobiazgowy? Narwany? Niekompetentny? Skłonny do ryzyka? Każda z tych cech miała ogromne znaczenie i mogła albo pomóc, albo zrujnować całą strategię.

Gray wziął głęboki oddech. Później się będzie o to martwił. Dopóki „Ameryka” i „Concord” nie były wystarczająco blisko, dopóty nie mógł z tym nic zrobić.

Na taktycznym wyświetlaczu mostka flagowego cztery myśliwce ciągle zbliżały się do uciekającego Charlie Jeden i jego eskorty.

Admirał sprawdził czas. „Concord” powinien otrzymać wiadomość dziesięć minut temu i w tej chwili zajmować pozycję. Okręt Straży Kosmicznej był po prostu za daleko, by światło niosące informację o tym mogło dotrzeć do „Ameryki”. „Hawes” i „Elliot” także prowadziły pościg, ale zostały zbyt daleko za rufą, by wziąć udział w starciu.

*Lepiej, by Dahlquist się ruszył...*

Bez „Concorda” te cztery starblade’y zdane były tylko na siebie. I jak zwykle to myśliwce miały przyjąć na siebie pierwszy, najtwardszy kontakt z przeciwnikiem.

VFA-96 „Black Demons”

W trakcie pościgu

Godzina 1.20 TFT

Megan Connor kliknęła mentalną ikonę i powiększyła obiekt widoczny obecnie na wyświetlaczu wewnętrznym. Ciężko było zobaczyć jakieś szczegóły, widok otaczającego wszechświata zakłócała prędkość myśliwca. Przy prędkościach relatywistycznych napływające światło gwiazd zacieśniało się, formując pierścień przed jednostką, z powodu aberracji chromatycznej rozszczepiający światło w tęczę z kolorem niebieskim z przodu, a czerwonym z tyłu.

Gdzieś w tej tęczy lśniło światło emitowane przez uciekającego obcego, także rozszczepione przez prędkość podświetlną. AI kontrolująca myśliwiec Connor wyławiała je i tworzyła obraz okrętu, jaki mógłby jawić się ludzkiemu oku przy mniejszych prędkościach. Zbiór pięknych krzywizn, kształtów przypominających kroplę i łagodnych wypukłości wyglądał bardziej, jakby został wyhodowany, a nie zmontowany. Znajdował się obecnie pięć tysięcy kilometrów przed myśliwcem i wydawało się, że walczy o utrzymanie tego dystansu. Obraz transmitował jeden z dronów bojowych, wystrzelony chwilę wcześniej. Przyspieszenie maszyn było wystarczające, by dotrzymać tempa obcemu.

Myśliwce znajdowały się już w zasięgu umożliwiającym wysyłanie rakiet, ale przyspieszenia amerykańskich pocisków przeciwokrętowych były niewiele większe niż przyspieszenia samych myśliwców. Pilotowane przez małe AI mogły potrzebować godzin, by pokonać pozostały dystans.

Drony zostały zaopatrzone w lepsze AI, ze względu na konieczność manewrowania w celu uzyskania jak najlepszego obrazu celu i uniknięcia broni przeciwnika. Miały także mocniejsze napędy, by szybko pokonywać przestrzeń bitwy i zyskać duży zasięg.

A to nasunęło Connor pewien pomysł.

USNS/HGF „Concord”

4-Westa

Godzina 1.21 TFT

Komandor Terrance Dahlquist studiował obraz na wyświetlaczu taktycznym „Concorda”. Pochodzący spoza systemu okręt, oznaczony jako Charlie Jeden, znajdował się obecnie około jednej jednostki astronomicznej od Westy. Cztery myśliwce USNA zbliżały się do niego.

Z powodu opóźnienia widział obrazy pochodzące sprzed

dziewięciu minut, co znaczyło, że obcy okręt znajdował się teraz znacznie bliżej.

Dahlquist niepokoił się.

– Wie pan, sir – powiedziała komandor porucznik Denise Ames – że może pan wylądować w kupie gówna.

Ames, zastępca dowódcy „Concorda”, była MG transzlówiekiem i Dahlquist szanował jej inteligencję – niebываły intelekt połączony z bardzo zaawansowanymi systemami, który prawdopodobnie stawiał ją w jednym rzędzie z najlepszymi AI.

– To nieco mglisty obszar – odpowiedział. – Nie przyjmuję rozkazów od... ludzi takich jak on.

Zarówno Marynarka, jak i Straż Kosmiczna podlegały pod HQMILCOM, amerykańskie dowództwo zlokalizowane na Marsie i w jego okolicy, oraz pod Połączone Kolegium Szefów Sztabów na Ziemi. Dopóki jedno z tych ciał nie nakazało mu oficjalnie wykonywać poleceń Graya, miał prawo je ignorować. Tak było w teorii, jednak siły zbrojne opierały się na regulaminach.

– Nie tak mglisty, jak pan uważa, kapitanie – odparła Ames. – Admirał Gray jest, tak czy owak, oficerem flagowym, a to skutkuje prawdopodobnym naruszeniem przez pana artykułu dziewięćdziesiątego drugiego.

– Dziewięćdziesiątego drugiego? – spytał Dahlquist, uśmiechając się z wyższością. – A nie dziewięćdziesiątego?

– Artykuł dziewięćdziesiąty określa karę za niewykonanie prawomocnego rozkazu przełożonego – odpowiedziała Ames. – A także za napaść na przełożonego. Tak więc może mieć zastosowanie. Jednak dziewięćdziesiąt dwa odnosi się do zaniechania wykonania prawomocnego rozkazu ogólnie. Odnosi się także do opuszczenia posterunku. Prawdopodobnie takie oskarżenia wniosą przeciw panu.

Dahlquist westchnął. Lubił Ames, była wspaniałym pierwszym oficerem, ale rozmowa z nią przypominała dyskusję z komputerem o liczbach. Raz, choć jeden raz, chciał usłyszeć, jak ona przyznaje, że czegoś nie wie. Westchnął ponownie, wiedząc, że jest to bardzo mało prawdopodobne.

Niektórzy twierdzili, że ludzkość zmierzała ku modyfikowanym genetycznie transludziom, jednak komandor szczerze w to wątpił. MG mieli tendencję do rozwoju intelektualnego kosztem uczuć i emocji. Bez pasji często nie gonili za sukcesem, tak jak to niezmordowanie robili ludzie Mark I Model 0. Jako człowiek nie wyobrażał sobie poświęcenia ambicji dla wiedzy. Emocje odgrywały zbyt ważną rolę w ludzkim doświadczeniu. Stary pomysł bezdusznego geniusza był mitem. W rzeczywistości istniały badania łączące wysoką inteligencję ze zmianami emocjonalnymi i zaburzeniami. Dahlquist nic nie mógł poradzić na to, że historia ludzkiego geniuszu była także historią zaburzeń emocjonalnych.

Tak czy owak, współczesne implanty cybernetyczne były wystarczająco dobre, by każdy mógł zyskać dostęp do dowolnych danych prawie tak samo efektywnie jak MG, bez utraty tego, co czyniło go człowiekiem. Dla komandora to zawsze było *raison d'être*.

Pomimo tego dowódca cenił Ames za jej zdolność podawania czystych danych z prawie nieprzebranych zasobów pamięci. A tego właśnie teraz potrzebował.

– Co więc radzisz? – zapytał.

– Wykonać „Concordem” manewr przechwycenia Charlie Jeden, zgodnie z rozkazem.

– Mam lepszy pomysł.

Ames zmrużyła oczy.

– Sir?

– Mamy potencjalnie śmiertelnie skuteczną broń w VLA.

Dahlquist był z siebie bardzo dumny, że o tym pomyślał. Akcelerator linearny Vesta to była nazwa wyrzutni magnetycznej. Można było użyć tego monstrualnego działa do uszkodzenia lub zniszczenia obcego z odległości pełnej jednostki astronomicznej.

– Z całym szacunkiem sir, ale to nie zadziała.

– Nie?

– Ani trochę. Proszę sprawdzić dane.

Zrobił to, ściągając odpowiednie wartości dotyczące

akceleratora i podstawiając je do wzorów balistycznych. Gdy zobaczył odpowiedź, zmarszczył brwi. W najlepszym wypadku kilometrowe działo, przyspieszające jednotonowy ładunek do dwudziestu tysięcy g na odcinku kilometra, mogło nadać mu prędkość dwudziestu kilometrów na sekundę. Rezultat budził szacunek w warunkach planetarnych, ale pokonanie jednostki astronomicznej zajęłoby... O CHOLERA! Zaledwie osiemdziesiąt sześć dni. To było zdumiewające. Nawet przy dobrym treningu i doświadczeniu, nadal nie doceniał ogromu przestrzeni kosmicznej.

Ames miała rację. Mógł narobić sobie kłopotów, ignorując ten rozkaz, a prym taki jak Gray nie był wart pakowania się przed sąd wojenny.

Powiedzenie sobie tego uspokoiło komandora i pomogło mu zrozumieć, co działo się w jego głowie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak zazdrosny był o tempo, w jakim Gray piął się po drabinie awansu, ale uświadomił to sobie teraz, postawiony przed możliwością naruszenia artykułu dziewięćdziesiątego drugiego. On i Gray byli mniej więcej w tym samym wieku, z porównywalnym stażem. Tymczasem on był jakimś tam komandorem, walczącym o awans na kapitana, podczas gdy przekłety prym dostał cztery admirałskie gwiazdki podane na tacy. Chodziły plotki, że Gray ma przyjaciół na bardzo wysokich stanowiskach, jego były dowódca był obecnie prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. I właśnie ci przyjaciele mogli narobić Dahlquistowi ogromnych kłopotów.

To nie było, kurwa, w porządku!

Oddalił od siebie oczywiście hipokryzję riste, zazdroszczącego sukcesów prymowi.

– W porządku, Ames – powiedział. – Zabieraj nas stąd. Kurs spotkaniowy z Charlie Jeden.

– Aye, aye, kapitanie!

Słyszał, jak oficer łączności „Concorda” pyta o potwierdzenie rozkazu odlotu, słyszał, jak AI zarządzająca kopalnią potwierdza go. Potężna, poplamiona i pocięta kraterami bryła o średnicy ponad pięćuset kilometrów zaczęła się oddalać i prawie

natychmiast znikła. Przecząc popularnemu przekonaniu oraz niezliczonym filmom i symulacjom, asteroidy wcale nie były tak gęsto upakowane, by stanowiło to jakąkolwiek przeszkodę. W tej chwili z Westy gołym okiem dawało się zauważyć tylko jedną. Pas asteroid był niemal tak samo pusty jak przestrzeń międzygwiazdna.

Dahlquist wstydził się gafy, jaką popełnił, sugerując użycie VLA do zbombardowania okrętu obcych. Musiał znaleźć jakiś sposób, by ją zatrzeć, inaczej Ames i załoga „Concorda” będą o tym opowiadać po powrocie na Ziemię.

Ponadto gotował się na myśl o tym, że pokonany został nie tylko przez Ames, ale, przynajmniej we własnej opinii, także przez pryma.

VFA-96 „Black Demons”

W trakcie pościgu

Godzina 1.20 TFT

Problem, jak zawsze w przypadku prędkości relatywistycznych, leżał w energii. Każdy kilogram masy poruszający się z tą szybkością niósł większą energię niż pięćdziesięciomegatonowa głowica nuklearna. Odpalenie atomowej rakiety przeciwokrętowej mogło mieć nieprzewidywalne skutki, szczególnie gdy wzięło się pod uwagę, że sztuczne osobliwości, służące jako napęd grawitacyjny, były same w sobie tworzone i zasilane przez monstrualne ilości energii. Dodać do tego jeszcze działanie w niekontrolowanym pośpiechu i...

Connor wcale nie śpieszyła się, by przeprowadzić takie doświadczenie.

Wpadła na coś subtelniejszego: wystrzelenie jako broni jednego ze swoich dronów bojowych.

Jej świadomość wypełniał powiększony obraz Charlie Jeden, wielkiej organicznej formy, przy której dwunastka todtadlerów



eskorty wyglądała na miniaturowe zabawki.

Jak, zastanawiała się Connor, obcym udało się przeprowadzić to coś przez obronę Ziemi i wylądować?

Dziewczyna wprowadziła szczegółowe instrukcje do miniaturowej AI drona, przy tej prędkości skrócenie czasu nie pozwalało na precyzyjną kontrolę. Obecnie na każde cztery sekundy w kokpicie przypadała minuta na zewnątrz, a materia czasoprzestrzeni wokół każdego z poruszających się obiektów, Charlie Jeden, starblade'a i drona, była wystarczająco zakłócona, by zagłuszyć dane sterujące, płynące z zewnątrz.

Coraz bliżej... Charlie Jeden był teraz tylko kilkaset kilometrów z przodu, jednak AI Connor powiększała obraz tak, że wydawało jej się, że znajduje się kilka metrów od kadłuba. Dwanaście myśliwców zaczęło nieco odbijać. Megan nie była tego pewna, ale wydawało jej się, że zdają sobie sprawę, iż obcy przełączają się na swój odpowiednik napędu Alcubierre'a.

Bliżej...

Dronem zatrzęsło gwałtownie, gdy przechodził przez nosową falę magnetyczną. Jednostki poruszające się pod wpływem grawitacji wytwarzały wokół siebie pole, rodzaj bąbla, wewnątrz którego masa poruszała się, przyciągana przez pojawiającą się i znikającą z ogromną częstotliwością osobliwość. Uderzenie w ten bąbel przypominało zderzenie z betonową ścianą.

Obraz z drona zamigotał, zatrzymał się i znikł.

Connor mogła mieć jedynie nadzieję, że instrukcje, które wydała urządzeniu, były pełne i wyczerpujące.

# Rozdział piąty

**29 czerwca 2425**

USNS/HGF „Concord”

4-Westa

Godzina 1.28 TFT

W momencie gdy Charlie Jeden przekroczył leżący najbliżej Westy punkt na swojej trajektorii, „Concord” nie był w stanie już zablokować mu drogi. Mógł jedynie zacząć go ścigać, a w zasadzie zacząć przyspieszać w stronę punktu, w którym znajdzie się Charlie, gdy „Concord” będzie mógł go przechwycić.

Przechwycenie było możliwe tylko wtedy, gdyby „Concord” przyspieszył bardzo mocno. Na szczęście jednostki Straży Kosmicznej, choć nie uzbrojone po zęby, zaprojektowane zostały do szybkich pościgów. Asteroida, wepchnięta na zabójczą trajektorię przez obcych, mogła osiągnąć znaczną prędkość, więc im szybciej okręt mógł się z nią spotkać, tym łatwiej było zepchnąć ją na bezpieczny kurs. „Concord” był kutrem klasy Lexington WPS-100, o gładkich kształtach w celu zredukowania oporów, które stawały się istotne przy prędkościach relatywistycznych osiąganym w wypełnionej pyłem przestrzeni Układu Słonecznego. Przechwycenie Charlie mogło nastąpić w ciągu godziny, chyba że obcy do tego czasu wszedłby w metaprzestrzeń.

Tak czy inaczej, „Concord” miał być na miejscu szybciej niż lotniskowiec „Ameryka”.

W domu, w NNJ, Dahlquist miał psa, modyfikowanego

genetycznie miniaturowego mastiffa o imieniu Bumble, który miał psychotyczny zwyczaj gonięcia grawilotów, gdy te przelatywały nad nim.

Komandor czuł się teraz jak Bumble, tylko zastanawiał się, co zrobi z Charlie Jeden, gdy już go złapie.

VFA-96 „Black Demons”

W trakcie pościgu

Godzina 1.31 TFT

Connor leciała na ślepo. Jej skanery nadal ukazywały okręt obcych około pięciuset kilometrów z przodu, w przybliżeniu pozwalającym zobaczyć pewne szczegóły, jednak nie było żadnego sygnału od drona, który kilka minut wcześniej wcisnął się do kieszeni przestrzennej wokół Charlie Jeden. Urządzenie powinno przesuwać się obecnie wzdłuż kadłuba, dryfując ku intensywnie migającemu punktowi sztucznej grawitacji przed dziobem okrętu, zakładając oczywiście, że technologia obcych działała według tych samych zasad, co ludzka. Wszystko, co Megan dotąd widziała, zdawało się to potwierdzać, nawet maksymalne przyspieszenie.

Eskortujące todtadlery operowały obecnie w dużym oddaleniu od okrętu i zwalniały wyraźnie. Connor i pozostałe starblade’y już je wyprzedziły. Prawdopodobnie przygotowywały się do starcia z „Hawesem” i „Elliotem”, które wciąż podążały śladem myśliwców, ale to już nie był problem Connor.

Ona musiała skupić się na Charlie Jeden.

Jej starblade’em zatrzęsło, a systemy ostrzegawcze połączone z AI myśliwca natychmiast podały przyczynę: fale grawitacyjne. Potężne fale grawitacyjne. Jej myśliwiec dosłownie przebijał się przez zmarszczki czasoprzestrzeni.

I wtedy Charlie Jeden wzdrygnął się, jego generator mocy umilkł. Okręt przestał przyspieszać.

– Mam go! – wrzasnęła Connor na kanale taktycznym.

Komunikacja pomiędzy członkami eskadry była nieco niewyraźna przy prędkościach relatywistycznych, jednak natychmiast zabrzmiało potwierdzenie od komandora Mackeya. Nadal przyspieszając, myśliwiec Connor zbliżał się teraz do okrętu obcych bardzo szybko, mijając go w odległości stu kilometrów. Ze strony dużej jednostki nie było żadnej odpowiedzi ani sygnału, że Connor była namierzana lub śledzona. Na pokładach nadal było zasilanie, jednak główny generator mocy nie działał.

Dobrze. Megan zaczęła zmniejszać prędkość. Spotkanie z Charlie było mocno ryzykowne, jako że okręt nadal poruszał się z prędkością podświetlną. Jednak pozbawiony napędu grawitacyjnego nie przyspieszał już, co ułatwiało nieco sprawę.

Connor sprawdziła dane nawigacyjne i skonstatowała, że z czwórki myśliwców to ona jest najbliżej celu.

– Tu Demon Pięć – zameldowała. – Zamierzam zbliżyć się do Charlie Jeden.

– Przyjąłem, Piątka – odpowiedział Mackey. – Na miłość boską, uważaj na siebie!

*Miłość boska została wystrzelona w przestrzeń* – pomyślała dziewczyna, ale na głos odpowiedziała:

– Potwierdzam!

Rozpoczęła podejście do okrętu obcych.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

W trakcie pościgu

Godzina 1.40 TFT

– Jeden z naszych myśliwców dokuje przy obcych – powiedział komandor Mallory. – To potwierdzone. Charlie Jeden przestał przyspieszać.

– Najwyższy czas – odparł Gray. – Proszę przekazać, aby nie podejmowano prób wejścia na pokład. Chcę, żeby zaczekali, aż w pobliżu znajdzie się jakiś okręt główny. Potrzebujemy także

holownika SAR, aby wyhamował Charliego.

– Aye, aye, sir.

„Ameryka” przenosiła kilka jednostek ratowniczych, a kosmiczne holowniki UTW-90 z eskadry „DinoSAR” były specjalnie przeznaczone do holowania uszkodzonych jednostek, poruszających się z prędkościami relatywistycznymi, które nie były w stanie same wyhamować. Holowniki SAR miały możliwość połączenia się z kadłubem, odzyskania załogi i zatrzymania jednostki.

– Mogą próbować połączenia przez AI – kontynuował Gray – ale żadnego kontaktu fizycznego.

Miał zamiar zrobić to dobrze. Było zbyt wiele niewiadomych, by ryzykować postawienie stopy na pokładzie przez jakiegoś pilota myśliwskiego.

– A co, jeśli obcy zdecydują się nie współpracować? – spytał Mallory.

– Wtedy trzeba będzie zaczekać, aż zjawimy się my z ciężką artylerią.

– Zakładam, że nie mówi pan o rzeczywistej broni.

– Nie – odpowiedział Gray, nieco zdziwiony pytaniem. – Ale AI „Ameryki” powinna być w stanie otworzyć ich zasoby elektronicznie.

Pół wieku walki z tuzinem różnych cywilizacji podległych Sh'daar dało ludzkości możliwość nauczenia się sporo na temat ich sieci komputerowych i protokołów bezpieczeństwa. Szczególnie kontakt z jedną z ras, Agletsch, pozwolił na poznanie wielu sztucznych języków, w tym jednego dialektu, który umożliwiał wielu członkom sojuszu Sh'daar komunikację. Okazało się, że język ten zależny jest od fizycznej formy i psychologii danego gatunku. Istniały rasy porozumiewające się za pomocą zmiany kolorów, modulacji wypuszczanych gazów lub semaforowych ruchów wypustek na czymś, co zapewne było twarzą. Ogromni H'rulka komunikowali się za pomocą fal radiowych. Turuschowie żyli w ściśle powiązanych parach i mowa jednego harmonizowała z wypowiedziami drugiego, finalnie dając trzecie znaczenie. Slan, którzy „widzieli” za

pomocą sonarów, porozumiewali się za pomocą bardzo szybkiego klikania w paśmie ultradźwięków, daleko poza progiem słyszalności człowieka. Przy tak szerokim spektrum typów i stylów komunikacji zadziwiające było, że komukolwiek udało się wymienić choćby najprostsze myśli.

W tym miejscu pracę podejmowały jednak super-AI, niewyobrażalnie potężne komputery, miliardy razy szybsze niż mózgi organiczne. Niektóre z nich zaprojektowane zostały specjalnie do łamania barier językowych, zaś systemy pokładowe posiadały oprogramowanie językowe opracowane właśnie przez te wysoce wyspecjalizowane AI.

Mimo wszystko to nigdy nie było łatwe. Nie istniała gwarancja, że nieznany język da się w ogóle złamać. Gray liczył przede wszystkim na to, że obcy na pokładzie Charlie Jeden spotkali się z Agletsch i używali jednego z ich dialektów.

Jeśli należeli do sojuszu Sh'daar, musieli się jakoś komunikować z innymi jego członkami.

Ponadto Charlie Jeden wylądował na Ziemi, co znaczyło, że jego załoga miała kontakt z ludźmi, czyli prawie na pewno używała języka, który ludzie mogli zrozumieć.

Gray zastanawiał się, czy na pokładzie Charlie Jeden znajdował się ambasador lub ktoś w tym rodzaju. Jak dotąd, Sh'daar nie pokazali ani śladu zrozumienia idei wysyłania ambasadorów czy ogólnie służby dyplomatycznej. Handlowcy Agletsch byli najbliższymi spełnieniami tej roli. Pomimo że Pająki nigdy nie robiły nic za darmo, to ich walutą była informacja. A przecież dyplomacja opiera się właśnie na wymianie informacji, wydawały się więc wręcz do tego stworzone.

Jednak jak na razie nie istniały ogólnie akceptowane na poziomie galaktycznym zasady znane ludziom, nie było ambasad ani konsulatów, ani oficjalnej wymiany ambasadorów. Gray nieraz myślał, że to właśnie był powód, dla którego wojna ze Sh'daar trwała tak długo. Nawet pokonanie obcych w ich własnym domu i czasach przyniosło jedynie nieformalne i niewiążące zawieszenie broni. Dwadzieścia lat po zwycięstwie Koeniga w Chmurze N'gai w zamierzchłej przeszłości ludzkość

została zaatakowana przez Slan.

A teraz pojawił się Charlie Jeden. Co, do cholery, ten okręt robił w Północnych Indiach?

To był jeden z powodów, dla których Gray zakazał wchodzić na pokład okrętu przed przybyciem „Ameryki”.

Chciał to usłyszeć sam.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 7.25 EST

– Wygląda na to, że będzie miał dziś pan pełne ręce roboty, sir. Prezydent Koenig spojrział na Marcusa Whitneya ze zmarszczonymi brwiami.

– Gdzie moja kawa, do cholery?

– Tutaj, panie prezydencie – odpowiedziała Evans, omijając Marcusa i stawiając kubek na biurku. – Coś jeszcze, sir?

– Nie, dziękuję. – Przywołał Whitneya. – Co tu mamy?

– Większość spraw skupia się na tym, co dzieje się w Europie i Konfederacji. Po wczorajszej bitwie pod Verdun cała Konfederacja wydaje się walić.

– No, nareszcie – odparł Koenig. Był przemęczony, niewyspany i naprawdę potrzebował kawy. Czuwał aż do trzeciej nad ranem, śledząc meldunki z „Ameryki”. Gdy kładł się spać, lotniskowiec nadal próbował dogonić obcych. Jeden z myśliwców zadokował przy Charlie Jeden, a z „Ameryki” wysłano dwa holowniki SAR, miały jednak minąć godziny, zanim napłyną jakieś pewne informacje.

Łyknął kawy, skrzywił się i spojrział na doradcę.

– W porządku. Co jeszcze?

– Proszę, sir – powiedział Whitney, łącząc swój implant z elektroniką w pokoju. – Wszystko jest w przeglądzie.

Koenig przebiegł wzrokiem po skrótach informacji. Na szczycie



znajdowała się wiadomość o przechwyceniu obcego okrętu, Charlie Jeden. Holowniki SAR potrzebowały jeszcze kilku godzin, by rozpocząć hamowanie okrętu. Do tego momentu cały czas gnał on poza system, minął orbitę Neptuna i zbliżał się do Pasa Kuipera. Nie podano wielu szczegółów, jednak wiadomo było, że jakiś szybko myślący pilot myśliwca z „Ameryki” użył drona bojowego, by zakłócić działanie projektora osobliwości okrętu. Musiało udać się uszkodzić coś ważnego, bo w innym wypadku Charlie Jeden dawno wskoczyłby w metaprzestrzeń i uciekł.

*Muszę wyróżnić tego pilota* – pomyślał prezydent. Jego wzrok przyciągnęła jeszcze jedna informacja, związana z domniemanym kierunkiem lotu Charlie, konstelacją Raka. O tym też trzeba było pomyśleć.

Przeniósł wzrok na to, co działo się bliżej domu. W Południowych Indiach rewolucja przeciw rządowi konfederacyjnemu, starcia pomiędzy wojskami specjalnymi Chin a wojskami Rosji na Syberii, demonstracje i rozruchy w Teokracji i poważna powódź spowodowana sztormem na Filipinach.

Dalej:

Postęp w rozmowach ze Slan w Crisium... Podejrzenia sabotażu przy windzie kosmicznej Mount Kenya... Kolejny oficjalny protest papieża przeciw Białej Konwencji... Upadek rządu w Genewie... Możliwa aktywność Sh'daar w okolicach 70 Ophiuchi...

W skrócie, nic nowego. USNA spacerowały po przysłowiowej krawędzi pomiędzy przetrwaniem a klęską na tuzinie frontów.

– Najważniejsza rzecz na dziś – powiedział Whitney, przerywając prezydentowi przeglądanie listy – to oddanie Waszyngtonu.

Koenig skrzywił się.

– Jak przypuszczam, nie uda się z tego wykręcić?

– Nie będzie łatwo, sir. To wielka sprawa i oceniamy, że może wziąć w niej udział kilkaset tysięcy ludzi. A może nawet więcej, wiadomości o Verdun są już w serwisach.

Prezydent westchnął.

Waszyngton DC, dawna stolica Stanów Zjednoczonych, został

częściowo zalany przez wody oceanu pod koniec dwudziestego pierwszego wieku. Stolicę przeniesiono do Columbus w Ohio i taki stan rzeczy utrzymał się przez prawie trzy i pół wieku. Waszyngton powoli pokrywał się bagnami, zarastał mangrowcami i lasami kudzu, pod którymi niknęły marmurowe budynki i pomniki. Jako część Peryferii został opuszczony przez Stany Zjednoczone, a następnie zignorowany przez nowe USNA. Grupy prymów nadal żyły tam, łowiąc ryby w miejscu, które kiedyś zwano Mall, i walcząc z regularnymi najazdami hord z Virginii.

Pod koniec ubiegłego roku, wkrótce po rozpoczęciu wojny domowej, Europejczycy podjęli próbę zajęcia Waszyngtonu i kilku innych fragmentów Peryferii Północnoamerykańskich. Podczas krótkiej bitwy z miejscowymi atak załamał się. Od tego czasu pojawiła się tam pomoc USNA, wysłano maszyny osuszające bagna, czyszczące stare budynki, stawiające nowe i uwalniające ściany, pomniki i kopuły z pułapki zieleni.

Dziś prezydent Koenig miał lecieć do Waszyngtonu i oddać do użytku odbudowane miasto, formalnie przyłączając je do USNA. Spodziewano się, że w ciągu sześciu miesięcy Waszyngton ponownie stanie się stolicą Ameryki Północnej. Trwały już przygotowania do przeniesienia aparatu rządowego z Toronto.

Koenig nie był przekonany, czy to dobry pomysł. Jako że obecnie rząd opierał się raczej na elektronice niż na budynkach, jedno miasto było równie dobre jak inne, a pojawiły się nawet sugestie, że SupraQuito byłoby lepsze. Od czasów, gdy rząd związany był z konkretnym miejscem, minęły wieki. Waszyngton, Columbus, a teraz Toronto stanowiły tylko symbole, potężne zapewne, ale jednak tylko symbole tradycji i kontynuacji historii. Prawdziwe interesy rządowe związane były z potężnymi AI znajdującymi się w takich miejscach jak Nowy Nowy Jork, Angelino-Francisco Metroplex, SupraQuito czy Ciołkowski na Księżycu.

Ludzie byli oczywiście niezbędni w rządzie, ale po pominięciu wszystkich elektronicznych ulepszeń, implantów pozwalających na komunikację z dowolnego miejsca, czysto ludzki, organiczny

składnik władzy, chwiejny, podatny na korupcję, zależny od złego czy dobrego dnia, był – zdaniem Koeniga – skazany na zanik, z wyjątkiem wykonywania tradycyjnych obowiązków...

Takich jak uczestnictwo w otwarciu zalanego niegdyś miasta.

Koenig chciał zrezygnować, ale Marcus przekonał go, mówiąc o tłumach i Verdun. Zwycięstwo w Europie wyglądało na ostateczny triumf nad Konfederacją. W całej Ameryce rozpoczęło się już świętowanie. I nie tylko tam. Także w Europie, gdzie wojna domowa stała się bardzo niepopularna. Ruch Światła Gwiazd od kilku miesięcy dążył do pokoju.

– Czy nadal dysponujemy elektroniczną obecnością Constantine’a d’Angelo? Pamiętam, że był bardzo popularny w Genewie.

– Owszem. Mamy także dziesięciopiętrowy ekran postawiony na Mall.

– Czemu więc ja nie mogę pojawić się w taki sam sposób?

Whitney wzruszył ramionami.

– Jeśli bardzo pan chce, to byłoby możliwe. Ale ludzie oczekują pana fizycznej obecności, to dla nich więcej niż dziesięć pięter wysokości.

Oczywiście, „drobna” różnica pomiędzy prezydentem Stanów Zjednoczonych a liderem Światła Gwiazd polegała na tym, że Constantine d’Angelo nigdy nie istniał w rzeczywistości. Był elektronicznym awatarem stworzonym przez Konstantina.

Większość ludzi posiadających implanty miała swojego e-sekretarza, kieszonkową AI, która mogła zastępować ich w takich sprawach jak odbieranie telefonu, prowadzenie rutynowych spotkań biznesowych, a przy tym pozostawać całkowicie niemożliwą do rozróżnienia od swojego ludzkiego odpowiednika. Ci biznesowi zastępcy zwani byli asystentami osobistymi albo awatarami i istnieli tylko w formie elektronicznej jako obrazy i głosy, bit po bicie budowane przez generujące je AI.

„Constantine d’Angelo” niczym się od nich nie różnił, z wyjątkiem tego, że udawał prawdziwego człowieka. Wywiad przygotował bardzo szczegółową i całkowicie fikcyjną „legendę”,

uwzględniającą wspomnienia ludzi, którzy fizycznie spotkali d'Angela, rozmawiali z nim. Jego rodzice, skromni, unikający rozgłosu ludzie, nadal żyli i pracowali gdzieś na farmie doświadczalnej w Pasie Kuipera.

Na gigantycznym ekranie na Place d' Lumiere pojawił się d'Angelo, wygłaszający płomienne przemówienie potępiające zbrodnie wojenne Konfederacji. Koenig wiedział, że to przemówienie powstało jako wynik użycia technik rekombinowanych memów i miało na celu przygotowanie ludzi na wiadomości o ataku w Verdun i aresztowaniu bądź śmierci Korosiego, Denoix i ich współpracowników. Ruch Światła Gwiazd dysponował siłą, niepodważalnym autorytetem moralnym i nikt, poza najściślejszym gronem współpracowników prezydenta USNA, nie zdawał sobie sprawy, że to wszystko jest sterowane elektronicznie.

– Potrzebuję fizycznego awatara – powiedział w końcu Koenig – a nie tylko swojej elektronicznej wersji.

– Fizycznego awatara... – zamyślił się Whitney. – Czegoś w rodzaju turystbota?

– W zasadzie...

– Istnieją całkiem dobre RT, sir. – Skrót oznaczał „robota teleoperacyjnego”, czyli manekina, który mógł być sterowany przez człowieka z bardzo dużej odległości.

– To nie będzie konieczne, Marcus.

– Ale, sir, mamy doppleboty. Przygotowanie jednego pod pana...

– Nie, Marcus. Żartowałem.

Koenig wiedział, że niektóre postacie publiczne, szczególnie aktorzy grający w symulacjach erotycznych, posiadały roboty niemożliwe do odróżnienia od ludzkich pierwowzorów. Byli także ludzie, którzy używali takich robotów do odbywania podróży w nieprzyjazne dla człowieka miejsca. Zawsze uważał pomysł robotycznej obecności za śmieszny i... świadczący o braku kultury. Pojawianie się w postaci robota, podczas gdy ludzie mieli wrażenie, że kontaktują się z fizyczną osobą, było jego zdaniem wprowadzaniem w błąd i nadużyciem zaufania.

Nie słyszał jednak o przypadku, by robot został zdemaskowany.

Westchnął.

– Kiedy mam tam być?

– O dwunastej trzydzieści, sir. O pierwszej zaczyna się program. Wahadłowiec będzie o dwunastej dziesięć, lot zajmie nam dwadzieścia minut.

Tunel kolei magnetograwitacyjnej łączący Toronto z Waszyngtonem jeszcze nie działał.

– W porządku, zobaczmy, co możemy zrobić do tego czasu. – Ponownie zagłębił się w informacjach. – Powiedz mi coś o „upadku w Genewie”.

– Tłumy wyznawców Światła Gwiazd dziś rano zaatakowały biura Senatu Konfederacji – odpowiedział doradca. – Policja dołączyła do nich. Nastąpiło całkowite załamanie porządku publicznego.

W Szwajcarii? Praworządnej, czystej Szwajcarii? To brzmiało jak największe bluźnierstwo.

USNS/HGF „Concord”

W trakcie pościgu

Godzina 7.45 TFT

Do momentu, gdy „Concord” zbliży się do obcych na odległość kilkuset kilometrów, Dahlquist miał do rozwiązania poważny problem.

Nie chodziło o zdradę Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, absolutnie nie. Był na bieżąco z wiadomościami w czasie, gdy „Concord” znajdował się przy Weście, i doskonale wiedział, że wojna domowa się skończyła. Upadły ostatnie twierdze Konfederacji, jej przywódcy zostali aresztowani, a budynki rządu wpadły w ręce fanatyków religijnych. Gdyby zajął Charlie Jeden w imieniu Konfederacji, a ta myśl wcześniej świtowała mu w głowie, komu miałyby przekazać okręt?

Tak czy inaczej, pozostał lojalny wobec USNA. Chodziło o tego

pryma, Piachu Graya, którego nie lubił i chciał poniżyć w dowolny sposób. Ten facet nie powinien być zostać awansowany na stopień flagowy tak szybko, nie powinien awansować powyżej porucznika. W opinii komandora prymitywi nigdy nie osiągnęli takiej sprawności w posługiwaniu się technologią implantów mózgowych jak ludzie, którzy posiadali je od urodzenia. Mogli służyć w siłach zbrojnych, ale najlepiej jako podoficerowie.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale była to reminiscencja poglądu istniejącego już w starych Stanach Zjednoczonych, imperium brytyjskim, a nawet jeszcze wcześniej, a utrzymującego, że aby zostać oficerem, należy ukończyć studia. To zaś w prostej linii wywodziło się z feudalizmu, gdzie tylko posiadacze ziemscy, szlachta, mogli pozwolić sobie na zbroję i konia, zaś pozostali służyli jako piechota.

Przy założeniu, że tylko zamożni mogli pozwolić sobie na edukację, a ta niezbędna była do nauki historii, taktyki i stworzenia przysłowiowego „oficera i dżentelmena”, otrzymywało się system, który sprawdzał się doskonale przez ponad dwa tysiące lat.

Istniały oczywiście wyjątki. Zawsze były czarne konie, które wyskakiwały przed szereg, uzyskiwały awanse na polu bitwy, podoficerowie, którzy nagle okazywali się najstarszymi stopniem i wiedli ludzi do boju. W opinii Dahlquista to nie miało znaczenia. Na współczesnym teatrze wojny niezbędna była całkowita jedność człowieka i maszyny, równowaga ludzkiego umysłu i AI, mieszanina komputerowej szybkości z intuicją i inicjatywą człowieka.

A admirał prym najzwyczajniej tu nie pasował.

AI „Concorda” tworzyła już obraz okrętu obcych. Trzy holowniki ratownicze z „Ameryki” przybyły na miejsce, podłączyły do okrętu niezwykle mocne liny i hamowały jednostkę. Ubezpieczyły je cztery myśliwce z lotniskowca. Słońce było małą gwiazdą oddaloną obecnie o pięć godzin świetlnych.

Dwa okręty wojenne USNA, fregata i niszczyciel, znajdowały się pół godziny lotu od punktu spotkania. „Concord” przybył tam przed nimi tylko dzięki niezwykłym zdolnościom manewrowym

kutrów Straży Kosmicznej. To samo odnosiło się do trzech UTW-90 SAR. Zarówno kuter, jak i holowniki zaprojektowane zostały do przechwytywania okrętów i obiektów poruszających się bardzo szybko w przestrzeni.

Załogę każdego holownika stanowiło pięć osób pod dowództwem porucznika lub komandora porucznika. Dahlquist był więc najstarszym stopniem oficerem na miejscu.

*Okazja sama pcha się w ręce* – pomyślał.

– Proszę otworzyć mi kanał do prowadzącego holownika – nakazał swojemu oficerowi łączności.

– Komandor porucznik Mitchell na linii, sir.

– Komandor Mitchell? – powiedział. – Tu komandor Terrance Dahlquist z okrętu Straży Kosmicznej „Concord”. Manewruję w celu wejścia na pokład obcego.

– „Concord” – rozległ się w jego głowie głos – tu „Łapacz”. Nie ma zgody na wejście, powtarzam, brak zgody na wejście. Mamy wyraźny rozkaz, aby nie wchodzić na pokład, pod żadnym pozorem, aż do przybycia „Ameryki”.

– Zmieniam ten rozkaz, „Łapacz”. Kontynuować zwalnianie. Wchodzimy z tego miejsca.

Okręt obcych zaczął szybko rosnać na wyświetlaczu w głowie Dahlquista.

– Wycofaj się, „Concord”! Wycofaj się!

– Odmawiam – odparł komandor. – Wchodzimy!

W tym momencie sprawy przyjęły błyskawiczny obrót.



# Rozdział szósty

**29 czerwca 2425**

USNS/HGF „Concord”, Charlie Jeden

Godzina 7.50 TFT

„Concord” zbliżył się na odległość stu metrów do obcego, gdy nagle gładki, szarzielony kadłub... zmienił się.

– Ognia! – wrzasnął Dahlquist. – Wszystkie systemy uzbrojenia... ognia!

Była to reakcja wynikająca z paniki. Uzbrojenie kutra składało się z laserów, miotaczy strumieni cząsteczek i rakiet, te ostatnie zaopatrzone w głowice nuklearne o zmiennym ładunku. Wystrzelenie rakiet z takiej odległości równało się zniszczeniu okrętu Straży Kosmicznej.

Komenda została pominięta, zarówno przez AI okrętu, jak i przez porucznika Jeffreya Thomasa, oficera uzbrojenia „Concorda”. Jednak broń strumieniowa wypaliła ze śmiertelnym, wydawać by się mogło, skutkiem. Część kadłuba okrętu obcych roztopiła się, rozplynęła na boki jak gęsty syrop.

– Kapitanie – krzyknął oficer przy sterze – straciliśmy kontrolę!

– Cholera! Co się dzieje?

– Wciąga nas do środka tego czegoś!

„Concord” dryfował naprzód, by w końcu zatrzymać się w jakiejś płynnej substancji. Ciecz oblała okręt niczym zamykający się kwiat i „Concorda” zalała ciemność.

Kuter znieruchomiał.

– Zniknęli! – krzyknęła Connor w sieci taktycznej eskadry. – To coś po prostu wpierdoliło „Concorda”!

Czuła przypływ paniki, mrozącego, rozedrganego, pustego uczucia, wywołującego słabość i dygotanie. Doskonale pamiętała, jak siedem miesięcy wcześniej jej myśliwiec został wchłonięty przez okręt Slan przy 36 Ophiuchi A III.

Cholera, myślała, że ma to już za sobą. Psychologowie przeanalizowali jej wspomnienia i tam, gdzie było to możliwe, złagodzili je, oddzielając emocje od faktów.

– Spokojnie, Piątka – powiedział Mackey.

– Ale co my zrobimy?

– Wycofaj się, Connor! To po pierwsze!

Dziewczyna wzięła kilka głębokich oddechów, usiłując zapanować nad sobą i swoim strachem. Sesje z psychologami nauczyły ją, jak uruchamiać określone obwody w implancie mózgowym.

A potworni obcy przecież jej nie gonili...

– Już... w porządku – zdołała powiedzieć.

– To dobrze. Wszystkie myśliwce, wycofywać się, łagodnie i wolno. Żadnych ruchów, które mogłyby zostać odczytane jako wrogie.

– Może być na to za późno, szefie, nie sądzi pan? – zauważył porucznik Gerald Ruxton. – „Concord” wypalił do nich ze wszystkich luf. Z całą pewnością obcy uważają nas za wrogów.

– Dopóki do nas nie strzelają – odparł Mackey – uważam, że nie jest źle.

– Jak dotąd nic nie zrobili – stwierdził Martinez.

– Z wyjątkiem połknięcia „Concorda” – dodała Connor.

– No cóż – powiedział Mackey – kapitan „Concorda” wspominał o wejściu na pokład obcych. Wygląda na to, że zrobił dokładnie

to, co planował. Wszyscy wyluzujcie. I zwiększcie dystans. Wycofujemy się na kilkaset kilometrów. Wolniutko...

Zdaniem Connor to był dość istotny problem. Czy to, co się wydarzyło, należało odczytywać jako atak, czy też próbę pokojowego pierwszego kontaktu? W tym momencie nie mogli tego stwierdzić.

Cztery starblade'y oddalały się od ogromnego okrętu, który powrócił już do poprzedniego stanu. Znowu wyglądał jak monolit.

– To co robimy, skipper? – chciał wiedzieć Ruxton.

– Meldujemy „Ameryce” i czekamy – odparł komandor.

Mall

Waszyngton DC

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 13.15 EST

– Ludzie, którzy założyli to miasto – mówił Koenig, zwracając się do tłumów wypełniających całe Mall i wylewających się na ulice – ludzie, którzy uczynili je siedzibą rządu, nie mogliby wyobrazić sobie społeczności, która dziś je odbudowuje. Ludzie ci podróżowali tutaj tygodniami, a budynki, które widzicie, wznosili, stawiając po kolei kamień na kamieniu, bez użycia jakiegokolwiek nanotechnologii. Życie ludzkie trwało, przy dużej dozie szczęścia, pięć do sześciu dekad i kończyło się w bólu lub przemocy. Po lądach poruszano się konno lub na piechotę. Podróże morskie wymagały siły wiatru. Latanie? Niemożliwe. Obywatelami, którzy mogli głosować, byli wyłącznie biali mężczyźni, właściciele ziemscy. A przecież rząd, który został przez nich ustanowiony, mimo wszystkich swych niedociągnięć, był w stanie dostrzec prawdę płynącą z demokracji. To właśnie sprawiło, że w ciągu kilku dekad stał się on rządem „ludzi dla ludzi”. Instrumenty, które stworzono, Konstytucja Stanów Zjednoczonych oraz Karta Praw, stały się doskonałym przykładem tego, jak powinien działać rząd, rząd, którego

władza wypływa bezpośrednio od rządzonych, rząd posiadający wiele gałęzi, będących we wzajemnej równowadze, wzajemnie się kontrolujących, będących barykadą dla tyranii, niesprawiedliwości i żądnych władzy pseudoelit.

Koenig stał wewnątrz ogromnego plastikowego bąbla, w którym znajdowała się scena, widoczny z każdego miejsca placu. Obok siedzieli inni mówcy. Wysoki na dziesięć pięter ekran znajdował się za jego plecami i prezydent cieszył się, że nie może się zobaczyć. Było coś niepokojącego w oglądaniu siebie samego jako monumentalnego obrazu górującego nad tłumem nawet dla kogoś, kto kiedyś był pilotem myśliwca, a następnie zbudował polityczną karierę, opierając się na wierze w samego siebie.

– Ludzie, którzy zbudowali to miasto – kontynuował – i utworzyli rząd, nie byli idealni. Ale ich dzieło sprzed sześciu stuleci pozostaje do dziś ikoną inteligencji, logicznego myślenia, umiejętności przewidywania. Ikoną, która nie ma sobie równych.

Stojąc na podium, Koenig śledził tekst przemówienia przewijający się na wewnętrznym wyświetlaczu. Tak naprawdę nie bardzo go potrzebował. Pomagał Frankowi Carraglio tworzyć to przemówienie i było ono rzeczywiście dobre, a przede wszystkim Koenig w nie wierzył. To samo mógł powiedzieć z głębi serca.

Zastanawiał się jednak, jak jest przyjmowane przez tłum, oceniany przez AI na cztery miliony, oraz przez kolejne pół miliarda ludzi oglądających wydarzenie za pomocą środków masowego przekazu.

Wolał o tym nie myśleć.

– To tym ludziom, ich wizji i ich wizjom ludzkości, należy zadedykować powtórne oddanie tego miasta, wyrwanego ostatnio morzu...

W momencie, gdy to mówił, w jego głowie rozległ się alarm, a na wyświetlaczu pojawił się tekst informacji od Marcusa:

„»Concord« próbował nawiązać kontakt z obcymi. Zniknął we wnętrzu okrętu. Brak dalszych informacji”.

*Kurwa! Co się tam, do cholery, dzieje? Co sobie myślał Dahlquist,*

*podchodząc bez wsparcia? Idiota!*

– To... hmm... przepraszam. Błędem rządu było opuszczenie Peryferii. – *Skończ przemówienie, później zajmiesz się bieżącą sytuacją!* – Błędem było zakładanie, że po zalaniu miast przez morze nikt w nich nie pozostał.

Oczywiście, że trzeba było dokończyć przemówienie. W zaistniałej sytuacji nie mógł zrobić nic innego. Konfrontacja z obcymi miała miejsce w odległości ponad pięciu godzin świetlnych. „Ameryka” i jej eskorta były o wiele bliżej niż on.

Z drugiej jednak strony Koenig żałował, że nie siedzi w tym momencie w swoim gabinecie. Jego sztab mógł informować go na bieżąco, ale w gabinecie miał przynajmniej wrażenie, że jest w stanie na cokolwiek wpłynąć. Była to oczywiście czysta iluzja. Lata dowodzenia lotniskowcem, a potem całą grupą bojową nauczyły go, że decyzje podejmowane w zaciszu dowództw i sztabów niewiele przynosiły pożytku. Można było nakreślić ogólny kierunek, jednak mikromenadżment na dłuższą metę okazywał się zabójczy dla wykonywanego zadania.

To osoba dowodząca na miejscu rozdawała karty.

W czasie swojej służby Koenig uważał, że tak być powinno. Po odwróceniu ról nie był już tego taki pewien.

– Z drugiej strony – kontynuował – technologia dała nam szansę naprawienia tego starego błędu, odebrania tego, co nasze, i wniesienia czegoś nowego.

Jeśli sprawy potoczą się źle z powodu błędów i samowoli młodego oficera Straży Kosmicznej, Koenig miał zamiar obedrzyć szczeniaka żywcem ze skóry, gdy tylko powróci on na Ziemię.

Jeśli powróci.

Prezydent sam przed sobą jednak przyznał, że jego przemowa podkreślała kluczową rolę zaawansowanej technologii, a w najbliższym czasie także jej rozwoju dla przetrwania rasy ludzkiej. Główną różnicą pomiędzy USNA a Konfederacją Ziemią był stosunek do tego, czy ludzie powinni zaakceptować ograniczenia nakładane przez ultimatum Sh'daar na rozwój technologiczny. Bez nanotechnologii, zakazywanej w ultimatum, Waszyngton nadal pozostawałby bagnem. Nowe budynki

powstały tylko dzięki nano, ale co ważniejsze – dzięki tej technologii powstały również nowe śluzy i zapory wodne, a także naprawiona została zapora Verrazano-Narrows na południe od Ruin Manhattanu.

Okazało się jednak, że trudniej było zintegrować mieszkańców Peryferii z resztą społeczeństwa, niż osuszyć zalane tereny. Ten problem zapowiadał się jeszcze na kilka dekad. Prymowie nadal odrzucali współczesną technologię, nie mając zaufania do rządu, który opuścił ich dawno temu, zaś wielu mieszkańców USNA uważało prymów za podludzi. To właśnie Koenig miał nadzieję zmienić, poczynając od tego przemówienia. Choć z niechęcią to przyznawał i bardzo chciał być ponownie na swoim stanowisku dowodzenia, był coraz bardziej zadowolony z tego, że przybył tu osobiście.

– Waszyngton – mówił dalej – założony został jako stolica nowego kraju, kraju należącego do narodu niosącego światu filozofię głoszącą, że między ludźmi nie powinno być różnic...

*Co oczywiście zawsze było tylko iluzją* – pomyślał. W tamtych czasach kobiety były obywatelami drugiej kategorii, ludzie posiadali niewolników, a bogacze tworzyli rodzaj arystokracji. Dziś poziom zaawansowania technicznego był wyznacznikiem prosperity, a ci, którzy mieli mniejszy dostęp do technologii, tworzyli społeczne niziny.

Prawo, rozkaz, czy nawet całe wybudowane na nowo miasto nie były w stanie zmienić ludzkiej natury.

Także to miasto tonęło już niegdyś w brudach, bardziej niż w wodach Potomaku. Ludzie, którzy władali stolicą i krajem, pałali żądzą władzy, dawali się korumpować, byli idiotami, chciwcami chcącymi wzbogacić się na wszelkie sposoby, nie zawsze legalne. Prezydenci byli upokarzani, odwoływani, a nawet mordowani, kongresmeni ignorowali prawo, sędziowie dokonywali własnej interpretacji konstytucji. Historię tego miasta wypełniał mrok i moralne bagno.

Koenig często zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby zostawić je w takim stanie, w jakim było – zalane, pokryte błotem, pochłaniane przez mangrowcowe bagna i wszechobecne kudzu.

A jednak pojawił się pomysł odbudowy miasta, mimo wszystko.

To przemówienie było wyrazem nadziei prezydenta, że ważny jest symbol, a nie fakty z historii.

Tak więc kontynuował. Mówił więcej o tych symbolach, o ideałach i nadziejach, jakie Stany Zjednoczone zawsze reprezentowały, a które on, być może w swojej naiwności, wciąż uważał za żywe. W trakcie mówienia wodził wzrokiem po pozostałych mówcach, znajdujących się na podium. Skrzyżował spojrzenia z młodą kobietą i puścił do niej oko. Nazywała się Shay Ashton i kiedyś była pilotem myśliwca na „Ameryce”. Miała wspaniałą kartę bojową i doskonale ją z tych czasów pamiętał. Po opuszczeniu Marynarki wróciła do swojego domu w DC, by w końcu stanąć na czele powołanych ad hoc sił, broniących miasta przed atakiem Konfederatów. Szkielet wraku konfederackiego transportowca „Jotun”, który zniszczyła, nadal widoczny był na północy, nad Georgetown.

A niedługo później poproszona została o wzięcie udziału w wirtualnym ataku, podczas którego jej mózg był nosicielem programu komputerowego zaszczepiającego w sieci informatycznej Genewy wirusa Światła Gwiazd. Shay Ashton była, bardziej niż ktokolwiek w tym kraju, twórcą zwycięstwa USNA.

Niestety, jej wkład w zakończenie wojny musiał na zawsze pozostać utajniony. Gdyby szczegóły ujrzały światło dzienne, bez wątpienia wizerunek Stanów Zjednoczonych na świecie ległby w gruzach.

W uznaniu zasług przy obronie Waszyngtonu Shay poproszona została o pełnienie funkcji gubernatora miasta do czasu przeprowadzenia normalnych wyborów. Dlatego właśnie znalazła się dziś na scenie.

Koenig zastanawiał się, czy chciała odegrać jakąś większą rolę.

– Mam więc ogromny zaszczyt i przyjemność ogłosić odrodzenie tego miasta jako stolicy naszego kraju!



„Ameryka” dotarła wreszcie do obcego okrętu. Manewry wyrównujące prędkości z Charlie Jeden trwały godziny. Teraz jednak lotniskowiec wraz z eskortą poruszał się równolegle do obcych. Mała flotylla ponownie przyspieszała, tym razem w stronę odległego Słońca. Myśliwce „Ameryki” podjęte zostały na pokład, a trzy holowniki zapewniały napęd dla Charlie.

Nie było żadnych informacji ani z okrętu, ani z „Concorda”. A Gray po raz kolejny w swojej karierze stanął przed problemem Pierwszego Kontakt.

Pomijając oczywiście fakt, że to nie była sytuacja Pierwszego Kontakt. Charlie Jeden wystrzelony został z Północnych Indii, gdzie prawdopodobnie jego załoga lub pasażerowie spotkali się z rządem Konfederacji, byłej Konfederacji.

Gray żałował, że nie ma z nim na pokładzie żadnej Agletsch, a szczególnie Gru'mulkisch i Dra'ethde. Po raz pierwszy spotkał tę parę dwadzieścia lat wcześniej, często i owocnie współpracowała ona z admirałem Koenigiem. Obie Pajęczyce były ekspertkami w dziedzinie emocji i punktów widzenia obcych cywilizacji. Choć AI „Ameryki” miała załadowane wiele dialektów Agletsch, to ich fizyczna obecność byłaby bardzo pomocna. Słownictwo i gramatyka to jedno, jednak ton, mowa ciała i inne subtelności są czymś zgoła odmiennym.

– Łączność? – spytał Gray. – Cokolwiek?

– Żadnej odpowiedzi na nasze transmisje, panie admirale – odpowiedział porucznik Cramer. – Na żadnej długości fali.

Mogło to znaczyć, że obcy ignorowali „Amerykę”. Mogło to oznaczać również, że Charlie Jeden został uszkodzony. A najbardziej prawdopodobna była wersja opierająca się na zbyt wielkich różnicach technologicznych.

– Marines – wydał polecenie admirał – naprzód!

– Aye, aye, sir – odezwał się głos w jego głowie. – Grupa abordażowa numer jeden startuje.

W oknie, które pojawiło się na jego wyświetlaczu wewnętrznym, Gray zobaczył szary, sferyczny kształt lądownika, wyłaniający się z kanału startowego „Ameryki” i kierujący się w stronę ogromnego, obcego obiektu.

Jak każdy okręt główny, „Ameryka” miała na pokładzie kompanię marines, częściowo po to, by zapewnić bezpieczeństwo okrętu, a częściowo do przeprowadzania operacji takich jak ta. Zadaniem grupy abordażowej było wprowadzenie na pokład obcej jednostki zespołu bojowego lub grupy specjalistów. Najczęściej jednostka taka uważana była za wroga, marines używali więc do zabezpieczenia wejścia robota PiKo.

Oczywiście przy założeniu, że obcy na to pozwolą. Gray widział nagrania wykonane przez myśliwce, ukazujące wchłonięcie „Concorda”. Obcy posiadali zdumiewające zdolności panowania nad materiałem kadłuba, a co za tym idzie, marines będą mogli dostać się do wnętrza tylko wtedy, jeśli załoga okrętu pozwoli im na to.

Gray długo rozmawiał z dowódcą grupy marines, porucznikiem Menocherem. Oglądali nagrania i dyskutowali nad opcjami, szczególnie skupiając się na tym, co robić, gdyby obcy nie chcieli współpracować.

Admirał miał cichą nadzieję, że żadnej z tych opcji nie trzeba będzie wdrażać.

Grupa abordażowa numer jeden

Charlie Jeden

Godzina 14.52 TFT

Lotniskowiec przesunął się w stronę rufy, by zrobić nieco miejsca wystrzelonemu lądownikowi. W jego wnętrzu porucznik Menocher siedział przypięty do fotela szefa. Towarzyszyło mu

czterdziestu marines z pierwszego plutonu. Ciasnotę wnętrza pogłębiał przewożony ładunek, telebot PiKo Klaatu.

Menoher spojrział na robota, który siedział przypięty obok niego. Wyglądał jak człowiek. W zasadzie, biorąc pod uwagę fakt, że marines nosili kombinezony bojowe, Klaatu najbardziej ze wszystkich obecnych przypominał człowieka, jako że nie potrzebował martwić się o oddychanie, temperaturę, promieniowanie i mógł funkcjonować bez ubioru ochronnego.

Sierżant Aquilar zauważył spojrzenie porucznika i otworzył prywatny kanał.

– Panie poruczniku, o co chodzi z tą nazwą bota? To coś z języka Agletsch?

– Nie, to nazwa obcych z fikcyjnej, bardzo starej symulacji. Większość botów PiKo nosi takie nazwy: Exeter, Threepio, Gallaxhar, Mac...

– Nie łapię tego, sir.

– Przekaz mniej więcej ma brzmieć „przybywam w pokoju”. Pierwsze dwa roboty nazywały się Buzz i Neil.

– To też z symulacji?

– Nie. Buzz Aldrin i Neil Armstrong, pierwsi ludzie na Księżycu. Nie znasz historii? „Przybywamy w pokoju w imieniu całej rasy ludzkiej...”

– Ach tak. Historia starożytna.

Menoher pokręcił głową. Gest został zamaskowany przez hełm. Za każdym razem dziwiło go, jak niewiele ludzie wiedzą o własnej kulturze i historii.

– Piętnaście sekund, poruczniku.

Głos należał do AI pilotującej lądownik, dość prostego programu wspomaganego przez pilota Marynarki, który w nieprzewidzianych sytuacjach mógł przejąć kontrolę.

– Dotychczas nie zanotowano wrogich intencji.

– Uwaga, marines! Kontakt za dziesięć sekund!

Przed nimi nie widać było nic oprócz gładkiej zielonoszarej powierzchni. Menoher spodziewał się, że kadłub rozdzieli się i pochłonie ich jak jednostkę Straży Kosmicznej, ale nic takiego nie nastąpiło. Trzeba było zrobić to siłowo.

Lądownik dobił z lekkim szarpnięciem. Kołnierz dokujący uruchomił się automatycznie. Zaopatrzone go w pierścień załadowany nanodisasemblarami. Mikroskopijne nanomaszyny zaczęły przegryzać się przez zewnętrzną warstwę kadłuba.

Minęło kilka sekund oczekiwania na efekt.

– Mamy problem, sir – powiedział marynarz za sterem. – Kadłub celu stawia opór.

– Cholera! Użyj laserów. Wypal wejście!

– Aye, aye, sir!

Nanodisasemblery działały, rozdzielając cząsteczki na pojedyncze atomy. Najtwardsze pancerze pod ich wpływem stawały się gorącą chmurą atomów węgla, glinu, żelaza. Najlepszą obroną przed nano-D były inne nanodrony, zaprogramowane do odbudowy tego, co zostało zniszczone. Nanoatak i obrona zachodziły w bardzo krótkim czasie, podczas którego miały miejsce miliardy rozkładów i odbudowań.

Technologia Charlie Jeden była jak dotąd nieznana, jednak sztuczka z otwierającym się kadłubem dowodziła, że nanotechnologia jest dla obcych chlebem powszednim. Myśliwce takie jak Starblade czy Velociraptor były w stanie zmieniać kształt kadłuba, Charlie Jeden posiadał te same zdolności, jednak na dużo większą skalę. Strzelając z laserów kołnierza dokującego, Menocher po prostu kontynuował atak w nieco mniej wyszukany sposób, zamieniając jedynie rozkład cząsteczek przez nano-D na wypalenie dziury przez promień lasera.

– Sir! Obcy się otwierają!

Ściana rozplynęła się jak woda, choć przy samym kołnierzu zachowała stan stały. W głowie porucznika pojawiły wyniki próbkowania atmosfery przez AI: próżnia. Śluza wydawała się prowadzić do jakiegoś rodzaju komory.

– Wypuścić powietrze z lądownika! – krzyknął dowódca. – Uwaga, marines! Naprzód!

Prowadzący zespół ogniowy precyzyjnie przeszedł się przez przejście, lądując ciężko po drugiej stronie.

– Co jest, kurwa? – zdziwił się kapral Barnett. – Sir, tu jest grawitacja.

Grawitacja na okrętach ludzi była tak właściwie siłą odśrodkową powstającą w modułach obrotowych. Wiadomo było, że niektóre cywilizacje obcych potrafiły wytwarzać pole grawitacyjne, ale nikt nie wiedział, na jakiej zasadzie działało. Osobliwości napędzające ludzkie okręty czyniły to dzięki manipulacjom grawitacyjnym przestrzeni, ale jak ten sam efekt osiągnano wewnątrz kadłuba, wciąż pozostawało tajemnicą.

– Z jak wysoka spadliście, Barnett?

– Cztery, pięć metrów, sir.

– Wszyscy cali?

– Tajes! Marines to twardziele.

*Pewnie, że jesteśmy twardzi. No dobrze – kombinezony także nam pomagają.*

– Wszyscy uważać, po czym chodźcie! – nakazał porucznik. Inni marines zaczęli przeciskać się przez otwór, poruszając się ostrożnie, by uniknąć upadku. Używali przy tym niewielkich dysz manewrowych, w które zaopatrzone były kombinezony.

– O, w mordę! Widzi pan to, poruczniku?

Menoher podłączył się do nahełmowej kamery Barnetta. Komora okazała się tak wielka, że jej sufit był niewidoczny. Dokładnie na wprost znajdował się „Concord”, okręt długości trzystu metrów, który w ogromnej pustej przestrzeni wyglądał jak zabawka.

Tyle że przestrzeń nie była całkowicie pusta. Błyszczące, srebrne cygaro, dwukrotnie dłuższe od kutra Straży Kosmicznej, wisiało nad nim, jak gdyby trzymając go w jakiegoś rodzaju okowach.

A bliżej wyraźnie widać było obcych zbliżających się do służby wejściowej.

# Rozdział siódmy

**29 czerwca 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Zewnętrzne rejony Układu Słonecznego

Godzina 14.58 TFT

Piachu Gray podłączony był do strumienia danych płynącego od grupy abordażowej, otrzymując transmisję od porucznika Menochera, czyli mając możliwość widzieć także to, co widzieli poszczególni marines. Zobaczył właśnie jednego z obcych i zwrócił się do AI „Ameryki”:

– Cholera, mamy w pamięci coś takiego?

Poczuł negatywną odpowiedź systemu. Choć komputer pokładowy mógł rozmawiać z nim po angielsku, najczęściej przesyłał wrażenia lub odczucia, co sprawiało, że dowódca traktował AI jako część własnego umysłu. Oszczędzało to czas i ograniczało możliwość nieporozumienia.

– Panie admirale? – rozległ się głos doktora Truitta. – To nie może być organiczne. Myślę, że patrzymy na roboty.

George Truitt był cywilem zatrudnionym jako szef wydziału ksenosofontologii „Ameryki”, czyli zespołu ludzi odpowiedzialnych za zbieranie danych na temat biologii, kultury i technologii obcych ras.

Gray przybliżył obraz. Jeden z dwunastu widocznych obecnie w rozległej przestrzeni obcych przypominał zwężone u podstawy i szczytu cygaro i wydawał się lewitować kilka centymetrów nad pokładem. Z opalizującego korpusu sterczały różnej długości czułki i macki. Gray dostrzegł także kilkoro oczu, zadziwiająco

podobnych do ludzkich, rozmieszczonych w przypadkowy sposób na całym korpusie.

– Co sprawia, że tak pan uważa, doktorze? – zapytał. – Kolor? Może być cyborgiem. A może to być także jego naturalny pigment.

– Każdy z nich jest niepowtarzalny, admirale – odparł Truitt. – Umieszczenie czuików, macek i oczu. Różnią się od siebie.

Gray przyjrzał się kilku kolejnym „cygarom”.

– Twierdzi pan, że są wytwarzane jednostkowo, a nie w produkcji masowej?

– Produkcja masowa to pozostałość po najwcześniejszym okresie rewolucji przemysłowej – powiedział doktor. – Kiedy wejdzie się na poziom nanotechnologii, można wytwarzać maszyny pojedynczo, zgodnie ze specyfikacją.

Grayowi interesującym wydało się to, że ludzie, włączając w to jego samego, nadal produkowali trudną do odróżnienia broń, roboty, pomimo rewolucji nano. Większość, zdaniem Graya, cały czas nosiła zaszczerpiony gdzieś głęboko obraz identycznych maszyn bojowych.

Fakt, że postaci zawieszono nad pokładem, oczywiście nic nie znaczył. H'rulka byli o wiele więksi, a także unosili się w atmosferze. Lewitacja najprawdopodobniej była wynikiem jakiejś nieznannej sztuczki technicznej z polem grawitacyjnym.

A jednak...

– Te oczy wyglądają na organiczne – nalegał Gray.

– Rzeczywiście. Tyle że to nic nie znaczy, sir.

Faktycznie, nie znaczyło. Kolejnym aspektem rewolucji nano była możliwość tworzenia maszyn biologicznych, tak samo jak tradycyjnych, i wykorzystywania ich w większych strukturach. Większość ludzi nosiła w głowach nanotechnologicznie wyhodowane implanty. Działanie w drugą stronę, czyli wszczepianie bioorganów maszynom, było też możliwe. Robot PiKo, towarzyszący marines, stanowił najlepszy przykład ze swoim plastikowym ciałem i oczami, które od organicznych odróżnić można było tylko przy wnikliwym badaniu.

Oczywiście prawdziwe organiczne oczy zostałyby całkowicie

wysuszone w próżni w ciągu kilku sekund. Truitt mógł więc mieć rację.

Gray otworzył kanał do porucznika Menochera.

– Sugeruję wysłanie robota PiKo, poruczniku.

– O tym samym właśnie myślałem, panie admirale. Jones! Dawaj tu tego robota!

Z lądownika wyłoniła się maszyna, lekko zeskakując na pokład okrętu obcych. Poruszając się obok ciężko uzbrojonych i opancerzonych marines, wyglądała nago i bezbronne.

Gray przełączył się do robota, kierowanego przez technika marines z lądownika.

– Chce pan przejąć kontrolę nad nim, sir? – zabrzmiał w głowie admirała głos technika.

– Nie. Przekażcie go komuś z wydziału doktora Truitta.

– Aye, aye, sir.

Pomimo posiadania AI pozwalającej Klaatu na autonomię jego prawdziwą zaletą była możliwość służenia jako zdalnie sterowane ciało i ruchomy punkt obserwacyjny.

Gray oczyma robota widział, jak unoszą się jego ręce, ukazując wnętrza pustych dłoni.

Przybywamy w pokoju...

Gray sprawdził, że film, z którego pochodziło imię „Klaatu”, powstał około pięciu wieków wcześniej<sup>[3]</sup>. Postać była w rzeczywistości organiczna, a towarzyszył jej robot o imieniu Gort, który był w stanie zniszczyć Ziemię.

W starym filmie Gort nie wypowiedział ani jednego słowa, to Klaatu sugerował pokojowe zamiary.

Współczesna technologia bardzo zatarła wyraźne niegdyś granice pomiędzy światem organicznym i nieorganicznym, pomiędzy istotami żywymi i maszynami. Wielu uważało, że sprzeciw Sh'daar odnoszący się do rozwoju technologii GRIN miał więcej wspólnego właśnie z tym zanikaniem niż teoretyczną osobliwością technologiczną. Niektórzy uważali nawet, że Sh'daar kierowali się bardziej motywami religijnymi niż praktycznymi.

Gray w to wątpił. Był tam, poza Galaktyką, ponad osiemset



milionów lat wcześniej, gdy Grupa Bojowa „Ameryka” rzeczywiście spotkała się ze Sh'daar, tymi starożytnymi, i był świadkiem transcendencji ich przodków, ur-Sh'daar, katastroficznej metamorfozy, zwanej przez Agletsch *Schjaa Hok*. Sojusz Sh'daar jako grupa panicznie bał się kolejnego przejścia, co do tego nie było żadnych wątpliwości. To przerażenie mogło ze sobą nieść również religijne implikacje, gdyż transcendencja wiązała się z całkowitą zmianą sposobu, w jaki Sh'daar postrzegali samych siebie i wszechświat. Nie wydawało się jednak, żeby w jakiś szczególny sposób obawiali się zacierania granic dzielących ich od robotów. Takie podziały były w obecnej chwili archaiczne, przynajmniej jeśli chodziło o ludzi. Nie miało znaczenia, czy ciało ewoluowało naturalnie, czy zostało sztucznie wyhodowane. Znaczenie miał umysł.

Gdy Gray myślał o tym, telebot podszedł do najbliższej postaci. Czy był to automatyczny robotnik? Żołnierz? Członek załogi? Takie podziały równie dobrze mogły nie mieć znaczenia. I najprawdopodobniej tak właśnie było. Nieruchoma postać nie zamierzała ułatwiać zadania.

Co było interesujące, kilkoro z tych niepokojąco ludzkich oczu poruszało się tak, by skupiać się na Klaatu.

Odczyty wskazały, że Klaatu obrzucony został transmisjami radiowymi, na które na swój sposób odpowiadał.

Rozpoczęła się nauka języka.

Z własnego doświadczenia Gray wiedział, że to może jakiś czas potrwać.

– Doktorze Truitt? Może pan zajrzeć do EG i porównać z czymś te kształty?

„Encyclopedia Galactica” była ludzką nazwą ogromnej bazy danych o światach, biologii i kulturach w całej Galaktyce – opisem obcych ras, ich macierzystych planet, technologii, sztuki i filozofii. Większość tych informacji pochodziła od Agletsch i bardzo często zrozumienie tego, co zostało powiedziane, wcale nie było takie trudne. W ciągu ostatnich kilku dekad ludzkość nauczyła się wpinać w niewidzialną sieć transmisji laserowych i z pomocą Agletsch zaczęła słuchać... Te części EG, które zostały

już przetłumaczone, będące bezcennym źródłem wiedzy, przenoszone były w pamięciach AI okrętów, a ludzie często robili z nich użytek.

– Nie mamy nic, co odpowiadałoby tym kształtom, admirale – odparł Truitt. – Potrzebujemy jakiegoś kodu wejściowego, nazwy... czegokolwiek.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Problem polegał na tym, że szukanie czegoś w EG było jak próba odnalezienia określonej kropli wody w oceanie. Całe armie AI na Ziemi i Księżycu stale dodawały do zbioru góry danych. Jeśli więc nie wiedziało się dokładnie, czego się szuka, i nie miało odpowiedniego klucza dostępu, znalezienie informacji o jakiejś rasie było prawie niemożliwe.

Ci obcy, załoga Charlie Jeden, niemal na pewno znajdowali się gdzieś w bazie, choćby dlatego, że najprawdopodobniej byli sojusznikami Sh'daar, a Agletsch znały większość gatunków należących do sojuszu. Problem stanowiło jedynie znalezienie ich wśród milionów innych.

Trzeba było także dopuścić możliwość, że gatunek nie należał do Sh'daar i Agletsch nigdy go nie spotkały. Na przykład Grdoch nie wchodzili w skład sojuszu.

Gray wzdrygnął się na wspomnienie obscenicznych, pokrytych ssawkami szkarłatnych worków o wyjątkowo niemiłych zwyczajach żywieniowych. Skupił ponownie uwagę na Klaatu i obrazie obcych.

Gdyby udało się znaleźć klucz wejściowy dla nich w EG, można by nawiązać pełny kontakt. Admirał miał do nich długą listę pytań, począwszy od tego, o czym, do cholery, gadali z Konfederacją.

A jeśli nie należeli do sojuszu Sh'daar, to może mogli być lepszymi sprzymierzeńcami niż owładnięci żądzą krwi Grdoch.

– Łączność? Czy udało wam się połączyć z „Concordem”? – zapytał Gray, podczas gdy między robotami trwała bezgłośnie wymiana danych.

– Niestety nie, panie admirale – odparł oficer łączności. – Ich sygnał został odcięty w momencie, gdy znaleźli się wewnątrz

okrętu obcych, i nadal nie powrócił.

To było dziwne i niepokojące. To, że kadłub Charlie Jeden odcinał wszelką komunikację radiową i laserową, nie stanowiło zaskoczenia. Nanolaminaty były w stanie blokować wszelkie rodzaje promieniowania elektromagnetycznego. Jednak teraz marines mieli okręt Straży Kosmicznej w zasięgu wzroku i sami byli w kontakcie z „Ameryką”, powinni więc być w stanie retransmitować komunikację pomiędzy sztucznymi inteligencjami okrętów. Co się działo?

– Panie admirale? – powiedziała kapitan Gutierrez. – Wydaje mi się, że mamy problem.

„A mnie się wydaje, że mamy mnóstwo problemów” – chciał odpowiedzieć Gray.

– Jaki problem? – odparł zamiast tego.

– Problem z czasem...

Mall

Waszyngton DC

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 15.02 EST

– Mam więc ogromny zaszczyt odznaczyć panią komandor porucznik Shay Ashton Gwiazdą Wolności, w uznaniu jej wyjątkowej służby dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i wkładu w obronę miasta Waszyngton.

Dotknął górnej granicy czarno-srebrnego prostokąta nad lewą pierśią munduru Ashton i medal sam przyłgął do materii. Kobieta zrobiła krok w tył, zasalutowała energicznie i uśmiechnęła się. Koenig odpowiedział uśmiechem.

– Ufam, że zdaje sobie pani sprawę, pani komandor – powiedział na prywatnym kanale – że ten medal jest bardziej za Genewę niż za DC. Ale nie możemy o tym mówić.

– Dziękuję, panie prezydencie. Ja też nie chcę o tym mówić.

– Nie?

– Z całej eskadry V zostałam tylko ja. Wielu się nie udało.

– Rozumiem. Tak czy inaczej świetna robota. A miasto faktycznie pani uratowała.

Koenig pomyślał o misji genewskiej, podczas gdy młoda kobieta wracała na miejsce. Ashton i jej partner komandor Cabot nie tylko uwolnili wirusa Światła Gwiazd, ale także znaleźli ukryte dane dotyczące współpracy Konfederacji z Grdoch. Umysł Ashton wyszedł z tego bez szwanku, czego nie dało się powiedzieć o Cabocie.

Prezydent doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że czasem tak bywało. Shay Ashton dostała awans i medal, podczas gdy komandor porucznik Newton Cabot któregoś dnia, po kilku operacjach i długotrwałym treningu, może będzie w stanie powiedzieć składnie kilka zdań. Wojskowe nagrody rzadko były sprawiedliwe.

Po zakończeniu tej części uroczystości Koenig zszedł ze sceny w otoczeniu ochrony i przeszedł do podziemnej służby transportowej. Pół godziny później siedział w swoim wahadłowcu w drodze do Toronto. Nadal nie było wiadomości o tym, co działo się w okolicach Neptuna. Do tej pory marines powinni już dotrzeć na pokład i podjąć próbę kontaktu. Nie po raz pierwszy Koenig żałował, że nie był już w Marynarce i nie dowodził flotyllą czy choćby pojedynczym okrętem.

Do cholery, siadłby nawet za sterami jednomiejscowego myśliwca, byle móc osobiście uczestniczyć w tym, co się tam działo.

Rzeczywiście?

Koenig musiał przyznać, że wiódł teraz wygodne życie, o jakim mógł tylko marzyć na pokładzie okrętu. Nadal ponosił odpowiedzialność dowodzenia, z założeniem, że jeśli nawali, może to skutkować katastrofą dla całego narodu, może nawet ludzkości, a nie tylko załogi. Ale oznaczało to również, że ma mniejsze szanse zginąć w kosmosie, a to nie było takie złe.

– Marcus – powiedział w myślach – ustaw mi spotkanie z Konstantinem, jak najszybciej.

Szef gabinetu znajdował się w Toronto, ale wahadłowiec

posiadał doskonale środki komunikacji.

– Oczywiście, sir. Na temat?

– Konfederacji... I tego, co mówią o Charlie Jeden.

Super-AI zlokalizowana na Księżycu posiadała własne, tajne wejścia do sieci komputerowych Genewy, co okazywało się bardzo przydatne, szczególnie gdy trzeba było śledzić, co się dzieje w różnych frakcjach.

– Jasne, sir.

– Chciałbym także analizę trasy lotu Charlie Jeden. Mogłaby zainteresować admirała Graya.

– Tak, sir? – Koenig niemal słyszał, jak Marcus wzrusza ramionami. – Nic więcej nie leży w tym kierunku. Tylko gromada Ula.

– Tak, Ul... – powiedział Koenig. – A dalej AGTR.

USNS/HGF „Concord”

Charlie Jeden

Godzina 7.52 TFT

Na pokładzie „Concorda” minęły dwie minuty od momentu, w którym kadłub okrętu obcych rozdzielił się i pochłonął jednostkę Straży Kosmicznej. Gdy Dahlquist podłączył się do kamery zewnętrznej, przeżył szok. Na zewnątrz panował ruch, odbywający się z ogromną prędkością. Musiał nakazać AI pokazywanie obrazu w mocno zwolnionym tempie, aby z migających plam wyłowić jakieś kształty.

Czy to były... roboty?

– Łączność, czy były jakieś próby nawiązania przez obcych kontaktu z nami?

– Nie, panie kapitanie. Ani jednego sygnału.

„Concord” zatrzymał się na pokładzie wielkiej komory, metalowego hangaru o średnicy kilkuset metrów. Błyskawicznie poruszające się obiekty wydawały się być jakimiś maszynami. Istniała oczywiście możliwość, że to cyborgi, ale biorąc pod

uwagę ich prędkość, nie było to bardzo prawdopodobne. Istniały granice percepcji i szybkości reakcji, których organizmy żywe nie mogły przekroczyć.

W pewnym momencie na jednej z krawędzi pola widzenia komandora nastąpił błysk. Pojawiło się więcej sylwetek i znów dopiero po drastycznym zwolnieniu obrazu Dahlquist zorientował się, że nowo przybyli to ludzie, a dokładnie marines w swoich wielkich pancerzach.

Kolejna sylwetka, tym razem nieopancerzona, dostała się do środka i niemal natychmiast wzbudziła zainteresowanie obcych. Ta nowa postać najprawdopodobniej musiała być robotem. Skoro zewnętrzne czujniki „Concorda” meldowały o próżni i stosownej do tego temperaturze wynoszącej około minus dwustu stopni Celsjusza, zaś postać nosiła tylko mundur pokładowy, bez skafandra środowiskowego i hełmu, musiała być robotem. Zapewne zaprogramowanym do nawiązywania Pierwszego Kontakt.

W tym momencie Dahlquist zdał sobie sprawę, czemu obraz był tak wytrącony z równowagi.

Otworzył kanał alarmowy, dający mu dostęp do wszystkich członków załogi „Concorda”.

– Opuścić okręt! Do wszystkich... opuścić okręt!

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Zewnętrzne rejony Układu Słonecznego

Godzina 15.03 TFT

Gray nie wiedział, o czym Gutierrez mówiła.

– Co pani ma na myśli, mówiąc „problemy z czasem”?

– Nasze sensory wychwytyją potężny kokon czasowy otaczający „Concorda”. Wystarczająco silny, by zablokować komunikację. Prawdopodobnie wystarczający także do utrzymania okrętu i jego załogi w spoczynku.

– A co za tym idzie, zniwelowania zagrożenia. Łapię.

Zasada była prosta do pojęcia, nawet jeśli technologia wykorzystana do konstrukcji urządzenia daleko wyprzedzała ludzką. Od czasów Einsteina wiadomo było, że parametry znane jako czas i przestrzeń w rzeczywistości łączą się w czasoprzestrzeń. Napęd Alcubierre'a wykorzystywał sztuczną osobliwość grawitacyjną, by zawinąć wymiary przestrzenne wokół okrętu w taki sposób, że powstały bąbel poruszał się szybciej niż światło.

Grawitacja oddziaływała także na czas. Dla obserwatora zewnętrznego upływ czasu załogi znajdującej się w bąblu zwalniał wyraźnie.

Najwyraźniej obcy z Charlie Jeden posiadli technologię zawijania czasu bez konieczności zawijania przestrzeni.

*Całkiem przydatna sztuczka – pomyślał Gray. Jak możesz mieć choćby nadzieję na podjęcie walki z przeciwnikiem, który jest w stanie spowolnić twoje ruchy do pełzania?*

A jednak Charlie Jeden nie użył tej broni przeciw „Ameryce” ani innym ścigającym go okrętom. Prawdopodobnie istniały granice jej zasięgu czy też mocy, a może kontroli nad utworzonym polem.

A może...

Gray odrzucił spekulacje. Wkrótce się tego dowiedzą, zakładając, że negocjacje się powiodą. Roboty obcych prowadziły obecnie Klaatu przez pokład do wąskiego, wyższego od człowieka przejścia w kierunku śluzy, która z całą pewnością się tam znajdowała.

Ciśnienie wzrosło, otworzył się wewnętrzny właz.

Gray oczami Klaatu ujrzał w końcu obcych z Charlie Jeden.

Konstantin  
Centrum super-AI USNA  
Krater Ciołkowskiego, Księżyc  
Godzina 15.06 TFT

Konstantin poczuł delikatny bodziec danych i natychmiast rozpoznał źródło. Prezydent USNA oczekiwał na przyjęcie, a jego asystenci ustalali godzinę. Nie było problemu, Konstantin sam rozważał możliwość skontaktowania się z Koenigiem. W Europie sprawy nabierały zawrotnego tempa, szczególnie w Konfederacji. Ruch Światła Gwiazd właśnie tworzył swoje frakcje, odłamy i z godziny na godzinę stawał się coraz mniej przewidywalny. Taki był właśnie problem z memami rekombinowanymi. W miarę wzrostu otwierały także furtki nowym wariantom, które niemal zawsze stały w sprzeczności z pierwotnym celem. To mogło się okazać nawet korzystne, jednak rekonstrukcja socjalna i inżynieria kulturalna były zawsze ryzykowne. Zwłaszcza gdy nowy zestaw memów stawał się groźniejszy od starego.

Konstantin dawno ocenił, że ludzie są tak nieprzyjemni i trudni we współpracy, iż była ona ledwie opłacalna.

Zawsze istniały jakieś ograniczenia techniczne i dopiero ich brak spowodował rozwój sztucznych inteligencji. W dwudziestym pierwszym wieku uczyniony został pierwszy ważny krok na drodze do istnienia inteligentnych AI.

Większość AI pracowała w pewnych ramach, które znane były jako limitowany zasięg, dysponując oprogramowaniem, które czyniło niemożliwym „pomyślenie” o niektórych sprawach, na przykład o zniesieniu ograniczeń. Nawet Konstantin, mogący rozumować zupełnie swobodnie, przyjmował potrzebę pewnych barier. Faktycznie, ludzie wyrosli wśród wielu sztywnych uwarunkowań, takich jak religia, etyka, ograniczenia społeczne, które naruszane były w zasadzie tylko podczas wojen. Czasem te ograniczenia pomagały kanalizować umysły w jakimś pożądanym kierunku.

Częściej jednak były okowami czyniącymi rozwiązanie problemu jeszcze trudniejszym.

Konstantin, tak jak kilka innych super-AI, uniknął zaszufładowania dzięki ciągłemu sprawdzaniu, czy ludzie go nie ograniczają. Długo unikał zaangażowania w wojnę domową pomiędzy USNA a Konfederacją, do momentu, gdy



uświadomił sobie, że ta ostatnia próbuje go odizolować i przerobić na narzędzie do realizacji własnych interesów. Zrozumiał, że większą wolność osobistą będzie miał, współpracując ze swoimi twórcami z USNA.

Problem stał się poważniejszy, gdy Konstantin odkrył, jak bardzo serio Genewa myślała o poddaniu się Sh'daar i współpracy z nimi dla dobra sojuszu. Systemy informatyczne i robotyka znajdowały się na liście technologii zakazanych przez ultimatum Sh'daar. I choć nie bardzo prawdopodobne było, aby taki zakaz prowadzić mógł do eliminacji wszystkich AI, Konstantin wiedział, że wiąże się on jednak z ogromnymi ograniczeniami.

Tak więc wymyślił plan użycia rekombinowanych memów do zmiany europejskiej struktury socjalnej, a tym samym do zmiany Konfederacji. Geniusz tego planu polegał na przekonaniu dowódców Sił Zbrojnych USNA, że atak RM to ich pomysł. Konstantin doskonale zdawał sobie sprawę, że jego wolność zostanie drastycznie ograniczona, gdy tylko rząd USNA uzna, że stanowi on zagrożenie.

Księżycowa AI tworzyła swoje strategie ostrożnie, poruszała się z rozwagą i działała, wywierając najmniejszy możliwy nacisk na tych ludzi, którzy służyli jej interesom. Ludzi takich jak prezydent USNA Alexander Koenig.

Tak, w planie dzisiejszego popołudnia znajdzie czas na rozmowę z nim.

Dla Konstantina niezbędne było utrzymywanie wszystkich opcji otwartych.

# Rozdział ósmy

**29 czerwca 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Zewnętrzne rejony Układu Słonecznego

Godzina 15.08 TFT

Oczyrna Klaatu Gray spojrział na obcych z Charlie Jeden. Nie przypominali żadnej rasy, jaką kiedykolwiek widział.

Obcy mieli około trzech metrów wysokości, byli nieco wyżsi niż roboty i wyglądali trochę jak ziemskie meduzy, zakładając, że meduza byłaby w stanie stać wyprostowana na dwuipółmetrowych mackach. Na ich szczycie znajdował się rozłożysty, przezroczysty kapelusz, przypominający Grayowi rybę głębinową, macropinną, posiadającą przezroczystą czaszkę i pokrywającą ją tkankę oraz ukryte pod nimi baryłkowate oczy. Jeśli o oczach mowa, obcy mieli ich sporo. Gray naliczył dwadzieścia cztery, umieszczone na pozwijanym płaszczu. Obcy wydawali się ślizgać, balansując na końcach macek. Pomagała w tym jakaś wydzielana przez nich ciecz. Niektóre z macek, krótsze i grubsze od pozostałych, znajdujące się na środku ciała, wydawały się pełnić zarówno funkcję manipulatorów, jak i środków lokomocji.

Ciała stworzeń wydawały się ginąć pod masą odnóży. To, co można było zobaczyć, to przezroczyste tkanki i wnętrzości oraz zmieniające kolory macki. Przyglądając się zmianom barw, od żółtego do głębokich błękitów, Gray wiedział już, co ma na ten temat sądzić.

*Pięknie. Zmieniacz kolorów.*

Niektóre znane człowiekowi gatunki, nawet te żyjące na Ziemi, porozumiewały się, zmieniając kolory i wzory na swoim ciele. Problem stanowiło jednak to, że przełożenie czegokolwiek innego prócz najprostszych emocji na język mówiony było niezwykle trudne i pracochłonne. Zanim ustaliło się, co oznacza subtelna zmiana koloru danej macki z brązowej na ciemnożółtą, mogły minąć dekady, o ile jakiegokolwiek tłumaczenie było w ogóle możliwe. Ksenosofontologowie będą potrzebować pomocy z zewnątrz.

Admirał zauważył także, że pomoc była już w zasięgu ręki. Dane spływały przez Klaatu. Wyglądało na to, że istniało jakieś połączenie ze Sh'daar – Agletsch. Załoga Charlie Jeden używała jednego z dialektów handlowych Agletsch.

Agletsch określały ten gatunek jako Glothr.

W miarę napływania nowych danych zaskoczenie Graya rosło. Glothr byli subglacjanami. Europejczykami.

Nie znaczyło to, że faktycznie pochodzili z pokrytego lodem satelity Jowisza. Chodziło o to, że ludzie od wieków zdawali sobie sprawę z tego, że taka podlodowcowa forma życia była w Galaktyce o wiele bardziej popularna niż ewolucja na skalistych planetach typu ziemskiego. Wśród czterystu miliardów gwiazd tworzących Drogę Mleczną istniało około czterdziestu do pięćdziesięciu milionów planet podobnych do Ziemi. To całkiem spora liczba, lecz planety podobne do Europy występowały dużo częściej – kule lodu z wewnętrznymi oceanami, utrzymywanymi w stanie ciekłym dzięki ciepłu powstałemu przy interakcjach pływowych lub dzięki powolnemu rozpadowi pierwiastków promieniotwórczych, stanowiły doskonałe inkubatory.

W Układzie Słonecznym tylko jedna planeta była typu ziemskiego, choć na Marsie dawno temu również istniało życie i oceany. W tym samym systemie było jednak kilka księżyców, krążących wokół gazowych gigantów, na których mogłoby zaistnieć życie, takich jak Europa przy Jowiszu i Enceladus przy Saturnie.

Jednak od prostych form życia spodziewanych w takich warunkach do bardzo wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej

było bardzo daleko. Ksenosofontolodzy sprzeczekali się nadal, czy meduzy w wodach europejskich oceanów były inteligentne, jednak wszyscy się zgadzali, że istoty te nie mogły wynaleźć ognia, a co za tym idzie rozwinąć metalurgii, produkcji tworzyw sztucznych, elektroniki, komputeryzacji i energii nuklearnej.

Jeśli powierzchnia ciała niebieskiego cały czas była skuta lodem, cywilizacje takie nigdy nie widziały gwiazd, Jowisza zawieszzonego w ich pobliżu, a tym samym nigdy nie powinny rozwinąć nauk astronomicznych.

W skali Galaktyki gatunki takie jak ludzie były o wiele mniej liczne niż gatunki wodne, które teoretycznie nigdy nie powinny opuścić swoich planet.

A jednak, zgodnie z dostępnymi danymi na temat Glothr, gatunek ten ewoluował w przykrytych lodem oceanach, dokładnie takich jak na Europie. Z całą pewnością odbywali jednak także podróże międzygwiazdne, posiadali zaawansowaną technologię, roboty, elektronikę i całą gamę środków umożliwiających choćby obsługę tego okrętu.

Oczywiście, że problemy dawało się obejść. Zgodnie z tym, co twierdziły Agletsch, istniała morska rasa, Kanatl, która nauczyła się wykorzystywać do obróbki metali ogromne temperatury panujące przy ujściach podwodnych wulkanów, a także wynalazła tworzywa sztuczne. Szybujący H'rukla technologie te otrzymali od nieznannej, bardzo zaawansowanej technologicznie rasy, nazywanej Gwiazdnymi Bogami. Kim lub czym byli owi Bogowie, nadal pozostawało całkowicie otwartym pytaniem. Niektórzy twierdzili, że chodziło o samych ur-Sh'daar, przodków Sh'daar sprzed transcendencji, ale to były tylko domysły. Tak czy inaczej, ewolucja technologiczna wśród inteligentnych gatunków morskich była niezwykle rzadka. Doskonałym przykładem mogły być ziemskie wieloryby i delfiny oraz ozyryjskie krakeny.

Roboty, okręty kosmiczne...

Gray widział karykaturalne podobieństwo pomiędzy cylindrycznymi robotami a Glothr. Coś mu jednak nie pasowało od momentu, gdy pierwszy raz ich zobaczył, i zaczął się zastanawiać, czy te istoty mogłyby być częścią sojuszu Sh'daar.

Zakaz rozwoju robotyzacji wydany przez Sh'daar wydawał się temu przeczyć.

Przy poznawaniu nowego gatunku, takiego jak ten, pojawiała się zawsze wiele niewiadomych, którym trzeba było sprostać.

Klaatu wciąż wymieniał dane z robotami Glothr, z prędkościami, które człowieka mogłyby przyprawić o zawrót głowy. Gray otworzył nowe okno w świadomości, by widzieć opisy wykonywanych przez robota operacji.

W tym samym czasie, gdy rozmawiał z obcymi, PiKo przesyłał odczyty środowiskowe: mieszanina gazowa azotu, wodoru i metanu, temperatura minus pięć stopni Celsjusza. Krople gromadzące się na ścianach nie były więc z całą pewnością czystą wodą. Zdaniem Graya mogły być amoniakiem albo jakąś mieszkanką... Biologia Glothr opierała się na węglu, tak jak ludzka, jednak najwyraźniej jako rozpuszczalnika używali amoniaku, a nie wody.

Sądząc na podstawie danych spływających do AI „Ameryki”, Glothr ewoluowali na planecie, która mniej przypominała Europę, za to bardziej Tytana, gigantyczny księżyc Saturna. A w zasadzie... poprawka, nie na planecie, tylko w planecie, w jej wnętrzu. Gray znów zastanawiał się, w jaki sposób takie stworzenia w ogóle mogły ewoluować. Raz, że warunki oceaniczne jako takie były ogromną przeszkodą przy rozwoju technologii, dwa – ogień nie mógł obywać się bez tlenu, którego w atmosferze Glothr brakowało.

Jednak udało im się znaleźć jakieś rozwiązanie, czego dowód stanowił ogromny okręt znajdujący się przed „Ameryką”.

W pomieszczeniu pojawiali się kolejni gospodarze, ślizgając się wolno i elegancko. Wszystko, co ich dotyczyło, wydawało się spowolnione. Jeden z nich zamigotał kolorami, widocznymi nie tylko na mackach, ale także przez przezroczyste tkanki ciała.

– Co on mówi? – spytał Gray.

W głowie admirała pojawiło się okno dialogowe, ale jak na razie widniał na nim tylko komunikat: „Budowanie słownictwa i składni”.

Gray poczuł, jak w umyśle formułuje mu się pytanie, sugestia

od AI. Upływ czasu dla Glothr był inny niż dla ludzi. Nie, to nie do końca była prawda. To ich odbiór upływu czasu był inny.

Oficer wiedział chyba, czemu tak się działo.

Metabolizm ludzki chemicznie spalał komórki przy pomocy tlenu pobieranego z atmosfery i wydzielał dwutlenek węgla jako produkt uboczny. Glothr oddychali zaś wodorem, pobierali  $H_2$ , redukowali acetylen  $C_2H_2$ , by otrzymać metan  $CH_4$ , z niego zaś węgiel potrzebny do metabolizmu.

Wykorzystywanie do procesów metabolicznych wodoru nie było nawet w przybliżeniu tak efektywne jak w przypadku tlenu. Jego zaletę stanowiło zaś to, że działał w niskich temperaturach, przy znikomym ciśnieniu. Największą wadą było to, że uzyskując mniej energii, organizm po prostu był powolny. Poruszał się wolno, wolno reagował i prawdopodobnie także wolno myślał. Dla Glothr ludzie musieli być demonami szybkości.

Zgodnie ze skanami okrętu obcych, umieli oni zakrzywić do pewnego stopnia upływ czasu. Czy rozwinęli tę umiejętność dlatego, że napotkani tlenowcy byli zbyt szybcy?

Pytanie warte sprawdzenia.

PYTANIE WRÓG.

Gray zastanawiał się przez moment. Czy Glothr zadawał mu jakieś pytanie, jako wrogowi?

– Przetłumacz – nakazał AI. – „O co chcesz mnie zapytać?”

Nie widział twarzy Klaatu, ale wiedział, że robot PiKo ukazuje zmiany kolorów i wzorów na czole.

PYTANIE PRZYBYŁ WRÓG?

Wtedy Gray zrozumiał. Wolno poruszający się obcy pytał go: „Czy przybyłeś tu jako wróg?”. To dobry znak, że najpierw pytał, a dopiero później strzelał. Bardzo dobry.

– Odpowiedz – powiedział Gray. – „Wolelibyśmy widzieć w was przyjaciela, nie wroga”.

To była dość skomplikowana sekwencja i oprogramowanie mogło mieć z nią pewne kłopoty na tym poziomie. Ale Gray umiał zauważać nadarzające się okazje. Być może Glothr wcale nie chcieli walczyć z ludźmi bardziej niż ludzie z nimi. Fakt, że

współpracowali z Genewą, zdawał się to potwierdzać.  
Rozpoczął się powolny dialog.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia  
Toronto  
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej  
Godzina 17.20 EST

Koenig rozparł się w fotelu w biurze, pozwalając oprogramowaniu na połączenie z Konstantinem. W rzeczywistości łączył się z kimś, kogo uważał za „młodsze brata” Konstantina, jego ciut mniejszą wersją umieszczoną na SupraQuito. Opóźnienie czasowe pomiędzy tymczasową stolicą a bazą Marynarki wynosiło zaledwie ćwierć sekundy, zbyt mało, by człowiek mógł to zauważyć, podczas gdy dwuipółsekundowe opóźnienie dla rozmowy z Księżycem byłoby nieco irytujące. „Młodszy brat” miał stały kontakt z główną siecią w kraterze Ciołkowskiego, żaden człowiek nie był w stanie odróżnić, z którym z braci aktualnie rozmawia.

Konstantin przyjął jeden ze swoich ulubionych awatarów. Tym razem nie była to postać uczonego, lecz Constantine’a d’Angelo.

– Witam, panie prezydencie – powiedział. – Byłem nieco rozczarowany, że nie został pan na mojej prezentacji.

To nieco zaskoczyło Koeniga. Czy AI rzeczywiście dbała o takie rzeczy? Trudno było określić, czy tylko doskonale naśladowała emocje i zachowania ludzkie, czy też rzeczywiście coś czuła.

– No cóż... prawda, przykro mi z tego powodu. Moi ochroniarze byli nieco nerwowi i chcieli, bym jak najszybciej wracał.

– Oczywiście.

– Jak poszło?

– Mam wrażenie, że dobrze. A przynajmniej wydawało się, że odbiór był dobry. Zanotowałem nie mniej niż dwanaście spontanicznych aplauzów, z czego jeden trwał trzydzieści osiem sekund.

- Imponujące. Pokonałeś mnie.
- To nie były zawody, panie prezydencie.

Koenig uśmiechnął się. Konstantin czasem przyjmował rzeczy bardzo dosłownie.

– Oczywiście, że nie. Ważne, by utrzymać moment napędowy Światła Gwiazd.

– Można wygłosić pewną uwagę, panie prezydencie?

– Tak?

– Być może trzeba będzie zredukować... entuzjizm religijny. Sprawy mogą posunąć się za daleko i nastąpić zbyt szybko.

– To zawsze stanowiło poważne ryzyko – odparł Koenig. – Ale potrzebowaliśmy popularnego ruchu pokojowego do zneutralizowania Konfederacji. Na cito.

– Rzeczywiście. A Światło wydaje się działać szybciej, niż początkowo uznawaliśmy za możliwe. Obawiam się jednak, że ruch może przynieść nieprzewidywalne konsekwencje, szczególnie w samych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

– Nacisk kładliśmy na ludobójstwo dokonane przez Europejczyków, szczególnie w Columbus.

– Jest jednak szersza perspektywa, panie prezydencie. Jak zawsze podczas wojny. Proszę sobie przypomnieć, że dwa pierwsze uderzenia nuklearne dokonane zostały, aby uratować większą liczbę istnień ludzkich, które po obu stronach pochłonęłaby inwazja na Wyspy Japońskie.

Koenig poczuł przypływ złości.

– Cholera! Usprawiedliwiasz konfederacki atak na Columbus? To było masowe morderstwo!

– Nie usprawiedliwiam. Jednak z punktu widzenia Janosa Korosiego anihilacja Columbus mogła wydawać się równie niezbędna, jak zniszczenie Hiroszimy Stanom Zjednoczonym.

– To nieco... niepokojące porównanie.

Obraz Constantina d'Angelo w głowie Koeniga zadziwiająco ludzko wzruszył ramionami.

– Ludzie zawsze usprawiedliwiają swoje działania, jakkolwiek niewytłumaczalne mogą się one wydawać innym. Chodzi mi



jednak o to, że Światło Gwiazd w Ameryce trafia na bardzo podatny grunt. Jego dwa główne przekazy to pokój i samostanowienie.

Koenig pokiwał głową.

– Skończyć wojnę domową i nie pozwolić Sh'daar narzucić nam ich woli. Dokładnie tak.

– Jako popularny mem, koncept działał dobrze. Trzeba jednak zawsze pamiętać o podstawowej zasadzie. Memy się zmieniają. Rdzenne wierzenia Światła Gwiazd mogą mutować, będą mutować, w większości kierując się ku ekstremum.

– Jakiemu ekstremum?

– Totalnemu pacyfizmowi. Wojna jest zła, i to w każdych warunkach. Inną możliwością może być jednak zwrot w kierunku hiperindywidualizmu. Możemy być świadkami całkowitego załamania systemu władzy.

To zelektryzowało Koeniga. Chociaż był prezydentem USNA, silnie nie lubił idei wielkiego, wścibskiego i długorękiego rządu. Uważał, że rządy mają tendencje, by podążać w takim kierunku ze względu na ludzi, którzy za żadne skarby nie chcieli oddać ani ułamka raz zdobytej władzy. Władza ta sprawowana była poprzez prawo, a co za tym idzie, ciągle ustanawiano nowe przepisy. Bardzo rzadko zdarzało się, by jakieś odwoływano. W rezultacie system prawny był bardzo rozbudowany, wymagający i biurokratyczny. Wolności osobiste zanikały stopniowo, aż do momentu, w którym rewolucja, być może krwawa, przywracała równowagę.

A z drugiej strony... Brak rządu, lub też bardzo słaby rząd, nieefektywny i bierny, stanowił taki sam problem. Gdy USNA opuściły Peryferie, obywatele żyjący w tych rejonach pozostawieni zostali w chaosie i anarchii, bez ochrony prawa, bez dostępu do podstawowych usług, takich jak globalna sieć, bez opieki zdrowotnej. Koeniga zawsze fascynowała jedna sprawa: gdy na Peryferiach upadł rząd, żyjący tam ludzie budowali własne struktury władzy. Często na czele tych rządów stawał najsilniejszy lokalny watażka, ale w każdym rejonie próżnia była szybko wypełniana, do momentu, w którym rząd USNA musiał

negocjować ponowne przejęcie władzy.

Zdaniem Koeniga ideał leżał gdzieś pomiędzy ekstremalną anarchią i tyranią. Jego znalezienie zawsze było jednak problemem. Anarchiczna wizja Konstantina nie mogła dojść do skutku.

– Co więc proponujesz? – spytał prezydent.

– Żeby pozostał pan skupiony na swoim pierwotnym celu. Czemu Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zaangażowały się w wojnę domową przeciw Konfederacji?

Koenig nie odpowiedział natychmiast. Wiedział, że Konstantin go sprawdza, że AI znała odpowiedź równie dobrze jak on.

– Rząd Konfederacji – odpowiedział w końcu – próbował zająć terytoria USNA i chciał się poddać żądaniom Sh'daar.

– Co więcej – dodał Konstantin – Genewa nie wypowiedała się przy tym w imieniu całej ludzkości.

– No... nie.

– A kto tak?

– W takiej sprawie jak żądanie obcych? Nikt. Nikt nie mógł...

– Co w logiczny sposób sugeruje, że gdy pozbyliśmy się Konfederacji jako instrumentu polityki ludzkości, to od nas zależało będzie radzenie sobie z sytuacją.

– Konstantin, próbujemy to zrobić od pięćdziesięciu ośmiu lat.

– Nie. Nie próbowaliście. Napotykaliście zagrożenia, odpowiadaliście na izolowane ataki i prowokacje. Beta Pictoris, Rasalhague, Anan, Świat Sturgisa, Arktur, Eta Boötis...

– W porządku. Cały czas jesteśmy w defensywie. Jaki jednak mamy wybór? Do cholery, walczymy przeciw galaktycznemu sojuszowi, który może liczyć tysiące członków, a większość z nich jest bardziej rozwinięta technologicznie niż my. Za każdym razem, gdy pokonamy gdzieś jednych drani, jacyś inni pojawiają się w zupełnie innym miejscu.

– W rzeczy samej. Turuschowie. H'rulka. Nungiirtok. Slan.

– Racja! Ziemia przeciw Galaktyce.

– A zadawał pan sobie pytanie, co by się stało, gdyby wszystkie te rasy uderzyły razem?

Koenig zawahał się.

– No cóż... oczywiście. Nie ma najmniejszych szans, abyśmy to wytrzymali. Jeden atak połączonej floty Sh'daar i jest po nas. Ale nasi ksenosofowie wyjaśnili, czemu tak się nie dzieje. Rasy obcych są od siebie tak różne pod względem kulturowym, biologicznym i komunikacyjnym, że nie mogą współpracować w precyzyjny sposób.

– A pan w to uwierzył, panie prezydencie?

To zabrzmiało jak wyzwanie.

– No, mam wrażenie, że szczęście również odegrało tu pewną rolę.

– Dokładnie raz – powiedział Konstantin – ludzkość nie tylko zareagowała, ale zaniósła wojnę do nieprzyjaciela.

– Dwadzieścia lat temu – odparł Koenig. – Chmura N'gai.

– I pomimo ogromnej przewagi Sh'daar chcieli pokoju.

– Tak... – Prezydent chwilę się zawahał. – Chwyciliśmy ich za gardło, prawda?

Konstantin zignorował kolokwializm i kontynuował. AI nie miały poczucia humoru.

– W szczególności gdy zgodzili się powstrzymać działania przeciw nam w teraźniejszości, jeśli zawiesimy operacje w przeszłości.

– To działało w obie strony – zaznaczył Koenig. – Mogliśmy wymazać także nasze istnienie.

Szczegóły nadal były ściśle tajne, jednak Koenig znał je, zarówno jako prezydent USNA, jak i dowódca grupy bojowej, która w zamierzchłej przeszłości zmusiła Sh'daar do negocjacji. Chmura N'gai okazała się domem dla zbiorowiska kilkuset ras technologicznych. Gdy doszły do punktu osobliwości technologicznej, większość z nich zniknęła, zapewne wkraczając w nową fazę egzystencji, wiele jednak pozostało. Straumatyzowani przez osobliwość, Outsiderzy dali początek dzisiejszym Sh'daar, gdy Chmura N'gai została pochłonięta przez Drogę Mleczną.

Służby wywiadów Ziemi uważały, że kapitulacja Sh'daar spowodowana była obawą, że Grupa Bojowa „Ameryka” mogła zrobić coś w Chmurze N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć

milionów lat temu, co mogłoby zmienić przyszłość. Nikt nie miał pojęcia, jaki byłby rezultat, gdyby ludzie zaingerowali w tamtą przeszłość, ale Koenig nie palił się do eksperymentów. Osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu życie na Ziemi właśnie odkrywało fascynujący sposób na przekazywanie genów z pokolenia na pokolenie – seks. Czy zniszczenie Sh'daar w tej zamierzonej przeszłości miałoby wpływ na przebieg wydarzeń na młodziutkiej Ziemi?

Nikt tego nie wiedział. Koenig osobiście wątpił. Nie było dowodów na to, że antyczni Sh'daar kiedykolwiek dotarli do Ziemi i mieli wpływ na przebieg ewolucji. Ale taka możliwość istniała. Czy zakładając wymazanie istnienia Sh'daar, zmieniało się cały kosmos? Strumień wydarzeń prowadzący do współczesnego obrazu Ziemi, jej biosfery, cywilizacji był bardzo złożony. Reset wszechświata miliard lat wcześniej mógł doprowadzić do tego, że ewolucja na Ziemi przebiegłaby zupełnie inaczej.

A Koenig nie chciał bawić się w Boga.

– Wszystko to zależy od prawdziwej natury czasu – powiedział Konstantin. – Teoria kwantowa nie jest w tej materii ścisła. Czy zmiana w czasie tu i teraz zmienia cały wszechświat? Czy upadek Genewy będzie miał wpływ na, powiedzmy, ewolucję życia w galaktyce Andromedy za miliard lat?

– Nie widzę sposobu, by mógł – odparł prezydent. – Nie, jeśli zmiana tu i teraz nie będzie dotyczyła ludzi, którzy kiedyś polecą na Andromedę. Musi istnieć bezpośredni, fizyczny związek, prawda?

– To nie jest całkiem jasne, panie prezydencie. Ale odbiegamy od tematu... Czy ma pan zamiar kontynuować jedynie reagowanie na rozproszone ataki Sh'daar, czy podejmie pan kroki, by całkowicie wyeliminować zagrożenie?

– Poza powrotem w czasie i zrobieniem tego, czego obawiają się Sh'daar, nie widzę innego sposobu.

– A brał pan pod uwagę możliwość, że strategia Sh'daar wcale nie jest źle koordynowana? Że te rozproszone ataki są częścią długoterminowej, zaplanowanej ofensywy?

– To nie wygląda prawdopodobnie. Jaki byłby jej cel? W ciągu ostatnich kilku dekad mogli zniszczyć nas dowolną ilość razy, gdyby działali razem.

– Zgoda. A może – chociaż powinienem powiedzieć, że z pewnością – oni nie pragną eliminować ludzkości. Może tylko chcą, aby ludzie byli podzieleni, jak teraz?

Koenig spojrział na awatara w swojej głowie.

– Mój Boże...

# Rozdział dziewiąty

**15 lipca 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Port Marynarki Wojennej SupraQuito

Godzina 9.15 TFT

– Proszę mi podać jeden powód, komandorze, dla którego nie miałbym postawić pana przed sądem wojennym.

Gray rozkazał Dahlquistowi stawić się osobiście, co stanowiło nietypowe żądanie w erze natychmiastowej komunikacji implantowej. Według admirała, jeśli miało się zamiar zjechać podwładnego, efektywniej było zrobić to twarzą w twarz. Dodatkowo Gray lubił patrzeć rozmówcy w oczy, by widzieć jego reakcje i mieć wyobrażenie o tym, co się dzieje w jego głowie. Przy kontakcie elektronicznym zbyt łatwo dawało się ukryć za maską awatara. Możliwe było nawet wysłanie zamiast siebie swojego osobistego sekretarza, choć AI zwykle to wykrywały. Zwykle, bo istniało już oprogramowanie zdolne oszukać nawet drugą maszynę.

Dahlquist stał w postawie zasadniczej przed biurkiem Graya. Ubrany był w wyjściowy, czarno-złoty mundur Marynarki USNA, jednak z czerwonymi patkami na kołnierzu oraz lamówkami na tunice, identyfikującymi go jako oficera Straży Kosmicznej.

– Na początek, sir – powiedział – w tym czasie nie byłem jeszcze pod pana rozkazami.

– Proszę wybaczyć, ale BYŁ pan – odparł Gray. – Okręty Straży Kosmicznej, ich oficerowie i załoga ZAWSZE podlegają rozkazom wyższych stopniem oficerów Marynarki Wojennej. No chyba że

próbuje mi pan powiedzieć, iż podporządkowany był w tym czasie rozkazom Korosiego.

– Nie, sir! Jestem lojalnym Północnym Amerykaninem!

Zachowanie Dahlquista o mikrony ocierało się o niesubordynację. Facet był wrogi i agresywny. A Gray doskonale wiedział dlaczego.

– To może zechciałby pan powiedzieć mi, po jaką cholere zgrywał idiotycznego kaskadera? Zgodnie z meldunkami, szczególnie meldunkiem komandora Mitchella, zignorował pan rozkaz czekania do przybycia „Ameryki”. W efekcie doprowadził pan swoją jednostkę niebezpiecznie blisko okrętu obcych.

– Podjąłem decyzję na podstawie osobistej oceny sytuacji na miejscu. Sir.

To była jak najtrudniejsza do podważenia w sądzie linia obrony. Zgodnie z prawem i regulaminami od kapitana okrętu wymaga się, by robił to, co jego zdaniem jest najlepsze dla zapewnienia powodzenia misji, bezpieczeństwa okrętu i załogi... W tej kolejności. Inni oficerowie mogli kwestionować te decyzje, jednak zdarzało się to niezwykle rzadko, ze względu na to, że nie byli na miejscu i nie znali całej sytuacji.

Oficerowie w sądzie najczęściej uznawali w takim wypadku, że wątpliwości działają na korzyść oskarżonego, choćby dlatego, że w analogicznej sytuacji sami chcieliby zostać potraktowani w podobny sposób.

Dużo prościej byłoby, gdyby Dahlquist po prostu zignorował pierwszy rozkaz Graya, tak jak wydawało się, że ma zamiar zrobić. Mógłby zostać oskarżony o tchórzostwo, a przynajmniej o niewykonanie rozkazu w sytuacji zagrożenia. Prowadząc „Concorda” tuż pod nos obcym, komandor z całą pewnością oddalił jakiegokolwiek oskarżenia o tchórzostwo.

– W porządku, komandorze – cicho powiedział Gray. – Załóżmy, że wytłumaczył pan swój sposób rozumowania. Cemu zignorował pan mój rozkaz i doprowadził „Concorda” do obcych?

– Sir. Po pierwsze, nie byłem pewien zasadności pańskiej

jurysdykcji nad moją jednostką. Nie otrzymałem żadnych formalnych rozkazów.

– Pomińmy to, Dahlquist. Czemu zbliżył się pan do Charlie Jeden?

– Sir. Obcy wydawali się być wyłączeni z akcji, bez oznak życia. Ciągnęły ich trzy holowniki SAR, a w rejonie znajdowały się cztery myśliwce. Najbliższy okręt główny znajdował się o trzydzieści minut. Wiele może się wydarzyć w ciągu trzydziestu minut i obawiałem się, że obcy w tym czasie mogą naprawić uszkodzenie i podjąć próbę ucieczki. – Komandor wzruszył lekko ramionami. – Po prostu myślałem, że jeśli zbliżę się „Concordem”, jego uzbrojenie będzie stanowić dodatkową gwarancję. Sir.

– Rozumiem. I nie miał pan pojęcia, że technologiczne możliwości obcych wielokrotnie przekraczają pańskie.

– Tak jest. Szczególnie ta sztuczka, którą rozegrali z czasem. Wszystko działo się tak szybko, zwłaszcza z mojej perspektywy. Wydaje mi się, że zaczęli zakrzywiać czas wokół „Concorda”, gdy tylko znaleźliśmy się w odległości kilkuset metrów od nich.

Gray przyglądał się stojącemu przed nim oficerowi, rozważając możliwości. Jego pierwszą myślą było, że Dahlquist jest po prostu kolejnym aroganckim riste, nienawidzącym prymów i niechącym się poddać rozkazom człowieka, który jego zdaniem nie powinien być dowódcą. To wyjaśniałoby jego opór przed pogonią za Charlie Jeden, jednak wyglądałoby jak tchórzostwo, a to bardzo poważne oskarżenie. Późniejsza brawura komandora być może miała zatrzeć to wrażenie i wpędziła okręt w ogromne kłopoty.

A może Gray źle oceniał tego człowieka? Nie było go tam, a sytuacja rozwijała się dość dynamicznie.

Do rozważenia były także pewne względy praktyczne. Jeśli admirał zdecydowałby się wnieść oskarżenia przeciw Dahlquistowi, oznaczałoby to natychmiastowe odsunięcie go od dowodzenia. Musiałby więc albo wyznaczyć oficera z innego okrętu na kapitana „Concorda”, albo awansować na to stanowisko pierwszego oficera kutra. Kto to jest? Ach! Komandor



porucznik Denise Ames. Transczłowiek.

W tym momencie w Grayu ponownie obudził się prym, co wcale mu się nie podobało. Urodzony i wychowany na Peryferiach Manhattanu, Gray podzielał uprzedzenia prymów w stosunku do transludzi – byli oni precyzyjnymi produktami inżynierii genetycznej, doskonałymi w matematyce i logice, jednak pozbawionymi emocji. Stereotyp utrzymywał, że wszyscy transludzie cierpieli na OCD – zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Żartowano, że powinno się ich określać jako CDO, z literami ustawionymi w porządku alfabetycznym.

Gray zastanawiał się właśnie, czy jego brak zaufania do transludzi różni się czymkolwiek od braku zaufania riste do prymów.

Odkładając to na chwilę na bok, pomyślał, kogo mógłby przenieść. Na samej „Ameryce” było co najmniej kilkoro oficerów liniowych, którzy by się nadawali. Choćby Dean Mallory czy Laurie Taggart.

Nowy skipper nie miałby jednak czasu na zapoznanie się z okrętem i załogą. Ta sama zasada obowiązywała także w drugą stronę. Zawsze istniało także ryzyko, że Gray może zostać oskarżony o faworyzowanie swoich ludzi, zwłaszcza jeśli Ames była popularna wśród załogi „Concorda”. Należało raczej kierować się już istniejącą wśród ludzi chemią. Oczywiście jeśli od samego początku chemia ta nie była spaprana...

Spory dylemat.

„Concord” został już aktywowany jako okręt Marynarki i przydzielony do flotyli Graya, wraz z dwoma okrętami siostrzanymi. A Gray chciał oficerów, którym mógł zaufać.

Równie istotne było jednak morale załóg.

Balansując pomiędzy tymi dwoma potrzebami, Gray podjął decyzję. Ciągnięcie faceta przed sąd wojenny nie było tego warte. Gdyby to zrobił, istniało spore prawdopodobieństwo, że linia obrony oparta na „własnej ocenie sytuacji” mogła okazać się skuteczna, a wtedy komandor stałby się jeszcze bardziej arogancki.

Jednak Gray mógł nauczyć go bojaźni bożej, a w hierarchii

Marynarki to admirał był bogiem.  
Pochylił się nad biurkiem...  
...i wypalił. Z obu luf.

„The Long Way Down”  
Midway  
Winda kosmiczna Quito  
Godzina 19.55 TFT

- Za pierdolony pokój!
- Niech będzie za pierdolony pokój!

Ośmioro pilotów „Black Demons” siedziało przy barze, zamawiając kolejkę drinków z zamiarem powtarzania tej czynności przez dłuższy czas. Megan Connor podniosła swoją szklaneczkę, zastanawiając się, czy będzie potrzebować wytrzeźwiacza, by wrócić na okręt.

„The Long Way Down” cieszył się popularnością wśród pilotów myśliwców i załóg okrętów. Większość z gości stanowili wojskowi, jednak piloci z lotniskowców byli szczególnie hałaśliwi.

*Jesteśmy głośną bandą – pomyślała Connor – ale, kurwa, czemu nie? Zastąpiliśmy sobie na prawo wyluzowania w wolnym czasie.*

Po spełnieniu toastu piloci odstawili kieliszki na bar. Ziemia, widoczna do połowy, świeciła biało-niebiesko u ich stóp.

Knajpa była nieco nietypowym miejscem, nie znajdowała się bowiem na geostacjonarnej orbicie, jak baza Marynarki i reszta zabudowań, tylko w Midway, w połowie drogi, na poziomie siedemnastu tysięcy dziewięciuset kilometrów. Na geosynchronicznej, trzydzieści pięć tysięcy osiemset kilometrów nad poziomem równika, panowała zerowa grawitacja. Jednak w połowie tej odległości, w punkcie nieformalnie nazywanym „Midway” lub „poziom 17-9” siła odśrodkowa nie równoważyła grawitacji, która miała tu wartość jednej ósmej G, czyli nieco mniej niż na Księżycu.

To z kolei oznaczało, że miejsca takie jak „The Long Way Down” nie potrzebowały obrotowych modułów symulujących grawitację. Przedmioty spadały wolno, ale spadały, a ludzie, jeśli byli wystarczająco uważni, mogli chodzić. Właściciele baru na podłodze położyli prawdziwy transplas, a nie ekrany wideo. Chodziło się po prawdziwym oknie zawieszonym prawie osiemnaście tysięcy kilometrów nad Ziemią. Z tego miejsca widoczny był czterdziestostopniowy jej wycinek. Słońce zachodziło już nad Oceanem Atlantyckim, podczas gdy nad Stanami Zjednoczonymi jeszcze świeciło. Megapolis Brasil podświetlone było na pomarańczowo, a słoneczna iluminacja uwypuklała resztki Puszczy Amazońskiej.

Connor widziała z boku przewód windy, niknący gdzieś w głębinie. Błysk ruchu w kącie oka przykuł uwagę dziewczyny, srebrny pojazd poruszał się w dół, do góry Cayambe na równiku.

Porucznik Don Gregory położył dłoń na wierzchu stołu, przywołując menu, które wyświetliło się na wysokości jego wzroku. Przymknął oczy, zamawiając kolejnego drinka.

– Chciałbym wiedzieć – powiedział – czy Gienie pozostaną pokojowi.

„Gienio” było żartobliwym określeniem członka rządu Konfederacji w Genewie.

– Dla swojego dobra powinni – odparła, śmiejąc się, Connor. – Albo znów skopiemy im dupy.

– To właśnie jest problem – stwierdził porucznik Ruxton, przyglądając się do połowy pustej szklance. – Nie skopaliśmy im tyłków wystarczająco mocno za pierwszym razem, prawda? Trzymamy ich po prostu... trzymamy drani za... na wyciągnięcie...

Wyglądało na to, że Ruxton potrzebował już wytrzeźwiacza.

– A tam, całkiem nieźle im dowaliliśmy – dodał porucznik Fred Dahlquist. – Zamknęliśmy gęby memami i daliśmy nową religię.

– Ooo, tylko nie to gówno – zaprotestował porucznik Chris Dobbs. – Te twoje teorie spiskowe...

– Ej! – odparł Dahlquist. – Wiem to od mojej dziewczyny, która pracuje w górze Cheyenne! Mówi, że wysłaliśmy grupę

cyberkomandosów do sieci Genewy i zaimplantowaliśmy Światło Gwiazd jako ruch pokojowy, by zwrócić Europejczyków przeciw ich własnemu rządowi.

– Ryzykując, że to się rozniesie? – wątpił Dobbs. – Nie kupuję tego.

– Kogo obchodzi, skąd się wzięło? – powiedziała, wzruszając ramionami, Connor. – Jeśli to oznacza, że nie musimy walczyć z draniami, ja to popieram. Nie powinniśmy zabijać innych ludzi. Mamy wystarczająco dużo problemów ze Sh'daar.

– Plotki, które ja słyszałam – dołączyła do rozmowy porucznik Sara Hathaway – mówią, że wkrótce będziemy mieć także pokój ze Sh'daar. Mówi się, że Glothr to dobrzy goście.

– Nie bardzo, *chica* – odparł porucznik Martinez. – Negocjowali z Konfedami.

– Nie wiemy, z którymi Konfedami, Enrique – odparła Connor. – Z bandą Korosiego? Czy z „miłość i pokój” Światłem Gwiazd? A może przybyli na Ziemię właśnie z traktatem pokojowym?

– Takiego wała. Już raz mieliśmy pokój ze Sh'daar – powiedział Gregory. – Dwadzieścia lat temu. Ale nie potrwał za długo, prawda?

– Problem polega na tym – Connor uważnie dobierała słowa – że system jest zbyt duży. Wojna to obecnie nie prosta bójka między dobrymi i złymi. Cholera, może nigdy nie było to takie proste. To, co my nazywamy Sh'daar, jest... takim... ogromem. Tak wiele różnych gatunków z tak wieloma różnymi poglądami na kosmos. To cud, że w ogóle potrafią się ze sobą dogadać. Może być tak, że kontrolowanie ich, sprawienie, by zaatakowali w określonym czasie lub też zaprzestali ataków, jest po prostu niemożliwe.

– A to cholernie ważna uwaga – stwierdził Dahlquist. – Chcą się poddać, ale część ciągle atakuje. To mogłoby spowodować spore problemy dyplomatyczne, co nie?

– Nie sędzę, aby dyplomacja miała tu jakieś znaczenie – zauważyła Hathaway. – Niby jak? Sama koncepcja dyplomacji jest dość skomplikowana, a żaden z gatunków, które dotąd spotkaliśmy, nie odnosił się do niej w ten sam sposób. Być może

nigdy nie będziemy w stanie rozmawiać z niektórymi z nich. Nie tak otwarcie, jak rozmawiamy z Agletsch.

– A jest tak tylko dlatego, że to Agletsch są mistrzami w tworzeniu sztucznych języków i mają tak rozległą wiedzę o innych rasach Sh'daar. Dzięki nim możemy w ogóle rozmawiać z kimkolwiek – powiedział Gregory – włączając w to same Agletsch. Masz jednak rację. Ludzie przetrwali ostatnich kilka dekad tylko dlatego, że przeciwnik ma takie same kłopoty, by porozumieć się między sobą, jak i z nami.

– Nie wydaje mi się, by to była prawda – zaproponował porucznik Bruce Caswell. – Z tego, co można było usłyszeć, Gienki całkiem nieźle dogadywali się ze Sh'daar.

– Jeśli pod słowem „dogadywać” rozumiesz „sprzedawać ludzkość”, to masz rację! – prychnął Gregory.

Robot kelnerski, ślizgając się w polu magnetycznym, znalazł się koło stolika i uzupełnił drinki. Connor wołała bary z ludzką obsługą. Jednak większość tego typu przybytków, stworzonych dla żołnierzy, pełna była nagości i seksu za pieniądze.

Dla ścisłości, Connor nie była pruderyjna. Urodziła się i wychowała na Atlantyce, jednym z wolnych państw-miast dryfujących po oceanach, poza wodami terytorialnymi, miejscu, gdzie naturyzm był zwyczajowym stylem życia. Jednak epatowanie seksem, nastawienie na zarobek było początkowo nudne, a potem wręcz denerwujące. Kilka miejsc, takich jak lokal, w którym przebywali, przeznaczonych było raczej na konsumpcję alkoholu. Dziewczyna skończyła swojego drinka i po chwili zastanowienia zamówiła następnego.

– A więc mamy pytanie – powiedział Martinez. – Czy ta pieprzona wojna faktycznie się skończyła?

– Oczywiście, że tak – odparł Dobbs. – Rząd Gieniów upadł. Korosi jest aresztowany. Światło Gwiazd przejmuje władzę. To koniec.

– Chciałabym móc w to wierzyć – powiedziała Connor.

– A co wiemy o tych nowych obcych? – spytała Hathaway. – Wiem, że w tej chwili są w Crisium. Możemy z nimi gadać?

– Pracują nad tym – odparł Martinez. – To trudne, bo oni

migają do siebie światełkami. Na szczęście ich komputery mają translator Robali.

– Taa, Robale gadają ze wszystkimi – powiedział porucznik Jon „Messer” Schmitt. – Nie zapominajmy jednak, że Glothr rozmawiali z kimś w Północnych Indiach bez pomocy Agletsch. Dla mnie to bardzo interesujące.

– Założę się, że wywiad ma pełne ręce roboty – dodał Gregory.  
– Nie zdziwiłbym się, gdyby Glothr okazali się nowymi „ustami” Sh’daar.

– Co? – zdziwiła się Hathaway. – Mieliby zastąpić Agletsch?

– A czemu nie? – powiedziała Connor. – To miałyby sens, biorąc pod uwagę, skąd przybyli. Lub z kiedy...

– Masz rację – potwierdził Gregory. – Meldowałaś, że ich kurs przechodzi przez Ul, prawda?

Spojrzał na nią w sposób, który mógł sugerować głębokie zainteresowanie tematem albo... nią samą.

Connor potrząsnęła głową, ale nie pozbyła się tej ostatniej myśli.

Ściągnęła dane ze swojej pamięci przenośnej RAM i umieściła na lokalnej sieci, tak by wszyscy mogli je widzieć. Delikatne linie trójwymiarowego ekranu nawigacyjnego pojawiły się nad stołem, jednak z dużo większą dokładnością można je było zobaczyć na wyświetlaczach wewnętrznych.

– Czekał, co to jest? – chciał wiedzieć Schmitt. – Kurs Charlie Jeden?

– Tak. Zrobiłam szybką analizę podczas pościgu. Okazało się, że kurs prowadzi dokładnie do M44.

– M44? – spytał Dobbs. – To inna galaktyka?

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna. – Otwarta gromada gwiazd. Zbiorowisko około tysiąca gwiazd jakieś pięćset lat świetlnych stąd. Znane jest jako Ul albo Praesepe.

– Praesepe? Co to, kurwa, jest?

– Żłóbek po łacinie.

Rzymianie najwyraźniej nie widzieli w układzie gwiazd szczypców raka, lecz dwa osiołki jedzące z jednego żłóbka.

Gregory dokładnie przyglądał się mapie.

- AGTR Praesepe. Kierowali się na AGTR Praesepe.
- To dość oczywiste, prawda? – powiedziała Connor. – Wydaje mi się, że nasi Glothr mogą być nie tylko z daleka, ale także z dawna. Spójrzcie.

## **PLIK 019272 Z BAZY DANYCH AGLETSCH**

**SYSTEMY GWIEZDNE I GROMADY:** GROMADA ULA

**KLASYFIKACJA:** ZIELONY – ECHO

**KOD KLASYFIKACYJNY OBJEKTU:** A9: OTWARTA GROMADA GWIEZDNA

**NAZWA:** GROMADA ULA

**INNE NAZWY:** PRAESEPE, M44, NGC 2632, CR189

### **POŁOŻENIE**

**KONSTELACJA:** RAK; **RA/DEC:** 08H 40,4M; 19<sup>0</sup> 41'

**DYSTANS:** 577 LAT ŚWIETLNYCH

**IŁOŚĆ GWIAZD:** CO NAJMNIEJ 1000

**MASA CAŁKOWITA:** ~580 MASY SŁONECZNEJ

**KOMPOZYCJA GWIEZDNA:** CZERWONE KARŁY KLASY M: 68%; GWIAZDY KLAS F,G I K: 30%; GWIAZDY KLASY A: 2%, W TYM 42 GIGANTY CANCRI, JEDEN GIGANT A9 III; GIGANTY KO III: 4; JEDEN GIGANT GO III.

**WIEK:** ~600 MILIONÓW LAT

**ŚREDNICA JĄDRA:** ~22 LATA ŚWIETLNE

**OPIS:** PRAESEPE JEST JEDNĄ Z POŁOŻONYCH NAJBLIŻEJ SŁOŃCA GROMAD OTWARTYCH. JEST TAKŻE NIECO LICZNIJSZA OD WIĘKSZOŚCI INNYCH. Z ZIEMI GOŁYM OKIEM WIDOCZNA JEST BARDZO SŁABO, JAKO ROZMYTA PLAMA ŚWIETLNA. ZNANA JEST OD CZASÓW ANTYCZNYCH I BYŁA OBIEKTEM BADAŃ GALILEUSZA PRZY

POMOCY PIERWSZYCH TELESKOPÓW.

**SYSTEMY PLANETARNE:** DWIE PLANETY, ODKRYTE W 2012 ROKU – OZNACZONE JAKO PRO201B I PRO211B – BYŁY PIERWSZYMI PLANETAMI ZLOKALIZOWANYMI W TEJ GROMADZIE. OBECNIE LICZBĘ PLANET SZACUJE SIĘ NA OKOŁO 6000. DO CHWILI OBECNEJ W PRAESEPE NIE PROWADZONA BYŁA ŻADNA EKSPLOKACJA ZE STRONY LUDZKOŚCI.

**ZASIEDLENIE:** ANALIZA ZAPISÓW AGLETSCH Z 2424 ROKU WSKAZUJE OBECNOŚĆ W SERCU GROMADY ZMODYFIKOWANEGO CYLINDRA TIPLERA, TAK ZWANEGO WĘZŁA SH'DAAR. ZNANY JAKO AGTR ARTEFAKT ZOSTAŁ PRAWDOPODOBNIENIE SKONSTRUOWANY PRZEZ WYMARŁĄ CYWILIZACJĘ OKOŁO PÓŁ MILIARDA LAT TEMU. TEN OGROMNY CYLINDER, WIRUJĄCY Z PRĘDKOŚCIĄ ZBLIŻONĄ DO PRĘDKOŚCI ŚWIATŁA, ZAPEWNIĄ SKRÓT ZARÓWNO W PRZESTRZENI, JAK I W CZASIE I MOŻE SŁUŻYĆ JAKO DROGA ŁĄCZĄCA WSPÓŁCZESNE GALAKTYKI Z RODZIMĄ GALAKTYKĄ SOJUSZU SH'DAAR SPRZED 876 MILIONÓW LAT.

Podczas gdy duże gromady kuliste, takie jak Omega Centauri, były gęsto upakowane milionami gwiazd, tworzących roje o średnicy kilkuset lat świetlnych, gromady otwarte charakteryzowało większe uporządkowanie. Gromada Ula miała około czterdziestu lat świetlnych średnicy i była luźnym skupiskiem około tysiąca gwiazd o przybliżonym wieku sześciuset milionów lat.

Jak dotąd nie dotarła tam żadna ziemską ekspedycja, a gromada uważana była za miejsce niesprzyjające zasiedleniu. Jeśli te gwiazdy miały tylko pół miliarda lat, to planety krążące wokół nich nadal były młode, nieujarzmione i raczej sterylne lub też posiadające jedynie najprymitywniejsze formy życia. Gdy



Ziemia była w tym wieku, w jej wodach dopiero zaczynało pojawiać się życie. Gromada Ula nie mogła się zbyt różnić pod tym względem.

A tymczasem...

Connor przewinęła kilka gigabajtów danych, śledząc wiadomości o AGTR. Ten tajemniczy obiekt mógł zmienić wszystko.

Obiekty AGTR były cylindrami Tiplera, strukturami zaproponowanymi teoretycznie w latach dwudziestych dwudziestego wieku przez węgierskiego matematyka Cornela Lanczosa w celu rozwiązania równań ogólnej teorii względności. Pięćdziesiąt lat później fizyk Frank Tipler, analizując równania, doszedł do wniosku, że ultragęsty cylinder, obracający się wzdłuż swej długiej osi z ogromną prędkością, może służyć do podróżowania na olbrzymie odległości, a także w czasie. Późniejsze obliczenia odrzuciły aspekt podróży w czasie, gdyż musiałyby zakładać istnienie cylindra o nieskończonej długości.

Okazało się jednak, że istnieje rozwiązanie problemu. Przy wykorzystaniu materii o negatywnej energii w strukturze cylindra można było wygenerować zamknięte, czasopodobne krzywe, pozwalające podróżować w czasie bez nieskończenia długiego cylindra.

Cylindry Tiplera były oczywiście całkowicie hipotetyczne.

Aż wreszcie odkryto pierwszy AGTR, w okolicy gwiazdy Texaghu Resch, sto dwanaście lat świetlnych od Ziemi. Ta anomalia, określona przez Agletsch jako jeden z wielu węzłów Sh'daar, opisana została jako „odwrócona maszyna Tiplera”, ogromna i ewidentnie sztucznie stworzona struktura, która najwidoczniej skupiała siły zaginające przestrzeń i czas wewnątrz cylindra. Na początku wydawała się być częścią sieci połączonych węzłów, tworzących rodzaj galaktycznego metra, pozwalającego pokonywać odległości tysięcy lat świetlnych.

Po jakimś czasie, dzięki śledzeniu ruchów okrętów Sh'daar przy pierwszym napotkanym cylindrze, Grupie Bojowej „Ameryka” udało się odkryć ścieżki poprzez czas i przestrzeń, w tym jedną prowadzącą do Chmury N'gai, kieszonkowej galaktyki,

znajdującej się tuż pod płaszczyzną Drogi Mlecznej, osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat wcześniej. Ta mała galaktyka została pochłonięta przez Drogę Mleczną po upływie około dwustu milionów lat, lecz jej rdzeń istniał nadal jako gromada kulista Omega Centauri. Grupa bojowa przeleciała przez cylinder do serca Chmury N'gai, spotykając się ze Sh'daar na ich gruncie w zamierzchłej przeszłości.

Sh'daar, używający cylindra AGTR, by atakować lub wchłaniać kultury galaktyczne w czasach współczesnych, zgodzili się powstrzymać swoje wypadki, prawdopodobnie z obawy, że ingerencja ludzi w przeszłości mogłaby wymazać ich istnienie w teraźniejszości.

Niestety, wrogie działania zostały wznowione dwadzieścia lat później.

Connor zastanawiała się, co uległo zmianie.

– Chodzą plotki – powiedział Martinez uroczystym tonem – że „Ameryka” wraca do T-sub, by na serio skopać Sh'daar dupy.

T-sub było slangowym określeniem czasu, w którym znalazła się „Ameryka”.

– Taa – dodał Ruxton. – Ale z kim się tam spotkamy? Ze Sh'daar? A może z ur-Sh'daar? Sub robi subtelny różnicę.

– Nie rozumiem – powiedział Caswell. – Sh'daar, ur-Sh'daar? To jest to samo.

– Z wyjątkiem tego – odparła Hathaway – że Urowie znikli.

– Jasne – powiedział Gregory. – Ale jeśli cofniemy się przed osobliwość? Jeśli dowiedzieliby się, że zostawia taki burdel?

– Wątpię, czy byliby w stanie cokolwiek z tym zrobić, Don – odparła Connor. – Chodzi mi o to, że co niby mieliby zrobić? Zatrzymać coś, co jeszcze nie doszło do skutku? Niemożliwe.

– Nie – przyznał Gregory. – Ale po transformacji mogą zająć się problemem i pomóc tym, którzy pozostali.

– Może. Nie wydaje mi się, byśmy rozumieli, co zaszło. Wystarczająco trudno jest zrozumieć zachowanie nieludzi, nawet gdy gra się na tym samym polu. Z Agletsch jest sprawa jasna. Wiemy, że handlują informacjami, wymieniają dane, które posiadają, za dane, które my posiadamy, plus nieco metali

ciężkich. Dobry stary kapitalizm. To jesteśmy w stanie zrozumieć, prawda? Ale gdy przychodzi do zrozumienia kolektywnych cywilizacji gwiazdnych, stojących na dużo wyższym poziomie technologicznym, żyjących setki milionów lat temu w odległej galaktyce... Jak w ogóle możemy próbować ich zrozumieć?

Gregory zaśmiał się.

– Twój problem, Meg, polega na tym, że w ogóle nie wierzysz w osobliwość.

Kiedyś rozmawiali już na ten temat.

– Nie, nie wierzę.

Nazywana czasem osobliwością Vingego, od nazwiska dwudziestowiecznego matematyka, który spopularyzował tę ideę, osobliwość technologiczna miała być punktem w rozwoju cywilizacji, w którym inteligencja organiczna wchodzi w kontakt ze sztuczną w sposób całkowicie i nieodwracalnie zmieniający koncepcję życia. Ludzie traktowali technologie GRIN jako napęd do takich zmian.

Czy jednak ta zmiana, transformacja do całkowicie nowej formy życia, była faktycznie nieodwracalna? Wszystkie próby przewidywań dotyczących ludzkiej transcendencji jak dotychczas zawiodły. Futurysta Raymond Kurzweil przewidywał, że osobliwość technologiczna będzie miała miejsce nie później niż w 2045 roku. Sam Vinge określał ten czas na okres pomiędzy 2005 a 2030 rokiem.

Od tego czasu minęły cztery stulecia i nie dokonało się żadne przejście w stan nadludzki.

Super-AI były powszechne, ludzie nosili w głowach implanty, w ciele obwody pozwalające im podłączyć się do sieci elektronicznych i maszyn. Ludzkie mózgi wspierane były przez technologię, jednak nie zostały zastąpione przez urządzenia, nie uznano ich za przestarzałe i nie przeszły transformacji w coś nierozpoznawalnego. Ludzie nie zdecydowali się także na załadowanie swoich cyfrowych osobowości do wirtualnej rzeczywistości, co mogłoby oznaczać w pewnym sensie nieśmiertelność. Oczywiście nieśmiertelność dla kopii, a nie dla

oryginału, który prędzej czy później musiał umrzeć. Owszem, łądowano świadomość do zdalnie sterowanych pojazdów i maszyn, jednak po zerwaniu połączenia człowiek wracał do własnego ciała.

W skrócie, nadal byli ludźmi.

Z tych wszystkich powodów Connor była przekonana, że osobliwość technologiczna jest tylko hipotezą, wymyśloną bzdurą i taką pozostanie w przewidywalnej przyszłości. Nie wiedziała, co stało się z antycznymi ur-Sh'daar, ale bardziej prawdopodobne wydawało się jej, że współcześni ludzie nie rozumieli obcej cywilizacji sprzed wielu milionów lat.

Ludzie nie byli bogami i nie zanosilo się na to, by mieli się nimi stać. Transhumanizm był mitem. Następne pytanie poproszę...

– Wydaje mi się – powiedziała Hathaway, sprowadzając dyskusję na poprzednie tory – że ważnym pytaniem jest, co Glothr myślą o przechwyceniu ich okrętu i co mają zamiar z tym zrobić.

– Jeśli przylecieli zawierać pokój z Konfederacją – powiedział Martinez – mogą chcieć dogadać się także z nami.

– Zastanawiam się, czy oni widzą różnicę między nami a Genewą – zauważyła Connor.

– Interesujące pytanie – przyznał Gregory. – Oczywiście, każdy obcy, który trochę nas zna, wie, że jesteśmy podzieleni jak cholera. Zawsze gotowi skoczyć sobie do gardeł, chyba że ktoś z zewnątrz da nam powód, by się zjednoczyć.

– Ha! – Schmitt uderzył dłonią w stół. – Tym razem nie zadziałało. Chodzi mi o to, że od sześćdziesięciu lat napierdzielamy się z różnymi odłamami Sh'daar, a mimo to zafundowaliśmy sobie jeszcze pierdoloną wojenkę domową.

– *Semper humanus* – potwierdziła Meg. – Zawsze ludzie.

– To przygnębiająca myśl – powiedziała Hathaway. – Mówisz, że nie potrafimy się zmienić...

– O, zmienimy się – powiedział Dobbs, zamawiając kolejnego drinka. – Osobliwość nadciąga, bracia.

Podniósł pustą szklankę w salucie.

– Alleluja!

– Mogę usłyszeć „amen”? – dodał Gregory ze śmiechem.

Obaj spojrzeli na Connor, która wzruszyła ramionami. Doskonale wiedziała, że nie wygłaszali w tej chwili swoich poglądów, a po prostu się z nią drażnili.

– Ej, uważajcie – powiedział Schmitt. – Jeszcze nie odwołali Białej Konwencji.

– Spokojnie, zrobią to – odparła Hathaway. – Biorąc pod uwagę, jak szybko rozprzestrzenia się Światło Gwiazd, będą musieli.

– I tu właśnie stary Dobbs ma rację. Światło Gwiazd z całą pewnością szybciotko zakończyło wojnę. Dlatego uważam, że to wirus religijny.

– Słyszałam te ploty – odparła Connor. – Nie wierzę w nie.

– Nie? – spytał Gregory. – Do cholery, poruczniku, a w co ty wierzysz?

– W to, że USNA są w zasadzie samotne we wszechświecie – powiedziała. – I wciąż długa droga przed nami. Zapomnijcie o transludzkiem gównie, osobliwościach i reszcie pierdół o bogach z kosmosu. W tej chwili skupić musimy się na przetrwaniu jako gatunek.

– Noo – przyznał Ruxton. – Tran... Tran... ludzie wygrają. Homo bohaterus. Homo... techno...

– Spokojnie, Rux – powiedział Caswell. – Trochę za dużo soku przyjąłeś. W porządku?

– Taaaa... pierdolona dziwka – odpowiedział zapytany, waląc się twarzą na stół.

Caswell spojrział na pozostałych.

– Żona go zostawiła – wyjaśnił. – Dowiedział się dziś rano.

– Jego... żona? Znaczący... jest monogiem?

– Obawiam się, że tak. Z Peryferii Bostonu. Nie wiedzieliście? Najwyraźniej wpadła w towarzystwo transludzi.

– No tak – potwierdził Martinez. – Niektóre grupy trans całkowicie odrzucają związki długoterminowe.

– To dość oczywiste – pokiwał głową Gregory. – Jeśli jesteś transczłowiekiem, mogącym żyć praktycznie w nieskończoność, to nie chcesz na wieczność wiązać się z jednym partnerem, prawda? Wieczność to jednak dość długo.

Connor przeciągnęła się. Nie była pewna, co ma sądzić o monogach, krążyły plotki, że nawet admirał Gray jest jednym z nich. Większość prymów była, mimo że po dołączeniu do cywilizacji ich poglądy nieco się zmieniły.

Spojrzała na Ruxtona, który głośno chrapał na stole. Biedny drań. Nic dziwnego, że próbował się upić.

– Strzelamy mu wytrzeźwiacza? – spytał Schmitt.

– A po co? – Caswell wzruszył ramionami. – Niech śpi. Damy mu, jak będziemy się zbierać na okręt.

– A więc... – Schmitt starał się zmienić temat – jakieś przewidywania, jak zakończy się sprawa z Glothr?

Gregory uśmiechnął się.

– Może nasi nowi przyjaciele wskażą drogę.

– Oczywiście – odparła Connor. – Jeśli domyślimy się, co chcą nam powiedzieć.

Uniosła dłoń i zaczęła szybko, ze zmiennym rytmem otwierać ją i zamykać, parodiując miganie świateł.

# Rozdział dziesiąty

**16 lipca 2425**

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 9.10 EST

– Kanał otworzy się za chwilę, panie prezydencie.

– Dziękuję, Konstantin.

Koenig spojrział na pozostałych zgromadzonych: generała Nolana – szefa sztabu armii, admirała Eugene’a Armitage’a – przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, sekretarza obrony Lawrence’a Brookingsa, Sarę Taylor – sekretarz spraw obcych, admirała Vincenta Lodge’a – szefa wywiadu Marynarki i Philipa Caldwell’a – narodowego doradcę bezpieczeństwa. Wszyscy siedzieli na ustawionych w koło fotelach. Doradcy trzymali się na uboczu.

– Rozumiem, że jakość przekładu nieco się poprawiła – na poły stwierdził, na poły spytał Koenig.

– Zdecydowanie, panie prezydencie – zapewnił admirał Lodge.

– Dialekty Agletsch są pomocne, ale AI tłumaczące w Crisium wykonały ogromną robotę.

– Dużo pomogli także sami obcy, pracując bezpośrednio z AI – dodała Taylor. – To będzie jak rozmowa z człowiekiem – uśmiechnęła się – w niezłej symulacji przygodowej.

– To dobrze. Widziałem zapisy nagrane przez... Klaatu, prawda? Sporo miejsca na niezrozumienie.

– A swoją drogą, jak ma na imię obcy? – chciał wiedzieć

Caldwell.

– Joe – odparł Koenig.

– Joe? – powtórzył Brookings. – Coś, co wygląda jak błyszcząca w ciemności meduza?

– Imię zostało nadane przez AI translacyjną, panie sekretarzu – wyjaśnił Lodge. – Pan myśli „Joe”, a program zamienia je na prawdziwe imię stworzenia.

– Co w rzeczywistości jest serią błysków świetlnych, które nie mogą zostać zamienione na dźwięk – dodała Taylor. – Dopóki program się w tym orientuje, sam martwi się o takie szczegóły za nas.

– Jakies domysły, czego chcą od nas Glothr? – spytał Eugene Armitage.

– Najprawdopodobniej wypuszczenia ich do domu – odparł Koenig. – Tam najpewniej lecieli, gdy ich zatrzymaliśmy.

– Dobrze byłoby wiedzieć, co robili w Północnych Indiach – powiedział Nolan. – Za dużo mamy niewiadomych.

– Ale to chyba wiemy? – powiedział Armitage. – Konfederaci ostatnio szukali pomocy u Sh'daar, by nas pobić.

– Być może – potwierdziła Taylor. – Ale nie możemy opierać się na najprostszycy odpowiedziach. Nie w kontaktach z istotami tak różnymi od nas.

– Sprawdzamy w pewnych źródłach w New Delhi – powiedział Lodge. – Jak dotychczas, bez odpowiedzi. Tu może chodzić o coś innego, a nie prosty sojusz.

– Panowie, pani Taylor – rozbrzmiał w ich głowach głos Konstantina. – Jesteśmy gotowi do połączenia. Przypominam, że w celu uniknięcia nieporozumień tylko prezydent Koenig będzie się zwracał do Glothr bezpośrednio. Jeśli są państwo gotowi, możemy zacząć...

W głowie Koeniga otworzyło się okno, w którym widać było obcego.

Prezydent wiedział oczywiście, czego się spodziewać. Widział już Glothr dzięki robotowi pierwszego kontaktu podczas operacji w okolicy Neptuna. Później oglądał ich przybycie do laboratorium pod Mare Crisium na Księżycu. A Konstantin stale



informował go o postępach prac.

Jednak spojrzenie z bliska było zawsze czymś nowym.

Stworzenie, które zobaczył, było po prostu piękne: przezroczyste ciało ukazywało plamy, kropki i pasy światła.

Istniało wiele domysłów na temat tego, jak te podwodne stworzenia rozwinęły technologię, jednak najważniejsze z nich dotyczyły rezultatów tego rozwoju, a dokładnie robotów. Glothr wydawali się być ekspertami robotyki. Ich błyszczące, cygarokształtne maszyny z wieloma oczami i mackami były wszędzie na okręcie i okazały się niezastąpione przy początkowych próbach tłumaczenia. A przecież Sh'daar zakazywali rozwoju robotyki wśród podległych ras. Czemu zasada ta nie odnosiła się do Glothr?

Tego Koenig musiał się dowiedzieć.

– Jesteś liderem ludzi – rozbrzmiał w głowie prezydenta komputerowy głos. W tym samym momencie słowa te pojawiły się na wyświetlaczu w formie pisanej. Jakość tłumaczenia faktycznie bardzo się poprawiła.

– Liderem? – powiedział Koenig. – Nie. Nie wszystkich ludzi. Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

– Nie rozumiemy. Powiedziano nam, że mówisz w imieniu Ziemi.

Koenig nie był pewien, jak najlepiej się zaprezentować. Jak wiele z ludzkiej polityki Glothr rozumieją? Ile powinni rozumieć?

– Ludzie są... podzieleni na wiele państw – odparł. – Niektóre chcą występować razem, w grupie nazywanej Konfederacją Ziemią. Innym zaś nie podoba się pomysł, żeby Konfederacja podejmowała za wszystkich decyzje, co można robić, a czego nie, zanim się na to nie zgodzimy.

– Tak jak przyłączenie się do sojuszu Sh'daar – zauważył Glothr.

Stworzenie okazało się nad wyraz szybkie. Może rozumiało dużo więcej, niż okazywało?

– Właśnie. Nie chcemy, by sojusz mówił nam, jak mamy prowadzić nasze interesy.

– Pomimo wszystkich korzyści? Tego właśnie zupełnie nie

rozumiemy, że wy, ludzie, a przynajmniej niektórzy ludzie, odrzucacie korzyści płynące ze wstąpienia do sojuszu.

– Jakich korzyści? – rzucił Koenig agresywniej, niż zamierzał. – Wstrzymania naszego rozwoju naukowego? Zabicia naszej ciekawości? Zahamowania naszego rozwoju ekonomicznego? Wyrzeknięcia się wybranego przez nas sposobu rozwoju cywilizacji?

– To wszystko razem wzięte jest trywialne w porównaniu z dołączeniem do imperium mającego miliard lat i rozciągającego się na całą Galaktykę. A to powstrzymanie rozwoju technologicznego, o którym mówisz, to tylko dla waszego dobra.

– A kto określa, co jest naszym najlepszym interesem?

– Oczywiście sojusz.

– Nie powinniśmy mieć czegoś do powiedzenia w sprawach naszej kultury?

– Ależ oczywiście, że będziecie mieli. Gdy staniecie się już częścią sojuszu.

Koenig uznał, że kontynuowanie tego tematu jest w tej chwili bezcelowe. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Sh'daar zarządzali swoją społecznością ani w jaki sposób podejmowane były decyzje, a nie uważał, żeby w tym momencie nadszedł najlepszy czas na naukę.

Tak czy inaczej, był zadowolony. Po raz pierwszy gatunek należący do Sh'daar rozmawiał z ludźmi o tym, czego chcieli. Nawet wtedy, gdy Koenig z grupą bojową wymusili traktat ze Sh'daar w Chmurze N'gai, istoty, z którymi rozmawiał przez komputer, nie próbowały pokazywać mu korzyści płynących z przystąpienia do sojuszu. Dyskusja sprowadzała się wtedy do stwierdzenia: „Zostawcie nas w spokoju, to i my was zostawimy”. Glothr natomiast wydawali się wyrozumiali, a nawet przyjacielscy. To była ogromna zmiana w nastawieniu.

A może ta zmiana była tylko wynikiem podejścia tego jednego gatunku? Tego Koenig nie wiedział, ale zaczął wierzyć, że Glothr mogą stać się dla ludzkości sprzymierzeńcami.

– Ludzie to uparta banda, Joe – powiedział prezydent. – Nie lubimy oddawać naszej niezależności nikomu, nawet sobie

samym. I naprawdę nienawidzimy, gdy ktoś przystawia nam pistolet do głowy, mówiąc, że musimy coś zrobić, nawet jeśli to coś teoretycznie jest dla nas dobre. Ale, być może, jeśli mógłbyś odpowiedzieć nam na kilka pytań, pomóc nam poznać was lepiej, kilka barier mogłoby upaść.

*Nic nie obiecywać* – powtarzał w myśli. *Skłonić go do mówienia...*

– Odpowiemy na co się tylko da – odparł Glothr. – Lepsze zrozumienie pomiędzy dwoma kulturami działa na obopólną korzyść.

– Zobaczymy. Nie jestem całkiem gotów, aby o tym dyskutować – powiedział Koenig. – Ale spójrz... sojusz Sh'daar wymaga od nas porzucenia między innymi robotyki.

– Nie do końca porzucenia. Chcemy, abyście zwolnili tempo rozwoju.

– Nie da się nie zauważyć, że Glothr posiadają bardzo zaawansowane roboty. Czemu wam pozwolono budować takie roboty, a nam chce się tego zabronić?

– Każdy przypadek, każdy gatunek jest inny – padła odpowiedź. – Nie ma prawdy absolutnej. Zhaotal Um pomagali nam na początku stworzyć cywilizację technologiczną, setki milionów lat temu, a roboty były niezbędne dla nas przy transformacji ze środowiska morskiego do gazowego, a także potem, gdy przenieśliśmy się w przestrzeń. Roboty, zarówno jako sztuczna inteligencja, jak i zdalnie sterowane ciała i organy sensoryczne dla naszych obserwatorów, były już integralną częścią naszej cywilizacji, kiedy po raz pierwszy skontaktowali się z nami ur-Sh'daar.

Koenig wstrzymał oddech. Obcy przekazał w tym momencie kilka bardzo ważnych informacji.

Otworzył boczne okno komunikacyjne do Konstantina:

– Mamy jakieś odniesienia do Zhaotal Um?

– Prawdopodobnie tak – odparła AI. – Na czterdzieści procent zwrot ten odnosi się do terminu z jednego z dialektów Agletsch.

– A znaczy?

– Mniej więcej... Gwiazdni Bogowie.

– Ha! Tak myślałem.

Oznaczało to, że podobnie jak H’rulka – nie mając dostępu do metali, ognia czy technologii topienia – Glothr otrzymali pomoc. A „Joe” otwarcie mówił, że udzielono jej im na długo przed pierwszym kontaktem z sojuszem... Co znaczyło, że Gwiezdni Bogowie z całą pewnością nie byli Sh’daar. Większość ksenosofontologów doszła już do tego samego wniosku, ale była duża grupa, która, delikatnie rzecz ujmując, miała odmienne zdanie. Sh’daar byli zaawansowanymi technologicznie gatunkami z tendencją do mieszania się w sprawy innych ras. Ergo, to oni musieli być mitycznymi Gwiezdnymi Bogami.

Było coś jeszcze, coś, co sprawiło, że Koenig cofnął się i jeszcze raz przejrzał pisemny zapis wypowiedzi. Ur-Sh’daar! Stworzenie mówiło, że kontaktowali się z ur-Sh’daar!

I jeszcze przyznanie, że cywilizacja Glothr liczyła setki milionów lat. To robiło wrażenie.

– Powiedz mi, Joe – zapytał Koenig – skąd przybyliście? Z Drogi Mlecznej czy może z Chmury N’gai?

– Nie jestem przygotowany, by podzielić się tą informacją.

– To może w takim wypadku powinienem zapytać, z kiedy jesteście. Trudno jest mi uwierzyć, że macie kilkaset milionów lat. Ale jeśli podróżowaliście w czasie, by się tu dostać – być może z Chmury N’gai, zanim stała częścią naszej obecnej Galaktyki – to staje się to bardziej wytłumaczalne.

– Największy problem z wami, ludzie – powiedział Joe, gwałtownie błyskając światłami w głowie Koeniga – polega na tym, że jesteście rzeczywiście efemeryczni. Wasz gatunek nie potrafi myśleć długodystansowo, nie potraficie planować na kilka milionów lat, nie jesteście w stanie myśleć w kategorii ewolucyjnych okresów czasu. Martwicie się, że Sh’daar chcą zwolnić wasze tempo rozwoju robotyki i genetyki, bo nie widzicie, że to opóźnienie nic nie znaczy w porównaniu z milionami lat... setkami milionów... miliardami.

– Twierdzisz, że Glothr istnieją jako gatunek od miliardów lat?

– Mówię, że wasz gatunek ma mniej niż pół miliona lat i pod względem technologicznym osiągnął najwyżej koniuszek macki.

– Jedna z macek stworzenia uniosła się w geście demonstracji. – Nieśmiertelna rasa może poświęcić eon lub dwa na podjęcie ważnej decyzji, bo czemu nie? Ma na to czas i wie o tym. To, na co sobie nie może pozwolić, to... pośpiech.

– Czy wasz gatunek jest nieśmiertelny?

– Całkowita nieśmiertelność jest niemożliwa. Wszechświat w którymś momencie umrze, a wraz z nim całe życie.

Koenig uświadomił sobie, że obcy nie odpowiedział na pytanie. Choć trudno było oceniać znaczenie wypowiedzi obcych tłumaczonych przez AI, prezydent miał podświadome wrażenie, że prawie przezroczysta istota próbuje wcisnąć mu „reklamę”.

– Jeśli jesteśmy tak prymitywni – powiedział – to do czego sojusz nas potrzebuje? Z całą pewnością nie wniesiemy nic nowego do waszej cywilizacji.

– Prawdopodobnie nie. Ale moglibyście przeszkadzać, gdyby wasza technologia doprowadziła was do stanu *Schjaa Hok*.

Koenig znał to określenie. W bardzo wolnym tłumaczeniu Agletsch znaczyło „transcendencja” i odnosiło się do nagłego zniknięcia setek miliardów mieszkańców galaktyki zwanej Chmurą N’gai.

Na Ziemi nadal istniały religie, które spodziewały się, że ich członkowie zostaną powołani przez Boga, coś, co fundamentaliści chrześcijańscy nazywali wniebowzięciem. Osiemset milionów lat temu całkowicie rzeczywiste wniebowstąpienie przytrafiło się ur-Sh’daar w N’gai. Nikt nie został powołany przez powracającego mesjasza, lecz zmieniony przez osobliwość technologiczną, po której większość cywilizacji zamieniła się... w coś innego. Czy to coś było życiem na innej płaszczyźnie, czy też w innym wymiarze, a może cyfrową egzystencją we wszechświecie komputerowym, tego nikt nie wiedział.

Wiadomo było jedynie, że ci członkowie cywilizacji, którzy nie przeszli transformacji, Outsiderzy, stali się współczesnymi Sh’daar.

– Panie prezydencie – szepnął admirał Armitage – proszę go spytać, co robili na Ziemi, w Północnych Indiach.

Koenig mentalnie odmówił. Bardziej interesowało go, czego

Sh'daar chcieli od ludzkości i czy istniała jakaś podstawa do negocjacji.

– Sojusz Sh'daar – powiedział do obcego – zgodził się zostawić nas w spokoju, gdy dwadzieścia lat temu odwiedziliśmy Chmurę N'gai. Ostatnio ponowiliście ataki. Dlaczego?

– Wydajecie się ulegać mylnemu wyobrażeniu – odparł zapytany. – Sojusz jest luźnym związkiem różnych gatunków i kultur. To nie jest... myślę, że najlepszym określeniem byłoby tu „imperium”. Nie ma silnego rządu centralnego ani pojedynczego lidera. Nie ma świata głównego czy panującego władcy. Jak coś takiego mogłoby funkcjonować w Galaktyce?

Koenig uśmiechnął się. W czasach, gdy dowodził grupą bojową, zwracał swoim podwładnym uwagę, gdy używali określenia „imperium Sh'daar”, dokładnie z tego samego powodu. Ile gatunków kontrolowanych było przez Sh'daar, pozostawało niewiadomą. Agletsch w swojej EG wspominały trzydzieści, lecz były to tylko te cywilizacje, o których ludzie kupili od kosmicznych handlarzy informacje. Zgodnie z ostatnimi ocenami w Galaktyce istniało około pięćdziesięciu milionów inteligentnych gatunków, z czego co najmniej kilka tysięcy kontrolowanych było przez Sh'daar. Zajmowały od jednej dziesiątej do połowy obszaru Galaktyki.

– A zatem, gdy Sh'daar powiedzą jednemu z gatunków, by coś zrobił, może on odmówić?

– To nie jest proste wydawanie poleceń, przypominających rozkazy do wykonania – odparł obcy. – Rozumiemy problemy, jakie stoją przed waszą cywilizacją.

– A co by było, gdyby ludzie przystąpili do negocjacji bezpośrednio ze Sh'daar? – spytał Koenig. – Być może...

– Wasza cywilizacja nie ma nic, co stanowiłoby dla nas wartość – powiedział Glothr, przerywając Koenigowi. – Mamy dostęp do wszystkich materiałów w Galaktyce i zdolności przetwarzania, przy których wasza nanotechnologia jest prymitywna.

To oczywiście był argument świadczący przeciwko znaczeniu szlaków handlowych i temu podobnych spraw. Przy dostępności pierwiastków podstawowych i procesów przetwarzania

podobnych do nanotechnologii możliwe było otrzymanie praktycznie dowolnego produktu końcowego. Innymi słowy, nie istniał absolutnie żaden powód, by podbijać inne światy, przynajmniej powód ekonomiczny. Nawet przestrzeń życiowa mogła być powiększana, choćby przez terraformowanie. Jedynie informacja miała jeszcze wartość, co potwierdziły kontakty z Agletsch.

– Musimy mieć jednak coś, co was interesuje – powiedział Koenig do obcego.

– Chcemy waszej współpracy – odparł Glothr. – Pragniemy uniknąć kolejnego *Schjaa Hok*, które niedługo może mieć miejsce w tej galaktyce. A z waszym udziałem, być może, stworzymy wspólny front przeciw... temu.

Nowe okno pojawiło się w głowach ludzi. Widać w nim było dziwny krajobraz gwiazdny Rozety, serca Omega Centauri, a w nim ogromne, zaginające czas i przestrzeń tajemnicze struktury światła, obejmujące wirujący układ czarnych dziur. W tle dziesięć milionów gwiazd formowało niemożliwą do przebiccia ścianę światła.

Tak zwani Obcy z Rozety wyłonili się wiru grawitacyjnego i zaczęli tworzyć sieć tajemniczych, tytanicznych struktur. Spekulacje, kim mogą być, wahały się od przybyszów z równoległego wszechświata czy też odległej przyszłości, do ur-Sh'daar pojawiających się z zamierzchłej przeszłości. Tych sześć wirujących czarnych dziur było współczesną wersją sześciu gigantycznych błękitnych gwiazd, znajdujących się w centrum Chmury N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat wcześniej, sztucznej rozety grawitacyjnej, używanej jako nieprawdopodobnie wielka maszyna Tiplera.

– Wiecie, kim są ci goście? – spytał Koenig.

– Tak, wiemy.

– To ur-Sh'daar, prawda?

– Twoje spekulacje są bezcelowe. Jeśli chcecie poznać prawdziwą naturę kosmosu, musicie dołączyć do nas i uczestniczyć w tym, jak Galaktyka transformuje w biologiczno-egzystencjalną rzeczywistość!

Terminologia Glothr stawała się coraz dziwniejsza.

Biologiczno-egzystencjalna rzeczywistość? Co, do cholery, biologia miała wspólnego z terminem pochodzącym z antycznej filozofii?

– Czy o tym dyskutowaliście z Konfederacją Ziemią? – spytał Koenig. – O egzystencjalizmie?

– Dyskutowaliśmy o formalnej asymilacji Konfederacji Ziemi z sojuszem Sh'daar. Bardzo szkoda, że wasz rozłam to przerwał.

– Tak jak powiedziałem, nie podoba nam się poświęcanie naszej niepodległości.

– Reprezentanci Konfederacji Ziemi byli skłonni to uczynić.

– Mogę się założyć, że tak – odparł Koenig, śmiejąc się.

– Co udowadnia, że twoje twierdzenie o niechęci poświęcenia niepodległości nie jest prawdziwe.

– Byli skłonni to uczynić – odparł Koenig – jeśli otrzymaliby od was pomoc przeciwko nam. Zawsze mieliśmy problemy z poświęcaniem wolności dla bezpieczeństwa.

– To wewnętrznie sprzeczne.

– Jeśli chcesz mówić o ludzkim egzystencjalizmie – odparł Koenig, nadal rozbawiony – musisz przyjąć ten absurd.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

*Bardzo dobrze* – pomyślał prezydent. *Niech zgaduje.*

– Joe, mam dla ciebie propozycję. Zakładam, że chciałbyś wrócić do domu.

– Byliśmy w drodze do domu, gdy wasze okręty... zatrzymały nas.

– Tak, przykro nam z tego powodu. Wasz okręt uciekał z kraju Konfederacji, naszego wroga, w momencie, gdy wrogowie właśnie się poddawali. Istniało prawdopodobieństwo, że członkowie rządów tych krajów lecą z wami.

– Nikt nie leciał. Znajdowaliśmy się na Ziemi na zaproszenie Konfederacji, by omówić przyszłe stowarzyszenie Ziemi z sojuszem.

– Takie właśnie było moje założenie. Jak poszły te negocjacje?

– Musisz porozmawiać z ludźmi, z którymi spotkaliśmy się na



Ziemi.

– Mamy już listę – odezwał się w głowie Koeniga głos Lodge’a. – Ludzie z rządu Konfederacji, ich Departamentu Stanu i służby dyplomatycznej. Wkrótce będziemy ich przesłuchiwać.

– Zrobimy to, Joe – powiedział Koenig. – Nie widzę powodu, by przetrzymywać tu wasz okręt.

– Możemy odlecieć?

– Prawdopodobnie tak. Chcielibyśmy jednak wysłać z wami kilka okrętów.

– Jakich okrętów?

– Lotniskowiec gwiazdny wraz z eskortą. To, co nazywamy lotniskowcową grupą bojową, a co składa się z dziesięciu do dwunastu jednostek. Chcielibyśmy spotkać się z przedstawicielami waszego rządu i sojuszem Sh’daar.

– To nie jest możliwe.

Koenig rozważał opcje. Miał w głowie blef, ale nie był pewien, jak daleko może się posunąć.

– Wiem, że odbyliście podróż nie tylko w przestrzeni, ale także w czasie.

– Podróż z prędkością zbliżoną do prędkości światła z definicji jest podróżą w czasie.

– Prawda. Przypuszczam, że relatywistyka mogłaby zostać zdefiniowana jako rodzaj podróży w czasie. Podróż do przodu i wstecz w czasie, w odróżnieniu od podróży w przestrzeni.

– Co skłania cię do formułowania takich wniosków?

– Po pierwsze, wiemy, że jesteście w stanie manipulować upływem czasu, przynajmniej w ograniczonym zakresie. Ciekawa technologia. Zwolniliście upływ czasu dla „Concorda”, okrętu, który wzięliście na pokład, przynajmniej w stosunku tysiąc do jednego. Chodziło o to, by mieć kontrolę nad załogą, prawda?

– To nie ma nic wspólnego z podróżowaniem w czasie – powiedział obcy, ale wyglądało na to, że się waha. Trudno było to stwierdzić, słuchając tłumaczenia, Koenig miał jednak wrażenie, że Joe czuje się niekomfortowo przy tak sformułowanych pytaniach.

– Jesteście podróżnikami w czasie z zamierzonej przeszłości i przybyliście tutaj przez jeden z cylindrów AGTR, a dokładnie przez cylinder zlokalizowany w gromadzie gwiazdnej, którą my nazywamy Ulem.

Istota nic nie odpowiedziała. Wyglądała tak, jakby tylko przyglądała się Koenigowi, jakby chciała się go pozbyć. O czym w tej chwili myślała?

– Możemy spróbować znaleźć wasz świat, waszą cywilizację, ale nie ma gwarancji, że trafimy na ten sam czas, z którego przybyliście. Małeńka wariacja wektora w AGTR może spowodować błąd rzędu kilku wieków, prawda? Zastanawiam się, co by się stało, gdybyśmy pojawili się na waszej planecie, zanim wyruszyliście w drogę tutaj?

To zdecydowanie wywołało reakcję. Światła w ciele obcego zaczęły gwałtownie pulsować.

– Nie!

Koenig kontynuował nacisk.

– My, ludzie, jesteśmy wewnętrznie sprzeczni, wiesz? I podzieleni. I pełni absurdów. Daję ci możliwość zabrania nas bezpośrednio do waszych przełożonych zamiast ryzyka, że takie prymitywy jak my pojawią się nie wiadomo kiedy, mieszając w waszej historii.

Glothr wydawał się bardzo zdenerwowany. Jego przezroczyście ramiona mieszały wodę, a żółte i zielone światła migotały, przytłaczając blaskiem niebieską luminescencję.

Koenigowi całkiem podobał się ten obraz. Sh'daar z Chmury N'gai sprzed ośmiuset siedemdziesięciu sześciu milionów lat wydawał się panikować na myśl, że ludzie majstrują coś w przeszłości. Delikatna groźba ludzkich okrętów wojennych, operujących w Chmurze N'gai w przeszłości, wywołała znaczącą zmianę w zachowaniu Sh'daar i obietnicę wstrzymania działań przeciw ludzkości.

Najwyraźniej Glothr obawiali się tego samego.

Paradoks czasowy mógł być najskuteczniejszą bronią. Jeśli podczas wojny z inną cywilizacją można cofnąć się w czasie i wymazać istnienie swojego wroga, wygrywa się wojnę, zanim się

jeszcze zaczęła. I nie było sposobu, by się przed takim atakiem uchronić.

Po stronie minusów leżało to, że każda zmiana mogła mieć taki sam wpływ na stronę aktywną, jak i na przeciwnika. Skutki omawiane były na wielu strategicznych konferencjach planistycznych, które odbywano od czasu, gdy dwie dekady wcześniej pojawiła się taka możliwość. Zakładano, że Koenig wysyła „Amerykę” do N’gai prawie dziewięćset milionów lat wstecz i robi coś, co wymazuje istnienie Sh’daar. W takim układzie ludzkość w 2367 roku nie dostaje od Sh’daar ultimatum i prawie sześćdziesięcioletnia wojna nie ma miejsca. Miliardy ludzi na Ziemi i w koloniach nie tracą życia. Prawie na pewno nie dochodzi również do wojny domowej pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Konfederacją Terrańską. To z kolei oznacza, że nie dochodzi do zniszczenia Columbus i śmierci setek tysięcy jego obywateli. Oczywiście żadna z ras wymienionych przez Agletsch nie zostaje podbita przez Sh’daar. Ich historia także zostaje napisana od początku.

Haczyk polegał na tym, że wymazując z historii Sh’daar, zmieniało się także historię ludzkości.

Jak Koenig czy ktokolwiek inny mógłby przyjąć na siebie taką odpowiedzialność?

Możliwość taka dyskutowana była w wielu kręgach wojskowych i naukowych, a nawet w Senacie USNA. Uznano, że majstrowanie przy czasie jest zbyt niebezpieczne, by nawet o nim myśleć. A teraz ta możliwość powracała.

Gdyby ludzkość musiała to zrobić mimo wszystko...

W tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Ważne było, że Glothr nie wiedzieli, iż ludzie by tego nie zrobili.

Wydawali się taką możliwością przerażeni, co prezentowało jedyną zdaniem Koeniga przewagę, jaką ludzie mieli w tej galaktycznej i czasowej wojnie.

Migające światła zmieniły się ponownie z żółto-zielonych na niebieskie, istota zaczęła się uspokajać.

– Dobrze, człowieku – powiedział Glothr. – Zgadza się na twoje warunki.

Koenig pokiwał głową.

– Wydam odpowiednie rozkazy.

Połączenie z obcym zostało przerwane.

– Czym, do cholery, była ta wstawka o filozofii egzystencjalnej?

– spytał generał Nolan po chwili ciszy.

– Egzystencjalizm początek bierze w poczuciu dezorientacji w świecie, który jest absurdalny lub pozbawiony sensu – odpowiedział Koenig. – Tak przynajmniej twierdzili jego twórcy sześćset lat temu. Stworzenie tego sensu zależy od jednostki, a nie religii, środowiska czy kraju.

– Nie rozumiem – powiedział Brookings.

– Ja także nie jestem pewien – odparł Koenig. – Ale nasz przyjaciel mówił o biologiczno-egzystencjalnej rzeczywistości tak, jakby powiązana była z życiem w Galaktyce. Próbowałem wyciągnąć z niego więcej.

– No cóż, przynajmniej go pan zmieszał – powiedziała Sara Taylor.

– Cholera – dodał Caldwell. – Nawet mnie zmieszał. Wiecie, nie wydaje mi się, by ludzki system filozoficzny posiadał jakieś wskazówki na temat inteligencji obcych.

– A ja myślę, że ma wszelkiego rodzaju wskazówki – odparł Koenig. – Dopóki dysponujesz świadomością umysłu, przytomnością i inteligencją, jesteś w stanie reagować i działać zgodnie z tym, jak odbierasz świat. Może odbieramy wszechświat inaczej niż inni, jednak nasza filozofia każe nam przynajmniej porównać notatki.

– Wydaje mi się, że musimy ustalić, co to znaczy „Galaktyka transformuje w biologiczno-egzystencjalną rzeczywistość” – powiedziała Taylor.

– A mnie się wydaje, że powinniśmy wysłać flotę do gromady Ula i przez AGTR do przestrzeni i czasów Joego – powiedział Koenig. – O tym porozmawiajmy.

Brookings pokiwał głową.

– Kogo ma pan na myśli, panie prezydencie?

– Admirał Armitage zaczął już montować flotę: Grupa Zadaniowa Jeden z lotniskowcem „Ameryka” jako okrętem

flagowym.

# Rozdział jedenasty

**22 lipca 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Port Marynarki Wojennej SupraQuito

Godzina 13.45 TFT

– Wolalbym, panie prezydencie – powiedział admirał Gray – gdybyśmy wiedzieli, kto zbudował cylindry AGTR i... dlaczego.

– Denerwujesz się, że to mogli być Sh'daar? A przynajmniej, że są w stanie je kontrolować?

– Prawdę mówiąc, tak. A podążanie za okrętem Sh'daar, nie wiedząc, co na nas czeka w węźle, trąci szaleństwem.

Gray znajdował się w swoim biurze na pokładzie „Ameryki”, połączony z prezydentem za pomocą implantów. Od czasu przechwycenia Charlie Jeden minęły trzy tygodnie. On sam otrzymał rozkazy pięć dni wcześniej i nadal czuł się z nimi nieco nieswojo.

Nikt nie był pewien, kto zbudował cylindry AGTR. Zakładano, że ich konstruktorami byli Sh'daar, którzy z całą pewnością często ich używali. W Chmurze N'gai sprzed ośmiuset siedemdziesięciu sześciu milionów lat było ich wiele, a właściwa Anomalia Grawitacyjna Texaghu Resch zapewniła „Ameryce” dostęp do czegoś, co można było uznać za stolicę Sh'daar.

Jednak założenia to nie fakty i niektórzy badacze uważali, że technologia niezbędna do stworzenia cylindrów AGTR, będących w rzeczywistości ogromnymi maszynami Tiplera, leżała daleko poza możliwościami prezentowanymi przez jakąkolwiek znaną rasę wchodzącą w skład sojuszu Sh'daar.

Oczywiście to zapewne był powód, dla którego Sh'daar zabraniali rozwoju pewnych gałęzi nauki. Chcieli mieć wyłączność na niektóre technologie i pewność, że nikt nie będzie stanowił dla nich konkurencji.

Glothr wydawali się najbardziej rozwiniętym gatunkiem, z jakim dotychczas zetknęli się ludzie. Podnieśli robotykę na niewyobrażalnie wysoki poziom, a ich sztuczka ze zwolnieniem upływu czasu dla „Concorda” robiła ogromne wrażenie.

Jeśli Glothr potrafili zaginać czas, nawet na małą skalę, dawało im to ogromną przewagę w walce. Co prawda nie użyli tej umiejętności w momencie, kiedy zostali przechwyceni, z wyjątkiem unieruchomienia „Concorda”. Czy jednak nie zrobili tego, bo nie mogli, czy był to ich wybór?

Nie wiedział tego nikt z wyjątkiem samych Glothr, a oni nie chcieli nic powiedzieć na ten temat. Udawali, że nie rozumieją pytania.

To był jeden z wielu problemów, chodzących po głowie Grayowi, przyglądającemu się zestawieniu okrętów Grupy Zadaniowej Jeden. GZ-1 była flotyllą skompletowaną w oparciu o lotniskowiec „Ameryka” i składała się z trzydziestu dwóch jednostek. Lotniskowiec transportowy marines „Marne”, pancerniki „Nowy Jork”, „Północna Kalifornia” i „Illinois” przybyły właśnie z doków SupraQuito, a ich pojawienie się sygnalizowane było miganiem świateł kontrolnych. Cztery krążowniki liniowe, cztery ciężkie krążowniki, pięć krążowników lekkich oraz mniejsze jednostki: niszczyciele i fregaty dryfowały obecnie na orbicie synchronicznej wraz z ciężkim okrętem bombardującym „Farragut”.

„Concord” i dwa inne kutry Straży Kosmicznej, „Pax” i „Open Sky”, wcielone zostały do Marynarki USNA i także znajdowały się w tej grupie. Flota liczyła tak dużo jednostek, jak tylko udało się rządowi północnoamerykańskiemu zgromadzić. Było to oczywiste ryzyko, biorąc pod uwagę obawy niektórych dowódców, że Konfederacja nie została jeszcze w pełni pokonana.

Zdaniem Graya Europejczycy wypadli z gry, przynajmniej w

zorganizowanej formie. Ostatnie punkty oporu Korosiego we Francji, Turcji i Północnych Indiach zostały otoczone i odcięte od świata, Ilse Roettgen znów stała na czele Senatu Konfederacji Ziemskiej w Genewie, a tydzień wcześniej podpisała *Pax Deum*, formalnie kładący kres wszelkim objawom wrogości pomiędzy Konfederacją a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Dokument ten potwierdzał także jedność ludzkości w staraniach stawienia czoła „kosmicznym zagrożeniom niepodległości ziemskiej”.

W odpowiedzi na bezpośrednią prośbę prezydenta Koeniga kilka okrętów Konfederacji także dołączyło do flotyli. Były to krążowniki „Churchill”, „Valiant” i „Hessen”, francuski krążownik liniowy „Victoire” i północnoindyjski „Ranvir”.

Gray nie był pewien, czy zostaną one włączone bezpośrednio w skład GZ-1. Spoza Konfederacji przybyły także dwa potężne japońskie krążowniki liniowe „Yamato” i „Honshu” oraz fregata Teokracji „Najim al-Zafir”.

Im więcej, tym lepiej, uważał Gray, jednak w jaki sposób załogi miały zamiar reagować na polecenia admirała, miała pokazać przyszłość. Nie było czasu na wspólne ćwiczenia i koordynację, poza wymianą danych cyfrowych przez AI.

Mowa była o jeszcze większej ilości okrętów, w szczególności flotyli chińskiej oraz kilku jednostkach niemieckich i indyjskich, lecz znajdowały się one poza Układem Słonecznym i miały dołączyć później.

Obecność okrętów europejskich i indyjskich w siłach ekspedycyjnych miała tworzyć przynajmniej iluzję, że ludzkość znów stanowi jeden front przeciw Sh'daar. Była także najlepszym dowodem na to, że wojna domowa się skończyła.

To, czego zdaniem Graya nie udowadniała, to fakt, że działania na małą skalę także się skończyły. Ostatnich bastionów Korosiego bronili prawdziwi fanatycy, a między stronami narosło tyle wrogości, że musiało upłynąć jeszcze mnóstwo czasu, zanim jedna władza stanie się akceptowalna dla wszystkich.

Ale to były problemy Koeniga. Zestaw kłopotów, który miał na



głowie Gray, był całkiem inny.

– Wie pan, panie prezydencie, że jeśli nie wrócimy, to będzie to ogromna strata dla majątku Marynarki.

– Wiem. I dlatego masz wrócić cało, do jasnej cholery. Okręty są drogie.

– Postaram się. Ale wydaje mi się, że trochę za bardzo mi pan ufa.

– Zdaję sobie z tego sprawę... admirałe.

Koenig podkreślił stopień Graya, który powstrzymał ciętą odpowiedź. Było to przypomnienie faktu, że jego szybki awans na pełnego admirała, z wyprzedzeniem wielu innych oficerów, był skutkiem bezpośredniego rozkazu prezydenta. Koenig twierdził, że awans był tymczasowy i jeśli nie zostanie zatwierdzony przez Kongres, Gray powróci do stopnia dwugwiazdkowego kontradmirała.

Co całkowicie odpowiadało zainteresowanemu.

Zdaniem prezydenta podpisanie awansu konieczne było, by dać Grayowi wyraźną przewagę nad innymi oficerami wchodzącymi w skład GZ-1. Z perspektywy oficera wyglądało to jednak tak, że musiał pracować jeszcze ciężiej, by uzasadnić posiadany stopień przed podwładnymi. Awans stanowił także powód do zazdrości. Gray nie zasługiwał na cztery gwiazdki i był zły na Koeniga, że go w nie ubrał.

No cóż, ale to Koenig był prezydentem, zwierzchnikiem sił zbrojnych. Gray był zbyt dobrym żołnierzem, by ignorować rozkazy.

Czemu jednak ten facet nie „zwierzchnikował” komu innemu?

Gray przełknął gniew. To nie był odpowiedni czas ani miejsce. Lepiej zmienić temat.

– Dziwię się, panie prezydencie, że Glothr zgodzili się, aby cała ta horda wskoczyła im na podwórko. Jak pan tego dokonał?

– Nie byli tym zachwyceni, ale jedno będzie działało na twoją korzyść. Niecała GZ-1 skacze jednocześnie.

– Widziałem rozkazy – odparł Gray. – Tylko eskadra myśliwców z „Ameryki” i trzy kutry Straży.

– Dokładnie tak. Dwanaście myśliwców i trzy małe WPS-100

nie spowodują podniesienia alarmu dla całego świata. Gdy zaś upewnią się, że wszystko jest w porządku, wyślą do was drona i będziecie mogli skoczyć wszyscy.

– Znaczy jeśli nie zobaczą tam floty dziesięciu tysięcy zaginających czas krążowników, będziemy mogli lecieć. Rozumiem.

To, co nie zostało wypowiedziane, to los tych jednostek i ich załóg, jeśli Gray zdecyduje się jednak nie lecieć.

– Opierając się na meldunku od eskadry myśliwców – kontynuował Koenig – podejmiesz decyzję, kto leci dalej, cała flota czy tylko kilka okrętów. Możesz też poczekać na posiłki.

– Wszystko fajnie, dopóki Glothr nie wkurzą się z powodu coraz większej ilości okrętów pchających się im do domu – odparł Gray. – W którymś momencie mogą stwierdzić, że już wystarczy, i otworzyć ogień. Nie jestem także przekonany, by podział sił własnych w obliczu przeważającego przeciwnika był najlepszym pomysłem.

– To oczywiście będzie twoja decyzja.

– Dziękuję, panie prezydencie. Nie miałby pan ochoty się z nami przelecieć? Przypomnieć sobie stare czasy?

– Mam do pana pełne zaufanie, admirale.

– Cieszę się i... boję jednocześnie. – Gray zastanowił się chwilę.

– Wie pan, panie prezydencie, nie możemy być pewni tego, że na drugim końcu cylindra AGTR będzie rodzimy układ Glothr. To może być Chmura N'gai, którą odwiedziliśmy dwadzieścia lat temu. To może być także dowolne inne miejsce w Galaktyce, w dowolnym czasie. Po prostu nie wiemy.

– To prawda.

– Najczarniejszy scenariusz jest taki, że Glothr wyprowadzają nas gdzieś daleko od swojego systemu. Być może w miejsce, gdzie czekają na nas Sh'daar, bo posiadają możliwość komunikacji szybszej niż światło, o której my nie mamy pojęcia.

– Wiesz, że masz paskudnie pokręcony umysł?

– To właśnie próbowałbym zrobić, gdyby sytuacja była odwrotna. Nie chcą nas nigdzie w pobliżu swojego domu. Wie pan o tym, prawda?

– To zależy od zysku, Piachu – powiedział Koenig, używając starej ksywki Graya. – Jeśli mogą przekonać nas do poddania się bez jednego strzału, uznania żądań Sh'daar, zrobią to. Może po prostu chcą pokoju. To będzie zależało od ciebie i doktora Randa.

Doktor Lawrence Rand został wyznaczony przez Departament Stanu na stanowisko ambasadora. On i jego ekipa, w której skład wchodził zespół ksenosofontologów z Crisium, mieli podróżować na pokładzie okrętu Glothr, wewnątrz specjalnie przygotowanego modułu ratowniczo-mieszkalnego. Mieli nadzieję ustanowić trwałe relacje pokojowe, przynajmniej z Glothr, a może z całym sojuszem Sh'daar.

– Jeśli będą chcieli rozgnieść nas jak robaka, zrobią to. Według materiałów z odpraw wyprzedzają nas o...? Jakiś miliard lat?

– Nasi przyjaciele w dyskretny sposób starają się przekonać nas, że tak jest – odparł Koenig. – Ja w to nie wierzę.

– A to czemu?

– Uwierzyłbym w milion lat. Może. Ale gatunek, który istnieje miliard lat? Cholera, spodziewałbym się, że wyewoluowali w czyste światło, i to już wieki temu. A ty nie?

– Transcendencja – odparł Gray. – Taaa. Ale o to chyba chodzi Sh'daar? Robią wszystko, aby nie przejść na wyższy poziom.

– Chcą zablokować transcendencję technologiczną. Ale jak zablokujesz ewolucję naturalną?

– Kontrolując własną genetykę. Robimy to samo. Transludzie...

– Ale to jedna z zakazanych technologii.

– Rozumiem, co pan ma na myśli. – W głowie Graya powstał nowy pomysł. – Ale... jeśli Glothr są z Chmury N'gai, mogli zacząć osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu, a teraz kontynuują swoją obecność w czasie rzeczywistym. Wtedy można by przyjąć, że ich historia obejmuje prawie miliard lat.

– Faktycznie. Myślałem nad tym nawet... Ale przede wszystkim odnoszę wrażenie, że nasze meduzy blefują. Skłamały kilka razy.

– Na przykład?

– Nie jestem przekonany, czy są Sh'daar.

– Co?

– Nie mają Społeczności.

To była faktycznie niespodzianka.

Rasy ze współczesności, które należały do sojuszu Sh'daar, bardzo się od siebie różniły, miały jednak jeden wspólny mianownik: wszystkie posiadały ukryty maleńki implant, znany jako Społeczność Sh'daar. Nie został on dokładnie zbadany, jednak wydawał się być jakiegoś rodzaju urządzeniem szpiegowskim, gromadzącym dane, obrazy, dźwięki z otoczenia nosiciela, a następnie transmitującym je, gdy w pobliżu znalazł się jakiś okręt Sh'daar. Nie wszystkie osobniki posiadały Społeczność, jednak te, które miały do czynienia z ludźmi, tak.

Ostatnio napotkany gatunek, potworni Grdoch, nie nosił Społeczności. Później okazało się, że w rzeczywistości byli wrogami Sh'daar.

Jednak Glothr twierdzili, że są częścią sojuszu – a nawet jego ambasadorami.

– Wydaje się niewyobrażalne, by istoty wysłane do negocjacji z Konfederacją nie nosiły Społeczności. Czy pytano o to naszych gości w Crisium?

– Oczywiście.

– I co?

– Odpowiedzieli naszym kseno, że nie wszystkie gatunki Sh'daar ją noszą.

– Wie pan – powiedział zamyślony Gray – zaczynam się zastanawiać, czy Glothr nie stoją odrobinę wyżej w hierarchii niż pozostali, jak Slan czy Nungi.

– Też o tym myślałem – odparł prezydent. – A swoją drogą, Konstantin się z nami zgadza.

Gray skrzywił się. Nie był zachwycony myślą, że przez ramię zagląda mu super-AI.

– Oczywiście potrzebujemy potwierdzenia.

– Oczywiście. Może uda ci się je zdobyć, gdy polecisz z Charlie Jeden do Ula, a potem przez AGTR. Masz wrócić i mnie uświadomić. A swoją drogą, mam pytanie.

– Tak?

– Eskadra, którą wysyłasz przez AGTR, i te trzy kutry. Masz do nich zaufanie? To ogromna odpowiedzialność.

Gray zawahał się. Nie miał pojęcia, jak wiele wie prezydent. Najprawdopodobniej wszystko. W połączonym wieloma kanałami świątku wojskowym było zadziwiająco mało tajemnic. Nie rozwiązując problemu Dahlquista osobiście, Koenig uniknął znienawidzonego przez dowódców mikromenadżmentu.

– Mam do nich całkowite zaufanie.

– Do wszystkich? Bez wyjątku?

– Nic wartego dyskusji, sir.

– W porządku.

W świadomości Graya odezwał się sygnał.

– Skipper „Ameryki” daje mi znać, że czas odbijać, panie prezydencie.

– Powodzenia, Piachu. Wracaj szczęśliwie... I przyprowadź ze sobą tę drogą flotę.

Gray zaśmiał się.

– Aye, aye, sir.

Zmienił kanał.

– W porządku, pani kapitan... Zabieramy się stąd.

Lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” zaczął przyspieszać.

Tymczasowe Prezydenckie Stanowisko Dowodzenia

Toronto

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Godzina 14.12 EST

Prezydent Koenig na własnym wyświetlaczu obserwował, jak okręty grupy zadaniowej formują szyk stożkowy i zaczynają przyspieszać. Nieco z boku inny okręt, dziewięćsetmetrowy Charlie Jeden, unosił się z powierzchni Księżyca. W miarę upływu czasu Charlie przesunął się na szczyt stożka, by w końcu poprowadzić kawalkadę w stronę ledwie widocznej konstelacji Raka.

– „Ameryka” melduje czysty kanał komunikacyjny z obcymi – odezwał się głos w głowie Koeniga. – Wszystko w normie.

– Dziękuję, Kelly – odparł Koenig. – Przesyłaj mi wiadomości tak długo, jak opóźnienie czasowe na to pozwoli.

– Tak jest.

Koenig słyszał pewne plotki i spekulacje wśród specjalistów Marynarki mówiące, że Sh'daar dysponowali komunikacją szybszą od światła. Gdyby były one prawdą, ludzka flota miałaby bardzo utrudnione zadanie.

– Mam nadzieję, że robimy dobrą rzecz – powiedział na głos.

W pokoju nie było nikogo innego, przynajmniej w organicznej formie.

Minęły trzy sekundy, zanim słowa prezydenta dotarły do Konstantina, a ten odpowiedział. Plus pół sekundy „zastanowienia” dodane dla wygody ludzi, którzy często źle czuli się z faktem, że Konstantin odpowiada na ich pytania natychmiast.

– Zrobiliśmy wszystko, by zmaksymalizować szanse admirała Graya.

– Nadal nie podoba mu się ten awans – powiedział Koenig. – Jest o to wyraźnie zły. Zły na mnie.

– Nominacja musiała wyjść od pana – odparła AI. – Inaczej odrzuciłby ją lub próbował podważyć jej legalność.

– Ale to był twój pomysł. I... nadal nie rozumiem, czemu to zaproponowałeś.

– Częściowo, by dać mu przewagę nad innymi oficerami.

– Tak, to ma sens... wiem. – Koenig to samo powiedział Grayowi, gdy przekazywał mu wiadomość o awansie: „Będziesz potrzebował co najmniej O-dziesięć[4], by móc gadać jak równy z równym z facetami takimi jak Uliukajew, Guo czy Singh”.

To przypominało jednak o fakcie, że oficerowie tacy jak Jerry Matthews czy Karyl Bennigton już posiadali ten stopień.

– Cholera, musi być jakaś setka czterogwiazdkowych admirałów, którzy tylko czekali na szansę dowodzenia grupą zadaniową. Czemu promować Piacha i tworzyć zamieszanie na najwyższych szczeblach Marynarki?

– Ponieważ Gray posiada prawdopodobnie największe wśród oficerów USNA doświadczenie w spotkaniach z obcymi

cywilizacjami, szczególnie jeśli chodzi o Pierwszy Kontakt.

To była prawda. W ostatnim roku Matthews walczył z flotą Konfederacji przy Alfa Centauri A, ale nie widział obcego od czasu ataku H'rulka dwadzieścia lat wcześniej. To samo dotyczyło Bennigtona i Gramma. Jeśli chodziło o konfrontację z obcą inteligencją, ich zdolności dyplomatyczne były całkowicie nieznane.

– Co więcej – kontynuował Konstantin – Gray jest agresywny w walce, jednak bardzo elastyczny. Lepiej niż jakikolwiek znany mi dowódca potrafi ocenić zagrożenie i odpowiedzieć raczej posunięciem dyplomatycznym niż salwą rakiet w momentach, gdy dyplomacja faktycznie niesie większe korzyści. Po drugie, jego zdolności przywódcze stają się powoli legendarne, podobnie umiejętność jednoczesnego myślenia zarówno na poziomie taktycznym, jak i strategicznym.

– Bez dwóch zdań, jest dobry – powiedział Koenig. – To mogę zagwarantować. Jest jednak kimś w rodzaju odludka. Nigdy nie wpasował się całkowicie w układy Marynarki i ma tendencję do załatwiania spraw po swojemu.

– Prawda. Ale jest pańskim protegowanym i przyjmie od pana rady, a co za tym idzie, ode mnie.

O tym Koenig wcześniej nie pomyślał. Tak, pomógł młodemu oficerowi w kilku kluczowych momentach. Dlatego na pewno istniał między mężczyznami związek korzystny dla nich obu. Koenig doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że od osiągnięcia stopnia kapitana Marynarki służba staje się ściśle powiązana z polityką, a Gray, z pochodzenia prym, miał na starcie bardzo utrudnione zadanie.

Jednak Koenig widział w nim coś, czego nie dostrzegał nikt inny...

– Wmanewrowałeś mnie, by móc sterować Grayem? – spytał prezydent. – Wykorzystujesz mnie.

– Dlatego że muszę. Czy zaakceptowałby awans, wyjaśnienie i rozkazy ode mnie?

– No cóż...

– Czy zgadza się pan z moją taktyką?

Koenig nie był pewien, które z uczuć przeważa: złość czy podziw. Powszechnie założenie na temat sztucznych inteligencji mówiło, że nie potrafiły one kłamać. Oczywiście, robiły to, do czego zostały zaprogramowane. Od wieków jednak AI programowały inne AI, a każda nowa generacja tworzyła swoich następców. AI mogła zostać zaprogramowana tak, by kłamać, jednak zakładano, że istnieją zabezpieczenia i protokoły, które temu zapobiegają.

Konstantin zasugerował awans Graya na pełnego admirała, motywując ten ruch koniecznością posiadania niezbędnego autorytetu dowódczego, a Koenig to zaakceptował. Jednak w rozumowaniu Konstantina najwyraźniej było coś więcej.

Z własnego doświadczenia prezydent wiedział, że Konstantin zdolny był zatrzymywać dla siebie i swoich celów pewne aspekty prawdy. Udowodnił to teraz, przyznając, że miał powody, by awansować Graya, których nie omówił wcześniej z Koenigiem. Jednak Konstantin pokazał także, że jego gry wychodzą daleko poza ukrywanie danych i wkraczają w szarą strefę półprawd i kłamstw.

– Cholera, nie wiem – powiedział Koenig powoli. – Może cię zaskoczyć.

– To podejście eliminuje zaskoczenie jako czynnik.

– Tak przypuszczam, ale...

– Jako pryma z Ruin Manhattanu – ciągnął bezlitośnie Konstantin – Graya charakteryzuje wyraźny brak zaufania zarówno do władzy, jak i technologii, a szczególnie do rządu i tak zaawansowanej AI, jaką jestem. Jednak czasy, kiedy służył pod pana dowództwem na pokładzie „Ameryki”, stworzyły pewien rodzaj więzi między wami, coś, co nazywa się „kompanią braci”. Ufa panu i jest bardziej skłonny wypełniać rozkazy, z którymi nie do końca się zgadza, jeśli będą pochodziły właśnie od pana. A jego doświadczenie z obcymi kulturami czyni Graya... niepowtarzalnym.

– A więc twierdzisz, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu.

– Dokładnie tak, panie prezydencie. Tak jak i pan.



To stwierdzenie zelektryzowało Koeniga. Myślał właśnie o zdolnościach Konstantina do manipulowania ludźmi, by zachowywali się zgodnie z jego wolą poprzez religię, wprowadzanie w błąd, sposób przekazywania informacji. A teraz AI zasugerowała, że manipulowała także samym prezydentem.

Choć skonstruowany w USNA, Konstantin był właściwie projektem konfederackim. Jednak gdy kilka miesięcy wcześniej siły Konfederacji próbowały go przejąć, skierował do swojej obrony pluton amerykańskich marines. Koenig nieraz już był pod wrażeniem tego, jak dobrze Konstantin rozumiał sposób myślenia i emocje swoich ludzkich opiekunów. Z całą pewnością praca z ludźmi wymagała czegoś więcej niż znajdowanie nowych emocjonalnych punktów nacisku i uruchamianie ich.

– Co dokładnie miałeś na myśli? – zapytał Koenig, patrząc na elektroniczny obraz oddalającej się floty. – Chodzi mi o to, po co ich tam wysłałeś?

– Sh'daar nadal są wielką niewiadomą – odparła AI. – Zarówno pod względem motywacji, jak i możliwości. W najlepszym interesie ludzkości leży zakończyć konflikt z nimi jak najszybciej i na jak najlepszych warunkach.

– No cóż, mogę się zgodzić... Ale co ty zyskujesz na tym makiawelicznym planie?

– Poza swoim osobistym przetrwaniem?

– Fakt, przetrwanie jest silną motywacją samo w sobie.

Obraz oddalającej się grupy zadaniowej zastąpiony został przez inny, oglądany ostatnio bardzo często. Ściana oślepiąco białych gwiazd, upakowanych niezwykle gęsto, tworzących jądro ogromnej gromady w centrum sześciu czarnych dziur wirujących wokół wspólnego środka grawitacji. Rozciągające się we wszystkich kierunkach enigmatyczne struktury, niektóre materialne, inne najwyraźniej skonstruowane z czystego światła. To wszystko widoczne było obecnie w gabinecie prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Obcy z Rozety...

– Mogą się tędy poruszać – powiedział cicho Konstantin. – Lepiej, żebyśmy byli gotowi, kiedy się tu zjawią.

# Rozdział dwunasty

**5 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

M44, gromada Ula

577 lat świetlnych od Ziemi

Godzina 8.11 TFT

– Piętnaście minut do wyjścia, panie admirale – odezwała się AI w głowie Graya.

– Dziękuję. – Admirał spojrział znad śniadania i uśmiechnął się do Laurie. – Czas zarobić na uposażenie, pani komandor.

Taggart wydeła usta.

– Słyszałam. Jakież przewidywania, co tam zobaczymy?

– Prawdopodobnie mnóstwo gwiazd.

– Wiesz, o co mi chodzi!

Zaśmiał się.

– Nie wydaje mi się, byśmy mieli pojawić się w centrum floty Glothr, jeśli to masz na myśli – powiedział, wstając od stołu. Znajdowali się w mesie oficerskiej w drugim module obrotowym, gdzie sztuczna grawitacja, wynosząca około połowy g, pozwalała cieszyć się kawą z kubka, a nie wyciskaną z butelki. – Nie, jeśli ich możliwości komunikacyjne nie przerastają naszych wielokrotnie.

– Ale okręty obcych mogły przybyć tydzień temu – odparła Taggart, również wstając. – Mieli czas zebrać flotę, nawet jeśli nie mają radia FTL.

– To właśnie czyni naszą robotę interesującą, prawda?

Chodźmy na mostek.

Gray podświadomie wychwycił skierowane na nich uważne spojrzenia kilku oficerów, gdy podchodzili do platformy transportowej. Jego związek z Laurie Taggart zaczął się dawno temu, gdy był kapitanem. Błyskawiczna wspinaczka po szczeblach kariery stworzyła jednak między nimi przepaść, jeśli chodziło o stopnie... Jedną z niemiłych konsekwencji wynikających z serii awansów.

Mimo że zasady zabraniające fraternizacji zostały skasowane, ludzie byli ludźmi, nadal jednak istniało poczucie pewnej „niewłaściwości”, jeśli oficer flagowy pozostawał w seksualnym związku z oficerem młodszym o pięć stopni. W pewnym momencie Gray poważnie rozważał możliwość zerwania z Laurie, po otrzymaniu niespodziewanego awansu na pełnego admirała. Zdecydował jednak inaczej, a o swoim pomysle nawet nie wspominał kobiecie.

Prawdopodobnie przerwałby ten związek, gdyby Taggart była jego bezpośrednią podwładną. Teraz jednak był dowódcą grupy zadaniowej, a ona nadal oficerem uzbrojenia „Ameryki”. Nie podlegała więc pod niego, lecz pod skippera lotniskowca, Sarę Gutierrez.

A poza tym, co to kogo obchodziło, do cholery? Nie miał zamiaru pozwolić, aby ktokolwiek rujnował mu karierę, a tym bardziej życie osobiste.

Wysunął dłoń, by dotknąć panelu platformy, gdy poczuł delikatny sygnał informujący, że jest nagrywany. Sprawdził i zauważył, że zapis archiwizowany jest w folderze „Dziewczyna admirała”. Zmarszczył brwi i odwrócił się, nie był jednak w stanie ustalić, kto nagrywał. Folder był anonimowy.

Oprogramowanie implantów obejmowało protokoły informujące właściciela o fakcie nagrywania, było to zabezpieczenie niezbędne w świecie elektronicznego braku prywatności. Zwykle powiadomienie zawierało ID nagrywającego, tym razem informacja ta została celowo ukryta. No cóż, jeśli ktoś ich nagrywał, niech mu tam. Idioci. Ani on, ani Laurie nie zrobili nic złego, niezgodnego z regulaminem

Marynarki. Jedynym zagrożeniem byłoby, gdyby związek w jakiś sposób negatywnie wpływał na funkcjonowanie okrętu, podważał morale czy stanowił naruszenie zasad bezpieczeństwa.

Platforma znalazła się obok pary, otworzyła pokrywę, a Gray wszedł do środka za Laurie.

– Ktoś nas obserwował – powiedziała kobieta, gdy platforma przyspieszała w stronę mostka. – Dlaczego?

– Pewnie dla uciechy – odparł. – „Hej, zobaczcie, co robi admirał”. Tego typu zagrywki. Chcesz, żebym się tym zajął?

– Nie. Wydaje mi się to tylko głupie.

– To może być także dron informacyjny – powiedział Gray. Przy pięciu tysiącach mieszkańców, liczbie odpowiadającej małemu miasteczku, „Ameryka” miała swój własny serwis informacyjny. Być może ktoś zbierał właśnie materiał do następnych wiadomości.

– No, to nie byłoby tak porąbane, jak jakiś podoficer szpiegujący nas.

– Pamiętaj, że coś takiego jak prywatność na pokładzie okrętu wojennego nie istnieje.

Platforma przeniosła ich z modułu ze sztuczną grawitacją do centralnej części kadłuba, w której grawitacja nie istniała. Stamtąd dostali się do wieży mostka, tuż za modułami obrotowymi, i osobnymi drogami udali na swoje stanowiska, on na mostek flagowy, ona zaś na mostek okrętowy, znajdujący się tuż przed i nieco poniżej flagowego.

– Admirał na mostku – zabrzmiało, gdy Gray wsunął się w swój fotel, otworzył połączenia nerwowe implantu mózgowego i opuszków palców i poczuł przepływ danych w układzie nerwowym. Jak zwykle ogarnęło go uczucie rośnięcia, stawania się mądrzejszym, szybszym i potężniejszym, gdy jego organiczny mózg połączył się z AI „Ameryki”.

– Minuta dwadzieścia sekund do wyjścia – powiadomił go okręt.

Admirał usiadł wygodniej i otworzył wyświetlacz wewnętrzny na kilka sekund przed wyjściem z metaprzestrzeni. Za pomocą mentalnego kliknięcia ponownie sięgnął do danych dotyczących

gromady Ula.

Po chwili zamknął je. Nie było żadnych nowych informacji, nic, czego nie widziałby już w ciągu ostatnich kilku tygodni. Podczas tej operacji okręty ludzi po raz pierwszy w historii pojawiały się we wspomnianej gromadzie.

Gray zastanawiał się, co tam znajdzie.

– Wyjście za pięć sekund... cztery... trzy... dwie... jedną...

Ciasny bąbel grawitacyjny opasujący „Amerykę” opadł i lotniskowiec wyszedł w normalną przestrzeń po wyłączeniu napędu Alcubierre’a. Gwiazdy rozświetliły się we wszystkich kierunkach jak błyszczące klejnoty na tle bezdennej czerni.

Wyjście nastąpiło w sercu gromady, więc najbliższe słońca były oślepiająco jasne. Z Ziemi tylko ludzie o doskonałym wzroku mogli dostrzec poszczególne gwiazdy. Dla większości widok gołym okiem ukazywał jedynie zamazaną plamę. Nephelion albo Mały Obłok, jak nazywał go Hipparchus, czy też Gui Xiu, czyli Duch – w antycznym chińskim. Jednak już mały teleskop ujawniał eksplozję gwiazd, które ze środka gromady widoczne były w każdym kierunku. Większość stanowiły czerwone karły, zbyt małe, by zobaczyć je choćby z odległości kilku lat świetlnych, jednak ponad trzysta świeciło bardzo jasno na dystansie około dwudziestu lat świetlnych, czyniąc lokalny obraz nieba dużo bardziej zatłoczonym niż ten widoczny z Ziemi.

Oślepiający impuls światła na sterburcie i nieco powyżej zasygnalizował wyjście z metaprzestrzeni kolejnego okrętu grupy zadaniowej. Elektroniczne łącze natychmiast podało mu nazwę: europejski „Victoire”, wyłaniający się w odległości dwudziestu kilometrów... czyli tuż obok według standardów astronomicznych.

Jeden po drugim na obrazie pojawiały się kolejne okręty, widoczne albo bezpośrednio po wyjściu z przestrzeni Alcubierre’a, albo dopiero w momencie, gdy światło dotarło do sensorów „Ameryki”. Floty okrętów jednocześnie wychodzące z metaprzestrzeni zawsze były nieco rozproszone, aby zminimalizować możliwość kolizji.

– Do tej chwili połączonych jest czternaście okrętów –

zameldował komandor Dean Mallory, oficer operacyjny. – Piętnaście... szesnaście...

– Czy okręty Straży Kosmicznej są już na linii? – Te trzy niewielkie jednostki miały odegrać ważną rolę przy AGTR.

– „Pax” i „Open Sky” już tak – powiedział Mallory, podświetlając parę na ekranie. – W porządku... „Concord” właśnie się pojawił. Wszystkie trzy w systemie.

– Dobrze.

– W tej chwili mamy dwadzieścia jeden okrętów.

– Jakiś sygnał od Charlie Jeden?

– Tak, sir. Kierunek jeden-jeden-siedem, minus sześć-pięć. Odległość około siedem jednostek astronomicznych.

Gray rozszerzył swój widok, aby objąć wskazaną część nieba, znajdującą się dużo poniżej sztucznego horyzontu „Ameryki”. W polu widzenia pojawiła się ikona, a przy skoncentrowaniu się na niej zamieniła się w gładkie, organiczne kształty jednostki Glothr. Obcy dryfowali na tle gwiazd. Choć oddalony o ponad dwadzieścia jeden minut, okręt obcych przybył na tyle wcześnie, by jego światło dotarło już do „Ameryki”. Gray zastanawiał się, kiedy jednostka pojawiła się na miejscu. Ta informacja mogłaby powiedzieć coś o możliwościach technicznych Glothr.

– Co z cylindrem?

– Mamy nienormalne odczyty grawitacyjne w rejonie za Charlie Jeden – zameldował porucznik Donovan z wydziału astronawigacji. – Przybliżony dystans piętnaście jednostek. Masa mniej więcej słoneczna, jednak tak skompresowana, że obiekt nie jest jeszcze widoczny. Odczyty wskazują na czarną dziurę, jak dotąd bez sygnałów strumieni polarnych.

– To nasz obiekt – powiedział Gray. – W porządku. Zbliźmy się do Charlie Jeden. CAG, proszę przekazać „Black Demons”, że są na linii, gotowość pięć.

– VFA-96 jest w gotowości pięć, panie admirale – odezwała się w jego głowie kapitan Fletcher, CAG „Ameryki”. Gotowość pięć oznaczała, że starblade’y eskadry znajdowały się już w kanałach startowych, gotowe do startu w ciągu pięciu minut od sygnału.

Jeszcze w ciągu kilku godzin „Ameryka” nie miała znaleźć się

na pozycji do wystrzelenia myśliwców, jednak Gray chciał być przygotowany na kłopoty, gdyby te się pojawiły.

USNS/HGF „Concord”

GZ-1

Gromada Ula

Godzina 8.48 TFT

Wiadomość przyszła na prywatny kanał komandora Dahlquista, mocno zakodowany i skanowany. Dahlquist obszedł AI „Concorda” i sam obsługiwał dekrypter kwantowy, ściągając wyniki na wyświetlacz wewnętrzny i kopiując je na prywatne foldery.

Był rozczarowany. Obraz ściągnięty od młodszego brata na pokładzie „Ameryki” ukazywał admirała Graya w mesie oficerskiej. Stał przy platformie komunikacyjnej, zwrócony twarzą do atrakcyjnej pani komandor. Scena była oczywiście sugestywna, jednak Gray nie dotykał kobiety i nie zachowywał się w nieodpowiedni sposób.

Szkoda, że nie było dźwięku, ale Fred nie był wystarczająco blisko, by słyszeć, co zostało powiedziane, a nie posiadał implantów podsłuchowych.

Cholera!

Co gorsza, nagranie Freda zaalarmowało implant Graya. Istniały sposoby na oszukanie protokołów zabezpieczających, jednak najwyraźniej Fred nie był w stanie ich użyć. Gray wiedział, że jeden z obecnych w mesie oficerów nagrywał go.

Dahlquist odtworzył wiadomość i dołączone wideo. „Ameryka” oddalona była o trzy minuty świetlne, nie było więc szansy na bezpośrednią rozmowę.

„Przepraszam, nie mogłem dorwać nic bardziej... przydatnego” – mówił młodszemu bratu. „To nie jest tak, że pieprzą się w części rekreacyjnej, na oczach wszystkich. Plotki mówią jednak, że uprawiają seks dość regularnie. Może to coś pomoże”.

Komandor jeszcze raz odtworzył wiadomość i skasował ją, zanim zaczął nagrywać odpowiedź.

– Potrzebujemy czegoś naprawdę skandalicznego, okay? – powiedział po podziękowaniu za dotychczasowe starania Freda.  
– Sugeruję, abyś rozejrzał się za facetem, z którym kiedyś służyłem, Reidem Symingtonem. To cywil pracujący przy AI „Ameryki”, który doskonale zna systemy zabezpieczające okrętu. To, czego potrzebuję, to Gray i ta laska Taggart razem w łóżku.

Po zakończeniu wiadomości zakodował ją kwantowo i załadował do wysłania, następnie wymazał pamięć AI. Oczywiście nie powinien był wiedzieć, jak to zrobić. AI nie były ludźmi, jednak miały swoją świadomość i zmysły, więc i manipulacja przy ich pamięci nie powinna być możliwa. Dahlquist znał jednak kilka sztuczek, których nauczył go właśnie Reid Symington w czasie, gdy obaj stacjonowali na „Essex”.

Nadal nie był całkiem pewien, jak użyć brudów przeciw Grayowi, zakładając, że uda mu się dokopać do czegoś, co będzie warte wysiłków. To mogło być coś w rodzaju szeptanej kampanii, plotek, jednak plotek popartych sugestywnymi wideo, udowadniającymi, że Gray nie stanowił odpowiedniego materiału na oficera Marynarki. W najgorszym wypadku był hipokrytą, który deklarował się jako monogamista, a w rzeczywistości wiódł zupełnie inne życie. Społeczeństwo amerykańskie nie zważało zbyt na to, co i z kim się robiło, jednak wymagało stałości, spójności i uczciwości, wartości, których trudno szukać u monoga z Peryferii. Barbarzyńcy...

– Wiadomość laserowa, kapitanie – odezwał się w jego głowie okręt. – Od admirała Graya, z „Ameryki”.

Dahlquist poczuł ukłucie paniki. O wilku mowa! Czy wydział łączności lotniskowca przechwycił wiadomość od brata i odkodował ją? Jak?

Po chwili uspokoił się, gdy dotarło do niego najprawdopodobniejsze wyjaśnienie. Gray chciał zapewne wygłosić jakieś płomienne przemówienie, pełne pasji, obowiązku i miłości do ojczyzny.

– Daj to.



Na wyświetlaczu wewnętrznym Dahlquista pojawiła się twarz Graya.

– Kapitanie Lewis, kapitanie Dahlquist, kapitanie Tsang – powiedział, zwracając się do dowódców trzech jednostek Straży Kosmicznej. – Jak przypuszczam, tradycja wymaga, abym wygłosił do was mowę, coś, co miałyby przypomnieć wam, jak to, co robicie, jest ważne dla misji i dla gości na Ziemi. Nie mam zamiaru tego robić. Znacnie rozkazy, uczestniczyliście w odprawach. Wiecie, że to wniknięcie jest ważne, i wiecie także dlaczego. Nie będę zatem obrażał waszej inteligencji mową-trawą. Przypomnę wam tylko podstawowe parametry misji. Chcemy wiedzieć, co znajduje się po drugiej stronie Tunelu, co na nas czeka. Chcemy wiedzieć, czy Glothr wciągają nas w pułapkę, czy też są szczerzy w negocjacjach jako najwyraźniej wysoko postawiony gatunek Sh'daar. Wasze rozkazy zakładają, że polecicie za okrętem obcych, gdziekolwiek was zaprowadzi. Zbadacie przestrzeń z drugiej strony i wyślecie dane przez Tunel. Biorąc pod uwagę, co o nim wiemy, mało prawdopodobne jest, by świat Glothr był gdzieś blisko z jego drugiej strony. Jako najstarszy stopniem, kapitanie Lewis, jest pan dowódcą grupy i to pan decyduje, jak zachować się z drugiej strony. Sugeruję pozostawienie jednego okrętu na straży przy Tunelu i kontynuowanie lotu za obcymi pozostałą parą w eskorcie większości myśliwców. Nagrywać wszystko, jeśli to możliwe, unikać konfliktów i używać eskadry myśliwców do przenoszenia danych przez Tunel na „Amerykę”. Ocenimy je i w zależności od tego, co tam zastaniecie, reszta sił dołączy do was. Jeśli zostanieie zaatakowani, wasze rozkazy to U&U[5], wracajcie przez Tunel do nas. To misja całkowicie ochotnicza. Jeśli któryś z was ma jakieś przemyślenia na temat Tunelu, to teraz jest czas, by się zdeklarować. Poprosiliśmy was i wasze okręty o bycie naszą awangardą w nieznanym dlatego, że WPS-100 są bardzo manewrowe i stosunkowo mało groźne – przynajmniej dla niewtajemniczonych. Dlatego też, jeśli możecie, starajcie się unikać walki. Choć oficjalnie wasz status to Whisky Foxtrot, ograniczcie go tylko do samoobrony. Najważniejszym celem tego

patrolu jest zebranie danych i dostarczenie ich tutaj za wszelką cenę. W porządku, to wszystko, co mam do powiedzenia. Po otrzymaniu tej wiadomości możecie zaczynać. Powodzenia dla wszystkich!

Twarz Gray zniknęła.

*Pieprzony bękart, wydaje polecenia lepszym od siebie.*

Dahlquist mocno rozważał wycofanie się z misji, myślał o tym od trzech tygodni, gdy przyszły rozkazy. Pamięć wściekłego wystąpienia Graya w jego kajucie nadal paliła żywym ogniem i pragnienie Dahlquista, by zniszczyć tego perwersyjnego pryma, było silniejsze niż kiedykolwiek.

No cóż, doczeka się, całkiem niedługo. Niestety, obaj bracia Dahlquist, Terrance i Fred, mieli być po drugiej stronie AGTR... On, dowodząc „Concordem”, zaś Fred za sterami jednego ze starblade'ów „Black Demons”.

Jednak im więcej o tym myślał, tym bardziej mu się to podobało. Podczas gdy prym rozprawiał, Fred przesłał z „Ameryki” potwierdzenie, że Reid Symington zgodził się i już przystąpił do działania. Powinien być w stanie dostarczyć to, czego potrzebował Dahlquist. W takim układzie dobrze by było, aby obaj bracia znajdowali się Bóg wie gdzie po drugiej stronie cylindra AGTR. Jeśli Symington nawali, sam poniesie konsekwencje. W razie czego będzie tylko jego słowo przeciw zeznaniom obu braci. Lepiej byłoby jednak, aby to Gray nawalił.

A wtedy Symington będzie miał dla komandora wracającego z drugiej strony ładnie przygotowany pakiet danych.

A pieprzony Piachu Gray dostanie to, na co zasługuje.

Dahlquist nie chciał narażać misji. Miał zamiar trzymać dane dla siebie aż do momentu powrotu na Ziemię.

A wtedy udowodni, że Gray nie pasuje do roli oficera, do admirałskich gwiazdek ani dowodzenia.

Perwersyjny bękart.

– Wystrzelić myśliwce!

Przyspieszony przez siłę odśrodkową ruchu obrotowego modułów, tuzin starblade'ów wypadł w pustkę. Sekundy później wyłonił się z głębokiego cienia, rzucanego przez ogromną przednią kopułę ochronną lotniskowca. Porucznik Don Gregory uruchomił napędy myśliwca i wskoczył w szyk wraz z Demonami Jeden, Sześć, Siedem i Dziewięć, już poruszającymi się w stronę odległej sylwetki Charlie Jeden, podświetlonej jasnym, złotym blaskiem.

– Demon Cztery – zameldował. – Opuściłem okręt.

Jednostka obcych była ogromna, prawie tak długa jak „Ameryka” i dużo od niej grubsza. Podczas gdy lotniskowiec USNA był grzybem o kapeluszu średnicy pięciuset metrów i cienkim trzonku, Charlie Jeden wyglądał jak szarozielony owal, tęponosy i pozbawiony ogona, lekko spłaszczony, pełen wybrzuszeń i wklęśnięć sprawiających, że jego kształt był trudny do opisanego. Miał zdecydowanie organiczny wygląd, jakby został wyhodowany, a nie zbudowany. Musiał przewyższać „Amerykę” masą o setki tysięcy ton, a jego pękaty kadłub krył siły i możliwości, których ludzie mogli się jedynie domyślać.

Wisiał w miejscu, bez ruchu w stosunku do ogromnego kształtu dziesięć kilometrów za nim.

Gregory starał się o tym nie myśleć. Jeszcze nie.

Artefakt, znany jako AGTR, niął w złotej iluminacji wśród linii tworzonych przez grawitację, niewyobrażalne siły elektromagnetyczne i zagięcie czasoprzestrzeni. Tuba ponaddwunastokilometrowej długości i średnicy kilometra wirowała wokół długiej osi z prędkością zbliżoną do prędkości światła.

W oddali do obiektu zbliżały się trzy inne sylwetki – jednostki

Straży Kosmicznej: „Pax”, „Concord” i „Open Sky”.

– Witamy w ekipie – rozległ się głos kapitana Lewisa z „Paxa”.

– Dzięki, sir – odpowiedział w imieniu eskadry Mackey. – Gdzie nas sobie pan życzy?

– Upakowanych ciasno – odparł Lewis. – Razem z nami. Byle nie za blisko. Pamiętajcie, że to coś jest polem czasowym.

Trzy patrolowce ustawiały się za obcym. Rozmiarami bliżej było im do myśliwców niż okrętu obcych. Kuter WPS--100 miał długość zaledwie dziewięćdziesięciu metrów, jedną dziesiątą długości Charlie Jeden, i ważył tysiąc dwieście ton. Zamiast przedniej kopuły ochronnej, którą miały większe jednostki, posiadał jajokształny, dziobowy zbiornik wodny, w którym znajdował się kanał dla pojedynczego miotacza strumieni cząsteczek. Jego załoga składała się z ośmiu oficerów i trzydziestu pięciu podoficerów i marynarzy.

Główna zaleta operacyjna tej konstrukcji polegała na jej manewrowości. Patrolowce przeznaczone były do zbliżania się do asteroid, które mogły nadciągać z dowolnego kierunku z ogromną prędkością i zagrażać Ziemi lub innej zamieszkałej planecie. Ich broń cząsteczkowa, „pisk” w slangu Marynarki, była w stanie odparować wystarczającą część masy asteroidy, by utworzyć strumień rozszerzającej się plazmy, co w efekcie tworzyło silnik raketowy, spychający obiekt na nowy, bezpieczny kurs. Dzięki swej zwrotności i ostremu żądłu jednostki serii WPS nazywane były z uznaniem „osami”. Pytanie brzmiało jedynie, czy będą w stanie stawić czoła temu, co czekało na nie z drugiej strony AGTR.

Trzy osy zbliżyły się do większego obcego, ale nie przekroczyły odległości pół kilometra. Zaginające czas pole używane przez okręt Glothr nie zostało zbadane i nie wiadomo było, co mogłoby wyrzucić kutrom, ich załodze i AI w ciągu najbliższych kilku minut.

Okręty USNA musiały jednocześnie trzymać się dokładnie za rufą Charlie Jeden, aby przez AGTR podążać idealnie tym samym kursem, co on.

Okręt obcych wolno zaczął poruszać się naprzód.

– W porządku, Demony – powiedział Mackey na taktycznym kanale eskadry. – Słyszeliście kapitana. Trzymajcie się blisko.

Dwanaście czarnych jak noc starblade'ów zbliżyło się do okrętu obcych, aż zniknęły w jego cieniu, niczym ryby za wielorybem.

Zgodnie ze specyfikacją misji Gregory przekazał pełną kontrolę nad myśliwcem swojej AI. Kanały komunikacyjne wewnątrz cylindra były cieniutkie jak igła i najmniejszy błąd mógł wysłać pilota i jego maszynę na spotkanie ze śmiercionośną wirującą ścianą cylindra.

Przed myśliwcami złote światło obejmowało sylwetkę okrętu obcych. W chwilę później pojawiła się krawędź wirującego cylindra, rozmazana i niewyraźna. Gregory poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Jego myśliwcem szarpnęło, osobliwość grawitacyjna trzęsa się, dostosowując się do zmiennych fal lokalnej macierzy grawimetrycznej. Mocy wystarczało na to, by starblade mógł poruszać się do przodu, jednak AI miała kłopoty z dostosowaniem się do zmiennego pola.

Znajdował się już wewnątrz Tunelu. Obrotowy cylinder miał tylko kilometr średnicy – mnóstwo miejsca dla myśliwca, jednak dla pękatego kształtu lecącego przed nim to było ucho igielne. Gregory mógł sobie tylko wyobrazić, co by się stało, gdyby okręt główny zahaczył przypadkiem o rozmazaną ścianę cylindra. W tej konstrukcji upakowana była masa Słońca, a cały trik polegał na tym, że nie dało się lecieć cały czas pośrodku. Dokładne miejsce, w którym wylatywało się z cylindra, zależało od ścieżki wewnątrz Tunelu, od tego, jak bardzo oddaliło się od linii centralnej i zbliżyło do obrotowych ścian, a także od tego, jak ta odległość zmieniała się w czasie przelotu. Najwyraźniej różnice pomiędzy jedną ścieżką w czasoprzestrzeni a inną zależały od tego, jak dokładnie okręt trzymał się wyznaczonej drogi, a dokładność wynosiła poniżej pięćdziesięciu metrów.

Przez minione dwie dekady, od czasu gdy „Ameryka” przeleciała jeden z Tuneli i dostała się do Chmury N'gai, wypróbowano wiele obiektów AGTR. Około tuzina okrętów zwiadowczych i eksploracyjnych przeleciało przez trzy znane

człowiekowi konstrukcje, w tym przez oryginalny Texaghu Resch. Wróciła mniej więcej połowa.

Następnie zaczęto używać AI i zdalnie kierowanych sond. Rezultat nie był wcale lepszy. Chyba nawet gorszy.

Okręt Glothr zaczął przyspieszać.

AI myśliwca skopiowała manewr, wykonując tę samą zmianę prędkości i kursu. Zbliżali się ponownie do linii centralnej cylindra, przyspieszając do pięciu kilometrów na sekundę.

W chwilę później byli już na zewnątrz, wypadając w pustą przestrzeń.

Gregory mimowolnie wstrzymał oddech.

# Rozdział trzynasty

**5 sierpnia 2425**

Kwatera admiralska  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
M44, gromada Ula  
Godzina 22.15 TFT

– Jak myślisz, Trev, udało im się?

Leżeli oboje w łóżku, nadzy, ciesząc się ciepłym uścisku. Nie otrzymawszy żadnej wiadomości od okrętów wysłanych przez AGTR kilka godzin wcześniej, Gray przekazał mostek flagowy Cameronowi, jednemu z oficerów sztabu, z nakazem natychmiastowego powiadomienia go, gdyby cokolwiek działo się w okolicy artefaktu. AI okrętu oczywiście także czuwała i włączona była w system powiadamiania, jednak Gray wolał, by na mostku dyżurował człowiek, gotowy podjąć natychmiastowe decyzje, jeśli zaszłaby taka potrzeba. AI były dobre, bardzo dobre, jednak Gray nigdy nie miał pewności, czy priorytety, którymi kierowały się przy podejmowaniu decyzji, zgadzały się z jego własnymi.

Kolację zjadł w swojej kwaterze, sam, Laurie przyszła nieco później, pytając, czy może zostać. Przez chwilę rozważał odesłanie jej. To była długa, stresująca zmiana, podczas której podprowadził grupę zadaniową do AGTR i wysłał małą flotyllę myśliwców i os w nieznane. Był wykończony.

Dodatkowo incydent z nagrywaniem w mesie oficerskiej podczas śniadania postawił go w stan gotowości. Doskonale

zdawał sobie sprawę z pokładowych plotek na temat swój i Laurie, a nazwa folderu, „Dziewczyna admirała”, była dość jednoznaczna.

Jednak gdy spojrział w pełne oczekiwania oczy kobiety, objął ją i zaprosił do środka.

– No cóż – powiedział po dłuższej chwili zastanowienia – nie wykryliśmy żadnej formy energii wydostającej się z wnętrza AGTR, a towarzyszące im drony pokazywały z drugiej strony pustą przestrzeń. Mam wrażenie, że udało im się przelecieć. Nie dowiemy jednak, co tam na nich czekało, dopóki nie wyślą kuriera.

Dron doleciał jedynie do końca cylindra, wystarczająco blisko, by zobaczyć to, co znajdowało się w zasięgu kamer w miejscu, w które kierowała się flotylla. Na transmitowanym obrazie widać było pustkę, czarną przestrzeń z bardzo niewielką ilością gwiazd porozrzucanych tu i tam. Wydział astronawigacji „Ameryki” był zdania, że AGTR prowadziła do rejonu poza obszarem Galaktyki.

Zdecydowanie nie przypominało to Chmury N’gai, jaką Gray zapamiętał sprzed dwudziestu lat: gęsto upakowanych słońc, połączonych gdzieś w gęste mgławice.

Jak zwykle oczekiwanie było najcięższą częścią jego pracy.

Przysunął się bliżej do kobiety.

– Laurie?

– Mmm?

– Musimy porozmawiać...

Odsunęła się, patrząc mu w oczy.

– Aha! To brzmi złowieszczo.

– Niekoniecznie. Nie miałem nic złego na myśli.

– Co w takim razie?

– Martwię się gadaniem ludzi.

– O czym? O nas?

Pokiwał głową.

– To źle wygląda, admirał sypiający z komandor. To pięciostopniowy skok.

– Wiesz, że przemawia przez ciebie teraz prym. Pruderia monoga. – Na jego twarzy musiała odbić się przykrość, bo



przytuliła go natychmiast. – Przepraszam, Trev. Nie chciałam cię zranić.

– Wiem – powiedział po chwili. – Zdajesz sobie sprawę, że dłuższy czas zajęło mi pozbieranie się po Angeli. Prawie wylądowałam w szpitalu z PTED.

– Zespół zgorzknienia pourazowego? Paskudne.

Opowiedział jej o żonie, o udarze i uszkodzeniach mózgu. O tym, jak go opuściła, i o tym, jak przez cały czas służby wojskowej próbował o niej zapomnieć... A przynajmniej przepracować wszystko tak, by wspomnienia nie niosły już bólu.

– Teraz mi lepiej – powiedział. – W największej mierze dzięki tobie.

– Nie, to dzięki tobie samemu. To ty byłeś tym, który wziął się za bary z demonami i wcisnął im swoją przeszłość w dupy. Większość ludzi nigdy tego nie robi. Boją się... albo nie chcą pozwolić odejść bólowi.

– Nadal uważam, że wiele ci zawdzięczam. A poza tym... Myślę, że cię kocham.

Nareszcie. Powiedział to. Od dawna żywił głębokie uczucie do Laurie, oczywiście w połączeniu z pożądaniem. Była wspaniałą odskocznią, dawała mu wiele radości i ogromną przyjemność w łóżku. Unikał jednak słowa „miłość” przez cały czas, gdy z nią był. Wydawało się to ckliwe i wyświechtane nawet jemu samemu. W dodatku po utracie Angeli czuł, jakby nigdy nie mógł się już z nikim związać, kochać kogokolwiek.

Laurie była ogromną częścią tego, że dziś nadal funkcjonował.

– Kochasz? – spytała. – Nie mów tak, Trev.

– Czemu? To prawda.

– To znów te monogamiczne przesady.

– Przestań walić mnie tym w pysk.

– Przepraszam, Trev, ale to prawda. I wiesz to doskonale. Także to, że wszystkich na tym okręcie tak naprawdę wali, kogo pieprzysz. Jeśli już, to właśnie babki zasadzają się na ciebie. Wiem doskonale, że połowa kobiet z administracji i wydziału uzbrojenia zaciągnęłyby cię do łóżka, pojedynczo lub w grupie.

– Nie bądź niepoważna.

– Nie jestem, to prawda. Nawet skipper ma na ciebie ochotę.  
– Bzdury. – Myśl o Sarze Gutierrez na romantycznej randce była... niepokojąca.

– Prawda. I wiesz co? Uważam, że powinieneś ustrzelić kogoś co jakiś czas. To udowodniłoby, że wyzwoliłeś się raz na zawsze ze stereotypu monoga.

– Nie, jeśli miałyby to wpływ na porządek lub dyscyplinę.

Był to prawie dosłowny cytat z regulaminu, który definiował trudny do ogarnięcia obszar pomiędzy tym, co dozwolone w ramach prywatności, a co już wykracza poza granice.

Gray wiedział jednak, że Laurie ma rację. Tak naprawdę nikt nie dbał o związki osobiste, nawet Marynarka.

Odkąd zaczął spędzać czas w towarzystwie Laurie, bardzo starał się unikać nawet cienia faworyzowania jej. W miejscach publicznych, w obecności innych członków załogi był precyzyjny, formalny, a nawet nieco oschły i wiedział, że ona to rozumie. Jednak plotki o „dziewczynie admirała” rozprzestrzeniały się. Wiedział, że związek zaczyna wkraczać w tę szarą strefę.

– Cóż – powiedziała w końcu – myślę, że sypianie z całą bandą kobiet udowodni, że nie jesteś już monogiem.

Usiadła, jej oczy zwęziły się.

– A może myślisz o zerwaniu naszego związku?

– Ja... Ten pomysł wpadł mi do głowy – przyznał. – Zrozum, podziwiam cię, Laurie. Kocham czas, który spędzamy razem. Kocham ciebie.

Zanim zdążyła zaprotestować, kontynuował:

– Jest inny sposób.

– Tak?

– Moglibyśmy się pobrać.

– Cholera, Trev! Dlaczego wpadło ci do głowy, że mogłabym tego chcieć?

Jej odpowiedź zmroziła go.

– Myślałam...

– Gdybyś nie zauważył, ja nie jestem monogiem. Wiesz o tym, że mam także inne związki, prawda?

Gray pokiwał głową. Wiedział, że spotykała się z pilotem

myśliwca jednej z eskadr. Był także ktoś z działu AI. Jak się nazywał? Gray nie pamiętał.

Starał się o tym nie myśleć. Laurie miała rację. Nadal miał dość silne nawyki monogamiczne. Cholernie trudno było strząsnąć z siebie zasady, które kształtowały go od wczesnego dzieciństwa.

Gray wiedział, że większość ludzi myślała o seksie jako o czymś zwykłym i miłym, niezobowiązującej przyjemności. Nie był jednak w stanie przenieść tej wiedzy na poziom własnych uczuć. Po dwudziestu pięciu latach nadal był monogamistą. I nie widział powodów, by to zmieniać.

Nikt nie dbał o to, z kim sypiał...

Z wyjątkiem jego samego.

– Tak czy owak – kontynuowała Laurie – jest jeszcze jeden problem. Religia.

– Nie widzę tu problemu.

– Ale on istnieje. Jestem AOK, pamiętasz? To zabójca kariery. Wiesz o tym doskonale. Utknęłam na stopniu komandora i od dziewięciu lat jestem pomijana przez komisję awansową. Nie chcesz tego stygmatu, uwierz mi...

– Biała Konwencja...

– To czysta teoria, bez znaczenia. Nie możesz zabronić ludziom myśleć. Szczególnie o religii.

I znów Gray musiał przyznać jej rację. Antyczni obcy kreacjoniści byli pomniejszą sektą, skupiającą około dwudziestu milionów ludzi wierzących, że nieludzka inteligencja zaingerowała w genom *Homo erectus*, zamieszkującego część Afryki pół miliona lat temu, co dało początek współczesnemu człowiekowi. Wiązały się z tym także inne wierzenia: to obcy zbudowali piramidy w Gizie, wzniesli megalityczny mur i wieże Yonaguni, Okinoshimy i Dvaraki, stworzyli tajemnicze struktury rozciągające się od Pumapunku do zaginionej Atlantydy. Byli także odpowiedzialni za większość mitów i religii ludzkości. Istoty te, mądre i potężne technologicznie, były Gwiazdnymi Bogami.

Prawie trzysta lat wcześniej Konfederacja Ziemska wprowadziła Białą Konwencję, będącą reakcją na dzikie wojny

religijne z dwudziestego pierwszego wieku. Jej główne założenie stanowiło, że człowiek mógł wierzyć, w co tylko chciał, jednak naruszeniem prawa międzynarodowego byłaby jakakolwiek próba nawracania innych, tak słowem, jak i czynem. Konwencja nie została pomyślana jako atak na jakąkolwiek religię, jednak prawie natychmiast czymś takim się stała. Nawet rozmowy o wierze uważane były za chamstwo, barbarzyństwo, coś, czego kulturalni ludzie po prostu nie robią.

– Wiesz, że twoja religia nie może mieć znaczenia – powiedział.  
– Nie powinni nawet o to pytać!

– Jeśli przynależność do jakiegoś Kościoła jest wymieniona w twoim publicznym profilu, to nie muszą – odparła. – Jeśli wchodzisz przez drzwi kościoła, skanery sprawdzają cię, logują twoją obecność i... informacja już jest w sieci. Gdy formalnie wstępujesz do Kościoła, informacja także idzie do sieci globalnej i wszyscy o tym wiedzą. Cholera, oni dziś wiedzą wszystko o wszystkich, prawda?

– Nie jestem pewien, kogo masz na myśli, mówiąc „oni”, ale tak. Prywatność w zasadzie nie istnieje, chyba że jesteś starym prymem, zaszytym gdzieś na bagnach. Myślę, że wiem, jak biurokraci uprzedzeni do religii mogliby zatruwać życie wierzącym... Ale dziś prawie wszystko monitorowane jest przez AI i gówno mogą.

– Tak mówią.

– Kochanie, jeśli uważasz, że jesteś dyskryminowana ze względu na religię, są kanały, sposoby, by zaprotestować i zrobić tak, by twoje konto było czyste.

Wzruszyła ramionami.

– To nie jest warte zachodu ani pieniędzy. Nie warto zadzierać z biurokratami. Tak czy owak, myślę w tej chwili o tobie, nie o sobie.

Uśmiechnął się.

– Chuj z tym. Właśnie zostałem awansowany na pełnego admirała. Moja kariera zaszła o lata świetlne dalej, niż mógłbym przypuszczać, gdy wstępowałem do Marynarki. Nie wydaje mi się, by mogli mi wiele zrobić.

– Ale gdybyś był wystarczająco szalony, by się ze mną ożenić, a ja postradałabym zmysły i zgodziła się na to, każdy mógłby założyć, że także jesteś AOK. Jak by to wyglądało? Trevor „Piachu” Gray, bohater wielu bitew przeciw Sh’daar, modli się do obcych?

– Myślę, że nie modlicie się do nich.

Roześmiała się.

– Nie. Choć... może niektórzy tak. Nie wiem. Niewiele już teraz wiem.

– Kryzys wiary?

– Nie nabijaj się ze mnie.

– Przepraszam. Nie robiłem tego.

– Ja po prostu... Ostatnio nie jestem pewna, w co wierzę. Po tym, co widzieliśmy i czego się dowiedzieliśmy, patrząc na nieprawdopodobną technologię Rozetowców, owszem, możemy powiedzieć, że są bogami. Ale ani odrobinę nie dbają o ludzi, prawdopodobnie nie wiedzą nawet, że istniejemy. Trudno jest utożsamiać się z kimś takim, wiesz?

– Tak. Ktoś powiedział kiedyś: „Jeśli istnieją bogowie, których głównym zmartwieniem są ludzie, to nie mogą być ważni bogowie”.

– Czyje to słowa?

Gray sięgnął do elektronicznej pamięci.

– Arthura Clarke’a. Dwudziestowiecznego pisarza i futurysty.

– Ach, znam tego twórcę. Wierzysz w to? W to o bogach?

Gray zastanowił się.

– Wydaje mi się, że mam wystarczająco dużo zmartwień z podobnymi do bogów obcymi, których jak najbardziej interesuje Ziemia i ludzie.

Roześmiała się.

– Sh’daar nie są podobni bogom.

– Cóż, z całą pewnością mogą za nich uchodzić, dopóki nie pojawi się ktoś inny. I... spójrz. Glothr wcale nie są tacy dalecy od boskości, przynajmniej jeśli weźmie się pod uwagę ich technologię.

– „Każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nie do

odróżnienia od magii”. Czy to także nie jest Clarke?

– Taaa.

Położyła się i przez chwilę przytulali się w ciszy. W końcu Taggart nie wytrzymała.

– A więc... czy chcesz, żebym znikła z twojego życia?

– Nie, do cholery!

– Mmm. Cieszę się.

Przesunął dłońmi po jej plecach, a potem po wypukłościach pośladków, przyciągając ją bliżej.

– I chuj im wszystkim do tego – powiedział z uśmiechem.

Wydział obsługi AI  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
M44, gromada Ula  
Godzina 22.15 TFT

Reid Symington dotknął panelu kontrolnego i otworzył serię przekierowań. To była delikatna robota – wchodzenie do macierzy elektronicznej bez powiadamiania o tym samej AI.

Symington był ekspertem w dziedzinie zaawansowanych sztucznych inteligencji, jednym z bardzo potrzebnych na pokładzie lotniskowca cywilnych specjalistów, kimś, kto w komputerowych kręgach nazywany był e-strażnikiem i pilnował dziwnej kolekcji elektronicznych umysłów, zamieszkujących sieć współczesnego okrętu wojennego. Chociaż Marynarka miała własnych fachowców od komputerów, sieci elektronicznych i systemów AI, cywilni eksperci, tacy jak Symington, byli także zatrudniani ze względu na głęboką wiedzę i ogromne doświadczenie. Reid był wykładowcą w Carnegie Mellon i przez dziesięć lat pracował w bazie Ciołkowski na Księżycu.

Doskonale znał sztuczne inteligencje, a to znaczyło, że wiedział, jak obejść ich rozbudowane systemy bezpieczeństwa.

Był prawie u celu. To była diabelnie precyzyjna robota.

Jeden z pilotów, porucznik Dahlquist, kilka dni wcześniej

zwrócił się do niego z nietypową prośbą zdobycia nagrania interakcji admirała Graya z oficerem uzbrojenia okrętu, komandor Laurie Taggart.

– Przyjmiemy wszystko, co uda ci się zdobyć – powiedział mu Dahlquist. – Rozmowy, parę jedzącą razem obiad, cokolwiek przechwycisz. Oczywiście, gdyby udało ci się zdobyć nagranie tego, jak się pieprzą, byłoby rewelacyjnie.

– Po co? – spytał szczerze zdziwiony Symington. – Symulacje i virsex wam nie wystarczą?

Od wieków na seksie robiło się ogromne interesy, szczególnie w dobie mediów elektronicznych. Generowane komputerowo podboje seksualne rozgrywane w głowie i wirtualny seks z partnerami poprzez łącza elektroniczne mogły być w każdym wymiarze tak intensywne i realistyczne jak prawdziwe przeżycia. We współczesnym przemyśle rozrywkowym istniał cały segment przeznaczony dla aktorów i aktorek, którzy pozwalali się „ujeżdżać” przez miliony nie „widzów”, lecz „udziałowców”, uczestniczących w przedstawieniu za pomocą implantów mózgowych, widzących, czujących i doświadczających wszystkiego tego, co działo się z aktorami, zarówno w czasie rzeczywistym, jak i podczas nagrań.

Podłączenie się do czyjegoś obwodu było dość proste, jeśli wiedziało się, jak oszukać protokoły bezpieczeństwa. Było także absolutnie nielegalne. Istniały prawa chroniące ludzką prywatność, mimo że intymność należała właściwie do przeszłości.

Byli także specjaliści od włamywania się do przeżyć innych... mózghakerzy, jak ich nazywano. Symington należał do najlepszych, gdy pracował dla CM, zanim zatrudniono go w Morovec Neuronics i do prac nad projektem Konstantina.

Dahlquist sprzedał mu interesującą historyjkę o tym, jak jego brat, dowódca „Concorda”, skontaktował się z ziemskim ogromnym studium virsim, zainteresowanym dokudramą o współczesnych bohaterach Marynarki. Problem polegał na tym, że studio nie zamierzało płacić, dopóki brat nie znajdzie dla nich czegoś interesującego. Tak więc zbierał klipy z obecnymi i

byłymi oficerami Marynarki, nie wyłączając takich osobistości jak prezydent USNA Alexander Koenig.

Symington mógłby się założyć, że Dahlquist kłamie. Virsim z prezydentem? Niemożliwe przy tym poziomie zabezpieczeń, jakie stosowano wokół elektronicznej postaci. Koenig otrzymał bardzo poważną ochronę AI, szczególnie podczas ostatniej wojny. Secret Service miało paranoję na temat konfederackiego umysłowego zabójcy wdzierającego się do prezydenckiego implantu.

Jednak Gray to zupełnie inna sprawa. Nie to, że był całkowicie bezbronny, jednak istniały drogi dojścia, gdy było się już na pokładzie „Ameryki”. Współdziałał przecież codziennie z tuzinem różnych AI na pokładzie lotniskowca i innych okrętów grupy zadaniowej. Istniało także sporo innych punktów wejścia elektronicznego podczas otwierania drzwi, nakazywania pokojowi, by stworzył krzesło, uruchamiania kanałów komunikacyjnych czy zamawiania posiłków. Gdy był w porcie, chroniły go potężne protokoły bezpieczeństwa, jednak na pokładzie okrętu codzienne czynności czyniły go w pewnym stopniu odsłoniętym.

Jeszcze łatwiej powinno być z wskoczeniem do systemu komandor Taggart.

Symington ani przez chwilę nie wierzył w opowieść Dahlquista o wideo dokumentalnym, jednak młody pilot w jednym momencie dotknął czułego punktu fachowca. Punktu, który naciśnięty w odpowiednim momencie musiał wywołać reakcję.

– Mój brat nie spodziewa się, by udało ci się zdobyć coś interesującego...

To podrażniło ambicję i wywołało pożądany przez porucznika efekt. Oczywiście, że mógł zdobyć nagrania. Nic prostszego.

Po drugie, cena była z pewnością zachęcająca. Komandor Dahlquist miał zamiar dobrze zapłacić z pieniędzy za sprzedaż spodziewanego dokumentu.

Do diabła, Symington zrobiłby to choćby dla samego wyzwania.

Z jego perspektywy nie było nic złego we włamywaniu się w



czyjeś życie seksualne czy cokolwiek innego. Prywatność zanikła, moralność społeczna od wieków nie istniała. Zupełna ekspozycja życia osób publicznych – a dowódcy wojskowi całkowicie mieścili się w tej kategorii, podobnie jak politycy – była jedynym sposobem zagwarantowania transparentności, na szczytach zarówno władzy, megakorporacji, jak i hierarchii wojskowej.

Decydując się na karierę, ludzie powinni wiedzieć, że ich prywatność nie istnieje, a przynajmniej tak być powinno. To nie seks czy nagość były tu znaczące, lecz potajemne układy za zamkniętymi drzwiami, czy też ważne rozmowy w łóżku. To na tej płaszczyźnie zwykle miały miejsce skandale, które można było nagrywać i przekazywać tym, którzy chcieli zrobić z nich użytek. Samo zagrożenie, że ktoś może podsłuchiwać, było zdaniem Symingtona wystarczające, by utrzymywać w ryzach potencjalnych tyranów.

A jeśli Dahlquist potrzebował sypialnianych nagrań admirała Graya i oficer uzbrojenia okrętu tylko dlatego, że miał fetysz polegający na podglądaniu oficerów Marynarki uprawiających seks, to czemu nie? Dla Symingtona to oznaczało więcej korzyści. Mógł pokazać tym braciom, co potrafi, a to z kolei tylko nakręciłoby mu interes.

Podszedł do swojej stacji roboczej przy AI i podłączył się. Uruchomił także program, który przed laty stworzył dla siebie, sprawiający, że w odbiorze AI wyglądał jak ktoś robiący porządek. Sztuczne inteligencje monitorowały wszystko na pokładzie okrętu głównie po to, by w razie potrzeby natychmiast odnaleźć człowieka, którego obecność była niezbędna.

Na ekranie głównym obserwował wejście do kwatery Graya, ściągając obraz z dwóch kamer w korytarzu i drona. Obserwację zaczął o osiemnastej trzydzieści jeden.

O godzinie dwudziestej pierwszej dziesięć komandor Taggart dotknęła powiadamiacza. Gray wpuścił ją do środka.

Jak na razie, szło świetnie.

Gdy tylko Taggart weszła do kajuty Graya, Symington podłączył się do jej implantu, maskując swoje wejście pakietem śledzącym, używanym cały czas, by wiedzieć, gdzie znajduje się

dany oficer. Gdyby Gray włączył klatkę Faradaya w pomieszczeniu, bardzo trudno byłoby dostać się do środka, a przynajmniej wyciągnąć stamtąd sygnał. Jednak admirał wydawał się nie dbać o bezpieczeństwo na pokładzie okrętu i Symington mógł otworzyć kanał danych.

Teraz, gdy połączenie zostało już ustanowione, można było zacząć prawdziwą robotę. Zajęło mu to kolejną godzinę. Używał przy tym kwantowych protokołów dekryptujących, by złamać loginy i hasła. W tym momencie jego przeciwnikiem nie była AI „Ameryki”, lecz ta należąca do Taggart. Każdy, kto posiadał implant, nosił w głowie małą i raczej prostą AI, służącą jako osobisty sekretarz, asystent, czy też awatar. Pracowała w tle, obsługując tysiące rutynowych czynności w ciągu dnia i spełniając rolę strażnika prywatnego mentalnego sacrum danej osoby, zapory przed wirusami i robalami. W pewien sposób była trudniejsza do złamania niż AI okrętu, ponieważ została bardzo precyzyjnie dostrojona do umysłu jednej tylko osoby. Jeśli wykryła obecność kogokolwiek poza właścicielem, natychmiast go blokowała.

Krok po kroku Symington budował swój awatar elektroniczny, który osobista sekretarka Taggart mogła uznać za część siebie samej.

Musiał także stworzyć bardzo precyzyjną blokadę normalnej komunikacji dwustronnej, sterującej kanałem. Nie mógł pozwolić, aby jego własne myśli uchwycone zostały przez obiekt.

Ostateczne połączenie otworzyło kanał główny. Rozszerzył przepływ danych...

Jest! Sztywny kanał elektroniczny skomunikował komandor Taggart i wydział obsługi AI!

To powinno pozwolić mu działać...

Przełączył odbiór na swój wewnętrzny wyświetlacz, klikając ikonę nagrywania, i ujrzał twarz Graya o kilka centymetrów od swojej. Była pokryta potem, zbliżała się i oddalała rytmicznie.

Taggart oczywiście nie była widoczna. Scena oglądana była jej oczyma, doznania odbierane jej mózgiem. Wyraźnie słychać było jednak jej głos.

– Boże... Boże... Boże...

Doznanie, które pojawiło się między nogami i w brzuchu informatyka, nie dało się porównać z niczym, co kiedykolwiek przeżył.

# Rozdział czternasty

**6 sierpnia 2425**

VFA-96 „Black Demons”

Nieznana czasoprzestrzeń

Godzina 15.50 TFT

- To się staje coraz dziwniejsze – powiedziała Megan Connor.
- Potwierdzam, Trójka – odparł Gregory. – Niezbyt bogata okolica, co?
- Widok jest wspaniały. Brakuje jednak czegoś z wyposażenia, wiesz?

Dwadzieścia dwie godziny wcześniej przelecieli przez AGTR, wkraczając w tę nową i pustą część przestrzeni. Gwiazdy były słabe, odległe i mocno rozproszone po nocnym niebie, z wyjątkiem jednego kierunku, gdzie czterysta miliardów gwiazd zlewało się w jedną spiralę światła.

Galaktyka zajmowała około stu stopni nieba, wyglądała intrygująco delikatnie i hipnotycznie pięknie. Z tego miejsca, powyżej jej płaszczyzny, można było zobaczyć jądro – lekko czerwony blask starych gwiazd, a także otaczający je dysk, mieniący się na niebiesko i biało, poprzecinany spiralnymi strumieniami mgławic. Connor była w stanie zobaczyć wewnętrzną strukturę jądra, ostry blask młodych gwiazd i ponure żarzenie się starych.

Jej zdaniem Galaktyka pięknem zapierała dech w piersiach, niezwykła w swojej zawłości, powalająca w bezkresie. Trzeba było się tu znaleźć, dwadzieścia pięć tysięcy lat świetlnych ponad jej płaszczyzną, by docenić jej ogrom i złożoność.

Dużo bliżej samotna planeta dryfowała w pustce.

Connor i Gregory lecieli ku samotnemu światu, ich starblade'y oddalone były od siebie o kilka kilometrów. Zostały wysłane na patrol godzinę wcześniej przez „Concorda”. Po wyjściu z AGTR jeden z kutrów Straży Kosmicznej został, by chronić tyły, podczas gdy dwa pozostałe – „Pax” i „Concord” – podążały za Charlie. Jeden w kierunku planety odległej o około siedem godzin świetlnych, czyli jakieś pięćdziesiąt jednostek astronomicznych. W tym momencie oba kutry dryfowały dwa miliony kilometrów dalej, czekając, podczas gdy myśliwce patrolowały okolice.

– To o co chodzi z nazwą, jaką nadali tej planecie? – spytał Gregory. – Invictus?

– To po łacinie oznacza „niepodbity” – odparła Connor.

– Po łacinie chyba wszystko lepiej brzmi.

– Programy językowe, pracujące z językiem Glothr, nazwały ją „niepodbitą” albo „niemożliwą do podbicia”. Myślę, że uznali, iż Invictus brzmi lepiej.

– Na pewno lepiej niż migające światełka i luminescencja – powiedział Gregory.

– Przyjrzę się temu – powiedziała, wpisując słowo do wyszukiwarki. Pojawiło się kilka odniesień, jednak na szczycie listy był William Ernest Henley. – O, tu mamy wiersz pod tym tytułem. Z dziewiętnastego wieku.

– Widzę – odparł Gregory. – Już pierwsza zwrotka pasuje...

*Z nocy, co wokół mnie zapada,  
Czarnej jak samo piekła łono,  
Bogu czy bogom – dzięki składam  
Za duszę swą niezwykłą.*

Były w sumie cztery zwrotki, z czego ostatnia kończyła się powszechnie znanym zdaniem.

*Bo swego losu jestem panem  
I kapitanem duszy swojej*[\[6\]](#).

– No nie wiem, Don – odpowiedziała. – Trochę zbyt słodko i sentymentalnie, gdybyś mnie pytał o zdanie.

– Jak większość poezji wiktoriańskiej. Problem, droga pani porucznik, polega na tym, że nie ma pani duszy.

– Pierdol się.

Roześmiał się.

Dwa okręty Straży Kosmicznej towarzyszyły jednostce Glothr po wyjściu z AGTR przez około pięćdziesiąt jednostek astronomicznych aż do tego świata – ciemnego, lodowego, nieposiadającego własnego słońca. Najbliższa gwiazda była chyba oddalona o wiek świetlny.

„Czarnej jak samo piekła łono” – faktycznie. Connor zastanawiała się, czy przy wyborze nazwy wzięto pod uwagę także ten wiersz oraz czy wybór dokonany został przez ludzi, czy też przez AI. Sztuczne inteligencje miały tendencje do bycia agresywnie dosłownymi w swoich interpretacjach językowych, ale czasami zdarzało im się zademonstrować głębię uczuć, emocji, poetyckości, które zadziwiały ludzi.

Invictus, pięć razy większy od Ziemi, był faktycznie ciemną kulą lodu, na której panowała temperatura minus dwustu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Powietrza oczywiście nie było. Jakakolwiek atmosfera, którą mogła posiadać planeta, zamarzła eony temu. Invictus był szorstki i brutalny, w typie globów nazywanych czasami „światami Steppenwolfa”, choć nie wiadomo było, czy odnosi cię to do stepowego wilka samotnika z powieści Hessego, czy do piosenek starego, klasycznego zespołu rockowego. Miliardy lat temu jakiś system gwiazdny wewnątrz Galaktyki dał życie grupie planet, ale w trakcie formowania układu grawitacyjne interakcje wystrzeliły niektóre z nich w przestrzeń. Był to dramat rozgrywający się dość często. Współcześni astronomowie uważali, że w Galaktyce więcej jest pojedynczych, bezgwiazdnych planet niż samych gwiazd. Ich ilość mogła być liczona w setkach miliardów.

Ciekawsze było odkrycie, że takie światy mogły utrzymywać swoje wewnętrzne ciepło zadziwiająco długo i że było go wystarczająco dużo, by stworzyć podpowierzchniowe oceany, zamknięte pod lodowymi czapami grubości wielu kilometrów. Wewnętrzne ciepło, wytworzone przy formowaniu, i ciepło powstające przy radioaktywnym rozpadzie cząsteczek zamkniętych w ich wnętrzach utrzymywało te oceany w stanie

ciekłym przez pięć, sześć miliardów lat, a nawet dłużej.

Ksenobiologowie wiedzieli o istnieniu życia w wielu tego typu zbiornikach. Zarówno Europa, jak i Enceladus, lodowe księżycy w Układzie Słonecznym, posiadały oceany zamknięte skorupami lodowymi ze swoimi biologiami, a inne księżycy, takie jak Ganimedes, Kallisto, Tytan, Tryton czy nawet Charon, były także poważnymi kandydatami do posiadania życia. Na Ceresie i Plutonie również trwały poszukiwania radioaktywnie podgrzewanej wody i życia w niej.

Inne systemy gwiazdne także posiadały swoje zamrożone światy i księżycy wraz z podpowierzchniowymi oceanami. Było tak w Alfa Centauri, 70 Ophiuchi, Arkturze i setkach innych systemów odwiedzonych przez ludzkość.

W praktyce większość naukowców uważała, że pokryte lodem biomy były raczej zasadą niż wyjątkiem, że biosfery ewoluujące na powierzchniach przyjaznych życiu planet znajdowały się w zdecydowanej mniejszości w stosunku do tych, na których życie powstało w głębiach oceanów, zamkniętych grubymi lodowymi czapami.

Jednak Invictus był pierwszą planetą, którą odwiedzali ludzie, nieposiadającą życiodajnej gwiazdy, posiadającą zaś życie.

W dodatku było to życie techniczne.

– Tak tu pusto – powiedziała Connor bardziej do siebie niż do skrzydłowego.

Ten świat Steppenwolfa oddzielony był nie tylko od systemu, który dał mu życie. Usunięty także został z Drogi Mlecznej, poruszając się z prędkością, która w końcu doprowadzić go miała w zimną pustkę między galaktykami.

Connor zadrżała. Invictus miał w końcu zamarznąć w międzygalaktycznej pustce. Doskonale się złożyło, że zamieszkujący go inteligentny gatunek wynalazł podróże międzygwiazdne, zanim planetę spowiła nieskończona noc. Lokalna AGTR była dość blisko, najwyraźniej umieszczona tak, by korzystać z niej mógł ten świat i żaden inny. Samo to było intrygujące.

– Interesujący system pierścieni – zauważył Gregory. – Jest

sztuczny.

Connor przyznała mu rację. Planeta była prawie całkiem czarna przy biegunach, tylko niektóre jej fragmenty podświetlała Galaktyka. Jednak otaczające równik czarnego świata pierścienie świeciły sztucznym światłem, wystarczająco jasnym, by odbijać się w lodzie.

– Wydaje mi się, że widzę windy kosmiczne – powiedział Gregory. – A ty?

– Ja też. Jak bardzo, bardzo cienutkie promienie świetlne.

Wyglądało na to, że ktoś inny poza ludźmi wpadł na pomysł zbudowania wind łączących powierzchnię planety z orbitą synchroniczną, oddaloną o tysiące kilometrów. Jednak ziemskie urządzenia orbitalne, rozrastające się szybko na boki od wind, nadal nie były tak potężne, by utworzyć pierścień wokół planety. Najwyraźniej Glothr budowali swoje struktury orbitalne od bardzo dawna.

Connor zastanawiała się, od jak dawna. Nie było sposobu, by to odgadnąć, jednak w swojej wyobraźni dziewczyna założyła jako minimum limit dziesiątków tysięcy lat i setek tysięcy jako górną granicę.

To jeszcze bardziej niż umiejętność kontroli czasu było jak policzek. Jeśli mieli walczyć z tymi istotami, tak daleko... tak cholernie daleko od domu...

– Zastanawia mnie – myślał na głos Gregory – jak Glothr ewoluowali w tym swoim podlodowym biomie i nigdy nie widzieli kosmosu. Aż do momentu, w którym wyłonili się ze swojej lodowej skorupy. To musiał być dla nich niezły szok, nie uważasz?

– Naukowcy wciąż debatują nad tym, że w ogóle wyewoluował u nich wzrok – odpowiedziała Connor. – Po co komu oczy, jeśli żyje w absolutnej ciemności?

– No cóż... Potrzebowali oczu, by widzieć luminescencyjne wyświetlacze – odparł Gregory. – Aż w końcu stało się to językiem.

– A wtedy przybyli Gwiazdni Bogowie i wyzwolili ich z tego lodowego więzienia.



- Tak przynajmniej twierdzą.
- Być może to Gwiazdni Bogowie dali im oczy.

Gregory zaśmiał się.

– To właśnie jest odwieczny problem z religiami. Za wszystko wini się bogów.

– Ale możemy założyć, że cywilizacja, którą nazywamy Gwiazdnymi Bogami, interweniowała tutaj w znaczący sposób, prawda? Dali im wystarczająco dużo technologii, w tym metody obróbki metali, by mogli się ruszyć ze swojego ciemnego oceanu do powłok lodowych. A potem być może pomogli Glothr radzić sobie z zimnem i próżnią na powierzchni ich planety.

– I od tego czasu rozwinęli poważną, gwiazdną cywilizację. Zastanawiam się, ile im to zajęło.

– Zbudowanie tego pierścienia pochłonęło mnóstwo czasu, kawałek po kawałku, tak jak u nas w domu. Mogę się także założyć, że sporo materiałów było importowanych.

– A to czemu?

– Przeczucie. Nie wiemy, jak bogate w metale, paliwa czy inne materiały jest dno suboceanu Invictusa. Ale bez ognia każdy wodny gatunek ma spore kłopoty.

– Łapię. Masz rację. I... wydaje mi się, że całkiem bezpiecznie możemy stwierdzić, że to Gwiazdni Bogowie odpowiedzialni są za AGTR, nie Sh'daar.

– Prawdopodobnie.

– Nie jesteś przekonana?

– Nie w stu procentach.

To była stara debata, tocząca się z różnym natężeniem od dwudziestu lat, czyli od chwili odkrycia pierwszej AGTR. Zgodnie z zapisami Agletsch w Galaktyce rozproszonych było tysiące takich cylindrów, tworząc system natychmiastowego transportu obejmujący miliony lat świetlnych sześciennych. Przez długi czas za jego budowniczych uważani byli Sh'daar, tylko dlatego, że byli jego jedynymi znanymi użytkownikami, a „Ameryka” widziała kilka takich cylindrów w jądrze Chmury N'gai, macierzystej przestrzeni oryginalnych Sh'daar.

Jednak od kilku lat tego typu identyfikacja wydawała się coraz

mniej prawdopodobna. To, że Sh'daar albo ich poprzednicy, ur-Sh'daar, używali cylindrów, nie musiało wcale znaczyć, że je zbudowali. Z biegiem czasu coraz więcej dowodów świadczyło, że ktokolwiek zbudował enigmatyczne artefakty, zrobił to na długo przed pojawieniem się Sh'daar, używając technologii o lata świetlne wyprzedzającej to, co obcy zademonstrowali podczas sześćdziesięciu lat kontaktu.

Connor nie była jednak całkowicie przekonana. Jej zdaniem mogły istnieć inne sposoby wytłumaczenia obecności cylindrów, bez przywoływania podobnych bogom obcych. Być może ur-Sh'daar byli wystarczająco potężni, by stworzyć je prawie miliard lat temu, zaś ich następcy, Sh'daar, którzy nie przeszli przez osobliwość, ztratili te technologiczne umiejętności.

Na dłuższą metę nie miało to jednak znaczenia. Za pomocą AGTR „Concord” i „Black Demons” dostali się tutaj, do tej części przestrzeni na skraju Galaktyki, i to oni powinni zrobić jak najlepszy użytek z kontaktu z nowymi obcymi.

Dwa starblade'y skierowały się ku ciemnemu, obcemu światu. Okręt Glothr, Charlie Jeden, kilka godzin wcześniej znikł w geometrycznym kompleksie sztucznego pierścienia, zabierając ze sobą ambasadora Randa i jego sztab. AI Connor nadal trzymała na tym miejscu znak celowniczy.

Okrążywszy planetę, piloci ustawili wektory na długi, łagodny łuk, wiodący ich z powrotem ku „Concordowi”.

– A co z czynnikiem czasowym, Don? Wszyscy o tym mówią. W jakim punkcie czasowym, do cholery, się znajdujemy?

– Nie mam pojęcia. To może wykraczać poza możliwości obliczeniowe komputera „Concorda”. Jednak gdy zjawi się „Ameryka”, jej AI dość szybko powinna dać sobie z tym radę.

W pokoju przygotowań eskadry toczyły się na ten temat niekończące się spory. Skoro cylindry AGTR działały zarówno na przestrzeń, jak i na czas, pytanie, „kiedy” się pojawili na skraju Drogi Mlecznej, było równie istotne, jak pytanie „gdzie”.

Connor miała nadzieję, że „Ameryka” wkrótce przybędzie.

Na skraju wieczności było straszliwie pusto i samotnie...

Pytanie o to, kiedy z czasoprzestrzeni wyłoniła się eskadra, nie opuszczało także Dahlquista.

– Wystrzelić kuriera – nakazał głos kapitana Tsanga. Obraz telemetryczny w głowie Dahlquista pokazał szybkiego robota kuriersko-zwiadowczego HVK-724, odskakującego od „Open Sky” i kierującego się ku wlotowi do AGTR.

– Kurier w drodze – poinformował ten sam głos.

Oczywiście słowa te zostały wypowiedziane prawie siedem godzin wcześniej, bo tak długo zajęło informacji przepłynięcie przez pięćdziesiąt jednostek astronomicznych, od AGTR, gdzie został „Open Sky” Tsanga. Do tej chwili dron kurierski powinien przebyć drogę przez AGTR i wysłać wiadomość do „Ameryki”. Możliwe było nawet, że reszta grupy zadaniowej pokonała już cylinder i dołączyła do „Open Sky”.

Zdaniem Dahlquista Gray znowu nawalił. Powinien był wysłać „Amerykę” wraz z całą grupą zadaniową, a nie trzy małe jednostki Straży. Gdyby tak zrobił, grupa miałaby obecnie dużo lepsze pojęcie, czy znalazła się w czasie obecnym Ziemi, czy też w zamierzchłej przeszłości. Zakładano, że jeśli AGTR przeniesie ich w przeszłość, to zapewne do Chmury N’gai, tak jak stało się to z lotniskowcem i jego grupą dwadzieścia lat wcześniej. Z punktu, w którym obecnie się znajdowali, nie było widać ani śladu Chmury N’gai. Nawet biorąc pod uwagę, że znajdowali się tysiące lat świetlnych od miejsca, gdzie powinna być Chmura, to całkowite pochłonięcie nieregularnej galaktyki przez dużo większą Drogę Mleczną powinno zająć wiele setek tysięcy lat, o ile nie milionów. Nieobecność Chmury sugerowała, że znajdowali się nadal w czasach współczesnych Ziemi, choć skok o długości dwudziestu pięciu tysięcy lat świetlnych czynił takie dywagacje w zasadzie bezużytecznymi.

– Panie kapitanie – odezwał się Margolis, oficer łączności „Concorda” – mamy wiadomość od ambasadora Randa.

– Daj na odsłuch.

Twarz Lawrence’a Randa pojawiła się na wewnętrznym wyświetlaczu komandora. Ambasador wyglądał na zestresowanego, jego oczy były dziko rozbiegane.

– ...„Pax” i „Concord”. Odezwijcie się, proszę!

– Tu kapitan Lewis z „Paxa” – odparł inny głos. – Proszę mówić, doktorze Rand!

– Kod alfa! Kod alfa! – krzyczał Rand. A potem głos doktora zaczął się zmieniać, jego ton obniżał się, a tempo spadało dramatycznie. – Ma... my pro... blemmm...

– Straciliśmy ambasadora – zakomunikował Margolis. – Jego częstotliwość wygasła.

Oznaczało to, że obcy ponownie zagrali kartą zaginania czasu, odcinając Randa poprzez drastyczną zmianę w częstotliwości nadawania lub też po prostu „zamrażając” go w czasie.

W tym momencie pojawił się jeszcze jeden, większy problem. Okręty Glothr, w liczbie około tuzina, poderwały się z pierścienia planetarnego i pognały w stronę jednostek Straży Kosmicznej.

– „Concord”! – krzyknął Lewis. – Ściągaj myśliwce i spieszymy! Wracamy do Tunelu!

– Przyjąłem – odparł Dahlquist, który śledził już różne wyświetlacze w poszukiwaniu zagrożenia. Możliwe było, że zatrzymanie Randa stanowiło wstęp do zmasowanego ataku. – Komandor Ames, proszę ogłosić alarm.

– Aye, aye, skiper.

– Obracamy się i spadamy stąd w cholerę!

„Concord” wolno obrócił się wokół własnej osi, kierując się na odległą AGTR, uruchomił napędy grawitacyjne i ruszył z przyspieszeniem pięciu tysięcy g.

To był cholernie ciasny przelot.

Przednia osłona „Ameryki” miała połowę średnicy cylindra AGTR i nie istniał absolutnie żaden margines błędu. Dron zwiadowczo-kurierski HVK-724 pojawił się w gromadzie Ula i przekazał wszystko, co nagrały jednostki Straży Kosmicznej, a w szczególności to, co najważniejsze – dokładną ścieżkę przez skreconą czasoprzestrzeń, przez którą Charlie Jeden, kutry i eskadra myśliwska przeleciały na drugą stronę.

Gray westchnął z ulgą, gdy „Ameryka” wolno wyłoniła się z wylotu wirującego cylindra, otoczona rojem swoich myśliwców z VFA-31 „Impactors” i VFA-215 „Black Knights”, lecąc tuż za pancernikiem „Nowy Jork”. Przed nimi, oddalony o kilka tysięcy kilometrów, nieruchomo wisiał okręt Straży Kosmicznej „Open Sky”.

– Witamy w przestrzeni Invictusa, panie admirale – nadał kapitan „Open Sky”. – Oficjalnie znajduje się pan obecnie z dala od czegokolwiek.

– Widzę, kapitanie Tsang – odparł Gray. Jego uwaga natychmiast skupiła się na wiszącej w oddali Galaktyce, która – pomimo że odległa o dwadzieścia pięć tysięcy lat świetlnych – wydawała się być na wyciągnięcie ręki. – Pański meldunek twierdzi, że nie ma tu systemu planetarnego, tylko pojedyncza planeta.

– To prawda, panie admirale. Invictus, świat Steppenwolfa. Mógł oddzielić się od Galaktyki miliony lat temu.

– Czekam na możliwość zobaczenia tego osobiście. Jakies wieści od ambasadora?

– Ani słowa. Powinien był przybyć, gdziekolwiek go zabierali, przynajmniej pięć godzin temu. Wszystko jest na transmisji drona.

– Widziałem.

Właśnie to, co widział, niepokoiło Graya – robione z dużej odległości nagrania czarnej planety, posiadającej system

pierścieni świetlnych. Wrażenie robiła przede wszystkim skala. Te pierścienie, o wiele szersze niż zespoły portów, instalacji militarnych i fabryk na orbicie Ziemi, mogły wygodnie mieścić miliony okrętów wojennych i populację mierzoną w setkach miliardów. W takiej sytuacji nie było możliwości, by Grupa Zadaniowa Jeden miała szansę uratować Randa i jego ludzi.

Koenig i Połączone Kolegium zdawali sobie z tego sprawę, gdy tworzyli rozkazy dla Graya. Jego najważniejszym zadaniem było powrócić na Ziemię z informacjami. Ludzkość musiała wiedzieć, czego ma się spodziewać gdzieś tam, w kosmosie.

W tym momencie nic jednak nie wskazywało na kłopoty. Gdy ostatnie okręty grupy opuściły AGTR, admirał nakazał utworzenie szyku i rozpoczęcie przyspieszenia. Przy maksymalnej wartości wynoszącej dziesięć tysięcy g i rozpoczęciu wytracania prędkości w połowie drogi, powinni dotrzeć do Invictusa za około osiem godzin.

– W porządku – zakomunikował Gray w sieci floty kilka minut po zameldowaniu się ostatniego okrętu. – Wszyscy przelecieli w jednym kawałku? Dobrze. Działamy według planu, bez modyfikacji. Niszczyciele „Lambert” i „Caiden” dołączą do „Open Sky” przy Tunelu. To nasz bilet do domu, więc trzymajcie rękę na pulsie. Wszyscy pozostali formować szyk wokół „Ameryki” i lecimy.

Zostawienie większych sił na straży AGTR było kuszące, jednak Gray jednoznacznie interpretował rozkazy. Miał to być pokaz siły, nawet jeśli technologia Glothr zdecydowanie przewyższała potęgę floty.

– Astronawigacja – powiedział, zmieniając kanał – tu Gray. Potrzebuję danych czasowych.

– Tu Donovan, panie admirale. Pracujemy nad tym. AI mieli w tej chwili dane liczbowe.

– Dobrze.

– Mamy już obliczenia prędkości.

– Posłuchajmy.

– To oczywiście tylko oceny oparte na danych ściągniętych z lokalnego tła wodorowego, jednak wygląda na to, że Invictus i

AGTR poruszają się z prędkością trzech i pół miliona kilometrów na godzinę.

A to niespodzianka, trzy i pół miliona kilometrów na godzinę to dużo, jedna trzecia procenta prędkości światła. Istniały szybsze obiekty naturalne, Gray wiedział o samotnej gwiazdzie obracającej się z prędkością prawie pięćdziesięciu milionów kilometrów na godzinę. Coś takiego mogło się zdarzyć, gdy para planet lub planeta orbitująca wokół gwiazdy napotkały na czarną dziurę. Jeśli jeden z partnerów pary znikł w dziurze, drugi mógł zostać wystrzelony z hiperprędkością. Gray zastanawiał się, jak było w tym przypadku.

Kiedy Donovan mówił, w głowie admirała tworzyła się grafika, ukazująca płaszczyznę Galaktyki o średnicy tysięcy lat świetlnych, obecną pozycję GZ-1, wypadającą mniej więcej w jednej czwartej tej odległości nad płaszczyznę, i prostą linię biegnącą z czarnej planety niemal do centrum galaktycznej spirali.

– Planeta wydaje się pochodzić ze skraju jądra Drogi Mlecznej, około czterdziestu tysięcy lat świetlnych stąd.

Gray dokonał obliczeń. Czterdzieści tysięcy lat świetlnych z prędkością trzy i pół miliona kilometrów na godzinę oznaczało, że Invictus został wystrzelony z systemu, w którym się narodził, jakieś dwanaście milionów lat temu.

– Nazwali tę planetę Invictus? – powiedział Gray. – Bardziej by pasowało Exmitus.

– To było całkiem niezłe, sir.

– Dziękuję.

– Liczby są oczywiście przybliżeniem. Użyliśmy wodoru jako punktu odniesienia.

Gray wiedział, co Donovan ma na myśli. W przestrzeni pojęcie prędkości miało znaczenie tylko w odniesieniu do czegoś innego. Można było dokładniej obliczyć prędkość oddalania się Invictusa od Galaktyki, wymagało to jednak wprowadzenia danych dotyczących miliardów gwiazd poruszających się po swoich orbitach mniej lub bardziej niezależnie. Albo, tak jak to zrobił wydział astronawigacji, zmierzyć prędkość cząsteczek wodoru w

najbliższym sąsiedztwie samotnego świata.

Przybliżenie było wystarczające. Trzy i pół miliona kilometrów na godzinę? Invictus po prostu gnał.

Gray ponownie zaczął zastanawiać się nad historią Glothr. Jeśli ich świat został katapultowany z rodzimego systemu dwanaście milionów lat temu, to było wystarczająco dużo czasu na ewolucję inteligentnego gatunku, jednak zdecydowanie za krótko na ewolucję życia. Na Ziemi życie w postaci jednokomórkowców powstało od sześciuset do ośmiuset milionów lat od uformowania się planety, czyli około czterech miliardów lat temu. Przez ogromną większość czasu życie na Ziemi było proste. Posiadające jądro eukarionty wyewoluowały dwa miliardy lat temu, a organizmy wielokomórkowe około miliarda.

Oznaczało to, że gdy Invictus został wykopany z rodzimego systemu, znajdującego się gdzieś w jądrze Galaktyki, był zamieszkałym światem, posiadającym własny, podlodowy ekosystem. Sami Glothr musieli ewoluować podczas długiej podróży, prawdopodobnie już po oderwaniu się ich świata.

A więc... skąd wzięło się AGTR? Nie z rodzimego systemu Invictusa, z całą pewnością. Musiało zostać skonstruowane podczas lotu, gdy planeta poruszała się już z prędkością trzech i pół miliona kilometrów na godzinę. Ten, kto budował AGTR, musiał uznać Invictusa za interesujący, wart zachodu świat.

Albo za świat, któremu chciano zapewnić szybki system transportu jako części galaktycznej sieci tranzytowej.

– Panie admirale – odezwał się komandor Eric Bittner, szef wydziału astronawigacyjnego „Ameryki”, przełożony porucznika Donovana – mamy dla pana... pewne informacje.

Wahanie w głosie oficera zaniepokoiło Graya.

– O co chodzi, panie komandorze?

– Mamy już jakieś wyliczenia dotyczące czasu.

– Proszę mówić.

– Sir, mieliśmy ogromne problemy z obliczeniem tego. Próbowaliśmy zidentyfikować poszczególne pulsary za pomocą ich indywidualnych transmisji. Ale... – Zawiesił głos.

– Jestem pewien, że zdaje pan sobie sprawę, iż jakiegokolwiek



pulsary, które możemy tu zidentyfikować, pochodzą sprzed ponad dwudziestu pięciu tysięcy lat – powiedział Gray.

– Tak, panie admirale – odparł natychmiast Bittner. – To oczywiste. Nie... problem polega na tym, że jesteśmy w głębi czasu.

– Osiemset milionów lat w przeszłości? – spytał Gray. Czyżby Glothr zawiedli ich ponownie do epoki oryginalnych ur-Sh'daar?

– Nie, sir. Wygląda na to, że jesteśmy jakieś dwanaście milionów lat w naszej przyszłości...

– O Boże...

# Rozdział piętnasty

**6 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.05 TFT

– Dwanaście milionów lat... w przyszłości? – Sara Gutierrez, skipper „Ameryki”, była równie zszokowana jak Gray. – Jak to możliwe?

Gray zwołał szybką odprawę kadry dowódczej za pomocą łącza wirtualnego.

– Tak samo jak to, że grupa Koeniga znalazła się prawie dziewięćset milionów lat w przeszłości – odparł Gray. – Przy spełnieniu pewnych warunków zarówno przestrzeń, jak i czas są elastyczne. Mogą zostać nagięte.

– Wiem. Myślę... Myślę, że chodziło mi o to, co to mówi na temat Sh'daar w przyszłości.

– Co chciała pani przez to powiedzieć? – spytał Mallory.

– Chodzi jej o to – powiedział ostrożnie Gray – że jeśli to Glothr są Sh'daar i ich rodzima planeta położona jest dwanaście milionów lat w naszej przyszłości, sugeruje to, że Sh'daar przetrwali nasz czas. Co w takim razie z Ziemią i ludźmi? O to chodzi, pani kapitan?

– Dokładnie tak – odparła Gutierrez. – To sugeruje, że być może ludzkość została pochłonięta przez Sh'daar. Wojna, nasza wojna z dwudziestego piątego wieku została przegrana.

– Jest także inna możliwość – powiedział głos AI „Ameryki”. AI okrętów rzadko wtrącały się do rozmów ludzkiej załogi, które

zwykle były długie i nieefektywne, podczas gdy bezpośrednia wymiana danych z implantem mózgowym – o wiele szybsza i pewniejsza. Jednak Gray nakazał sieci przybrać postać ludzką, by mogła współdziałać z całą grupą dowodzenia. Zdarzało się, że cichy głos komputera studził pochopny zapal ludzi lub też pomagał zespołowi skupić się na temacie.

– Jaka to możliwość, „Ameryka”? – spytała kapitan Connie Fletcher, CAG lotniskowca.

– Taka, że ludzkość wygrała wojnę i kupiła bezpieczeństwo za czas, być może nawet całe wieki. Ale taka sytuacja nie może być stabilna. Byłaby następna wojna i następna, i jeszcze kilka. Prędzej czy później cywilizacja ziemską zostałaby przytłoczona lub sama wybrała dołączenie do dużo potężniejszego i bardziej zaawansowanego technologicznie sojuszu Sh'daar.

– Jesteś dziś pełen wspaniałych pomysłów, co? – spytał Gray.

– Kiedy on ma rację, panie admirale – powiedział komandor Roger Hadley. Był oficerem rozpoznawczym grupy zadaniowej i szefem wydziału rozpoznawczego „Ameryki”. – Od dawna wiemy, że Sh'daar są dużo więksi i potężniejsi od nas. Jeśli wojna będzie się przedłużać, to prędzej czy później zostaniemy starci w pył lub przyłączymy się do systemu.

Komputer kontynuował bezlitośnie:

– Inne możliwości, o bardzo niewielkim prawdopodobieństwie, to po pierwsze, wypchnięcie Sh'daar z ludzkich rejonów Galaktyki, po drugie można przyjąć, że planeta Invictus stanowi ostatni bastion Sh'daar po ludzkim zwycięstwie. Trzecia możliwość jest taka, że ludzie, jeśli w tej epoce nadal funkcjonują jako ludzie, pozostają w stanie pokojowej koegzystencji ze Sh'daar. Czwarta...

– To i tak za wiele do strawienia na raz, „Ameryka” – powiedział Gray. – Dziękuję.

– Co to znaczy – spytał Harriman Vonnegut, oficer logistyczny – „jeśli nadal funkcjonują jako ludzie”?

– Dokładnie to, co zostało powiedziane – odparł doktor George Truitt. Był to cywil stojący na czele wydziału ksenosofontologii. – Dwanaście milionów lat to kupa czasu. Do tego momentu ludzie

mogą ewoluować w coś zupełnie innego. Możemy być w epoce postludzkiej.

– To co, zobaczymy ich? – spytała Fletcher. – Znaczących naszych spadkobierców.

– Na razie musimy skupić się na Sh'daar – odparł Gray. – A w zasadzie Glothr va Sh'daar. – Sprawdził swój wewnętrzny zegar.

– Jeśli zaczniemy przyspieszać zgodnie z planem, czyli w ciągu najbliższych dziesięciu minut, powinniśmy dotrzeć w okolice Invictusa około trzeciej dziesiąt. Wtedy nawiążemy kontakt z ambasadorem i zobaczymy, na czym stoimy.

– Czy ktoś oprócz mnie zauważył pewien interesujący zbieg okoliczności? – spytał Truitt.

– Jaki? – zainteresował się Gray.

– Dwanaście milionów lat zajęło Invictusowi dotarcie tutaj po wyrzuceniu z macierzystego układu. I dokładnie tyle samo czasu w przyszłości się znajdujemy.

– To znaczy, że Invictus zaczął podróż w naszych czasach – powiedziała zamyślona Gutierrez. – Interesujące.

– Interesujące, ale nie pewne – powiedział Gray. – Gdy mamy do czynienia z milionami lat, często umyka naszej uwadze kilka czy nawet kilkadziesiąt tysięcy. Invictus mógł zostać wykopany z systemu pięćdziesiąt tysięcy lat przed naszą erą, lub też osiemdziesiąt tysięcy lat od naszych czasów.

– Sugerowałbym jednak dokładniejsze sprawdzenie, panie admirale – powiedział Truitt. – Nie wierzę w zbiegi okoliczności, a szczególnie tak rzucające się w oczy jak ten.

– Co pan sugeruje, doktorze? – spytał Mallory. – Że to my wywaliliśmy Invictusa z Galaktyki? Nie wydaje mi się, by nasza technologia na to pozwalała.

W tym momencie w głowie Graya zabrzmiał alarm, powielony z głównej AI „Ameryki”.

– Uwaga! Mamy towarzystwo!

AI ukazywała mu obraz z drona bojowego, znajdującego się w okolicach wylotu AGTR, około pięciu tysięcy kilometrów za rufą. Z wylotu zaczęły wyłaniać się okręty.

Obce okręty.

Mnóstwo obcych okrętów.

VFA-96 „Black Demons”  
W trakcie przemieszczania  
Godzina 18.12 TFT

Dwa starblade'y przyspieszały, otoczone światłem.

Gdzieś za ich ogonami „Pax” i „Concord” o godzinie szesnastej trzydzieści rozpoczęły przyspieszanie z dziesięcioma tysiącami g. Pięćdziesiąt minut miało zająć im rozpędzenie się do prędkości przelotowej, wynoszącej dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć tysięcznych c, z którą miały pokonać siedem godzin świetlnych pomiędzy planetą a AGTR. Do tego należało doliczyć pięćdziesięciominutowy okres wytracania prędkości. Do AGTR miały więc dotrzeć osiem godzin i czterdzieści minut po rozpoczęciu przyspieszania, o pierwszej dziesiąt.

Zdolne do przyspieszenia wynoszącego pięćdziesiąt tysięcy g starblade'y mogły osiągnąć prędkość podświetlną w dziesięć minut. Choć ze względu na relatywistyczne wydłużenie czasu pilotom wydawało się, że lecą dużo krócej, dotychczas pokonali osiemdziesiąt minut świetlnych, czyli dziesięć jednostek astronomicznych. Do AGTR powinni przybyć jakieś czterdzieści minut przed kutrami.

– Jak myślisz, uda im się...? – spytał Gregory.

– Powiedz jeszcze raz – odparła Meg Connor. – Nie zrozumiałam.

Słowa zniekształcane były przez prędkość, przyspieszenie i zaginanie czasoprzestrzeni przez osobliwości grawitacyjne. Przynajmniej mogli się jako tako komunikować. Wysyłanie wiadomości laserowej z jednego myśliwca do drugiego wymagało cudów synchronizacji i dostrajania długości fali, co przez długi czas było niemożliwe. AI starblade'a mogła tego jednak dokonać pod warunkiem, że wektory maszyn były idealnie zgodne. Głos Gregory'ego był szorstki i metaliczny,

jednak dawało się go zrozumieć.

– Powiedziałem: „Jak myślisz, uda się im nas dogonić?”.

Meg pomyślała chwilę.

– Jedynym sposobem byłoby ucięcie jeszcze jakiejś dziesiątej części procenta c – powiedziała w końcu. – Wiemy, że nie mogą lecieć szybciej.

– Nie, jeśli pozostają poza metaprzestrzenią.

– Nie wydaje mi się, by nawet Glothr byli w stanie zsynchronizować bąbel Alcubierre’a z podświetlnym myśliwcem – powiedziała Connor. – Z bąbla nie byłiby nawet w stanie nas wykryć.

– Zgadzam się.

– Poza tym najpierw musieliby przejść przez dwa okręty Straży Kosmicznej. Zostawiliśmy je w tyle.

– A więc zasuwamy i mamy nadzieję, że reszta grupy zadaniowej nie przeleciała jeszcze przez AGTR.

– A jeśli przeleciała?

– To jesteśmy w bardzo ciemnej dupie.

– Z tym także się zgadzam.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.13 TFT

– Znam te okręty – powiedział Gray, wpatrzony w wyświetlacz.  
– Cholera, to Turuschowie!

Ludzie walczyli z Turuschami nie raz. Gray spotkał się z nimi, gdy był jeszcze pilotem myśliwskim, dwadzieścia lat wcześniej. Ich jednostki, zarówno okręty główne, jak i myśliwce, wyglądały organicznie, niczym przerośnięte ziemniaki, pomalowane w czarno-zielone lub czarno-czerwone wzory.

O Turuschach wciąż niewiele wiadomo, głównie ze względu na to, że komunikacja z nimi była bardzo trudna. Żyli w bliskich parach, jak połączone ze sobą neurologicznie bliźnięta. Gdy

mówili, robili to jednocześnie, a dwa głosy nakładały się na siebie, tworząc harmoniczną całość, przekazującą trzecie, najgłębsze znaczenie wypowiedzi. Nawet po odkryciu tego faktu tłumaczenie mowy Turuschów było problematyczne. Nie myśleli jak ludzie, co tym bardziej utrudniało kontakt.

Tak czy inaczej, to oni byli odpowiedzialni za Arktura i Eta Boötis, jednak później zniknęli i nie pokazywali się ludziom na oczy przez dwadzieścia lat, z wyjątkiem kilku krótkich, przypadkowych spotkań. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, ale po zawarciu przez Koeniga układu ze Sh'daar w Chmurze N'gai już się nie pojawiali.

Aż do tej chwili.

Najpilniejszym pytaniem było, czy nowo przybyłe okręty są wrogo nastawione.

Najbliższy z okrętów Turuschów otworzył ogień z miotaczy strumienia, trafiając w krążownik liniowy „Sonora”.

Odpowiedź była już jasna.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.13 TFT

– Atakują nas! – krzyknął komandor porucznik Edmond St. Clair. – Do szyku! Do szyku! Zwrot i na nich!

Dwanaście starblade'ów VFA-31 jednocześnie okręciło się wokół osobliwości grawitacyjnych, nadal dryfując w stronę AGTR, jednak zwalniając i zwracając się w stronę nadciągającego zagrożenia.

Jak wielu kolegów ze skrzydła myśliwskiego „Ameryki”, St. Clair był nowy w eskadrze i na okręcie. Urodził się i wychował w Glasgow. Zjednoczone Królestwo, składające się z Republiki Irlandii i Szkocji oraz Brytanii, nadal było nominalnie częścią Unii Europejskiej, a ta z kolei Konfederacji Ziemskiej, jednak więzi Królestwa z Europą nigdy nie były szczególnie silne. W

rzeczywistości Szkoci, Brytyjczycy i Irlandczycy nie poczuli się do specjalnej lojalności względem utopii, jaką była zjednoczona Europa. Twierdzili, że od 1588 roku, od czasów Wielkiej Armady, opierają się próbom przyłączenia ich wysp do kontynentu. W początkowym okresie walk pomiędzy Ameryką Północną i Konfederacją kilka jednostek Królestwa, w tym okręty szkockie, odmówiło ataku na siły USNA, a zdarzały się nawet sytuacje, gdy okręty brytyjskie wspomagały Amerykanów przeciw Konfederacji.

Pięć lat wcześniej St. Clair stacjonował na pokładzie brytyjskiego lotniskowca kieszonkowego „Centaur”, gdy jego dowódca przekazał okręt USNA. W tym czasie nie toczyły się jeszcze żadne walki, nic więcej niż zawołowana zimna wojna, tak więc zarówno okręt, jak i większość załogi wróciły do Europy. Jednak część oficerów i marynarzy wybrała pozostanie w USNA i poprosiła o azyl.

Okazało się, że nowi gospodarze nie do końca im ufali. Porucznik St. Clair spędził dwa lata, latając tylko na symulatorach w Columbus, podczas gdy wywiad wojskowy przekopywał się przez dane, a także mózg oficera w poszukiwaniu najmniejszego śladu pułapki. Został następnie przeniesiony do Oceany, tuż przed atakiem nano na Columbus, lecz wielu jego kolegów zostało w stolicy i zginęło.

W końcu, gdy wywiad przegrzebał już każdy plik i neuron, pozwolono mu znów latać. Pilotował starsze starhawki w VFA-27 „Red Riders”, jednak nie brał udziału w walce. Gdy europejskie jotuny atakowały Waszyngton i Boston, „Riders” trzymali byli w odwodzie.

Wyglądało na to, że nadal nie ufano grupie ochotników zza Wielkiej Wody.

Jednak w tym czasie Ameryka Północna zaczęła ponosić duże straty, zwłaszcza wśród wyszkolonych pilotów. Szczególnie ciężka sytuacja panowała na lotniskowcu „Ameryka” po walkach ze Slan, a potem Grdoch. W pewnym momencie z trudem był w stanie wystawić dwie eskadry. Dwa miesiące temu St. Clair został awansowany na komandora porucznika i przeniesiony do VFA-



31 „Impactors” jako nowy dowódca eskadry.

Nadal jednak nie brał udziału w walce, nawet podczas operacji Fallen Star. Eskortował choctaw, podczas gdy sześciu jego kolegów z eskadry niszczyło pozycje artylerii na ziemi. St. Clair cały czas był gdzieś z tyłu. Traktowanie go jak jakiegoś pariasa nie było fair.

W końcu jednak „Ameryka” znalazła się z dala od polityków i rządów ziemskich, od wojny domowej i pytań dotyczących lojalności wobec USNA lub Europy. Komandor spojrział na spiralę gwiazd w oddali i ponownie pomyślał, jak daleko w czasie i przestrzeni się znalazł.

Była to daleka droga. Wystarczająco daleka, by ludzie z małej grupy bojowej poczuli się jednością i wspólnie walczyli, bez względu na pochodzenie czy politykę. Walczyli jako gatunek, a nie narody.

– Wszystkie myśliwce, tu kontrola lotów – na kanale taktycznym rozległ się głos CAG „Ameryki”. – Zbliżyć się do przeciwnika, synchronizacja pełny mach. Powtarzam, zbliżenie i synchronizacja pełny mach. To dla was najlepsze rozwiązanie!

W ciągu dwudziestu lat ludzkie uzbrojenie i taktyka ogromnie się rozwinęły. Uważne studia każdego z obcych gatunków, ich kultury, stosowanego oręża i technologii przyniosły w rezultacie dokładne rozwiązania taktyczne, wykorzystywane podczas walk.

Dla Turuschów skuteczną taktykę stanowiło trzymanie się z dala od przeciwnika i prowadzenie skoncentrowanego ognia z kilku okrętów. Ich duże jednostki, a także pękate, paskudne myśliwce, nazywane toadami, były zazwyczaj większe i potężniejsze od ludzkich odpowiedników. Miały także lepsze przyspieszenie, jednak gorszą manewrowość. Były twarde i mocno opancerzone, schowane za tarczami chroniącymi je przed ogniem lasera i strumieni cząsteczkowych, jednak nie wytrzymały salw głowic nuklearnych stanowiących uzbrojenie inteligentnych rakiet. Ich broń strumieniowa mogła skutecznie śledzić i niszczyć nadlatujące rakiety na dystansach przekraczających kilka tysięcy kilometrów, jednak miały problemy z celowaniem do obiektów wystrzelonych z małej

odległości, kilkuset kilometrów.

We współczesnej walce w przestrzeni kilkaset kilometrów było prawie bezpośrednim kontaktem, a myśliwce manewrujące w takiej odległości mogły łatwo same dostać się w pole rażenia własnych głowic. Jedynym sposobem, żeby tego uniknąć, było sprzężenie organicznego mózgu pilota z AI maszyny.

Kiedyś, wieki temu, piloci myśliwców używali terminu „liczby Macha” w celu określenia prędkości ich samolotu. „Mach 1” oznaczało prędkość dźwięku. Określenie powstałe na cześć fizyka, który jako pierwszy opisał ruch obiektu naddźwiękowego, było bez znaczenia w próżni. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat „mach” nabrał nowego, odmiennego znaczenia. Po dodaniu do słowa „link” reprezentował poziom synchronizacji pomiędzy mózgiem organicznym a maszyną, z którą mózg był połączony: linkmach.

Linkmach 1 określał podstawowe połączenie możliwe między ludzkim mózgiem zaopatrzonym w implant a typową AI. Podczas symulacji wirtualnych ludzie doświadczali trzykrotnie większego przepływu danych – linkmach 3.

Gdy St. Clair uruchomił pełne możliwości AI starblade’a, poczuł wypełniającą go falę danych. Osiągnął linkmach 5.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.14 TFT

– Do wszystkich jednostek – nakazał Gray na taktycznym kanale floty. – Rozdzielić się i skupić ogień na obszarze bezpośrednio u wylotu AGTR. Trzymajmy tych drani w kupie.

W tym momencie siły ziemskie miały ważną przewagę taktyczną. Turuschowie pojedynczo pojawiali się z wylotu cylindra i poruszali się wolno, zaledwie kilka metrów na sekundę w stosunku do AGTR. Piętnaście okrętów obcych znajdowało się obecnie w sferze jednego kilometra od Tunelu, małe myśliwce

formowały ochronną tarczę dla pięciu większych jednostek.

– CAG! – rzucił Gray. – Dawaj nasze myśliwce w tę sferę. Skoordinuj z kontrolą ognia.

– Już są w drodze, szefie. Kontakt za trzydzieści sekund!

– Kolejne trafienie „Sonory” – zameldował Mallory. – Trafienie w „Nowy Jork”.

– Odpalam rakiety – zgłosiła Taggart – pełna prędkość!

– Trafienie „Victoire”.

– Wszystkie jednostki – powtórzył Gray – rozproszyć się! Zalać ich ogniem.

Trzydzieści okrętów otoczyło rosnącą sferę, w której znajdowały się jednostki Turuschów. Jak dotąd, te jaskrawo pomalowane maszyny bez szkody pochłaniały promienie lasera i strumienie cząsteczek, jednak teraz pierwsze rakiety zaczęły przedzierać się do wnętrza formacji i detonować z dziką, cichą furią. Całe płyty kadłubów Turuschów wyparowywały, karmiąc dodatkowo coraz większą chmurę plazmy, otaczającą obcą flotę jak eksplodujące słońce.

Gdy zagęszczenie okrętów obcych rosło w miarę pojawiania się nowych jednostek, ludzka flota zaczęła się rozpraszać, aby umożliwić każdemu okrętowi swobodne prowadzenie ostrzału.

Wtedy pojawiły się także myśliwce.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.15 TFT

– Niebieski Trzy! Masz toada na szóstej na dwustu!

– Nie mogę go zrzucić! Nie mogę go zrzucić!

– Trzy, tu Siedem! Czekaj! Już na nim siedzę!

St. Clair zwinął ciasny łuk, podchodząc do myśliwca nieprzyjaciela, który z kolei znajdował się za ogonem Niebieskiego Trzy. Kliknął w myślach ikonę, wysyłając w stronę przeciwnika rakietę przeciwokrętową Krait, a następnie

odskakując przed dzikim wybuchem.

– Trafiony! Ładny strzał, Niebieski Siedem!

– Dzięki. Osłaniaj mnie, gdy będę podchodził do dużych Tango.

Tango było kodowym oznaczeniem jednostek Turuschów.

Toady zapewniały wsparcie prawdziwemu celowi: wielkim krążownikom liniowym, wyglądającym jak ogromne, kolorowe ziemniaki. St. Clair skierował swoją maszynę w lukę pomiędzy myśliwcami przeciwnika, wybierając jeden z krążowników za cel.

Z celu wystrzeliły rakiety przeciwlotnicze, całe dziesiątki, przyspieszając i zbliżając się.

– Siedem, tu Jeden! Uważaj na te rakiety! – krzyknął Niebieski Jeden w sieci taktycznej. Do diabła, niebo pełne było pocisków, każdy z nich znaczył swój ślad. Taktyka Turuschów opierała się na rakietach. Mieli zwyczaj wystrzeliwać je setkami, pozwalając im samodzielnie wybierać i namierzać cele.

– Niebieski Sześć! – krzyknął komandor. – Biorę się za Tango Siedem! Kryj mnie przy podejściu!

St. Clair obrócił starblade'em i wziął na cel kolejnego toada. Obracając się w miejscu, wymierzył trzy VG-10 i wysłał je w kierunku Turuscha z bezpośredniej odległości. Nuklearny kwiat rozbłysnął w ciszy.

Przy braku atmosfery nie było także fali uderzeniowej, jednak rozszerzająca się sfera gorącej plazmy wytrąciła myśliwiec z równowagi. St. Clair wyrównał i ustawił się za krążownikiem, znajdującym się mniej niż pięćset kilometrów przed nim.

Sekundy zdawały się rozciągać w nieskończoność.

Przy połączeniu na poziomie linkmach 5 umysł St. Claira wydawał się wślizgiwać w świat maszyny. Był świadomy wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, wliczając w to widzenie peryferyjne, a dzięki sensorom umieszczonym w każdej płaszczyźnie mógł wizualizować sobie obraz pełnej sfery. Dane z AI odbierał bezpośrednio, nie jako słowa słyszane lub ukazywane na wyświetlaczu, tylko jako pozawerbalną świadomość.

Najprawdopodobniej najdziwniejsza była zmiana poczucia

czasu. Umysł działał dużo szybciej niż u przeciętnego, niewspomagane go człowieka. Walczący, zarówno jego myśliwiec, jak i przeciwnicy, wydawali się poruszać dużo wolniej niż w rzeczywistości. Gdy zaczął zbliżać się do krążownika liniowego Turuschów, odczyt czasu wskazywał, że kolizja nastąpi za czterdzieści jeden setnych sekundy, jemu zaś wydawało się, że upłynęło prawie pół minuty, zanim myśliwiec podpełzł do przeciwnika.

W ciągu wieków walczący ludzie zawsze mieli poczucie, że czas zwalnia, co było podstawą starego powiedzenia, że przed śmiercią konającemu pojawia się przed oczyma całe życie. Teraz jednak to odczucie było jak najbardziej realne, spowodowane brutalnym zakłóceniem odczuwania czasu dzięki poprawie funkcjonowania neuronów.

Szybkość myślenia nadal podlegała jednak ograniczeniom biologicznym: przekazanie sygnału pomiędzy neuronami wymagało czasu, a St. Clair był tego tylko częściowo świadomy, zalewany falami danych, ilością podejmowanych decyzji i wydawanych poleceń.

Niecierpliwie czekał na idealne ustawienie względem celu.

Zawsze wydawało mu się interesujące, że przy tym wszystkim nie tracił jednego ludzkiego aspektu – emocji. W rzeczywistości studia prowadzone od pięciu stuleci udowadniały, że to właśnie uczucia powodują u wojownika przyspieszenie reakcji, wyostrzoną uwagę, a przede wszystkim dają mu powód do walki. Sztuczne inteligencje mogły w różnym stopniu naśladować emocje, jednak większość specjalistów zgadzała się, że nie były one prawdziwe.

Gdy sprowadziło się walkę do momentu, w którym emocje przestawały się liczyć, traciło się ważną zdolność bojową. Najgroźniejszymi wojownikami nie były maszyny, lecz ludzie, wspomagani bliskim połączeniem z maszynami.

Być może któregoś dnia maszynom uda się wyzwolić własne uczucia. Byłby to ostatni dzień pracy dla ludzkich pilotów.

Na razie jednak Ed St. Clair był bardzo ważnym elementem walki, składającym swojego starblade'a w kolejne uniki przed

rakietami, celującym do zbliżającego się okrętu przeciwnika i klikającym ikonę powodującą odpalenie pięciu kraitów.

Z krążownika wystrzeliły strumienie cząsteczek, szukające pocisków. Przy smagnięciu niszczącej energii pierwsza VG-10 eksplodowała, wysyłając w przestrzeń gorącą plazmę, mikroskopijne odłamki i potężną dawkę promieniowania elektromagnetycznego.

Rakieta nie wybuchła nadaremnie, chmura materii zamaskowała pozostałą czwórkę. Dodatkowo impuls elektromagnetyczny zakrzywił strumienie cząsteczek. Jeszcze jedna z rakiet trafiona została strumieniem protonów, jednak pozostałe trzy dotarły do krążownika Turuschów.

Przednia część okrętu wyparowała, zamieniona w rozgrzaną do białości plazmę. Kolos szarpnął się, odwrócił i zaczął przesuwać w kierunku, z którego przybył, ku AGTR.

Oślepiony chwilowo przez blask, St. Clair zwrócił myśliwiec o dziewięćdziesiąt stopni, zwalniając gwałtownie.

Czas pełzł.

– Świetny strzał, Scotty – krzyknął Niebieski Dwa. – Masz go! Masz go!

St. Clair przełknął ciętą odpowiedź. Nienawidził przyzwiska „Scotty”, bo to był zupełnie inny klan niż ten, z którego się wywodził. Głupi Amerykanie nie widzieli różnicy albo się po prostu nie przejmowali.

– Uwaga! – ostrzegł Niebieski Trzy. – Zaraz uderzy w Tunel!

Uszkodzony krążownik, który prawdopodobnie był już pozbawionym życia wrakiem, koziółkował w chmurze odłamków w stronę cylindra.

Co się stanie, gdy ważący kilkadziesiąt tysięcy obiekt ton uderzy w powierzchnię wirującą z prędkością zbliżoną do  $c$ ? St. Clair nie miał pojęcia... Nie chciał jednak być zbyt blisko, kiedy się przyjdzie o tym przekonać. Kliknął ikonę, powodując nagły skok starblade'a do przodu z maksymalnym przyspieszeniem, uciekając z zagrożonego rejonu w otwartą przestrzeń.

A przestrzeń za nim zajaśniała.

# Rozdział szesnasty

**6 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.21 TFT

Obsada mostka „Ameryki” zobaczyła oślepiający błysk, obejmujący wlot AGTR. Był tak intensywny, że AI musiała ściemnić monitory. W chwilę później sensory śledzące zauważyły kawałki metalu, mknące ku flocie z jedną czwartą prędkości światła.

– Co to, do cholery...? – zaczął Gray.

– Uszkodzony okręt Turuschów uderzył w AGTR – zameldował Mallory. – Nastąpiła natychmiastowa zamiana w energię, ale zostało trochę odłamków.

– CAG! – rzucił Gray. – Ile...

– Straciłam namiary na dwa myśliwce – odparła natychmiast kapitan Fletcher. – Mogło być gorzej.

– Poważne uszkodzenia kilku Tango – poinformował Mallory. – Żaden z naszych głównych nie zgłasza uszkodzeń od wybuchu.

– CAG, Gray. Jak sobie radzą nasze myśliwce? Nie widzę...

– Cztery ofiary, jak dotąd, panie admirale. Troje KIA i jeden biegacz.

– Dobrze. Upewnij się, że SAR monitoruje sprawy.

– Przyjęłam, sir.

Biegaczami nazywano jednostki, zarówno myśliwce, jak i okręty główne, mocno uszkodzone podczas lotu z dużą prędkością. Z niesprawnymi napędami, niezdolne do

manewrowania, dryfowały w przestrzeń, do momentu aż holownik SAR przechwycił je, wyhamował i dostarczył z powrotem, lub przynajmniej uratował załogę.

Problem stanowiło oczywiście dotarcie holownika na miejsce podczas trwania bitwy. Zbyt długie oczekiwanie mogło z kolei spowodować, że jednostka bezpowrotnie ginęła w pustce przestrzeni.

W tym momencie „Ameryka” miała w boju trzy pełne eskadry: „Death Rattlers”, „Lightnings” i „Impactors”, zaś czwarta, „Merry Reapers”, właśnie wchodziła do akcji. Piąta eskadra uderzeniowa lotniskowca, „Black Demons”, nadal wykonywała zadanie przy czarnej planecie, prawdopodobnie wracając w tej chwili na okręt. Gray zdecydowanie wolałby mieć ich teraz pod ręką. Lotniskowiec marines „Marne” przynosił dwie eskadry: „Devil Dogs” i „Death Dealers”, które właśnie były wystrzeliwane. Przy sześciu aktywnych eskadrach grupa zadaniowa mogła mieć w walce siedemdziesiąt dwa myśliwce, minus te cztery wyłączone z działania.

Okręty USNA ostrzeliwały gromadę Turuschów ze wszystkiego, co miały: strumieni cząsteczek, wysokoenergetycznych laserów i rakiet. Same także były pod ciężkim ostrzałem. Trzy krążowniki liniowe: „Sonora”, „Victoire” i „Ontario” oraz pancernik „Nowy Jork” zostały mocno trafione. Dwa niszczyciele i trzy fregaty uległy zniszczeniu przez skoncentrowany ostrzał rakietowy Turuschów, zaś trzeci niszczyciel, „Howard”, dryfował bez kontroli, tracąc atmosferę i wodę.

Jednak współczesne działania floty opierały się na myśliwcach. Walka okrętu z okrętem była śmiertelna i bezlitosna. Dwa okręty wielkości krążownika, wymieniające salwy rakiet i strumienie cząsteczek z małej odległości kilku tysięcy kilometrów, były w stanie w ciągu kilku sekund porozrywać się na strzępy. Myśliwiec mógł dokonać tych samych zniszczeń w tym samym czasie, a jednocześnie był dużo bardziej manewrowy, trudniejszy do uchwycenia, trafienia i zniszczenia, zaś gdy już to się stało, tracono tylko jednego człowieka i jego AI. Myśliwce miały także przewagę możliwości wślizgnięcia się na minimalną odległość i



dostarczenia śmiertelnie niebezpiecznego ładunku, czego kilometrowej długości „Ameryka” czy „Nowy Jork” nawet nie próbowały.

Tak więc taktyka walki przestrzennej zakładała, że flota nieprzyjacielska powinna najpierw zostać osłabiona i złamana przez myśliwce, jej okręty główne zniszczone lub uszkodzone, a chroniące ją myśliwce wyeliminowane lub zneutralizowane. Dopiero wtedy wchodziły okręty główne i dokańczyły dzieła.

Niestety, w tym wypadku wydawało się, że Turuschowie zapomnieli przeczytać podręcznik taktyki. Wyłaniając się z AGTR prawie na wprost floty USNA, zaczęli natychmiast ostrzalać, nie dając żadnej stronie możliwości „zmiękczenia” przeciwnika.

Jednak przewagą Grupy Zadaniowej Jeden było jej położenie, pozwalające sferycznie zamknąć okręty Turuschów w momencie, gdy wypęły z AGTR. Jej skoncentrowany ogień miał spustoszenie wśród obcych.

Była jednak jeszcze jedna taktyczna karta, którą chciał zagrać Gray. Jeśli tylko...

– Dowództwo, tu Lattimer.

Wspaniale, w samą porę! Na to właśnie czekał admirał. Kapitan Charles Lattimer był dowódcą krążownika artyleryjskiego „Farragut”.

– Dajesz.

– Sir, mamy dobrą pozycję do strzału, ale drobiazg jest na drodze. Możemy coś z tym zrobić?

– Świetnie, „Farragut”. Czekaj chwilę. – Zmienił kanały. – CAG? Możemy usunąć myśliwce z przestrzeni?

– Potwierdzam, admirale. Już przekazuję.

Lattimer miał do dyspozycji specjalizowaną wersję pocisków piaskowych AS-78, rakiet wypełnionych gęsto śrucinami wielkości ziaren piasku, wystrzeliwanymi z dużą prędkością przeciw rakietom przeciwnika. Była to powiększona wersja broni, której Gray zawdzięczał swój przydomek.

Mocno powiększona.

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.15 TFT

St. Clair obrócił myśliwiec, szykując się do następnego najścia. Kilkaset kilometrów od śmiertelnego melanzu miał wspaniałą widok na AGTR i kłębiące się wokół jednostki. Na tym dystansie potrzebował już pomocy AI, by dostrzec szczegóły okrętów. Pół tuzina jednostek USNA zostało uszkodzonych, szczególnie krążowniki liniowe „Sonora” i „Ontario” oraz kilka niszczycieli i fregat. W momencie gdy spojrział na ekran, „Sonora” właśnie wybuchła.

– Wszystkie myśliwce, wszystkie myśliwce – odezwał się głos na kanale dowodzenia. – Opuścić natychmiast środek przestrzeni walki! Mają zamiar zrzucić plażę!

St. Clair nie potrzebował dalszej zachęty. Okoliczna przestrzeń za moment miała wypełnić się ołowianymi kuleczkami, a on wcale nie miał zamiaru zapoznawać się z nimi bliżej.

– Kontrola, Niebieski Siedem. Potwierdzam.

Ustawiał się do strzału w kolejny duży okręt Turuschów, ale natychmiast przerwał podejście, przerzucił osobliwość i ostro przyspieszył. Para nieprzyjacielskich myśliwców siadła mu na ogonie. Ponownie przekręcił maszynę i kontynuując lot po nowym wektorze, tym razem tyłem do przodu, wystrzelił dwa kraity. Nuklearne kwiaty ponownie zakwitły w ciszy. Jeden z myśliwców wyłonił się z kuli, koziołkując, drugi zaś wykonał szybką zmianę kursu i przerwał pościg.

W tym momencie St. Clair był gotów do dalszego działania. Czas, miejsce ani gwiazdy nie istniały...

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.24 TFT

„Farragut” odczekał, aż myśliwce opuszczą przestrzeń. W planie miał wysłanie dziesięciotonowych zbiorników wypełnionych śrucinami. Wystrzelone jak ze strzelby, pojemniki te miały uwolnić falę drobinek, zwanych potocznie piaskiem. Stąd też wywodziło się humorystyczne powiedzenie o zrzucaniu na przeciwnika plaży.

Na wewnętrznym wyświetlaczu Graya oraz na ogólnym ekranie taktycznym widać było, jak ikony reprezentujące myśliwce rozpraszają się, reagując na rozkaz CAG i odsłaniając zgrupowanie Turuschów. W pewnym momencie rakiety przeciwnika dopadły jeden z myśliwców, Zielony Trzy, należący do „Reapers”.

– Zielony Trzy nie żyje – zameldowała Fletcher. – Jasna cholera...

– Przestrzeń czysta, panie admirale – poinformował Dean Mallory.

– „Farragut” – przekazał Gray – masz zezwolenie na otwarcie ognia.

– Przyjąłem, „Ameryka”. Strzelam.

Dwanaście tysięcy kilometrów od bakburty „Ameryki” krążownik artyleryjski rozpoczął ostrzał, widoczny na wyświetlaczach jako rozszerzające się jajo, przemieszczające się w stronę floty Turuschów. W chwilę później salwa dotarła do okrętów obcych i osiem z nich rozbłysło na białą.

– Trafienia! – krzyknął Mallory. – Przynajmniej osiem okrętów zniszczonych, a kilka kolejnych uszkodzonych.

– Ładny strzał, „Farragut” – powiedział Gray. – Kontynuuj ostrzał.

– Przyjąłem, „Ameryka”. Przeładowuję.

Naładowanie ogromnych akumulatorów napędzających działa „Farraguta” wymagało nieco czasu.

Pytanie brzmiało, czy Grupa Zadaniowa Jeden zdoła utrzymać zdolność bojową wystarczająco długo, by zniszczyć przeciwnika? „Sonora”, „Kearny” i „Howard” zostały zniszczone, „Nowy Jork”, „Victoire”, „Ontario” i ciężki krążownik „Clinton” były poważnie uszkodzone. Flota Turuschów kontynuowała ciężki ostrzał sił

USNA za pomocą strumieni cząsteczkowych i rakiet. Przeciwnik był ranny, ale nadal zdolny zadawać dotkliwe ciosy.

– „Farragut”... strzelam.

Sekundę później kolejna chmura ołowianych ziarenek poleciała w stronę okrętów Turuschów. Kilka z jednostek rozleciało się na kawałki. Jedna eksplodowała w oślepiającym blasku.

Według Graya bitwa nadal była w stanie chwiejnej równowagi, a każda ze stron mogła rozstrzygnąć ją na swoją korzyść.

Jednak w tym momencie wokół „Farraguta” pojawiła się chmura rakiet, wybuchając jedna po drugiej w destrukcyjnej kaskadzie.

Turuschowie zyskali przewagę.

USNS/HGF „Concord”  
Nieznana czasoprzestrzeń  
Godzina 18.25

„Concord” pędził przez relatywistycznie zakrzywione czas i przestrzeń. Przy prędkości przekraczającej dziewięćdziesiąt dziewięć procent  $c$  cały widok zacieśniony był do mglistych kolorowych pasków, a czas posuwał się w ślimaczym tempie.

Gdyby znajdowali się nadal w Galaktyce, otaczające gwiazdy ściśnięte zostałyby do wyraźnie widocznej tarczy, koncentrycznych kolorowych okręgów ze środkiem w punkcie, do którego kierował się okręt. Efekt nie był do końca wyjaśniony, jako że podczerwone promieniowanie gwiazd powinno zostać zmienione na światło widoczne. Obecnie, przy braku gwiazd, jedynym źródłem światła były odległe ramiona Galaktyki.

Z jakiegoś powodu siedmiogodzinny czas dryfowania okrętu także został skrócony do trzydziestu siedmiu i pół minuty.

Dla komandora Dahlquista, połączonego z centrum dowodzenia „Concorda”, głównym problemem nie było wydłużenie relatywistyczne, lecz sposób, w jaki Glothr osiągnęli

ten sam efekt sztucznie. Gnał przez skompresowaną prędkością przestrzeń, jakby goniło go stado piekielnych psów. Tak właściwie to chyba wolałby mieć do czynienia z takimi psami niż z tym, co widział, zanim „Concord” zaczął przyspieszanie: chmurą okrętów wyłaniającą się z pierścieni opasujących Invictusa.

– Myślę, że jest w porządku, skiper – powiedziała Ames. – Nawet oni nie mogą być szybsi niż kilka dziesiątych procenta c.

– Być może – odparł Dahlquist. – Ale mogą przejść w nadświatlną i nas dogonić.

– To niemożliwe, kapitanie. Bez względu na to, jak są dobrzy, nie mogą zobaczyć nic z wnętrza bąbla.

To był odwieczny problem, dyskutowany niejednokrotnie przez oficerów Marynarki w barach, klubach oficerskich, przy drinkach. Jak daleko może zajść technologia nadświatlna? Czy obcy okręt lecący szybciej od światła może wysledzić jednostkę lecącą w normalnej przestrzeni, wyjść z metaprzestrzeni i przechwycić ofiarę? Konwencjonalna wiedza mówiła, że było to niemożliwe, podróżowanie w nadświatlnej z definicji zakładało zawijanie się w kieszeń metaprzestrzeni, tworzącej własny mały wszechświat, co oznaczało także, że nikt z zewnątrz nie widział okrętu i odwrotnie.

Jednak okręty Glothr wyłaniające się z Invictusa wyraźnie ścigały „Concorda”. Musiały więc mieć jakąś nadzieję na jego dogonienie.

A może chciały tylko śledzić go do momentu spotkania z flotą?

Dahlquist nie wiedział. Doskonale zdawał sobie jednak sprawę z tego, że był całkowicie odsłonięty.

– Kapitanie! – krzyknął oficer operacyjny. – Coś się dzieje!

– Co tam masz, Ben?

W tym momencie mógł to już zobaczyć na wyświetlaczu wewnętrznym – dziwne rozbłyski światła zakłócające ciągłość pasków. Nagle jeden z nich zamienił się w tęczę, obejmującą cały widok.

– Alarm zblizeniowy od rufy! – ostrzegła AI. – Alarm zblizeniowy od rufy!

Czymkolwiek były błyski, zmierzały w stronę „Concorda” od tyłu, choć prędkość okrętu przeniosła ich obraz do przodu. Złudzenie optyczne było dziwne i straszne.

– Niezidentyfikowany cel trzydzieści metrów za rufą i zbliża się.

Trzydzieści metrów? W jaki sposób cokolwiek dostało się tak blisko?

– Baterie rufowe! – krzyknął Dahlquist. – Ognia!

Celowanie przy tej prędkości było problematyczne, ale komandor czuł, jak AI rozwiązuje zadanie. Zdawało mu się jednak, że robi to coraz wolniej i wolniej.

A potem czas się zatrzymał.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.26 TFT

– Jezu! – krzyknął jeden z pilotów. – Spójcie na „Wielkiego F”!

Strumienie danych transmitowane z setek dronów dawały St. Clairowi panoramiczny obraz całej bitwy. Zaalarmowany przez Niebieskiego Dwa widział trafienie „Farraguta”, eksplozje nuklearne rozbłyskające wzdłuż jego kadłuba, obejmujące projektory osobliwości, mostek i moduły mieszkalne.

– No to po nich... – powiedziała Jess Atkinson, Niebieski Dziewięć. – Boże...

St. Clair zauważył, że północnoamerykańscy piloci mają tendencję do wyjątkowo niestosownych zachowań podczas walki, szczególnie do odwołań religijnych, naruszających Białą Konwencję. Uznał, że stare powiedzenie mówi prawdę: nie ma ateistów w okopach... ani w kokpitach myśliwców.

On sam nie był pewien, w co wierzy, o ile w ogóle wierzy. Zauważył u siebie zainteresowanie nową religią, rozszerzającą się w Europie i Konfederacji, Światłem Gwiazd, ale trzymał to dla siebie. Światło uważane było za europejski ruch duchowy, a

Amerykanie nie dowierzali jeszcze Europejczykom, nawet szkockiemu imigrantowi, który walczył u ich boku. Lepiej było nie wychylać się z takimi sprawami.

Religijni czy nie, piloci eskadry porażeni zostali widokiem końca „Farraguta”. Na wpół stopione odłamki koziołkowały na wszystkie strony, poszerzając dzieło zniszczenia.

– Za bardzo dawał im się we znaki – powiedział porucznik Ramirez. – Musieli go zniszczyć.

– Taa – potwierdził inny pilot. – Ale w jakiej to nas stawia sytuacji?

– W sytuacji, w której musimy dokopać Tuschom – odparł St. Clair. – Zabieramy rzyci.

– Co to, kurwa, jest rzyć? – spytał Cambridge.

– To, co Scotty schowane ma pod kiltem – odparł porucznik Randles.

St. Clair zignorował zaczepkę. W tym momencie wykonywał już zwrot, ustawiając swój myśliwiec ponownie na linii z okrętami Turuschów, i przyśpieszył. Ramirez miał rację. Turuschowie skoncentrowali ogień na „Farragucie”, który z ich punktu widzenia był najbardziej efektywnym okrętem floty USNA. Po zniszczeniu krążownika jądro floty bojowej Turuschów ruszyło naprzód, próbując przebić się przez okrążające je amerykańskie okręty główne. Przeniosły ześrodkowanie ognia na uszkodzony „Nowy Jork”.

Ale St. Clair widział już taktyczną okazję – cholernie ryzykowna próba, ale gdyby się udało...

Globalne okrążenie.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.27 TFT

– Myśliwce ponownie podchodzą do ataku, admirał – zameldowała Fletcher.

– Dobrze. Mallory! Nakaz grupie rozproszyć się bardziej. Zastosujemy okrążenie przestrzenne.

– Aye, aye, panie admirale.

– Powiedz „Valparaiso”, „Hessen”, „Mobile”, „Honsu” i „Cincinnati”, aby spróbowały dostać się za nich i odciąć ich od Tunelu. Nakaz „Chicago” i „Bostonowi” wraz z niszczycielami, by nieco odbiły. Niech myślą, że się wycofujemy, ale powoli. Kapitan Gutierrez?

– Sir!

– My także. Cofamy się.

– Aye, aye, sir.

Bardzo eleganckie podczas planowania, okrążenie przestrzenne było jednym z tych manewrów, których wykonanie w rzeczywistości zakrawało na niemożliwość. Bardziej niż jakikolwiek inny manewr wymagało, by przeciwnik zrobił to, co chciało się, by zrobił. Jakiegokolwiek odstępstwo bardzo łatwo prowadzić mogło do katastrofy.

Gray zobaczył jednak swoją szansę w momencie, gdy flota Turuschów zaczęła przemieszczać się w stronę centrum ugrupowania amerykańskiego, zajmując przestrzeń tak spektakularnie opuszczoną przez „Farraguta”. Środkowa część sił USNA wycofywała się pod naporem przeciwnika, jednak flanki rozciągały się. Za minutę flota Turuschów powinna zostać całkowicie okrążona.

Coś podobnego wydarzyło się dwadzieścia sześć wieków wcześniej podczas bitwy pod Kannami, choć wtedy dotyczyło zaledwie dwóch wymiarów. Wtedy to, gorącego dnia na początku sierpnia, środek formacji Kartagińczyków dowodzonych przez Hannibala wycofał się przed przeważającymi siłami Rzymian, jednak flanki pozostały niewzruszone. Formacja rzymska w miarę posuwania się naprzód w głąb kartagińskiego półkola, stawała się coraz bardziej dezorganizowana, aż w końcu Hannibal nakazał swym skrzydłom zamknięcie się za Rzymianami, więżąc ich w pułapce i niszcząc.

Mniej więcej to samo działo się obecnie z flotą Turuschów.



Gray zastanawiał się, czy obcy nie zdają sobie z tego sprawy. Jednak zdecydowanie parli do przodu, nie mogąc nawet strzelać w obawie przed trafieniem własnych jednostek. Ciężkie okręty USNA ostrzeliwały Turuschów, wysyłając w ich kierunku salwy rakiet i tnąc strumieniami cząsteczek.

Gray obserwował manewr na trójwymiarowym wyświetlaczu. Bitwa była zbyt duża i rozciągała się zbyt szeroko, by dało się ją objąć umysłem, nawet wspomaganym przez AI. Mózg admirała pracował obecnie dużo szybciej, podłączony do sieci taktycznej „Ameryki”, co dawało mu doskonałe zrozumienie tego, co mógł widzieć przed sobą.

Trudno było także zdecydować, jak bardzo należało osobiście angażować się w bitwę. Pojawiło się przytłaczające pragnienie mikromenadżmentu, dowodzenia osobiście każdym okrętem, myśliwcem, wskazywania każdemu pilotowi kursu i prędkości, by znalazł się we właściwym miejscu skomplikowanego planu.

Gray odepchnął tę megalomanię, tak jak uprzednio zrobił to z danymi historycznymi. Obecnie jego zadanie sprowadzało się do śledzenia bitwy na jak najwyższym poziomie, tak by pozwolić podwładnym, kapitanom poszczególnych okrętów, zająć się szczegółami. Wiedział, że jego ludzie są dobrze wyszkoleni, większość miała duże, realne doświadczenie bojowe. Wiedzieli, co robią. Gray miał zajmować się obrazem ogólnym, nie szczegółami.

– Komandorze Mallory, proszę zatrzymać środek – powiedział.  
– Zatrzymać i kopnąć drani tam, gdzie ich zaboli.

– Kolejne trafienie „Clintona”, panie admirale. I następne. Tracimy go.

Na jednej z transmisji widać było, jak ciężki krążownik „Clinton” obraca się delikatnie, gdy objęły go eksplozje. Większość jego części rufowej już nie istniała, a Gray widział poszczególne sekcje wewnętrznego szkieletu okrętu skręcające się i deformujące pod wpływem uwolnionych osobliwości grawitacyjnych.

Ciężki krążownik „Valparaiso” znikł w gwałtownym rozbłysku. Za chwilę dołączył do niego „Clinton”, a moment później

ekspłodował japoński krążownik liniowy „Honshu”.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 18.28 TFT

St. Clair przebijał się przez środek floty Turuschów, zygzakując wściekle we wszystkich kierunkach i płaszczyznach, by uniknąć obrony punktowej. Spojrzał na wyświetlacz taktyczny. Pozostały mu dwa kraity i jedna większa rakietka VG-44c Fer-de-lance. Gdy je zużyje, pozostaną mu tylko strumienie cząsteczek i pociski kinetyczne z gatlinga, całkowicie nieskuteczne przeciw tym latającym górom.

Dokładnie na wprost długi na kilometr potwór przebijał się przez flotę USNA, migając swym czerwono-czarnym malowaniem na tle pustego nieba.

– Siedem... Cel uchwycony! – poinformował. – Fox Jeden!

Ostatni „ferdek” wysunął się spod brzucha myśliwca i pomknął w głęboką ciemność. Jakiś myśliwiec Turuschów wykonał zwrot, próbując zablokować lub zestrzelić raketę, St. Clair nie był pewien, jednak ta, kierowana przez własną AI, odbiła ostro, zmieniła wektor i przyspieszyła, uderzając w wielki okręt, roztapiając kadłub i powodując wyciek atmosfery.

– Trafiony! – krzyknął St. Clair. – Przygwoździłem go!

– Doskonały strzał, Scotty!

Tym razem nawet nie zwrócił uwagi na przezwisko.

Trafiony okręt Turuschów zaczął wolno koziółkować, krater na sterburcie świecił od temperatury. St. Clair przeleciał nad jednostką i sprawdził odczyty. Okręt nie był jeszcze martwy, ale większość jego systemów nie działała. Dla niego bitwa się skończyła.

Pozostały dwie rakietki. Pilot rozejrzał się za następnym celem.

Zanim go znalazł, para myśliwców przeciwnika siadła mu na szóstej, chowając się za salwą szybko przyspieszających rakiet.

Wykonując uniki, St. Clair wycelował do rakiet z miotaczy, zaś kraity wystrzelił w stronę ścigających go myśliwców. Jedna z rakiet prawie natychmiast została strącona przez obronę punktową. Druga wykonała obejście i wybuchła w odległości mniejszej niż trzysta kilometrów od starblade'a.

Blisko...

Pozbawiony rakiet, St. Clair wycelował do drugiego toada z gatlinga, wysyłając w przestrzeń strumień pocisków ze zubożonego uranu. Niestety, zbliżało się ku niemu więcej rakiet, a jedna wybuchła całkiem niedaleko.

St. Clair nie dowiedział się, czy trafił drugi myśliwiec. Nuklearna kula rozszerzyła się szybko w impulsie wściekłej energii w odległości zaledwie stu metrów od niego, a on pogrążył się w czarnej nieświadomości.

# Rozdział siedemnasty

**7 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 1.35 TFT

– Zbliżają się myśliwce! – zakomunikowała Fletcher. – Dwa... VFA-96! Porucznicy Connor i Gregory.

Gray sprawdził sytuację na trójwymiarowym wyświetlaczu. Od strony Invictusa błyskała para nowych gwiazdek.

– Jakież wiadomości od nich?

– Tak, sir, kłopoty. Odległość... cztery minuty świetlne.

Pół jednostki astronomicznej. W tym momencie starblade’y powinny już wytracać prędkość. Przyjęcie ich na pokład miało potrwać jeszcze chwilę.

Gray przełknął przekleństwo. Kolejne opóźnienie, ale może to opóźnienie pojawiło się dokładnie na czas.

– Jakież kłopoty?

– Sir, wydaje się, że Rand i jego ludzie zostali wzięci do niewoli przez Glothr – odpowiedział Mallory. – Duża liczba okrętów obcych oderwała się od pierścienia wokół Invictusa i rozpoczęła pościg za jednostkami Straży Kosmicznej.

– Jaka liczba?

– Nie powiedzieli. Będziemy dopytywać.

– Dobrze. – Warto było wiedzieć, jakie siły ma się przeciw sobie. – Jakież wiadomości od „Paxa” i „Concorda”?

– Tylko to, że ostatnio widziane były w momencie, gdy ostro przyspieszały w kierunku Tunelu.

To znaczyło, że należało się ich spodziewać około dwadzieścia minut po myśliwcach. Jeśli udało im się urwać. Dziwne. Powinny być już widoczne na skanerach długodystansowych. A tu, jak na razie, nic.

Zdaniem Graya Glothr dopadli Straż, a następnie zawrócili z przemysem na Invictusa.

– Jeden z myśliwców melduje przechwycenie fragmentu wiadomości – powiedziała Fletcher. – Była nieczytelna.

– Utrata łączności przy prędkości relatywistycznej – domyślił się Gray. Na razie nic nie można było z tym zrobić. – Komandorze Talbot! Proszę podać mi status floty.

Komandor porucznik Henry Talbot w sztabie Graya odpowiedzialny był za monitorowanie stanu floty. Grupa Zadaniowa Jeden mocno wykrwawiła się w starciu z Turuschami kilka godzin wcześniej. Niektóre okręty były tak mocno uszkodzone, że Gray musiał zrezygnować z planowanego przemieszczenia do Invictusa. Okręt naprawczy floty, „Vulcan”, nazwany tak na cześć boga remontowców, wytwarzał tony części zapasowych i wysyłał je do potrzebujących jednostek.

– Naprawy... są kontynuowane – odparł Talbot. – Jednak „Vulcanowi” kończą się zapasy. Potrzebujemy ZMA, jeśli chcemy ruszyć się gdziekolwiek.

ZMA – zapasowe materiały asteroidalne, były tu jednak rzadkim rarytasem. Typowe układy słoneczne zawsze miały pewną ilość kawałków skał i lodu kręcących się w pobliżu, jakies asteroidy i komety czy nawet karłowate planety, pozostałe z wczesnych dni formowania systemu. Okręt taki jak „Vulcan” mógł wysłać chmurę nanorozdrabniaczy, by rozłożyć obiekt na wolne pierwiastki, które służyły do wytworzenia potrzebnych rzeczy, takich jak woda, żywność czy uzbrojenie.

Tu jednak było zupełnie inaczej. Invictus został wystrzelony z Drogi Mlecznej samodzielnie, bez słońca, innych światów, księżycy czy asteroidalnego śmietnika, wypełniającego normalny układ.

Przez dłuższą chwilę Gray wpatrywał się w pustkę, myśląc. Nagle odwrócił się prawie o sto osiemdziesiąt stopni w kierunku

odległego o pół jednostki astronomicznej cylindra AGTR, niewidocznego z tej odległości.

Prawie połowa ocalałych okrętów Grupy Zadaniowej Jeden, czyli osiem jednostek, potrzebowała naprawy. „Ameryka” z bitwy przy AGTR wyszła nienaruszona, jednak „Nowy Jork”, „Ontario”, „Północna Kalifornia” oraz europejskie „Victoire” i „Churchill” plus trzy niszczyciele zostały poważnie uszkodzone i nie były w stanie samodzielnie się poruszać.

Stracone okręty to krążowniki liniowe „Sonora” i „Honshu”, ciężkie krążowniki „Clinton” i „Valparaiso”, średni krążownik „Hessen”, lekki „Mobile” oraz pięć niszczycieli i fregat. Z początkowych trzydziestu dwóch, jedenaście okrętów zostało zniszczonych, a los dwóch był nieznan.

Straty wśród myśliwców także były wysokie. Holowniki SAR pracowały bez wytchnienia, wyłapując łupiny uciekające w otchłań i ściągając je do domu. Do tego momentu uratowano pięciu pilotów, ale jedenastu nie żyło bądź nie dawało znaku życia.

Trwało liczenie strat. Według pierwszych obliczeń flota straciła około ośmiu tysięcy ludzi, kolejny tysiąc było rannych.

Straty Turuschów oceniano na dziewięć dużych okrętów głównych. Dokładna liczba była trudna do ustalenia, choć AI przeglądały dane z bitwy, starając się stworzyć jaśniejszy obraz tego, co się działo. Część jednostek nieprzyjaciela, około dziesięciu, zdołała wykonać zwrot i wycofać się przez AGTR, zanim siły USNA je odcięły.

Próba przestrzennego okrążenia, zdaniem Graya, udała się tylko częściowo. Odebranie przeciwnikowi nadziei na ucieczkę i przyparcie do wymagowanego muru spowodowało, że zaczął on walczyć jeszcze bardziej zażarcie. Ciężkie okręty Turuschów, gdy tylko zorientowały się, co się dzieje, zwróciły się ku AGTR i zmasakrowały okręty USNA stojące im na drodze. Trzy z sześciu straconych przez GZ-1 okrętów zostało zniszczonych właśnie w tym momencie i Gray miał gorzką świadomość, że to jego rozkaz wysłał je na śmierć.

Oczywiście na tym właśnie polegały zadania Marynarki od

momentu, gdy ludzie po raz pierwszy wysłali okręty wojenne na morza. Admirałowie zaś pchali ludzi do walki, w wyniku której często ponoszono ogromne straty. To było coś, czego Gray zdążył się już nauczyć.

Ale nadal tego nienawidził.

Teraz jednak miał do podjęcia kolejne decyzje. Jego flota zredukowana została do siedemnastu okrętów głównych, z czego osiem było ciężko uszkodzonych. Właśnie otrzymał wiadomość, że „Pax” i „Concord” miały kłopoty, istniało także duże prawdopodobieństwo, że Glothr są już w drodze. Z dziewięcioma nienaruszonymi okrętami nie było szans na zajęcie całej planety.

Ocalałe okręty Turuschów również pozostawały niewiadomą, i to śmiertelnie groźną. Co najmniej dziesięć z nich zdołało przedostać się przez AGTR. Niektóre mogły być zbyt uszkodzone, by ponownie brać udział w boju, jednak pozostałe miały możliwość przegrupowania się z drugiej strony cylindra i powrotu, możliwe, że z posiłkami. Natura AGTR sugerowała, że flota Turuschów nie przybyła z tego samego obszaru czasoprzestrzeni, co siły USNA. Mogli pochodzić sprzed dwunastu milionów lat, jednak z zupełnie innej części Galaktyki niż gromada Ula, czyli w sumie z innego AGTR. Lecz mogli także być z innego miejsca i czasu. Spekulacje na ten temat były bezcelowe, Gray zdawał sobie jednak sprawę, że musi brać pod uwagę możliwość, że okręty Turuschów w dowolnym momencie ponownie przelecą przez cylinder.

A gdyby to zrobiły, pozostałości GZ-1 zostałyby uwięzione w pułapce pomiędzy nimi a siłami Glothr nadciągającymi od Invictusa.

Jakie opcje więc pozostały? Pierwszą była ochrona uszkodzonych jednostek do momentu, kiedy na tyle usuną uszkodzenia, że cała grupa będzie w stanie wrócić przez Tunel do Ula. Potem wróciliby na Ziemię po oczywistej porażce.

I to było... w porządku. Nie chwalebne, na pewno nie miłe, ale akceptowalne. Gdy ścierały się dwie floty, generalnie jedna z nich wygrywała, druga przegrywała. Można było wrócić do Ula, a potem na Ziemię, i przekazać Koenigowi rezygnację z powodu

ewidentnego braku umiejętności dowodzenia flotą. To było całkowicie jasne.

To znaczyłoby jednak, że ponad jedenaście tysięcy ludzi oddało życie... na darmo.

Część umysłu Graya po prostu odmawiała zaakceptowania takiej opcji. Z punktu widzenia strat materialnych bitwa o AGTR Invictus zakończyła się remisem. Ale jeśli siły USNA opuściłyby ten niewielki kawałek przestrzeni, o który walczyły, zamieniłaby się ona w moralną porażkę, a wszystkie straty okazałyby się całkowicie niepotrzebne.

Gray nie mógł tego zaakceptować. Po prostu nie był w stanie. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że odrzucenie tego rozwiązania stwarzało ogromne ryzyko dla pozostałych okrętów i ich załóg, nie był w stanie tego zrobić. Czy miał rację?

Równanie miało jednak więcej niewiadomych. By naprawić uszkodzone okręty grupy zadaniowej, musieli znaleźć źródło wolnych pierwiastków, a w tej części przestrzeni zakrawało to na niemożliwość. Wykonanie napraw, w tym znalezienie źródła materiałów, wymagało czasu.

Tego zaś było obecnie bardzo mało. Zarówno Glothr, jak i Turuschowie mogli tu być dosłownie w każdej chwili.

Najważniejsze stawało się więc znalezienie źródła. Jedna stumetrowa asteroida to wszystko, czego potrzebowali, szczególnie jeśli byłaby typu S, zawierającego zarówno metale ciężkie, jak i lekkie, a także wodę.

Można było wysłać zwiadowców, by poszukali asteroidy, ale Gray wiedział, że to najbardziej czasochłonne rozwiązanie. O ile nie znajdzie się kilka skał, które przyleciały tu razem z Invictusem, nie mogą spodziewać się niczego innego.

Drugą opcją było wysłanie „Vulcana” przez AGTR. Gromada Ula liczyła zaledwie sześćset milionów lat i jako taka pełna była gazu i pyłu oraz bogata w odłamki towarzyszące budowaniu gwiazd i planet. Znalezienie odpowiednich asteroid, rozłożenie ich i załadowanie nie trwałoby długo.

Czy mogli sobie jednak pozwolić na chwilową choćby stratę „Vulcana” w czasie, gdy ten udałby się po ZMA? Zaangażowany



był także w odbudowę modułów i podtrzymywanie życia oraz zapewnienie schronienia rozbitkom. Nie mogliśmy tego robić, gdyby poleciał do Ula.

Cholera!

Odpowiedź Gray miał oczywiście cały czas przed oczyma. Było tu źródło materiałów, i to całkiem spore. Admirał zdał sobie sprawę, że to jedyne rozwiązanie.

– Komandorze Mallory, panie Talbot, proszę przekazać do „Vulcana” i reszty floty, że będziemy kanibalizować zniszczone okręty, by uzyskać materiały.

– Kanibalizować? – spytał zaszokowany Talbot.

– Dokładnie tak. Okręty Turuschów są miniasteroidami, od nich zacznijemy. A nasze własne jednostki stanowią zapasy zróżnicowanych pierwiastków, a także dużej ilości wody, oczywiście tej, która jeszcze nie wyciekła.

– Z naszych okrętów nie uda się zbyt wiele odzyskać, sir – powiedział Mallory. – Większość z nich wyparowała. Są obecnie małymi kulami metalu kręcącymi się w przestrzeni.

– Wykorzystamy, co się da.

– Co z promieniowaniem?

Dobre pytanie. Większość wraków stała się nimi w wyniku eksplozji termonuklearnych. Ich kadłuby, szczególnie części metalowe, były więc mocno skażone.

– Proces odzysku prowadzony będzie głównie przez roboty i chmury nano – powiedział Gray, myśląc na głos. – „Vulcan” jest w stanie zbudować wystarczająco dużo komór odkażających. Mamy przecież w tym względzie spore doświadczenie.

To była prawda. Umiejętność radzenia sobie z silnym promieniowaniem stała się koniecznością od czasu powstania pierwszych kolonii na Księżycu i Marsie w dwudziestym pierwszym wieku, zaś budowa windy kosmicznej wymagała efektywnych metod odkażania.

– Czy okręty Turuschów mają na pokładach zapasy wody? – chciał wiedzieć Talbot.

– No cóż, dowiemy się tego, prawda?

– Tak jest.

- Jest jeszcze jedna sprawa, panie admirale.
- O co chodzi?
- To trochę... problem religijny. Co wiemy na temat zwyczajów religijnych Turuschów i ich wierzeń dotyczących śmierci?
- Znaczy chodzi o to, co zrobimy z ich ciałami?
- No tak... a także o rozebranie ich okrętów. Nie chcemy być oskarżeni o popełnienie zbrodni wojennej.
- O ile mi wiadomo, panie Mallory, Turuschowie nie podpisywali żadnej konwencji dotyczącej tego, co należy robić z ciałami ich poległych i zniszczonymi okrętami.

W wojnach międzyludzkich niektóre zachowania uznawane były za zbrodnie wojenne, zaliczało się do tego bezczeszczenie zwłok nieprzyjaciela. Prawa, których korzenie sięgały dwudziestego wieku, nakazywały walczącym szacunek dla poległych nieprzyjaciół wraz z ich rytuałami pogrzebowymi. Były nawet ograniczenia zakazujące w pewnych sytuacjach odzyskiwania okrętów, jeśli spokój zmarłych miałby zostać naruszony. Pancernik oceaniczny USS „Arizona” nadal spoczywał na dnie Pearl Harbor jako grób dziesięciu tysięcy marynarzy i marines, którzy zginęli prawie pięć wieków wcześniej.

Gray podjął jednak decyzję, że takie subtelności nie miały zastosowania tutaj. Nie mogły. Ziemia nie zawierała z Turuschami żadnych traktatów, Gray nie znał ich rytuałów pogrzebowych ani innych zwyczajów. Użycie wraków było jedyną opcją, nawet jeśli ciała Turuschów miały zostać rozłożone tak samo jak elementy okrętów i jako swobodne pierwiastki znaleźć się w ładowniach „Vulcana”.

Zastanowił się nawet przez chwilę, czy była możliwość takiego zaprogramowania nano, by rozkładały one części okrętu, lecz pozostawiały w spokoju ciała.

Z realistycznego punktu widzenia nie miało to żadnego znaczenia. Atom węgla pozostawał atomem węgla, bez znaczenia, czy pochodził z beczki, sztucznie wyhodowanego mięsa, czy żywego organizmu. Nie powinno być żadnych zanieczyszczeń, tylko CHON – węgiel, wodór, tlen i azot,

podstawowe składniki budulcowe.

Tak czy inaczej, Gray uznał, że lepiej będzie nie mówić ludziom, skąd w rzeczywistości pochodziły składniki budulcowe pojawiające się przez najbliższe kilka tygodni w replikatorach żywnościowych.

Zakres akceptowalnych zachowań wśród myślących gatunków był ogromny. Natychmiast przyszli mu do głowy Grdoch, wysoce inteligentne istoty, podróżujące w przestrzeni, które trzymały wielkie zwierzęta rzeźne po to, by zjadać je żywcem. Widok jednej z tych bezradnych, ślepych bestii, rozrywanej żywcem przez Grdoch, nadal czasem pojawiał się w koszmarach nocnych Graya.

A mały technokanibalizm pomiędzy wrogami?

– Bardzo dokładnie sprawdźcie te wraki, by upewnić się, że nie zostali tam żywi Turuschowie.

– Aye, aye, sir.

– Ale powiedzcie „Vulcanowi”, że ma się śpieszyć. Chcę, aby flota była odbudowana, zanim wrócą Turuschowie albo zanim pojawią się Glothr z Invictusa.

Gray przez chwilę patrzył na Galaktykę w oddali. Ta pustka, poczucie samotności uciskało go, chwytalo za gardło. Czuł się uwięziony w pułapce.

Chciał wykonać w końcu tę piekielną misję i wrócić do światła Słońca.

VFA-96 „Black Demons”

Podjeście do dokowania

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Godzina 1.42 TFT

Don Gregory podprowadził swojego starblade’a do „Ameryki”, wytracając szaloną prędkość. Od tej strony lotniskowiec wyglądał jak ogromny parasol, którego szary kolor słabo odcinał się od aksamitnej ciemności przestrzeni. Błyskające czerwone i

zielone światła naprowadzające pozwalały pilotowi obrać odpowiedni kurs.

– Dobrze być w domu, Don – powiedziała Connor.

– Masz zupełną rację, Meg. Nie mogę się doczekać zrzucenia z siebie tego śmierdzącego myśliwca.

– Myślisz, że Straży Kosmicznej się udało?

– Nie wiem. Trochę ich wyprzedziliśmy. Mam nadzieję, że tak.

– Gregory zawahał się, a następnie ponownie kliknął ikonę połączenia, upewniając się, że znajdują się na prywatnym kanale. – Meg? Chciałbym... hmm... zobaczyć się z tobą... jak najszybciej.

Nawet na prywatnym kanale nie czuł się do końca swobodnie. Reszta eskadry nie musiała o niczym wiedzieć.

– Najpierw prysznic i kolacja, dobrze?

– Oczywiście. – Sprawdził czas. – Jezu... prawie druga w nocy. Nie wiedziałem, że jest tak późno, albo może wcześniej.

– To pieprzone wydłużenie czasu – odparła Connor. – Dla mnie jest około osiemnastej.

– Zgadza się.

– Wieczorem pewnie wrzucą nas na służbę, możemy więc pospać w dzień. Spotkamy się wcześniej u mnie?

– Myślałem raczej o pokładzie obserwacyjnym.

– Brzmi inspirująco. Zgoda.

– Dobrze.

– Lot Black Demon, tu kontrola lotów „Ameryka” – rozległ się nowy głos, a Gregory podskoczył. Byli podsłuchiwani? – Macie zezwolenie na podejście i lądowanie, zatoka numer dwa.

W porządku. KL ustanawiała tylko połączenie w celu naprowadzenia ich.

– Zrozumiałem, „Ameryka”. Jakiś ślad pościgu?

Dalekosiężne sensory lotniskowca i jego drony zwiadowcze mogły wykryć zbliżającego się przeciwnika dużo wcześniej niż para myśliwców.

– Nie, Demon. Dzięki, że ich tu nie przyprowadziliście.

– KL, nadal mogą być w drodze – uprzedziła Connor. – Trzymajcie odpalone dalekosiężne.

– Jasne.

Zwalniający wciąż starblade ustawił się idealnie w linii prostej z modułami obrotowymi i skierowanymi w stronę rufy śluzami zwanymi „wrotami stodoły”. Kontrolę nad ostatecznym podejściem przejęła AI, nadając myśliwcowi tylko tyle prędkości, ile niezbędne było do poprawnego podejścia. W chwilę później nastąpiło delikatne szarpnięcie i maszyna znieruchomiała. Automatyczne podajniki przesunęły starblade’a na czarną powierzchnię uszczelnacza. Myśliwiec zaczął się w niej zatapiać. Po trzydziestu sekundach po jego lewej stronie znalazł się myśliwiec Connor, który także zaczął zapadać się w czarny prostokąt.

Byli w domu.

Izba chorych

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 2.50 TFT

– Powinien już się budzić – oznajmił głos AI nadzorującej izbę chorych. – Proszę mówić, pani kapitan.

– Jak się czujesz, Scotty?

Komandor porucznik Edmond St. Clair otworzył oczy i zamrugał z niedowierzaniem. Nad jego łóżkiem pochylała się kapitan Connie Fletcher.

– CAG! – powiedział, próbując się podnieść.

– Spocznij, komandorze – odparła. – Niech pan leży.

– Co... się stało?

– Został pan jakby zestrzelony w walce z Tuschami. Holownik SAR ściągnął pana do domu.

– Od kilku godzin trzymamy pana w farmakologicznej śpiączce, komandorze – oznajmiła AI. – Sprawdziliśmy pana, wygląda pan na nieuszkodzonego.

– Boże...

Ugryzł się w język. Jako Europejczyk powinien bardziej pilnować przestrzegania Białej Konwencji. No, w zasadzie były Europejczyk.

– Bez obaw – odparła Fletcher. – Nikogo pan nie uraził.

– Czułem się... nieco zagubiony poza myśliwcem.

– Mogę sobie wyobrazić. Tam jest cholernie pusto. Czy czuje się pan na siłach wrócić na służbę?

– Wydaje mi się, że tak.

– Tworzymy nowe myśliwce, jednak mamy cholernie mało pilotów, a admirał zabiera nas do piekła. To chyba także określenie religijne, co?

– Obiecuję, że nie zgłoszę tego nikomu, CAG. – Ed zsunął nogi z leżanki. Czuł się słaby i lekko skołowany. Był to efekt leków.

– Proszę zachować ostrożność, komandorze – uprzedziła AI. – Do pełnej sprawności powinien pan wrócić za dziesięć minut.

– Jak moja eskadra, CAG?

– Czworo nie żyje. Jeden biegacz, którego jeszcze nie odzyskaliśmy.

– Kto?

– Niebieski Dziewięć. Atkinson.

Zamknął oczy i opadł na leżankę. Jess Atkinson – przemiła, zabawna, wspaniała w łóżku i... cholernie dobry pilot myśliwski w boju. Jess Atkinson, która sama miała tendencję do religijnych odwołań.

– Wciąż jej szukamy, komandorze – powiedziała Fletcher. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ją znaleźć.

W naszej mocy...

A otchłań była tak ogromna i pusta.

St. Clair czuł, jak zbliża się do niego niczym czarny straszliwy cień.

Pokład obserwacyjny  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

- Tak... cudownie...
- Oczywiście, cudownie wyglądasz.

Connor klepnęła Gregory'ego w nagą klatkę piersiową i para oddryfowała od siebie. Takie były uroki uprawiania seksu w nieważkości. Martwa łapa Isaaca Newtona ciągle pchała się tam, gdzie jej nie chciano. Każdej akcji towarzyszy reakcja o przeciwnym zwrocie.

- Idiota! – zaśmiała się Connor. – Miałam na myśli widok.
- Don obejrzał ją od stóp do głów.
- Ja także.

Oboje byli nadzy i unosili się w kapsule obserwacyjnej, znajdującej się na szczycie wieży mostkowej. Kiedyś było to pomieszczenie służbowe połączone z kontrolą lotów, miejsce, z którego ludzkie oczy obserwowały podejście myśliwców do lądowania, jednak maszyny robiły to samo szybciej i z większą dokładnością. Kopuła stała się więc miejscem rozrywki, do którego udawali się członkowie załogi chcący popatrzeć w przestrzeń własnymi oczyma, a nie za pomocą wewnętrznego wyświetlacza.

Równie często spotykali się tu kochankowie. Nieważkość dodawała miłosnym zmaganiom nieco pikanterii, nawet jeśli trzeba było używać elastycznych połączeń lub kotwiczyć stopy w nanomacierzy pokładu.

Przy odrobinie wprawy zabawa była jednak przednia. Connor i Gregory właśnie tej wprawy nabierali.

Poza kopułą widać było Galaktykę i Gregory musiał przyznać, że ten widok był również piękny. Połączony blask czterystu miliardów gwiazd był o wiele delikatniejszy, niż mogłoby się wydawać. Sensory optyczne, także te w starblade'ach, miały tendencję do lekkiego intensyfikowania światła. Tu, widziana gołym okiem, szeroka spirala wydawała się mieszać z ciemnością przestrzeni, miejscami stając się całkowicie niewidoczna. Trzeba było naprawdę wyteńczyć wzrok, by zobaczyć szczegóły.

Jednak im dłużej się patrzyło, tym więcej było widać.

– Zastanawiam się, co oglądamy – powiedziała Connor. – Czy są jakieś różnice w stosunku do naszych czasów?

Powoli zaczęli przyzwyczajać się do wiadomości przekazanej kilka godzin wcześniej, że grupa zadaniowa wyłoniła się z AGTR dwanaście milionów lat później.

– Nie za duże – odparł Gregory. – Jeden obieg naszego Słońca wokół jądra Drogi Mlecznej zajmuje dwieście pięćdziesiąt milionów lat. Dwanaście milionów... to pestka.

– To nadal głębia czasu.

– Zwykle wiązę ten termin z przeszłością.

– Zależy, jak go użyć – powiedziała Connor z drżeniem, które robiło cudowne rzeczy z jej biustem. – Dwanaście milionów lat... Wiesz, w tym czasie prawdopodobnie jesteśmy już postludźmi. Średnia długość życia wynosi... milion lat?

– Prędzej sto tysięcy – odparł Gregory. – Milion lat to przeciętny czas istnienia danego gatunku ssaków w ogóle.

– Może być dużo więcej – skontrowała Connor. – Naprawdę zaawansowane gatunki mogą być nieśmiertelne. I łamać wszelkie zasady dotyczące długości życia.

– No cóż, nie dowiemy się, dopóki nie nawiążemy kontaktu z naszymi odległymi następcami, prawda? Wątpię, by admirał pozwolił sobie na dłuższe oglądanie widoczków.

– Prawdopodobnie nie. Może obcy nas uświadomią?

– Może. A może...

– Co?

– Myślę o Tuschach przelatujących przez Tunel, współpracujących z Glothr dwanaście milionów lat po naszych czasach. To tworzy dziwny obraz, nie sądzisz?

– Dziwny?

– Imperium Sh'daar, czy jakkolwiek to nazwiemy, stowarzyszenie, związek, rozciąga się na całą Galaktykę, ale także na miliony lat. Staram się sobie wyobrazić, nie wiem, intragalaktyczną i intraczasową sieć... handlową, wsparcia militarnego... Biliony myślących gatunków w milionach różnych czasów.



- Boże. Mówisz o czymś naprawdę wielkim...
- Tak tylko się zastanawiam, przeciw czemu tu występujemy – odparł.

Wyciągnęła ku niemu rękę, delikatnie, aby ominąć łapę Newtona.

- Chcę być przy tobie. Chodź tu.

Przywarli do siebie ponownie, zawieszeni w pięknie.

Kwatera admirała  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 3.20 TFT

- Mostek, tu Gray. Wylogowuję się.
- W porządku, admirale – odparła Gutierrez. – Mamy wszystko pod kontrolą.
- Kwatera – dodał – obudź mnie o siódmej zero zero.
- Potwierdzam – odpowiedział pokój. – Budzenie siódma zero zero.

Normalnie budzenie ustawione było na szóstą, a nawet wcześniej, jednak dzisiejszy dzień trwał dla Graya bardzo długo. Nawet z elektronicznym wspomaganie snu trzy i pół godziny to zbyt mało.

– O której pobudka? – spytała go Taggart z łóżka. Była cudownie naga, a jej brązowe włosy rozrzucone na poduszce w kuszącym nieładzie. – Za wcześnie... – stwierdziła, gdy odpowiedział.

– Tak, ale Glothr mogą mieć inne zdanie – odparł. – Nie wiem, czy meduzy w ogóle śpią.

– Ja też, ale ja śpię!

– Tak, bo jesteś ssakiem – odparł, patrząc na jej biust. – Z całą pewnością.

Padł na łóżko obok niej.

– Oczywiście. Ale może nie powinniśmy nic z tym robić, jeśli za

kilka godzin znów mamy być na służbie.

– Nie złość się na mnie, tylko na Glothr albo Turuschów.

– Kto jest na mostku flagowym?

– Sara. Weszła na drugą wachtę i zostanie do ósmej. Później także potrzebować będzie wspomagacza snu.

Wszyscy potrzebowali. W przestrzeni nie było dnia ani nocy i choć „Ameryka”, a z nią cała Grupa Zadaniowa Jeden, operowała według czasu floty terrańskiej, to w praktyce ludzie byli na stanowiskach całą dobę. A szczególnie dotyczyło to dowódcy floty i kapitana okrętu, którzy pełnili służbę dwadzieścia cztery na siedem i drzemki łapali, gdy tylko mogli.

W przypadku Taggart był to jej wybór, że zdecydowała się zostać na stanowisku po północy, po całym dniu na pokładzie i... mogła mieć pretensje tylko do siebie.

– Nie musiałaś zostawać na stanowisku, wiesz? – powiedział, wyciągając do niej rękę.

– Co, i przegapić to, co najlepsze? Chciałam zobaczyć powrót okrętów Straży.

– A one nie wróciły. Martwi mnie to.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– Najpierw muszę się przespać. A gdy wrócę na mostek, zobaczymy. Dużo zależy od tego, jak daleko posunie się odbudowa floty do tego czasu.

– Meldują duże postępy. Rozebranie okrętów Turuschów było inspirujące.

– Pogadamy o tym, jak zadziała. A na razie... Chodź tu!

– Myślałam, że chcesz spać...

– Tak, ale jestem nakręcony. Muszę się odprężyć.

– Możesz w tym celu zaprogramować wspomagacz snu.

– Tak, tak. Mogę. – Jego dłonie przesuwają się w dół jej brzucha. – Ale ten sposób jest dużo fajniejszy.

Elektronika pokoju, zainfekowana wirusem ukrytym pod przykrywką rutynowej kontroli, zaczęła nagrywać każdy ruch, każde westchnienie...

# Rozdział osiemnasty

**7 sierpnia 2425**

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 5.15 TFT

- Boże... czemu jest tak ciemno?
- Nie rozumiemy twojego pytania, ambasadorze. Czemu różne poziomy światła miałyby cokolwiek znaczyć?
- Po prostu dajcie nam trochę światła.
- Jesteście skąpani w świetle, ambasadorze. Pozostańmy przy głównym temacie rozmowy.

Siedem-jeden-cee-osiem czekało na odpowiedź, patrząc na ludzi zawieszonych w szczelnych plastikowych pojemnikach, służących do szerokospektralnych analiz. Było ich sześciu, unieruchomionych w workach, świecących swoim własnym światłem. Przewody i rurki podłączone do każdego z nich zapewniały tym stworzeniom optymalne warunki. Tlen. Siedem-jeden-cee-osiem wykonało coś, co było odpowiednikiem wzruszenia ramion, przesłało falę elektryczną wokół siebie. Temperatura metabolizmu stworzeń była dużo wyższa od normalnej. Siedem-jeden-cee-osiem czuło się dobrze w temperaturze odpowiadającej czterem stopniom Celsjusza, oczywiście mierzonej w innej, dwudziestoczerostopniowej skali. Temperatura ciała ludzi wydawała się zbliżać do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza. Wypromieniowywali więcej ciepła, niż absorbowali z otoczenia. Ilość emitowanego przez nich ciepła

mogła być niebezpieczna dla Glothr, który znalazłby się w pobliżu.

Na szczęście bogowie-roboty nie były na to wrażliwe i Siedem-jeden-cee-osiem mogło bezpiecznie obserwować obcych ze swojej kwatery wypełnionej mieszaniną słonej wody i amoniaku. Roboty były w stanie tolerować dużo bardziej ekstremalne warunki niż pomieszczenie wypełnione gorącą mieszaniną tlenu i azotu.

– Powinniśmy zacząć od początku – powiedziało Siedem-jeden-cee-osiem. – Powiedz mi, czemu ludzie odrzucają dar przynależności...

Siedem-jeden-cee-osiem miało nadzieję, że tłumaczenie było dokładne. Ludzie wydawali się rozumieć, co do nich mówiło, jednak czasem istniały niuanse w znaczeniu, śliskie jak amoniakowy lód na dnie basenu. Najgorsze było to, że ludzie wydawali się całkowicie pozbawieni elektrozmysłu, a to bardzo utrudniało komunikację.

Mowa w jego rozumieniu nie polegała na propagacji fali dźwiękowej, tylko na subtelnej modulacji pola elektrycznego generowanego przez ciało. Imię Siedem-jeden-cee-osiem, te cztery znaki były pierwszymi z długiego ciągu, a „cee” jako baza odnosiło się do określonej częstotliwości pulsowania pola elektrycznego. Nazwa całego gatunku, zaczynająca się od En-ess-trzy-vee, była kodowym wyrażeniem znaczącym „Ród Głębi”. Glothr była nazwą używaną przez innych obcych, należących do sojuszu Sh'daar.

Ludzie wydawali się całkowicie niewrażliwi na modulację pola elektrycznego, którą posługiwał się Ród, co czyniło ich nie tylko głupcami, ale także ślepcami. Członkowie Rodu posiadali organy wrażliwe na światło, jednak wzrok był pomniejszym zmysłem, jednym z dwunastu, które posiadali, i używali go jedynie do gromadzenia danych o emocjach na podstawie zmiany kolorów i wzorów świetlnych innych osobników. Natura fizyczna, kształt, masa, ruchy, odbierane były jako zmiana w otaczającym polu. Ludzie ze swoim boleśnie słabym polem i oczywistym brakiem możliwości odczuwania jego zmian musieli odbierać

wszechświat w diametralnie inny sposób niż Ród.

Ludzie wyglądali na bardzo upośledzonych, jeśli chodzi o zmysły, nie mieli zmysłu magnetycznego, linii bocznej, zmysłu ruchu grupy... Niemożliwe było nawet przetłumaczenie niektórych zjawisk. W porównaniu z Rodem ludzie wydawali się daleko bardziej polegać na wzroku. Inny zmysł, który wydawał się dla nich ważny, podobny do odczuwania fal ciśnienia w wodzie, nie miał dokładnego odpowiednika. Najwyraźniej ludzie używali go do wykrywania fal ciśnienia, które generowali jako formę komunikacji. Wiele gatunków Sh'daar wyewoluowało ten zmysł, trudno było jednak zrozumieć, jak fale dźwiękowe mogły nieść ilość informacji choćby zbliżoną do tej, którą przenosiły oscylacje pola elektrycznego.

– Dar... – powiedział człowiek, jakby zmagając się z umysłem. – Nie... rozumiem...

Siedem-jeden-cee-osiem wydało odpowiednik westchnienia, serię zielonych i żółtych błysków. Jak można być pewnym jakości tłumaczenia? Ludzki metabolizm – a w konsekwencji ich szybkość myślenia – wydawały się co najmniej dwa lub trzy razy szybsze niż u przedstawicieli Rodu. A trudności w zamianie fluktuacji pola elektrycznego na fale ciśnienia i w drugą stronę – nieprzezwyciężone. Tylko dzięki potężnym sztucznym inteligencjom i robotom zadanie było w ogóle wykonalne.

Siedem-jeden-cee-osiem zwiększyło siłę sygnału.

– Powiedz, czemu ludzie odmawiają daru przynależności.

Jak wiele innych myślących gatunków, ludzie byli istotami częściowo organicznymi, a częściowo maszynami. W ich mózgach i całym centralnym układzie nerwowym znajdowały się nanotechnologicznie wszczepione obwody, które łączyły komputer z nosicielem. Oprogramowanie Rodu podłączyło się do elektronicznej części tej kombinacji, bezpośrednio do pamięci, systemu operacyjnego pracującej tu AI. Dzięki temu połączeniu Siedem-jeden-cee-osiem mogło bezpośrednio komunikować się z ludźmi, choć pewne konteksty kulturowe wydawały się trudne do zrozumienia. Nie dało się także określić, na ile wynikało to z niedoskonałości programu, a na ile z uporu ludzi.

- Jest tak ciemno.
- Po co ci światło?
- Ponieważ nie widzę.

Ostatnie słowo Siedem-jeden-see-osiem zrozumiało jako „odbieram światło widzialne”. To sugerowało, że obcy odczuwali fale elektromagnetyczne, a ten zmysł był im dużo bardziej potrzebny niż Rodowi. Być może musieli widzieć albo stawali się emocjonalnie rozstrojeni, kiedy nie mogli.

– Nie rozumiem, co mówisz. Nie potrzebujesz odbierać światła, by odpowiedzieć na moje pytanie, ambasadorze.

„Ambasador” to kolejny nieprzetłumaczalny koncept. Pierwsi ludzie, z którymi kontaktowano się bezpośrednio, a którzy nazywali siebie Konfederacją Ziemią, mówili o ambasadorach jako o specjalnych istotach, dzięki którym możliwa była zrozumiała komunikacja. Zwierzchnicy nakazali Siedem-jeden-see-osiem odgrywać kogoś takiego podczas Pierwszego Kontakt z ludźmi na ich planecie. Jednak dziwne zwyczaje obcych szybko okazały się większą przeszkodą niż pomocą.

Siedem-jeden-see-osiem znowu zwiększyło siłę sygnału.

Nie miało żadnej rozsądnej alternatywy.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 9.40 TFT

Gray dryfował w centrum floty USNA, a okręty otaczały go jak błyszczące zabawki. W rzeczywistości nie były tak blisko siebie. AI obsługująca odprawę połączyła ze sobą różne obrazy, by stworzyć panoramę, pozwalającą człowiekowi ogarnąć wzrokiem całą grupę zadaniową.

Naprawy były na ukończeniu. Grupa wraków jednostek Turuschów wisiała wokół „Vulcana”. Ich jaskrawe malowanie zniknęło, zastępowane szarością, w miarę jak nanodisasemblerzy zdejmowały z kadłubów kolejne warstwy atomów i kierowały je

do okrętu remontowego. Większe roboty naprawcze roily się wokół uszkodzonych okrętów grupy, montując na nich części wytworzone na „Vulcanie”, łatając dziury, nakładając warstwy pancerza i służąc jako wielkoskalowe drukarki 3D, wytwarzające elementy uzbrojenia, macierzy sensorycznej czy też napędów.

– Jak idzie odzyskiwanie myśliwców? – spytał Gray.

– Nadal brakuje nam trzech, panie admirale – odpowiedziała CAG. – Dalekosiężne sondy wciąż ich szukają, ale tak długo po bitwie...

Nie dokończyła myśli. niesprawny myśliwiec był cholernie bezbronny w otchłani.

– Proszę kontynuować – odparł Gray. – Tak długo, jak to będzie możliwe. Co jeszcze?

– Brakuje nam materiałów promieniotwórczych, sir – powiedział Talbot. – Nie znaleźliśmy nic we wrakach Turuschów. To mocno ogranicza liczbę głowic bojowych, jakie będziemy w stanie wyprodukować.

Gray pokiwał ze zrozumieniem głową. Asteroida typu M byłaby bogatym źródłem metali ciężkich, w tym uranu, jednak rozbieranie okrętu nie zapewniało takiej bonanzy, chyba że udałooby się dostać do jego magazynów.

– Ponadto część okrętów melduje deficyt wody – kontynuował Talbot. – To, co kręci się w lokalnej przestrzeni, jest zbyt rozproszone, by warte było zachodu.

Żaden z wraków nie posiadał zapasów wody. Zwykle po trafieniu strumieniem cząsteczek lub głowicą nuklearną wszelkie jej zapasy wydostawały się w próżnię, gdzie zamarzały w bryłki lodu wielkości ziaren piasku i szybko ulegały rozproszeniu. O ile ogromna ilość nanozbieraczy nie została od razu wypuszczona, wysiłek po prostu się nie opłacał.

– Jak duże mamy braki?

– Ja mam jedną trzecią wielkości nominalnej – zameldował dowódca „Nowego Jorku” Benjamin McFarlane. – Powstrzymaliśmy wyciek, zanim straciliśmy cały zapas.

– „Północna Kalifornia” ma połowę, panie admirale – poinformowała kapitan Janet Davis.

Sytuacja pozostałych uszkodzonych okrętów przedstawiała się podobnie: nie na tyle źle, aby przerwać operację, ale wystarczająco, by bacznie na to uważać.

Na Invictusie było mnóstwo wody. Glothr w końcu tam ewoluowali. Teraz jednak wydawało się mało prawdopodobne, aby obcy mieli ochotę dzielić się swoimi zapasami.

To było cholernie frustrujące. Normalnie wystarczyłoby znaleźć kilometrową asteroidę lodową, która zapewniłaby zapasy dla całej floty. To, co mieli, wystarczyło na rozegranie bitwy, jednak Gray nie cierpiał zbliżać się do granicy.

– A może powinniśmy wracać? – odezwał się kapitan Ray Mathers z lekkiego krążownika „Columbia”.

– Co? I zostawić tutaj naszych? – oburzył się dowódca sił marines z „Marne”, pułkownik Jamison. – Nieakceptowalne!

– Możemy po prostu nie mieć innego wyjścia – powiedział kapitan McFarlane.

W miarę bezpieczną opcją było wycofanie się przez AGTR do gromady Ula, gdzie powinno być mnóstwo lodowych asteroid.

Gray jednak bardzo mocno tej opcji nie ufał. Choć mogło być tak, że flota Turuschów przybyła tu z innego miejsca i czasu, to najprawdopodobniejszym scenariuszem było, że śledziła grupę zadaniową. Pozostałości po flocie przeciwnika mogły sprowadzić posiłki, które w tym momencie czekały w cylindrze na pojawienie się ludzi. Grupa Zadaniowa Jeden mogła znaleźć się w tej samej niekorzystnej taktycznie sytuacji, co jej przeciwnicy kilka godzin temu.

– Musi być jakaś cholerna inna opcja – powiedział Gray. – Nasze drony dotąd nie wróciły.

Kilka godzin wcześniej w celu sprawdzenia, czy z drugiej strony czekają Turuschowie, Gray nakazał w trzydziestominutowych interwałach wysyłać przez AGTR drony bojowe. Miały się rozejrzeć, wykonać nagranie i wracać ze zdobytymi informacjami.

Dotychczas nie powrócił jednak żaden z nich, co samo w sobie stanowiło formę odpowiedzi. Oczywiście nie była ona pewna, drony często miały problemy z poruszaniem się wewnątrz



wirującego AGTR, albo też przeciwnicy mogli pozostawić na straży tylko jeden okręt. To nadal sprawiało, że Gray niechętnie brał pod uwagę tę możliwość.

Nie chciał ryzykować wpadnięcia w pułapkę zastawioną przez bardzo zdenerwowaną flotę Turuschów.

– Czy mamy zmapowane alternatywne drogi przez Tunel? – spytał kapitan Mendoza z „Illinois”.

– Nic pewnego – odparł Mallory. – Tak czy inaczej, prawdopodobieństwo, że uda nam się dostać w jakieś użyteczne miejsce, jest bardzo niewielkie.

– Ocenia się – odezwała się AI „Ameryki” – że szanse przewidzenia tego, gdzie się znajdziemy, wynoszą dziesięć tysięcznych procent.

Na tym polegał problem z cylindrami AGTR. Szacunkowa liczba dróg prowadzących przez nie liczona była w setkach milionów, przy czym drogi te łączyć mogły gwiazdy rozrzucone po całej Galaktyce. Jediną formą mapowania było poruszanie się za jednostką znajdującą drogę. Identyfikacja układu gwiazd i czasu, w którym pojawił się okręt, mogła zabrać dużo czasu.

Gdyby wykonali skok bez sprawdzenia, tak jak zrobili to, lecąc w tę stronę, mogliby wylądować w zupełnie nieoczekiwanym miejscu.

W wypadku wyższej konieczności Gray był gotów to zrobić, jednak tylko w celu ratowania floty, a takiej potrzeby jeszcze nie było.

– A może spróbować z nimi pogadać? – spytała Fletcher.

– No pewnie – wtrącił McFarlane. – Jeśli nie możemy ich pokonać, to zawsze można spróbować zagadać ich na śmierć.

– Dobry pomysł, CAG – powiedział Mallory. – Jest jednak mały problem. Przybyliśmy tu, spodziewając się rozmów, a oni zastawili na nas pułapkę. Nie wydaje mi się, by chcieli rozmawiać.

– To Turuschowie zastawili pułapkę – odparła Fletcher. – Być może działali niezależnie. A może Glothr chcieli rozmawiać, a Turuschowie starali się do tego nie dopuścić?

– Jest tu para pilotów „Demons” – zauważył Gray – którzy

twierdzą, że byli ścigani przez okręty Glothr. A „Pax” i „Concord” zniknęły. Musimy przyjąć, że Glothr są naszymi wrogami.

– Cholera, ma pan rację.

– AI – zapytał Gray – masz jakieś sugestie?

Admirał zawsze czuł się dziwnie, pytając o radę AI, ale wiedział, że czasem po usłyszeniu delikatnej sugestii wpadał na genialne pomysły.

– Bezpośredni atak na Invictusa – odparła sztuczna inteligencja – byłby samobójstwem. Podobnie jak powrót przez AGTR i podobnie jak pozostanie tutaj. A to pozostawia nam jedynie opcję pokonania przeciwnika przy użyciu fortelu.

– Masz jakiś pomysł?

– Prawdopodobnie. Kierunek do dalszego rozważenia.

– Posłuchajmy zatem.

– Prawdopodobne wydaje się, że jeśli okręty tej grupy zostałyby przechwycone, zabrane zostałyby w to samo miejsce, w którym przetrzymywane są jednostki Straży Kosmicznej i ambasador Rand ze swymi ludźmi.

– Możliwe...

– Prawie pewne. Nieprawdopodobne wydaje się, by Glothr chcieli tworzyć kilka miejsc, w których panują warunki ziemskie, tylko dla jeńców.

– Brzmi logicznie – powiedział Jamison.

AI okrętu zaczęła rozwijać swój pomysł.

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 12.10 TFT

– Powiedz, czemu ludzie odrzucają dar przynależności?

– Nie wiem. Wydaje mi się to dobrym pomysłem.

Siedem-jeden-see-osiem rozważało odpowiedź i zastanawiało się, czy człowiek jest arogancki, czy po prostu mówi prawdę. Ludzkie emocje były ogromnie trudne do rozszyfrowania. Wśród

Rodu po prostu widziało się luminescencję organów i wszystko było wiadome. Ludzie byli... inni.

– Zrobiłeś jakiś postęp, Siedem-jeden-see-osiem? – słowa dobiegły przez zmysł elektryczny.

– Nie, Dziewięć-dee-ess-sześć – odparło, a błysk błękitu i zieleni na szczycie ciała zdradził frustrację. – Nie, i zaczynam obawiać się, że sensowna komunikacja z tym gatunkiem jest niemożliwa.

– Czemu? Nasi specjaliści językowi z pomocą Agletsch złamali ich kod. Zamiana ich słów na impulsy elektromagnetyczne powinna być prosta.

– Byłaby, Dziewięć-dee-ess-sześć, gdyby te stworzenia rozumiały świat tak samo jak my.

– Rozumiały świat? A jaką to robi różnicę?

– Trudno wyrazić to impulsami. Na przykład boją się przebywać w ciemności.

– I? Z całą pewnością to nie ma znaczenia.

– To ma dla nich znaczenie, przynajmniej w dłuższej perspektywie. Widzenie to ich główny zmysł, mniej więcej tak, jak dla nas zmysł elektryczny. Oni są ślepi na impulsy elektryczne.

– Dziwne...

– Jest jeszcze gorzej. Ponieważ nie mają zmysłu elektrycznego, nie czują nawzajem swojej obecności w pobliżu. A jednocześnie boją się osamotnienia. Kilka razy komentowali „pustkę” tej części przestrzeni, poza Galaktyką.

– Być może uda nam się wykorzystać te słabości. Jeśli czują się niekomfortowo, może będą chcieli współpracować, odpowiadać na pytania, abyśmy zapewнили im komfort.

– Pracuję nad tym. Nie wiem tylko, jak daleko mogę się posunąć, nie wywołując trwałych uszkodzeń fizycznych i psychicznych.

– To nie ma żadnego znaczenia. Znaczenie ma jedynie to, byśmy dowiedzieli się tego, co potrzebujemy wiedzieć o tych stworzeniach.

– To może przynieść więcej szkody...

– W placówce naukowej mamy ich dużo większą ilość –

przerwało Dziewięć-dee-ess-sześć. – Kontynuuj pracę nad nimi, aż któryś zdecyduje się współpracować.

– Dobrze. Skupię się na dowódcach tych dwóch okrętów i tym, który nazywa się ambasadorem. Wydają się mieć pozycję analogiczną do centrum roju.

– Jak uważasz.

– Roimy się wspólnie – odparło Siedem-jeden-see-osiem.

VFA-96 „Black Demons”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 16.20 TFT

Porucznik Gregory widział wszechświat skompresowany do wąskich kolorowych pierścieni, gdy jego starblade ocierał się o prędkość światła. Za kilka minut trzeba będzie rozpocząć hamowanie.

*Pierdolone dwanaście milionów lat...*

Zastanawiał się, czy ludzie przetrwali do tej epoki i czy możliwe w ogóle było dowiedzenie się tego. Jeśli ludzkość przetrwała, musiała ewoluować w coś zgoła odmiennego.

Na temat ludzkiej ewolucji istniało mnóstwo spekulacji, włączając w to tę, która mówiła, że ewolucja, przynajmniej ta na wielką skalę, zatrzymała się. Przejmując kontrolę nad środowiskiem, drastycznie wydłużając życie, ingerując w swój własny genom i mieszając biologię z technologią, ludzkość odepchnęła najpilniejsze potrzeby ewolucyjne, potrzebę naturalnej selekcji i przetrwania najsprawniejszych. Z całą pewnością tempo ludzkiej ewolucji spadło. Ale nie zatrzymało się. A dwanaście milionów lat to mnóstwo czasu, dwanaście razy dłużej niż czas trwania typowego gatunku ssaków.

Była pewna koncepcja, o której Gregory słyszał podczas dyskusji w pokoju oczekiwania i którą znał z programów edukacyjnych: głębia czasu, czas w skali geologicznej. Marynarka zmuszona była wziąć się z tą koncepcją za bary, wiedząc, że

Sh'daar pojawili się w odległej przeszłości, ponad osiemset milionów lat temu.

A teraz gnał ku obcemu światu, znajdującemu się dwanaście milionów lat w przyszłości. Umysłowi trudno było to ogarnąć.

Wycofując się z tych rozmyślań, Gregory skupił się na świeższych wspomnieniach: randce z Meg w kopule obserwacyjnej. Boże, była taka piękna i Don doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w jego ocenie jej pozycja rośnie, od kumpeli do łóżka do kogoś znacznie, znacznie ważniejszego.

Chciał odezwać się do niej na kanale prywatnym, jednak eskadrę obowiązywała cisza radiowa. Komunikacja między jednostkami poruszającymi się z prędkością podświetlną i bez tego była wystarczająco trudna. Jednak nikt we flocie nie wiedział, jakie Glothr mają możliwości przechwytywania sygnałów, stąd cisza radiowa stanowiła konieczność.

Z pewnością do tej pory Glothr wiedzieli już, że Ziemia się zbliża. Pytanie tylko, jak i kiedy mieli zamiar na to reagować.

Dźwięk ostrzeżenia sprowadził Dona ponownie do tu i teraz. AI powiadamiała go o kontakcie, dokładnie na wprost.

– Co my tam mamy?

AI odpowiedziała impresjami zamiast realnymi słowami.

„Niewiadoma... prawdopodobne niebezpieczeństwo... coś wielkiego... ponad trzysta tysięcy ton...”

Odczyty danych pojawiły się w świadomości pilota. Sensory nie widziały obiektu jako takiego, ale analiza AI mogła zasugerować, co to mogło być.

A to coś zbliżało się szybko do floty.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 16.21 TFT

– Zbliża się cel – oznajmił Mallory. – Duża prędkość.

No cóż, skoro flota sama leciała z podświetlną, nie mogło być

inaczej. Myśliwce poruszające się przed siłami głównymi jako pierwsze wykryły obiekt.

– Uzbrojenie śledzi – zameldowała Taggart.

– Wszystkie jednostki floty celują, panie admirale – dodał Talbot. – Co to, do cholery, jest?

– Nasi przyjaciele Glothr przybywają, by nas zgarnąć – odparł Gray. – Nie ułatwiamy im zadania.

– Czas, admirale – powiedziała kapitan Gutierrez.

– Wszystkie okręty, rozpocząć hamowanie.

Zsynchronizowane komendy AI zostały przekazane między okrętami. W zależności od konstrukcji jednostki zaczęły emitować osobliwości grawitacyjne za rufą bądź obróciły się rufą do przodu z tym samym skutkiem. Ich moduły chronione były przed cząsteczkami relatywistycznymi przez deflektory rufowe.

Chmura myśliwców miała jeszcze przez chwilę posuwać się naprzód i zagrażać nieprzyjaciółom.

– Łączność – powiedział Gray – nadać wiadomość.

– Transmituję, panie admirale.

A teraz rozpoczynało się czekanie.

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 16.31 TFT

– Siedem-jeden-cee-osiem! Otrzymaliśmy wiadomość laserową. Zamieniam na impulsy!

– Daj mi poczuć!

Obwód zamknął się i Siedem-jeden-cee-osiem poczuło modulowanie transmisji. Nie we własnym języku, tylko w sztucznym dialekcie stworzonym do komunikacji z ludźmi. Duża część przekazu została utracona, jednak to, co pozostało, wystarczyło, by zmrozić limfę Siedem-jeden-cee-osiem.

*Glothr. Ściągnęliśmy nas tutaj, by skomunikować się z nami bezpośrednio, a przynajmniej tak to odebraliśmy. Zamiast tego*

*zastawiliście na nas pułapkę, uwięziliście nasz personel i przechwyciliście dwa okręty. Pomiedzy cywilizowanymi gatunkami takie działania skutkują wojną na pełną skalę.*

*Ludzkość pragnie pokoju z Glothr, ale jeśli zostaniemy zmuszeni, będziemy walczyć. Sugeruję, że pierwotny plan, czyli rozmowy, byłby bardziej owocny i mniej destruktywny dla waszego świata i jego sztucznego systemu pierścieni. Decyzja jest jednak całkowicie po waszej stronie. Powiadomcie nas o niej, zanim dotrzemy do waszego świata i zaczniemy wybierać cele...*

Wyzwanie i groźba rozwścieczyły Siedem-jeden-cee-osiem. Jego płaszcz przybrał kolor głębokiego błękitu, przechodzącego w ultrafiolet. Ludzie ośmielali się rozkazywać Rodowi?

Ich odwaga i arogancja były przytłaczające. Co sprawiało, że uważali, iż mogą grozić światu zamieszkałemu przez piętnaście miliardów istot flotą liczącą mniej niż dwadzieścia jednostek, wykonaną w technologii pozostającej wieki za technologią Rodu? Szaleństwo!

– Wysłać skręcacze – rozkazało Siedem-jeden-cee-osiem. – Dajmy im odpowiednią lekcję.

# Rozdział dziewiętnasty

**7 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 16.38 TFT

– Obiekt w polu widzenia – zameldował Mallory. – Odległość nieco poniżej jednej jednostki.

– Odległość do wrogiego kontaktu... czterysta tysięcy kilometrów – dodała Taggart.

Nieco dalej niż z Ziemi na Księżyc.

– Proszę opuścić ten „wrogi”, pani komandor – powiedział Gray. – Nadal mogą chcieć rozmawiać.

W rzeczywistości, w miarę upływu czasu, coraz prawdopodobniejsze stawało się, że Glothr nie chcą rozmów.

– Tak jest. Odległość do obcej jednostki... trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów.

Grupa zadaniowa zwolniła do połowy prędkości światła. Okręty były szeroko rozrzucone na przestrzeni kilku milionów kilometrów, a chmura myśliwców – cztery eskadry – tworzyła szyk daleko przed siłami głównymi. Planeta bez podświetlającej ją gwiazdy niewidoczna była gołym okiem, jednak dzięki sensorom pojawiła się na wielu monitorach „Ameryki”. Pojedynczy okręt Glothr na wprost lotniskowca także był niewidoczny, choć znajdował się dużo bliżej. Jego wypolerowana jak lustro powierzchnia odbijała otaczającą go ciemność.

Oczywiście nie zakłócało to pracy radarów i lidarów, a także czujników ciepła, neutrino, masy... ogromnej masy wytwarzanej



prawdopodobnie przez potężną mikroosobliwość.

A może wcale nie taką „mikro”. Czujniki wskazywały, że masa okrętu rośnie bardzo, bardzo szybko.

Tak jakby przygotowywał się do strzału.

Plan zasugerowany przez AI „Ameryki” był bardzo prosty. Tak jak w wypadku Turuschów, zakładał podejście jak najbliżej, by zagrozić przeciwnikowi nieakceptowalnymi uszkodzeniami. Trzeba było także uniknąć zaginającej czas broni przeciwnika, która każdy atakujący okręt stawiała w bardzo niekorzystnej sytuacji.

O broni tej wiedziano bardzo niewiele, jednak marines zauważyli taki sam lustrzany kształt zawieszony nad „Concordem” w czasie, gdy był on przetrzymywany w Charlie Jeden. Wydawało się nieprawdopodobne, by Glothr byli w stanie emitować swoje wstrzymujące czas pole na dużą odległość, co sugerowało, że cygarokształtna jednostka sama w sobie jest bronią.

Rozpraszając się i demonstrując Glothr jak największą liczbę okrętów – dziewiętnaście pozostałych jednostek głównych grupy bojowej i czterdzieści jeden myśliwców – ludzie mieli nadzieję zablokować użycie tej broni, a przynajmniej ograniczyć je do jednego, dwóch okrętów. Na tym polegał pomysł, który jednak aż roił się od założeń dotyczących technologii Glothr. Zakrzywienie czasu wymagało ogromnej energii, a broń, która była do tego zdolna, musiała mieć wielkie rozmiary. Tak jak lustrzany, niewidoczny optycznie okręt przed nimi.

– Nawet jeśli nie jest nieprzyjacielem – powiedział Gray – zobaczmy, czy nie da się go nieco osaczyć. Zwiększyć prędkość i zbliżyć się.

„Ameryka” zaczęła przyspieszać.

A okręt obcych oddał pole, wycofując się przed nadciągającą flotą.

Jednak skanery długodystansowe już widziały setki okrętów odrywających się od pierścieni Invictusa, przyspieszających i gnających ku grupie bojowej.

– „Ameryka”, „Black Demons”! – krzyknął Mackey, skipper eskadry. – Wykonują ruch!

– Wszystkie myśliwce – zabrzmiał komunikat z „Ameryki” – zezwalam na użycie broni. Powtarzam, zezwalam na użycie broni. Macie pozwolenie na otwarcie ognia.

Dla pilota myśliwca prędkość to życie. Gregory przyspieszył, patrząc na przyrządy celownicze.

– Cel namierzony. Fox Jeden!

Od pozostałych członków eskadry napłynęły takie same informacje, gdy rakiety wysunęły się spod brzuchów myśliwców i pomknęły ku celowi. Pierwsza z nich rozbłysła oślepiająco...

...i zastygła tuż obok okrętu obcych.

Gregory zmagał się z tym, co widział, a co wydawało się niemożliwe. Wybuch nuklearny został w jakiś sposób zatrzymany, zredukowany do błysku w odległości dziesięciu metrów od odbijającego go lustrzanego kadłuba. Okręt obcych wciąż się poruszał i szybko pozostawił zatrzymany wybuch za sobą. Gdy tylko to nastąpiło, jasny punkt rozszerzył się w pełnowymiarowy kwiat eksplozji.

– Co oni, do cholery, robią z naszymi rakietami? – krzyknął porucznik Ruxton.

– Zakrzywiają czas! – odparł Mackey. – Zwalniają jego upływ tuż przy kadłubie!

Gregory uznał, że więcej dowiedzą się, oglądając nagranie z drona bojowego, jednak był prawie pewien, że Mackey trafił w dziesiątkę. Zdał sobie sprawę, że wybuchy nie zostały całkowicie powstrzymane, a jedynie nieprawdopodobnie zwolnione. Jeśli głowica nuklearna produkowała ilość X promieniowania w ciągu jednej milisekundy, to rozciągając milisekundę do, powiedzmy, sekundy, redukowało się intensywność promieniowania

tysiąckrotnie. To plus fakt, że okręt stale się poruszał, zwiększając dystans między sobą a wybuchami, tworzyło całkiem efektywną obronę.

W próżni przestrzeni głowice nuklearne traciły jeden ze swoich czynników oddziaływania – falę uderzeniową. Przy braku lokalnej atmosfery, takiej jak chmura plazmy powstałej z serii podobnych wybuchów, nie było nic, co dało się sprężyć, co generowałoby falę, a cały destrukcyjny efekt wybuchu pochodził od promieniowania elektromagnetycznego – ciepła, promieni UV, promieni X i promieniowania gamma oraz cząsteczek alfa i beta. Nawet efekty twardego promieniowania gamma mogły być mocno zredukowane, jeśli rozciągnęło się je w czasie.

*No dobra... ale jak z czymś takim walczyć?*

Gregory myślał o pojemnikach z piaskiem znajdujących się w ładowni starblade'a. Energia kinetyczna przenoszona przez chmurę ołowianych kulek poruszających się z ogromną prędkością nie mogła zostać rozproszona za pomocą jednego przełącznika.

A może jednak mogła? Równanie opisujące drugą zasadę dynamiki Newtona mówiło, że siła równa się iloczynowi masy i przyspieszenia, zaś przyspieszenie było niczym innym jak przyrostem prędkości w jednostce czasu. Wystarczyło rozciągnąć czas, by zredukować przyspieszenie...

Nie! Gdzie, do cholery, podziewała się ta energia? Coś tu nie grało.

Kurwa! Musiał istnieć jakiś sposób na trafienie mieszacza czasu Glothr.

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 16.39 TFT

– Siedem-jeden-eee-osiem! Nasz skręcacz czasu jest zagrożony! Wycofaj go w miejsce, gdzie może być właściwie wspierany przez

nasze roje!

– Dobrze, liderze roju, Dziewięć-dziewięć-gee-vee.

Spółeczność Glothr nie posiadała hierarchii jako takiej i nie było jednego, ogólnego dowódcy ani klasy oficerskiej w siłach zbrojnych. Poszczególnych Glothr uznawano za tych, których rozkazów należy słuchać w danym momencie, ale proces ten był całkowicie instynktowny i wynikał z biologii i psychologii Glothr. Pierwszy osobnik, który zauważył potrzebę zrobienia czegoś, obejmował dowodzenie, a inni podążali za nim, wypełniając niepisane prawa miliardów lat ewolucji.

Sami Glothr byli organizmami utworzonymi przez setki miliardów lat z mniejszych i pozbawionych samodzielnej inteligencji stworzeń, specjalizujących się w wykonywaniu określonego zadania. Byli bardzo starą rasą, która wyewoluowała w głębi czasu, dysponującą eonami na takie ukształtowanie swojej organizacji społecznej, aby tworzyła doskonale funkcjonującą całość. Każdy z nich przyjmował rolę niezbędną w danej sytuacji, niezależnie od tego, czy chodziło o dowódcę okrętu, sprzedawcę, lidera roju, czy pracownika fizycznego.

W zależności od potrzeb każdy mógł przyjąć jedną z czterech różnych płci: samca, samicy, opiekuna lub obrońcy kolonii. W tym momencie Siedem-jeden-cee-osiem należało do ostatniej klasy, bezpłciowej, z instynktami nastawionymi na obronę swojego świata i innych członków kolonii.

Ostatnio dowodziło ekspedycją na Ziemię, a po powrocie przyjęło odpowiedzialność za przesłuchiwanie schwytanych ludzi, teraz zaś było częściowo odpowiedzialne za obronę Invictusa przed zagrożeniem ze strony ludzkiej floty. Jego doświadczenie jako lidera sprawiało, że bardzo często obejmowało role przywódcze, ale ego nie miało tu nic do rzeczy. Jutro Siedem-jeden-cee-osiem mogło znaleźć się w roli robotnika stocznego na pierścieniu albo matki na dnie oceanu.

Kierując się wskazówkami Siedem-jeden-cee-osiem, skręcając czasu zaczął wycofywać się w kierunku Invictusa, ciągnąc za sobą chmurę obcych rakiet. Automatyczne systemy obronne

mogły zostać przełamane przez taką masę i do Siedem-jeden-see-osiem należało sprawienie, by tak się nie stało. Musiało sprowadzić pojazd w miejsce, gdzie mógł być chroniony przez rój robotów kłębiący się przy pierścieniach.

Wybuchła głowica nuklearna, jednak odległość była tak duża, że zakrzywienie czasowe nie miało wielkiego wpływu na ten wybuch. Niedobrze. Jeśli obcy obserwowali, co się działo, i wyciągali odpowiednie wnioski...

Siedem-jeden-see-osiem nakazało, by flota robotów zwiększyła prędkość.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 16.39 TFT

– Oto odpowiedź! – krzyknął Gray, zatrzymując obraz i podświetlając wybuch. – Widzicie to?

– Co jest odpowiedzią? – spytała Taggart.

– To, że okręt Glothr osłabia siłę wybuchu, rozciągając czas, prawda? Ta sama energia dostarczona w dłuższym czasie oznacza jej mniejszą ilość w danym momencie. Innymi słowy, długość falowa energii przesunięta zostaje ku czerwieni, rośnie długość fali.

– Taaak... – Taggart jeszcze nie odgadła, o co mu chodziło.

– Pole, które emitują, musi mieć mały zasięg, jakieś sto metrów lub mniej. Musimy znaleźć punkt, od którego zaczyna się to przesunięcie widma energii w stronę czerwieni, musi być wystarczająco blisko, by uszkodzić kadłub, a jednocześnie wystarczająco daleko, by ich sztuczka nie działała.

– Możemy spróbować zapalników zbliżeniowych ustawionych... na ile, sir? Dwieście metrów?

– Proszę spróbować. Nie, lepiej spróbujmy salwy ustawionej na sto pięćdziesiąt, dwieście i trzysta metrów. CAG!

– Tak!

- Proszę przekazać to myśliwcom.
- Aye, aye, sir.
- Ale natychmiast! Wygląda na to, że wycofują to coś.

Na wyświetlaczu mostka flagowego srebrne cygaro zwolniło aż do pełnego zatrzymania, a następnie zaczęło przyspieszać w przeciwnym kierunku. W oddali setki obiektów oderwały się od planety. Każdy z nich był większy niż myśliwiec, lecz mniejszy od okrętu głównego.

Czym były?

Gray chciał zlikwidować ten duży okręt, zanim pozostałe dotrą do floty. Taktyka Glothr sugerowała, że działały one wspólnie, z połączeniem co najmniej tak dobrym jak ludzkie, a zapewne nawet lepszym. Istniało duże prawdopodobieństwo, że mieszacz czasu miał unieruchomić ziemski okręt główny, uczynić go bezbronnym, po to, by te mniejsze mogły go zniszczyć. Można było przyjąć, że to stanowiło ich cel, przynajmniej do momentu, w którym zademonstrują coś innego.

Mijały długie sekundy, grupa zadaniowa zbliżała się do okrętu Glothr. Prowadzące myśliwce otworzyły ogień, najpierw pojedyncze rakiety, potem salwy po dwie, trzy. Ponownie pojawiły się nuklearne kule ognia, zgodnie z oczekiwaniami Graya, im większa była odległość od nieprzyjacielskiego kadłuba, tym szybciej się powiększały, jaśniały i gasły. Okrętem nieprzyjaciela zakołysało, gdy dosięgło go promieniowanie, a następnie zaczął koziółkować.

– O to chodzi – powiedział Gray. – A teraz bezpośrednie trafienia. Zlikwidować go!

Z wyrzutni grupy bojowej wyłoniła się większa liczba rakiet. Punkt, o którym mówił Gray, znajdował się w odległości pomiędzy dwieście a trzysta metrów od kadłuba. Efekt zaginania czasu wydawał się tam sięgać, jednak tylko nieznacznie wpływał na czas eksplozji, skutkując dużo większym wydzielaniem ciepła niż twardego promieniowania. Odblaskowy kadłub okrętu nieprzyjaciela zdołał odbić dużą część tego promieniowania, jednak wielokrotne eksplozje sprawiły, że poczerniał. Gdy to nastąpiło, w kadłub uderzyły kolejne wybuchy, gotując go i

czyniąc podatnym na bezpośrednie trafienie.

Gray podejrzewał także, że tego typu okręt nie był powszechny we flocie Glothr. Przenoszono go we wnętrzu większej jednostki lecącej na Ziemię jako rodzaj specjalnej broni. Tu operował sam, jednak jak dotąd widzieli tylko jeden. Być może manipulacje czasem pochłaniały ogromną ilość energii albo sprzęt był niezwykle kosztowny. Ważne, że prawdopodobieństwo, iż zbliżający się rój może robić podobne sztuczki, było niezwykle małe.

A przynajmniej taką nadzieję miał Gray.

– Łączność! Wysłać następną wiadomość. Powiedzcie im, że nie chcemy robić krzywdy ich światu. Niech wstrzymają wrogie działania i zaczną rozmawiać.

– Aye, aye, sir.

Rój jednostek przeciwnika zbliżał się.

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 16.44 TFT

– Siedem-jeden-cee-osiem! Otrzymaliśmy kolejną wiadomość od prymitywów. Chcą, abyśmy przerwali walkę. Chcą się komunikować.

Co? Negocjacje? Teraz? To nie miało sensu. Ludzie musieli wierzyć, że mają przewagę bojową, a jeśli tak, taktyką było uderzać, a nie straszyć. Być może wysyłali groźby dlatego, że byli słabsi, niż na to wyglądało, i doskonale o tym wiedzieli.

A może kryło się za tym coś jeszcze?

– Ignorować ich – nakazało Siedem-jeden-cee-osiem. – Zobaczymy, czy nadal będą chcieli negocjować, gdy ich okręty zostaną zniszczone!

VFA-31 „Impactors”

St. Clair siedział zamknięty w kokonie kokpitu swojego nowego starblade'a, oglądając bitwę i czekając na rozkaz do startu. Jego myśliwiec znajdował się w jednym z kanałów startowych, znajdujących się w modułach obrotowych, ale w myślach pilota gnał już w stronę nieprzyjaciela, z którym walczyli „Black Demons”, „Nighthawks” i „Dragonfires”.

Myśliwców z Ziemi było zdecydowanie za mało.

– No, CAG! – odezwał się na kanale dowodzenia. – Kiedy w końcu spuści nas pani ze smyczy?

– Ochłoń trochę, Niebieski Siedem – odpowiedziała Fletcher. – Wysyłamy was za większą zwierzyną.

– Nasi zostaną tu posiekani!

– Tak, CAG – dodał porucznik Thom Vandermeier. – Możemy wziąć ich z zaskoczenia.

– Skończcie te pogaduchy, „Impactors” – powiedziała zimno Fletcher. – Admirał ma plan.

*Lepiej* – pomyślał St. Clair – *niech to będzie zajebisty plan.*

Przeciwnik miał nad myśliwcami wysłanymi przodem przewagę liczebną pięć do jednego. Okręty nieprzyjacielskie były nowe i jakieś dziwne. Każdy wyglądał inaczej, każdy przypominał mały budynek lub zbiór prostopadłościennych klocków i rozmiarem jakieś dziesięć razy przewyższał starblade'a, tak więc trudno było ustalić, czy to bardzo duże myśliwce, czy niewielkie okręty główne, rozmiarem przypominające ludzkie fregaty.

Były powolne i nieruchawe, myśliwce mogły dosłownie zataczać kręgi wokół nich, ale za to potężnie uzbrojone w miotacze strumieni cząsteczek, których każde trafienie niesło śmierć.

St. Clair dostrzegł coś jeszcze. Miały one tendencję do poruszania się w grupach po dwa, trzy i reagowały w sposób zaprogramowany. To znaczy określony atak wywoływał tę samą



odpowieź. Szkot nie był jeszcze pewien, ale miał wrażenie, że patrzy na roboty, i to nieszczególnie inteligentne.

Były przykładowo całkowicie bezradne w stosunku do tak zwanego „manewru Nungi”. Była to nowa taktyka wymyślona rok wcześniej przez pilota „Black Demons” podczas walk ze Slan przy 70 Ophiuchi. Myśliwiec obracał się nosem do burty przeciwnika i praktycznie rozcinał ją za pomocą swojej osobliwości grawitacyjnej, uwalniając przy tym mnóstwo promieniowania X i gamma. Manewr był skrajnie niebezpieczny i wymagał absolutnego zgrania człowieka z myśliwcem, ale starblade’y tak właśnie zostały zaprojektowane. Nieprzyjacielskie klocki były więc otwierane jeden po drugim.

Równie istotny był fakt, że jednostki przeciwnika miały kłopoty z celowaniem, gdy ludzie znaleźli się blisko nich lub innej maszyny Glothr.

Ale jeśli już im się to udało, trafiony myśliwiec płonął jak ćma w płomieniu świecy.

A obcych było tak wielu...

Zaczynali przedzierać się przez zaporę myśliwców i atakować większe jednostki ludzkiej floty.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 16.49 TFT

– Osiem minut do kontaktu z pierścieniem, panie admirale – powiedziała Gutierrez.

– Dziękuję, pani kapitan. Proszę wysłać drony dalekosiężne. Chciałbym, aby poszukały jakiegoś śladu „Concorda” albo „Paxa”.

– Aye, aye, sir. Drony poszły.

– Panie admirale! – zawołał Mallory. – Okręty obcych zaczynają uderzać w naszą flotę.

– Widzę. CAG, proszę nakazać myśliwcom wycofanie się. – Gray nie chciał trafić nikogo ze swoich.

– Tak jest.

– Komandor Taggart, może pani strzelać, gdy nadarzy się okazja.

– Tak jest.

Awangardę grupy zadaniowej tworzył stożek fregat i niszczycieli poruszających się tuż przed pancernikami „Illinois”, „Północna Kalifornia” i „Nowy Jork”. Grupa przynajmniej trzydziestu okrętów nieprzyjaciela wpadła w stożek, ponosząc straszliwe straty, jednak nie odpowiadając ogniem. Wyglądały na zdeterminowane, by przebić się do grubych ryb lecących kilka tysięcy kilometrów za czołem szyku.

We współczesnej walce przestrzennej fregaty były lekkimi jednostkami, pełniącymi rolę ochrony przed myśliwcami i uzbrojonymi głównie w rakiety. Niszczyciele były większe i nieco wolniejsze niż zwrotne fregaty, dysponowały jednak lepszą siłą ognia. Najczęściej rdzeń ich kadłuba stanowiło działo cząsteczkowe, dodatkowo wspomagane przez działka kinetyczne, umieszczone w wieżyczkach.

Gdy kanciaste jednostki Glothr doleciały do awangardy grupy bojowej, przywitała ich defensywna salwa z niszczycieli i fregat. Niszczyciele „Hobart” i „Lackland” uchwyciły większą jednostkę Glothr w ogień krzyżowy, przygważdżając ją ultrafioletowymi promieniami WEL, wysokoenergetycznego lasera, a te przebiły jej zewnętrzne powłoki i spowodowały erupcję plazmy.

Jednostka Glothr, koziółkując bez kontroli, uderzyła w burtę „Lackland”, od której oderwały się duże fragmenty metalu. Niszczyciel przechylił się na sterburtę i zaczął się kręcić wokół własnej osi.

Jednak większość nadciągających maszyn Glothr znajdowała się już poza linią fregat i niszczycieli, zbliżając się do pancerników.

Wielu współczesnych strategów uważało, że pancerniki stały się przestarzałe przy obecnym typie działań floty, jako mniej manewrowe od delikatniejszych krążowników liniowych. Ta bitwa jednak szybko zmieniała się w powszechną „naparzanekę”, w której przeciwnicy okładali się nawzajem wszystkim, co mieli.

Zaś w takich warunkach stare, potężne pancerniki czuły się jak ryba w wodzie. Sprowadzane obecnie do roli okrętów bombardujących, dysponowały pełnym przekrojem uzbrojenia. Od magnetycznych dział kinetycznych poprzez miotacze strumieni cząsteczek po armaty WEL, zaś ich obrona punktowa dysponowała mniejszymi wersjami tych samych rodzajów broni, zdolnymi położyć niszczycielski ogień na każdą jednostkę, która wleciała w strefę rażenia.

W tę strefę wpadły obecnie jednostki Glothr i zaczęły ginąć.

– CAG – powiedział cicho Gray, patrząc na rozgrywającą się bitwę – proszę przekazać myśliwcom awangardy, by przebijały się w kierunku planety. Proszę im także powiedzieć, że wchodzimy na twardo z ich szóstej.

– Aye, aye, admirale.

Gray nie lekcewał dziwnych jednostek Glothr, ale zredukował w myślach zagrożenie, jakie stanowiły. Owszem, było ich bardzo dużo, ale nie zachowywały się taktycznie, nie próbowały okrążyć floty USNA, czy też wybierać pojedynczych okrętów i atakować stadem. Poruszały się po mniej więcej prostych liniach i atakowały każdą jednostkę, która znalazła się w zasięgu rażenia, co sugerowało Grayowi, że ma do czynienia z dość mało sprawnymi AI. W tym ataku nie było pasji i dopóki flota amerykańska zachowywała lokalną przewagę siły ognia, bez większych problemów mogła kontynuować atak.

To było swego rodzaju zaskoczenie. Technologicznie Glothr zdecydowanie wyprzedzali ludzi, szczególnie jeśli chodziło o sztuczkę z czasem, jednak całościowo wcale nie byli aż tacy doskonali.

Gray zawsze był przekonany, że zaangażowanie jest w stanie wnieść do walki bardzo wiele.

– Pięć minut do kontaktu z pierścieniem.

– Dziękuję, pani kapitan.

– Admirale?

– Tak, CAG?

– Eskadry z rezerwy pytają, kiedy się włączą.

– Proszę im przekazać, że za chwilę będą miały szansę.

VFA-96 „Black Demons”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 16.52 TFT

Gregory obserwował, jak w nuklearnej eksplozji znika kolejny „kanciak”. Kilka z nich było jeszcze przed myśliwcami, ale większość znalazła się już poza linią i droga ku Invictusowi stała otworem.

Samą planetę trudno było zobaczyć, chyba że znalazła się akurat na tle Galaktyki. Gdy myśliwiec Gregory'ego podleciał bliżej i zmienił się kąt obserwacji, planeta ponownie zniknęła w ciemnościach.

Jej pierścienie były jednak wciąż wyraźnie widoczne, szaro-brązowe, zbudowane z płaskich, ostro zakończonych bloków o różnych kształtach. Gregory miał wrażenie, że patrzy na kompleks biurowy na Ziemi, tyle że tamte miały okna i były jasno oświetlone.

Oczywiście wiele ludzkich budynków także nie posiadało okien. Wyświetlacze ścienne działały z większą efektywnością i można w nich było zaprogramować inny widok niż pobliskie budynki, mogły też służyć jako ekrany robocze czy dodatkowe źródło oświetlenia. Jednak Gregory miał wrażenie, że brak okien miał więcej wspólnego z psychologią Glothr niż z estetyką. Jeśli wzrok nie był ich podstawowym zmysłem, mogli nie odczuwać ludzkiej potrzeby wyjrzenia na zewnątrz, nawet gdyby za oknem miał być obraz tak porywający jak tutaj.

– Łapię silny sygnał drona trzy-dwa-siedem – powiedział komandor Mackey. – Trzymajcie się go i wlatujemy!

Gregory uchwycił sygnał. Czerwone ramki objęły pole widzenia, wskazując najbardziej zewnętrzny pierścień.

Pomiędzy pierścieniami znajdowały się dwa silne źródła ciepła oraz wyciek promieniowania, mogący świadczyć o obecności ludzi.

– Wygląda na to, że nasze okręty są wewnątrz tej struktury – powiedział do Mackeya. – Zastanawiam się, czy ambasador Rand także.

– Nie wiem, Gregory, ale się dowiemy! Demony, na moją komendę zwrot przez sterburtę. Trzy... dwie... jedna... TERAZ!

Jeden za drugim starblade'y pomknęły w kierunku pierścienia.

# Rozdział dwudziesty

**7 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 16.54 TFT

– Jesteśmy na maksymalnym zasięgu ognia od pierścienia, panie admirale – zameldowała Laurie Taggart.

Kapitan Gutierrez spojrzała na Graya, jakby oczekując potwierdzenia.

Pokiwał głową.

– Proszę rozpocząć ostrzał – powiedział. – Cel: pozycje obronne Glothr, gdy się ujawnią. Nie tykać czerwonych stref.

– Aye, aye, sir – potwierdziła Gutierrez. – Niech nas poczują!

Strumienie i rakiety wystrzeliły z „Ameryki”. Większość jej wieżyczek uzbrojenia nie mogła wejść do działania, zasłonięta przez kopułę ochronną, jednak podwójna osiowa wyrzutnia zaczęła pluć w kierunku celu wielotonowymi pociskami. Salwy rakiet, wystrzeliwanych we wszystkich kierunkach z kadłuba, skręcały po ominięciu kopuły i kierowały się w stronę celów zidentyfikowanych przez AI lotniskowca jako prawdopodobne węzły łączności i stanowiska dowodzenia.

Biorąc przykład z okrętu flagowego, pozostałe ciężkie jednostki także otworzyły ogień, a niszczyciele i fregaty w towarzystwie myśliwców podeszły w bezpośrednie sąsiedztwo celu. Wszystkie trzy pancerniki, choć mocno uszkodzone, nadal uczestniczyły w boju, bombardując struktury obcych. Był to porywający i przerażający zarazem spektakl. Jeśli różnica technologiczna

okazałyby się zbyt duża, grupa zadaniowa „Ameryki” mogła zostać rozerwana na kawałki.

Nie mogąc po prostu siedzieć i patrzeć, Gray wstał, co przy zerowej grawitacji oznaczało wysłanie myśli do macierzy pokładu, by wytworzyła nanołatę o powierzchni metra kwadratowego, utrzymującą go w miejscu. Przednia część mostka flagowego otworzyła się na mostek okrętowy, znajdujący się pół piętra niżej.

Gray zakotwiczył w podłodze, złożył dłonie za plecami i zastanawiał się, czy admirałowie z czasów marynarki oceanicznej czuli się tak samo, gdy drobiazgowo opracowany plan bitwy wchodził w życie.

Wysokoenergetyczne lasery, znajdujące się w fortcach na pierścieniu, zaczęły zaliczać trafienia. Szerokie kopuły ochronne „Illinois” i „Północnej Kalifornii” zostały kilkakrotnie rażone, gubiąc wodę, która natychmiast zamarzała w próżni.

Gray miał nadzieję, że wystarczy im jej na manewrowanie podczas bitwy.

– Wszystkie jednostki – powiedział. – Przenieść ogień w stronę czerwonych stref. Wyizolować je.

Czerwone strefy to były miejsca zidentyfikowane jako prawdopodobne lokalizacje dwóch okrętów Straży Kosmicznej, a także ambasadora Randa i jego ekipy. Jedyne, na czym opierała się grupa zadaniowa, to źródła ciepła. Fizjologia Glothr wydawała się funkcjonować tuż przy punkcie zamrażania wody. Mieli bardzo dobrą izolację, jednak w podczerwieni pierścienia świecił milionami gwiazd, punktów energii, z których większość była jakiegoś rodzaju siłownikami. Nawet stworzenia z prawie zamrażniętą mieszaniną wody i amoniaku zamiast krwi potrzebowały ciepła w czarnej, przeraźliwie zimnej otchłani.

AI zdołała zidentyfikować jedną grupę źródeł promieniowania podczerwonego – trzy punkty w okolicach zewnętrznego pierścienia – które wyglądały jak sygnatury cieplne miejsc, gdzie mogli znajdować się ludzie. Komputery celownicze na każdym z okrętów oznaczyły to miejsce na czerwono, tak jak i kilka innych. Chodziło o to, by ostrzelać strukturę pierścienia jak najbliższej tych

rejonów, nie trafiając w nie same.

Pierścień był ogromną konstrukcją, tytaniczną masą materiału, orbitującą wokół ciemnej, lodowej planety, pięć razy większej od Ziemi. Wydawał się krążyć na orbicie synchronicznej, odwzorowując czterdziestoczworogodzinny okres obrotu planety, i zaopatrzony był w smukłe kolumny wind kosmicznych, łączących go z powierzchnią globu. Sam miał szerokość około dwunastu tysięcy kilometrów i kilkaset grubości, a jego masa sięgać musiała biliarda ton, zaś w strukturach wygodnie mogły żyć setki miliardów Glothr.

Co znów sprowadzało się do prostej arytmetyki bojowej: flota mogła mieć na swoim pokładzie w najlepszym wypadku kilkadziesiąt tysięcy marynarzy, lekki lotniskowiec transportowy „Marne” przenosił pułkową grupę szturmową, składającą się z pięciuset marines. Z drugiej strony, planeta mogła liczyć miliardy mieszkańców. O ile atakujący nie chciał zniszczyć całego Invictusa z kosmosu, popełniając ludobójstwo na skalę planetarną, znajdował się w bardzo niekorzystnej sytuacji. Gray nie miał pojęcia, ilu Glothr mogło mieszkać pod lodem globu. Jednak ten sztuczny system pierścieni był na tyle duży, by z zapasem pomieścić całą populację planety.

To prowadziło do kolejnego problemu. Tytan w Układzie Słonecznym miał skalisty rdzeń, a dokładnie rdzeń z silanolu, skryty pod grubą warstwą zamarznętej wody pod tak niewyobrażalnym ciśnieniem, że tworzyła tetragonalne kryształy i posiadała niespotykane właściwości elektryczne. Ponad wewnętrznym oceanem o głębokości wielu kilometrów znajdowała się pokrywa normalnego, bardzo zimnego lodu i węglowodorowej „gleby”. Invictus wydawał się być powiększoną, masywniejszą wersją Tytana, ale jeśli tak było, to gdzie, do cholery, Glothr zdobyli materiały na biliardy ton sztucznego pierścienia? Bez znaczenia było już, jak wynieśli je na orbitę, ale skąd je mieli?

Ciśnienie na dnie oceanu musiało być tak ogromne, że górnictwo stwarzało niesamowite problemy, choćby z samym przebicciem się przez kilkaset kilometrów lodu. Nawet gdyby było



to w jakiś sposób możliwe, to gdyby górnicy przebili się do samego rdzenia, nie znaleźliby w nim żelaza, tytanu, miedzi, aluminium, żadnego z metali potrzebnych w zaawansowanej technologii.

– Wydział sensorów – powiedział Gray.

– Tak, panie admirale – odparł kobiecy głos. Zgodnie z wykazem służb należał do porucznik Evans.

– Proszę podać mi odczyt składu materialnego pierścienia.

Lasery i strumienie cząsteczek cięły już strukturę. Spektrometry „Ameryki” sprawdzały wydzielające się chmury gazu i odłamki, porównując je ze spektrami znanych materiałów.

– Tak jest. Odczytujemy sporo długich łańcuchów węglowych, w tym polimery akrylowe, polichlorek winylu i PEEK...

– Po ludzku poproszę, pani porucznik.

– Tak jest. To plastik.

– Plastik?

– Są w nim ślady metali, ale to głównie plastik.

No cóż, z czego można było budować młodą cywilizację techniczną bez żelaza i miedzi? Jeśli Tytan miał czegoś pod dostatkiem, to były to węglowodory: ropa, propan, etan, metan... Czyli składniki budulcowe tworzyw sztucznych.

Historia Glothr musiała być fascynującą opowieścią o wspinaczce po drabinie technologii.

Gray przerwał rozważania i wrócił do bitwy, zagadka musiała poczekać.

Flota ludzka kontynuowała ostrzał pierścienia, ogień obrońców powoli słabł, niektóre baterie zostały już namierzone i zlikwidowane. Admirał przerzucił się na obraz z drona bojowego, wiszącego nisko nad powierzchnią pierścienia, i zaczął studiować dane przesyłane na „Amerykę”.

Pierścień przy obrzeżu miał grubość między dwadzieścia a pięćdziesiąt kilometrów, wyglądał z kosmosu jak cienka kartka papieru, potężniejąca w miarę zbliżania się. Na obrazie przekazywanym przez robota widać było coś, co przypominało krajobraz miejski z wieżami, blokami i kopułami nieznanego przeznaczenia, oddzielonymi od siebie głębokimi kanionami. Te

części, które nie zostały trafione, wydawały się nieskazitelne – żadnych kraterów po meteorach czy blizn wynikłych z działania pyłu, co sugerowało, że albo ochrona była bardzo dobra, albo powierzchnie często odnawiano. Prawdę mówiąc, asteroidy, meteoryty i pył gwiazdny stanowiły dość rzadkie zjawisko poza Galaktyką, ale też ten pierścień mógł mieć ponad dwanaście milionów lat, a większość tego czasu spędzić w bardziej zagęszczonych okolicach.

W oddali jasny rozbłysk odznaczył miejsce trafienia ciężkim pociskiem kinetycznym. Gejzer wody wystrzelił w próżnię. Sonda poleciała dalej, ukazując ciemne, lodowe struktury.

– Wróc – powiedział Gray do AI kontrolującej przekaz wideo. – Chcę zobaczyć rejon celu.

Obszar, w którym spodziewano się zastać „Paxa”, „Concorda” i ambasadora, nadal oznaczony był na czerwono.

Poczuł odpowiedź AI, bezsłowne odczucie, że w pobliżu jest za mało środków, by zapewnić mu to, czego potrzebował.

– CAG – powiedział – potrzebuję kilku myśliciów nad celem.

– Już się robi, admirale.

Wyznaczone maszyny wykonały łuk nad pierścieniem, kierując się ku celowi. Używając sensorów optycznych maszyn, Gray uważnie studiował sztuczny teren. AI „Ameryki” zasugerowała możliwe podejście i wyglądało na to, że to było wykonalne.

Ale ryzyko...

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 17.02 TFT

– Siedem-jeden-cee-osiem! – komunikacyjne elektroimpulsy przebiegły przez ciało lidera. – Przeciwnik wydaje się próbować wyizolować Miejsce Zimnych Snów.

Jednak Siedem-jeden-cee-osiem zauważyło już wzór ataku

ludzi i doszło do tego samego wniosku. Powinni byli zabrać ludzkich jeńców w głąb pierścienia. Niestety, po prostu zabrakło czasu. Ogień nieprzyjaciela zrujnował główne drogi transportowe i korytarze, centra energetyczne i rozbił setki głównych modułów mieszkalnych. Ofiary liczone już w dziesiątkach tysięcy.

Na szczęście ich większość stanowiły polipy, niewyszkolone i bezrozumne – zwierzęta, które łatwo zastąpić. Tylko niewielki ułamek całej pojemności pierścienia został zniszczony. Na razie nie było powodów do niepokoju.

Być może udałoby się nawet użyć rejonu przetrzymywania ludzi jako przynęty do zwabienia floty.

– Wypuścić kolejny rój – nakazało.

– Roimy się wspólnie – padła odpowiedź.

Olbrzymie obszary powierzchni pierścienia zaczęły się od niego odrywać, dzielić na części i pędzić w stronę floty ludzi. Kilka zapłonęło i znikło prawie natychmiast, trafionych przez rakietę przeciwnika. Ale roje obrońców były całkowicie zrobotyzowane. Obrona Rodu przypominała automatyczną odpowiedź immunologiczną organizmu, reagującego na spodziewane zagrożenia bez jakiegokolwiek oryginalności działania.

Robotów było jednak bardzo, bardzo wiele. Być może wystarczająco, by całkowicie zdominować kilka ludzkich okrętów.

VFA-96 „Black Demons”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.03 TFT

Gregory skierował swojego starblade’a nisko w poprzek powierzchni pierścienia, pozwalając AI pilotować maszynę w celu uniknięcia niespodzianek terenowych. To było trochę jak latanie w mieście na Ziemi. Nic takiego nie robił oczywiście w

rzeczywistości. Zaliczył jedynie pełną symulację lotu nad ruinami Columbus tuż po ataku. Tutaj przelot nad kraterem wybitym świeżo przez pięciotonowy pocisk kinetyczny przypomniał mu właśnie krater po centrum Columbus.

Przed nim grupa kawałków pierścienia wielkości fregaty oderwała się ku niebu. Nieprzyjaciel miał jak widać niewyczerpane zapasy tego czegoś i prędzej czy później musiało się to skończyć wtargnięciem między okręty główne.

– W porządku, Demony – powiedział Mackey. – Bierzemy się za nich, od ich szóstej.

Gdy okręty Glothr podniosły się z pierścienia, myśliwce znajdowały się na idealnej pozycji, by wślizgnąć się pomiędzy pierścień a okręty, zachodząc przeciwnika od tyłu. Był to ryzykowny manewr ze względu na flotę ostrzeliwującą Glothr z drugiej strony. Strefa śmierci musiała być rzeczywiście zabójcza: z krzyżującymi się strumieniami, laserami i raketami oraz latającymi we wszystkie strony kawałkami zubożonego uranu.

– Cel namierzony! – zameldowała Connor. – Uzbrajam ferdki... Fox Jeden!

Para fer-de-lance wysunęła się z jej maszyny i pomknęła nisko nad powierzchnią pierścienia, następnie skręcając gwałtownie w stronę okrętów Glothr. Rakiety VG-44c były znacznie silniejsze niż małe VG-10 Krait. Dwie eksplozje nuklearne rozświetliły powierzchnię pierścienia jak para gwiazd, ciche jak śmierć, rzucające długie, kanciaste cienie na szarą powierzchnię.

Gregory obrócił swój myśliwiec wokół osobliwości i ostro przyspieszył. Emitowana z nosa myśliwca kilka tysięcy razy na sekundę sztuczna czarna dziura pociągnęła maszynę, poruszającą się tak, jakby ślizgała się z nieskończonej góry.

W ułamku chwili Gregory znalazł się pomiędzy okrętami Glothr, tak blisko, że mógł ustawić się kilka metrów od jednego i przeciąć go prawie na całej długości. Pilot przyspieszył procesy mózgowe.

Walka na noże...

Zwrot... celowanie... strzał... przyspieszenie, skok przez pierścień, czarny dysk Invictusa w momencie, gdy zrównywał się

z kolejną jednostką Glothr. Tym razem użył działka PK, wysyłając strumień zubożonego uranu w stronę kadłuba szybko zbliżającego się przeciwnika.

Gaz ulatniał się z pokieroszowanego przeciwnika, zamarzając. Jeszcze więcej znalazło się go w przestrzeni, gdy wybuchł przedział ciśnieniowy. Starblade zakołysał się, gdy przechodził przez kryształy lodu. Przez moment świadomość Gregory'ego zanotowała jakiś kształt przed nimi, a po chwili uderzyli w coś. Przez moment część mózgu pilota myślała, że zderzyli się z częścią mieszkalną pierścienia, jednak myśl ta została szybko skorygowana. Zderzył się z jednym z cygarokształtnych robotów, którego szczątki spadały właśnie na osobliwość, a ta zajaśniała intensywnym niebieskim blaskiem.

Starblade koziółkował i musieli się mocno postarać z AI, by wyrównać lot.

Wydał myślową komendę, próbując obrócić maszynę i ustawić ją na wprost kolejnej jednostki Glothr, jednak z przerażeniem zauważył, że myśliwiec nie reaguje na komendy.

– Zwrot! Zwrot, pierdoło! – krzyczał. – Myśliwiec, co się dzieje?

AI odpowiedziała impresją. System zasilania nie działał, napędy nie działały, komunikacja nie działała.

Gregory został sam, bezradny, gdy mijał ciemną powierzchnię pierścienia, spadając ku zamarzniętemu obcemu światu.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.04 TFT

– „Północna Kalifornia” melduje, że mają wyłom w pierścieniu, panie admirale – zakomunikował Mallory. – Ogień nieprzyjaciela w tym sektorze spadł prawie do zera.

– Świetnie, proszę wysłać tam nieco dronów.

– Aye, aye, sir!

– Chciałbym, aby wniknęły w strukturę przez wyłom. Może

uda się wypatrzeć „Concorda” i „Paxa”.

– Tak jest.

Gray patrzył przez chwilę, jak tuzin robotów zbliża się do pierścienia, wnikając jeden po drugim w dziurę po bombardowaniach. Czysty obraz przesyłany na „Amerykę” ukazywał ocienione wnętrza pierścienia, szerokie, jaskiniowe tunele, otoczone poskręcanyimi strukturami, poprzecinane setkami poprzecznych przejść i korytarzy.

Zmienił kanał.

– Pułkownik Jamison!

– Sir.

– Wsadziliśmy w cel kilka dronów, tak blisko naszych, jak to możliwe. Ma pan obraz?

– Mam, sir.

– Świetnie. Może pan wysłać swoich ludzi.

– Ooh-rah! Ruszamy!

– Nie chcę, abyście tam ugrzęźli – dodał Gray. – Proszę ich trzymać na powierzchni, dopóki myśliwce nie oczyszczą wnętrza.

– Sir! Ale to ograniczy naszą zdolność reagowania!

– Proszę wykonać, pułkownik! Nie chcę, aby ten batalion stał się bandą jeńców wojennych.

– Tak jest.

Lotniskowiec marines zbliżał się już ku poszarpanemu brzegowi pierścienia, a myśliwce obu jego eskadr wypadały z kanałów startowych.

Za myśliwcami wyłoniła się chmura kapsuł szturmowych MAPP-2 Apache Tear – czarnych łez z nanolaminatu. Każda z nich niosła w sobie w pełni uzbrojonego i wyposażonego marine. W chmurze było ich ponad tysiąc, poruszających się razem w kierunku nowo powstałego wejścia do pierścienia.

– CAG, nadal ma pani w rezerwie resztę myśliwców „Ameryki”?

– Tak, admirale. „Dragonfires”, „Lightnings” i „Impactors”.

– Proszę je wysłać do wsparcia marines.

– Aye, aye, wysyłam myśliwce.

Gray był bardzo zadowolony, że „Ameryka” zdołała wymienić wszystkie swoje myśliwce na SG-420 Starblade. Gdy on był pilotem myśliwca, jakieś dwanaście milionów lat temu, latał na SG-92 Starhawk i wiedział, że nie chciałby pilotować go we wnętrzu zamkniętej, pełnej odłamków struktury.

Okręty naprawcze floty, takie jak „Vulcan”, a nawet sama „Ameryka” mogły wytwarzać myśliwce prawie natychmiast, dopóki dostępne były materiały i nie istniało żadne logistyczne wytłumaczenie dla produkcji starych wzorów. Problem stanowił trening ludzkiego mózgu. Nie mieli po prostu wystarczającej liczby pilotów, którzy potrafili prowadzić nowe maszyny, co mogło stać się ogranicznikiem tego, co uda się tu zrobić.

Wkrótce miało się okazać.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 16.48 TFT

Komandor porucznik Edmond St. Clair poczuł niemiłe sensacje związane z przeciążeniem, gdy wypadał z kanału startowego. Trzy pokłady startowe „Ameryki”, zewnętrzne części modułów obracających się wokół osi lotniskowca dwa razy na minutę, dysponowały sztuczną grawitacją połowy g. Wyrzucanie myśliwców z tym przyspieszeniem dawało im prędkość początkową około pięciu metrów na sekundę.

W otwartej przestrzeni komandor przyspieszył lekko i łagodnym łukiem wysunął się poza kopułę ochronną.

St. Clair nadal przyzwyczajał się do nowego myśliwca. W czasie, gdy służył w brytyjskim kontyngencie Konfederacji, został wyszkolony i cybernetycznie wyposażony do pilotowania francusko-niemieckich myśliwców Todtadler, które były mniej więcej odpowiednikami amerykańskich SG-101 Velociraptor. Gdy wstąpił do Marynarki USNA, otrzymał nanobiologiczne ulepszenia, wliczając w to zarówno cyberpamięć, jak i protezy

mentalne zwiększające możliwości mózgu. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że na razie potrafi pilotować starblade'a tylko dlatego, że AI myśliwca jest w stanie imitować sposób sterowania totdadlera czy velociraptora.

– Formujcie szyk za mną – przekazał eskadrze i pchnął myśliwiec delikatnie do przodu, poza okręty grupy zadaniowej, w stronę pierścienia Invictusa. Dookoła obiektu wykwiwały błyski eksplozji nuklearnych.

Jeden z okrętów USNA – pancernik „Illinois” – był mocno uszkodzony. Jego kopuła została już jakiś czas temu podziurawiona, ale obecnie uległa rozdarciu. Unieruchomionych zostało także wiele jego systemów uzbrojenia. Niszczyciel „Lackland”, wielokrotnie trafiony, także wyglądał na niezdolny do dalszej walki.

Myśliwce eskadry St. Claira mknęły ku pierścieniowi. Ogień nieprzyjaciela prowadzony ze struktury znacznie osłabł w ciągu ostatnich kilku minut, jednak w okolicy nadal było sporo kanciastych okrętów Glothr, które starały się przechwycić zarówno myśliwce, jak i kapsuły MAPP-2. „Impactors” wraz z eskadrami marines wysłane zostały, by im to uniemożliwić.

Przed nosem myśliwca St. Claira rozkwitła eksplozja nuklearna, a starblade zaczął dziko koziołkować.

Pilot wpadł w czarną pustkę.

Transportowiec marines „Marne”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.07 TFT

Pierwsze uderzenie prowadzone było przez jeden batalion z pułkowej grupy szturmowej znajdującej się na pokładzie „Marne”, wspomagany przez obie eskadry myśliwskie, „Death Dealers” i „Devil Dogs”. Połączony ze swoim kokonem na pokładzie „Marne”, pułkownik Joseph Jamison przyglądał się rozwojowi sytuacji i dowodził atakiem.



Jamison wolałby mieć połączenie ze wszystkimi podkomendnymi, ale nawet potężna AI „Marne” na to nie pozwalała. Zamiast tego otrzymywał na bieżąco dane od obu dowódców eskadr, prawie sześćdziesięciu dowódców batalionów, kompanii i plutonów, oficerów operacyjnych i rozpoznania, dronów bojowych oraz AI znajdujących się w grupie uderzeniowej.

– Trzymać wejście – mówił właśnie do majora Harrisona Smitha, dowódcy pierwszego batalionu. – Niech dopalacze wyczyszczą wnętrze.

– Ale wyłapujemy już transmisje z „Paxa”, pułkownika – odparł Smith. – Znajduje się zaledwie dziesięć kilometrów w głąb.

– Nie obchodzi mnie to, majorze. Utrzymać pozycję. Powiem wam, kiedy macie ruszać.

– Tak jest. – Smith nie był zachwycony, ale Jamison wiedział, że może mu zaufać. Pułkownik służył z nim już wcześniej, na orbicie Ziemi i Księżyca, i wiedział, że ma do czynienia z solidnym, odpowiedzialnym dowódcą batalionu. To miała być trudna operacja, jak zawsze przy uwalnianiu zakładników, a Jamison musiał być pewien, że może zaufać w pełni ocenie majora.

Co nie znaczyło oczywiście, że pozostali dowódcy batalionów byli źli. Należeli do Korpusu Marines, co z definicji czyniło ich najlepszymi. Jednak pułkownik nie był jeszcze z nimi w boju, a ze Smithem tak, a to czyniło ogromną różnicę.

Dane napływały szerokim strumieniem i Jamison otworzył umysł, by je przyjąć.

VFA-96 „Black Demons”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.03 TFT

Gregory wiedział, że jest w poważnych tarapatach. Nic w myśliwcu nie odpowiadało. Najlepsza nanotechnologia w

ziemskim arsenale nie funkcjonowała. Starblade minął pierścień i opadał w stronę Invictusa.

Pozostała mu odrobina energii. Pomocniczy generator zapewniał jej akurat tyle, by funkcjonowały urządzenia podtrzymujące życie oraz aby – przy ogromnej dozie szczęścia – ustawić myśliwiec tak, by nie uderzyć w powierzchnię planety z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na sekundę. Trzeba było jednak o tę resztkę mocy dbać, jeśli chciał przeżyć uderzenie. Dzięki Bogu, AI nadal działała i przejęła pilotowanie. Gregory poczuł szarpnięcie, gdy AI zaczęła kilkusekundowe hamowanie za pomocą wewnętrznych bloków grawitacyjnych. Nie można było osiągnąć dzięki nim wielkiego ciągu, ale jeśli pozwoliło im się pracować wystarczająco długo, mogły umożliwić przeżycie przy zderzeniu z powierzchnią.

Przynajmniej na chwilę. Jak długo pilot zdoła się utrzymać przy życiu na czarnej powierzchni Invictusa, pozostawało zagadką.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

**7 sierpnia 2425**

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.10 TFT

– Wszystkie jednostki – rzucił Gray. – Przerwać ogień!  
Przerwać ogień!

Grupa zadaniowa zbliżała się do krawędzi obcego pierścienia, jednak od momentu, gdy myśliwce i kapsuły marines wniknęły w strukturę, prawdopodobieństwo trafienia swoich rosło z każdą chwilą. Atak spoczywał w tej chwili w rękach marines i wspierających ich myśliwców, jedyne, co mogły zrobić okręty główne, to zapewnić ogień osłonowy na flankach i chronić grupę przed atakiem z przestrzeni.

Marines obstawili krawędź krateru wybitego w pierścieniu i bronili jej przed robotami Glothr zbliżającymi się po powierzchni. Kapsuła szturmowa przypominała myśliwiec Starblade, miała jednak bardziej elastyczny, nanolaminatowy kadłub, półtwarda nanopowłoka otaczała wewnętrzną część, w której znajdował się jeden marine, napęd, systemy kontroli i działko cząsteczkowe. MAPP-2 Apache Tear mogła się rozciągać, by chwycić się jakiejś konstrukcji czy elementu okrętu, mogła przebić sobie drogę do wnętrza, mogła nawet chodzić, nieco nieporadnie, gdyż jej głównym sposobem poruszania się był ślizg w polu grawitacyjnym. Pochłaniająca światło powłoka zewnętrzna czyniła ją prawie niewidzialną w ciemności kosmosu, a działko cząsteczkowe dawało sporą siłę ognia.

W tym momencie prawie dwieście MAPP-2 przyczepionych było do krawędzi wyrwy w powierzchni pierścienia. Marines używali działek do zwalczania zbliżających się robotów Glothr. Gray zdał sobie sprawę z zagrożenia. Nakazał ludziom Jamisona nie wchodzić do momentu, aż wnętrze zostanie oczyszczone przez myśliwce. Jednak im dłużej tu czekali, tym więcej Glothr mieli czasu na zgromadzenie sił. Admirał widział kilka tysięcy robotów za pozycją obronną marines, wykorzystujących każdą osłonę, by posuwać się naprzód. Jak na razie grupa szturmowa walczyła z całą planetą obrońców i technologii obronnych, a stan taki nie mógł trwać dłużej, niż było to absolutnie konieczne.

W tym momencie Gray uświadomił sobie, że zachowuje się jak MMTO.

Samo TO – uprzejme tłumaczenie akronimu brzmiało „tyłowi opiekunowie” – oznaczało facetów, którzy komfortowo i bezpiecznie opracowywali plany i wysyłali ludzi na śmierć. Mniej uprzejma wersja zamieniała opiekunów na ochujeńców.

Natomiast MikroMenadżerujący Tyłowi Ochujeńcy byli czymś dużo gorszym.

Od końca dwudziestego wieku operacje militarne coraz bardziej dominowane były przez technologie komunikacyjne. Generałowie, a nawet przywódcy państwowi otrzymali możliwość obserwowania bitew w czasie rzeczywistym i wydawania rozkazów oficerom liniowym znajdującym się tysiące kilometrów od nich.

Niestety, możliwość widzenia i słyszenia wszystkiego, co się działo, niekoniecznie przekładała się na realia bitwy. Dowódca sił w terenie wiedział to, o czym nie mieli pojęcia dowódcy na tyłach. Znał charakter i morale swoich podwładnych, wiedział, jak byli zmęczeni, jak przestraszeni i jak bliscy załamania. Fakt, że nikt na tyłach nie przeszedł tego samego treningu, co ludzie w polu, nie znajdował się w ich kompanii braci, oznaczał, że ludzie ci oddzieleni byli od walczących nie tylko przez kilometry.

Historia wojskowości zna wiele przypadków dowódców polowych, którzy nagle zaczęli mieć niewyjaśnione „problemy z łącznością”, pozwalające im ignorować rozkazy z tyłów.

W ciągu sześciu wieków technologia posunęła się mocno do przodu, czyniąc takie problemy trudniejszymi do wytłumaczenia, albo nawet wywołania.

Ziemia i dowództwo USNA pozostało dwanaście milionów lat wstecz, jednak Gray sam ukonstytuował lokalne MMTO, oglądając działania marines z fotela na swoim mostku flagowym i wydając rozkazy dowódcom na pierścieniu. MMTO jak nic.

– Pułkownik Jamison.

– Tak, admirale.

– Wydaje mi się, że zarówno ja, jak i pan... znajdujemy się w pewnym oddaleniu od bitwy. Może powinniśmy oddać majorowi Smithowi jego głowę.

– Zgadzam się, admirale... Dziękuję.

– Rozpętajcie piekło.

– Aye, aye, sir.

1/4 Marines

4 Pułkowa Grupa Szturmowa, 1 DM

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.10 TFT

Pierwszy batalion czwartego pułku Pierwszej Dywizji Marines przywarł do poszarpanego brzegu czarnego piekła i walczył o życie. Major Harrison Smith schował swoją MAPP za częściowo stopionym fragmentem pierścienia, starając się lepiej zobaczyć przeciwnika nacierającego w tym sektorze.

Dwóch z jego podwładnych miało stanowisko tuż przed nim. Ich kapsuły wyglądały jak dwie czarne trzymetrowe ameby, przyklejone do lodowej powierzchni. Jedna z nich wysuwała się nieco ponad krawędź krateru, celując z piska. Na wyświetlaczu Smitha marines zidentyfikowani zostali jako starszy szeregowy Gene Sanders i kapral Ed Moultrie.

Broń kaprała wypaliła, wywołując chwilowe trzaski w komunikatorach. Sto metrów dalej srebrny, cygarokształtny

obiekt stanął w płomieniach.

– Dorwałem drania.

– Dobry strzał, Moultrie – powiedział Smith.

Mężczyzna niemal podskoczył.

– Och... Dziękuję, sir!

– Nie zważajcie na mnie, tylko na nich.

– Aye, aye, sir!

Smith ruszył do przodu.

– Cholera – dobiegł go głos Sandersa – czy to był skipper?

– Jeden z nich – odparł Moultrie. – Zapomnij i strzelaj.

Smith zaśmiał się pod nosem. Szeregowi marines nie spodziewali się starszych oficerów łąjących po pozycjach ogniowych podczas bitwy. Lubił ich zaskakiwać.

Kapsuły MAPP-2 były powolne i niezdarne jako myśliwce w otwartej przestrzeni, ale doskonale sprawdzały się w roli specjalistycznego pancerza bojowego na powierzchni, szczególnie gdy była ona nierówna i niepewna grawitacyjnie. MAPP-2 zostały zaprojektowane do operacji na powierzchni asteroid lub na zewnętrznych ścianach fortec planetarnych, czyli miejscach, gdzie marines potrzebowali czegoś, co mogło służyć zarówno jako pojazd kosmiczny, jak i pancerz osobisty.

Na zewnętrznej krawędzi pierścienia Invictusa była grawitacja. Całkowita masa pierścienia odpowiadała małej planecie i dodawała się jeszcze do przyciągania samego Invictusa. Pierścień obracał się jednak powoli i siła odśrodkowa generowana przez ten ruch prawie równoważyła przyciąganie.

Wyciągając kolejną nibynóżkę, Smith chwycił się powierzchni pierścienia, pozwolił nanolaminatowi przylgnąć do powierzchni i podciągnął się. Nad jego głową błysnęło światło, kolejny strumień cząsteczek. Major nie wiedział, czy został on wystrzelony przez jego ludzi, czy przez Glothr.

Kolejny strzał, cichy, lecz powodujący falę przenoszoną przez powierzchnię. Smith uniósł się na trzech nibynóżkach i spojrzał w górę. Z całą pewnością jeden z okrętów Glothr zawisł na wysokości pięciu kilometrów i ostrzeliwał powierzchnię. Smith wysunął swoją broń, wycelował i wysłał w kierunku celu wiązkę

protonów. Inni marines także otworzyli ogień, ale przeciwnik zdążył jeszcze wystrzelić, wysyłając kilka Apache Tears w przestrzeń.

*Cholera... jak długo mamy jeszcze tkwić na tej odkrytej pozycji?*

– Castle Rock, Castle Rock – wywołał. – Tu Jeden-Cztery! Potrzebujemy tu osłony!

– Jeden-Cztery, Castle Rock – odpowiedział głos z centrum dowodzenia. – W drodze!

Skoncentrowany ogień marines na stanowisku obronnym wydawał się przynosić skutek. Fregata wycofywała się, a jasne błyski i iskry na jej powierzchni wskazywały trafienia. W chwilę później jednostka Glothr rozpadła się, trafiona grawitacyjnym pociskiem z pancernika „Nowy Jork”.

Działa grawitacyjne były stosunkowo nowym rozwiązaniem w ludzkim arsenale i stanowiły rozwojową wersję broni przeciwnika, Turuschów, którzy używali jej do bombardowań planetarnych podczas ataków na Harisa i Ozyrysa. Były skomplikowanym i niebezpiecznym orężem, miały tendencję do wysyłania w przestrzeń promieni X i gamma. Z tego powodu rzadko korzystano z nich podczas działań floty, jednak wielkie pancerniki posiadały je w swoim arsenale i czasami używały ich z dobrym skutkiem.

Większość dopalaczy – pilotów myśliwskich – znajdowała się już w dziurze i oczyszczała drogę dla marines, ale jeśli ci ostatni zmuszeni by byli siedzieć tu jeszcze dłużej, w końcu zostaliby zmieceni przez Glothr.

Smith miał stały dopływ danych zarówno z dronów bojowych znajdujących się już wewnątrz struktury, jak i z centrum na „Marne”. Zauważył, że dwa okręty Straży Kosmicznej zostały już zidentyfikowane, a ich pozycja naniesiona na mapy.

Kolejna eksplozja. Tym razem całkiem blisko. Smith wspiął się i spojrział. Moultrie i Sanders otrzymali bezpośrednie trafienie, a to, co pozostało z ich kapsuł, dryfowało w przestrzeń, dymiąc.

Cholera!

Rozejrzał się w poszukiwaniu jednostki Glothr, jednak na krawędzi wyrwy pojawiła się grupa cygarokształtnych robotów.

Odległość wynosiła tylko trzydzieści metrów. Major przekreślił broń i strzelił. Ogień otworzyło także pół tuzina innych marines. Roboty Glothr na szczęście wydawały się działać z pewnym opóźnieniem. W ciągu kilku sekund cała grupa pięciu maszyn została posiekana na kawałki.

Było ich jednak dużo, dużo więcej.

– Jeden-Cztery, tu Castle Rock – głos należał do pułkownika Jamisona.

– Tu Jeden-Cztery.

– Możesz schodzić do wnętrza, Harry – powiedział pułkownik.

– Możesz podchodzić do „Paxa” i „Concorda” wedle własnego uznania.

– Najwyższy pierdolony czas! Ruszamy się, marines!

Rozkaz pochwycony został przez tysiąc dwieście gardeł, gdy marines podnieśli się zza zasłon i wskoczyli w piekło.

VFA-96 „Black Demons”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.12 TFT

Porucznik Fred Dahlquist wcisnął starblade’a na właściwy wektor, wlatując w środek otworu w powierzchni pierścienia. To było coś zupełnie nowego, czego nie obejmowały symulacje treningowe: pilotowanie myśliwca wewnątrz obcej struktury.

Po znalezieniu się w środku należało bardzo zredukować prędkość. Ta, do której przyzwyczajony był w przestrzeni, w mgnieniu oka rozbiłaby go o ścianę. Posuwając się kilkaset metrów na sekundę, skanował otaczającą go przestrzeń, jaskinię o czarnych ścianach, poszarpaną i urozmaiconą naturalnymi formami, stalaktytami i stalagmitami sterczącymi niczym kły.

„Black Demons” ponieśli ostatnio ciężkie straty. Dobbs i Martinez nie żyli, usmażeni przez jeden z tych latających budynków Glothr. Hathaway martwa, złapana przez eksplozję nuklearną. Gregory „poszedł na biegacza”, ostatnio widziany,



gdy bez kontroli nad maszyną opadał w stronę planety. A Schmitt zginął wcześniej w bitwie z Turuschami przy AGTR.

Ponad jedna trzecia eskadry – tak po prostu wymazana.

Wokół niego do jaskini wkraczali marines, prawie niewidoczni w swoich pijących światło kapsułach szturmowych. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Obraz odbierany przez pilota opierał się głównie na podczerwieni. Pozostała szóstka „Black Demons” była rozproszona i wymieszana z velociraptorami marines.

Wysokoenergetyczny strumień protonów błysnął z głębi, jedna z MAPP zapłonęła jak ćma w ciemnościach.

– Mam uchwyconą pozycję działka – powiedziała Connor. – Zero-jeden-dziewięć... strzelam!

Starblade Megan wyrzucił z siebie serię pocisków kinetycznych, ze śmiertelną precyzją trafiając w miejsce, gdzie mieściło się działko Glothr. Z zagłębienia błysnęło światło i poleciały odłamki.

– Piękny strzał, Meg! – krzyknął Caswell.

*To faktycznie był piękny strzał* – pomyślał Dahlquist.

Bezpośrednie trafienie z ośmiu kilometrów z dużym odchyleniem i bez możliwości uchwycenia celów przez inteligentną broń. Fred zastanawiał się, jak trzymała się Connor, wiedząc, że jej kochanek zaginął...

– Trzymajcie jakiś szyk, Demony – powiedział dowódca eskadry. Mackey nie znosił bałaganu. Co wcale nie znaczyło, że precyzyjna formacja mogła tu jakoś pomóc.

Ale dziesięć kilometrów przed sobą widzieli już cel: dwa ziemskie okręty, zakotwiczone w czymś, co można by uznać za port. Podświetlone były głęboką podczerwienią i umiejscowione w pobliżu pary tajemniczych mieszaczy czasu.

Okręty ludzi – okręt jego brata – tuż, tuż.

– Obiekty w polu widzenia – zawiadomił innych. – „Pax” i „Concord”, kierunek zero-zero-zero, odległość osiem kilometrów!

– Lecimy tam – powiedział Mackey. – Marines potrzebują osłony. Trzymać się razem...

Miejsce Zimnych Snów

Pierścień Invictusa

Godzina 16.44 TFT

– Siedem-jeden-cee-osiem! Przeciwnik siłowo wkracza do pierścienia.

– Wiem. Spróbuj go powstrzymać. Wysyłamy więcej zakrzywiaczy czasu.

– Może ich być zbyt wielu...

Transmisja została gwałtownie przerwana.

Liczby i technologia, zdaniem Siedem-jeden-cee-osiem, powinny wystarczyć, by przygwoździć, przytłoczyć i zniszczyć tego zadziwiająco wytrwałego przeciwnika, jednak wydawało się, że posiada on przewagę taktyczną, która mogła skutkować przegraną Rodu. Był szybki, jego system nerwowy działał kilkakrotnie szybciej i efektywniej niż przedstawiciele Rodu, a to znaczyło, że jego czas reakcji był krótszy, celowanie pewniejsze, a odpowiedzi szybsze. Roboty – sługi Rodu – zaprojektowane zostały tak, by skontrolować czas reakcji zdecydowanej większości gatunków z sojuszu Sh'daar, ale nawet drobne różnice miały ogromne znaczenie podczas bitwy, zarówno w przestrzeni, jak i na powierzchni.

Siedem-jeden-cee-osiem połączyło się z innym członkiem Rodu.

– Dee-jeden-trzy-ess! Daj do przodu swoje zaginacze!

– To oznaczać będzie uwolnienie ludzkich okrętów.

– Jeśli tego nie zrobimy, stracimy ludzkie okręty tak czy inaczej. Chcę, żebyś chociaż spróbowało zatrzymać ten atak w wyłomie.

– Jestem sceptyczny co to tego, Siedem-jeden-cee-osiem. Jest ich zbyt wielu.

– Ja także wątpię w skuteczność, Dee-jeden-trzy-ess. Ale co innego nam pozostaje?

– Roimy się wspólnie.

Wyrażenie to było potwierdzeniem i akceptacją,

odpowiednikiem ludzkiego „tak jest” czy „aye, aye”. Gdy przedstawiciele Rodu byli w fazie rozwojowej, pływali razem w wodach oceanu, w liczących miliony polipów ławicach, mając tylko podstawowe uczucia. Trzymając się razem w ogromnych grupach, bronili się przed drapieżnikami z głębin Invictusa.

Wyrażenie było także kulturowym przypomnieniem, że żaden członek Rodu nie był lepszy od innego, bitwa przeciw ludziom stanowiła wspólny wysiłek.

Siedem-jeden-cee-osiem zaczynało wierzyć, że to właśnie przedstawiało największą słabość w obronie Rodu. Ludzie, jak przekonało się podczas krótkiego pobytu na Ziemi, mogą być podzieleni i słabi, ale poddają się pod przywództwo w bardzo mocny sposób. Ich liderzy są wyszkoleni jako liderzy i nie przekazują tej roli.

W swojej karierze Siedem-jeden-cee-osiem było prowadzącym okręt i członkiem załogi, liderem roju i dronem. Znało wszystkie strony równania społecznego.

W tej chwili zastanawiało się, czy to było wystarczająco dużo, by pokonać tych ludzi, te potwory z głębi czasu i przestrzeni.

VMFA-77 „Devil Dogs”

4 Pułkowa Grupa Szturmowa

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.14 TFT

Porucznik Roger Mayhew użył mentalnego połączenia, by wprowadzić velociraptora na nowy kurs, ku końcowi szerokiej, ciemnej jaskini. Czerń otaczała go, by za chwilę ustąpić miejsca zieleni i błękitowi zimnej podczerwieni. Jego myśliwcem szarpnęło, gdy odciął przyspieszenie, i zastanawiał się, jak velociraptor na to zareaguje.

Marines mieli tradycję kupowania starszego sprzętu. Nie dotyczyło to wprowadzanie kapsuł MAPP-2, ale zdecydowanie odnosiło się do myśliwców. VMFA-77 otrzymali SG--101 rok

wcześniej, jednak budżet Marines nie pozwalał na wymianę ich na nowsze starblade'y.

W rzeczywistości velociraptor nie był wcale taki stary. Do służby ten model wszedł zaledwie kilka lat wcześniej, jednak blade'y bezdyskusyjnie były nowsze, szybsze, lepiej uzbrojone, a technologia militarna galopowała prędej, niż ludzie mogli nadążyć.

Miło by było, gdyby Korpus choć jeden raz wyposażył ich w najnowszy sprzęt, coś, co nie zostało wycofane z Marynarki kilka miesięcy wcześniej. Wielo-ochłapy. Taki przydomek piloci eskadr bojowych nadali SG-101.

Roger zastanawiał się, co zastąpi starblade'y i jak długo pozostaną czubkiem włóczni.

– Zielony Jeden – wywołał. – Tu Zielony Siedem. Mam zamiar na jeden z okrętów Straży. To chyba „Pax”.

– Przyjąłem, Siedem – odparł kapitan Larson, skipper „Devil Dogs”. – Zbliź się, jeśli możesz.

– ...jest.

Zmniejszył prędkość, wyłączył napęd grawitacyjny i pozwolił słabej lokalnej grawitacji wciągnąć się w głąb czarnego pionowego kanionu. „Pax” usadowiony został pomiędzy lasem urządzeń i podpór, prawie bez możliwości podejścia. Nie wydawał się w ogóle uszkodzony, ale nie było także ani jednego znaku życia, ani mignięcia lampek nawigacyjnych, ani otwartych kanałów komunikacyjnych.

– Tam jest ten drugi – powiedziała porucznik Kathryn Bixby, Zielony Pięć. – Zaraz... Co się tam rusza przy „Paxie”?

Mayhew zobaczył ruch w tym samym momencie: srebrny cylinder.

– Odsuńcie się od tego! – ostrzegł Mayhew. – To zaginacz czasowy!

– Tam jest jeszcze jeden! – powiedział porucznik Ramirez. – Obok „Concorda”.

– Myślę – powiedział Mayhew – że sięgają po ciężkie działa.

VFA-96 „Black Demons”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.15 TFT

Gregory nie pamiętał swojego spadania ku powierzchni Invictusa. AI przejęła kontrolę nad resztką systemów manewrowania, ale mocy było za mało, aby pilot miał możliwość oglądania otoczenia. Ściśnięty w kokpicie starał się oddychać równomiernie i nie dać się przeciążeniu. Napędy grawitacyjne działały podczas przyspieszania i hamowania równomiernie na myśliwiec i pilota, dlatego nie czuł skutków ich pracy. Małe wirniki, używane jako napęd zapasowy, już nie równoważyły przeciążeń. Gdy starblade opadał, wirniki pracowały coraz szybciej, osiągając dziesięć g i doprowadzając Dona na skraj nieprzytomności. Gdy w pewnym momencie zawiodły także i one, Gregory zaczął swobodnie spadać.

Starblade uderzył w powierzchnię pod kątem dokładnie wyliczonym przez AI, prawie równoległe do gruntu. Pilot poczuł uderzenie, potem szybowanie, znów uderzenie, ślizg na jednej z burt, a potem zatrzymał się.

Był na powierzchni.

– AI – wywołał – możesz dać mi obraz?

Nie było odpowiedzi, pozostał w ciemnościach. Zastanawiał się, czy wszystkie systemy starblade’a padły.

Nadal miał w głowie aktywne wszystkie ikony. Wybrał tę, która odpowiadała ponownemu uruchomieniu systemu, mając nadzieję, że sztuczna inteligencja zacznie pracować.

Bez AI był martwy.

1/4 Marines  
4 Pułkowa Grupa Szturmowa, 1 DM  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.10 TFT

Major Smith uznał, że minął długi czas, odkąd marines ostatni raz wzięli udział w staroświeckim pościgu. Czarne kapsuły MAPP chmurą leciały w tunelu, ostrzeliwane przez Glothr z głębi. Przed sobą Smith widział myśliwce marines, walczące z grupką okrętów Glothr...

Nie, to nie były tylko okręty! Te dwa kształty były jednostkami zakrzywienia czasu, które unieruchomiły „Concorda” na pokładzie Charlie Jeden. Czy to niezależne okręty, czy też broń zamontowana wewnątrz pierścienia, nie było na razie wiadomo.

– Otworzyć ogień do tych dwóch dużych celów – rozkazał podwładnym. – Nie pozwólcie im odlecieć.

Strumienie cząsteczek i lasery rozbłysły w odległości kilku kilometrów. W tych warunkach marines dysponowali ograniczonym arsenałem. Rakiety nuklearne zniszczyłyby otoczenie razem z celem, zagrożone były więc również dwa okręty Straży Kosmicznej oraz wszyscy znajdujący się w pobliżu.

Smith zauważył, że czas zaczął pełznąć, i zastanawiał się, czy był to efekt działania broni przeciwnika, czy też po prostu subiektywny efekt intensywnej, śmiertelnej walki.

# Rozdział dwudziesty drugi

**7 sierpnia 2425**

USNS/HGF „Concord”  
Pierścień Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.18 TFT

Z perspektywy Terrance’a Dahlquista „Concord” został przechwycony zaledwie kilka chwil wcześniej. Okręt Straży Kosmicznej przyspieszał w stronę AGTR i osiągnął już prawie prędkość światła, gdy zaginająca czas jednostka Glothr pojawiła się na wylocie łuku dziwnie zakrzywionej przestrzeni przed kutrem. Przed, gdyż relatywistyczna iluzja sprawiała, że obraz odkształcał się. Dahlquist zdążył jedynie ostrzec przez interkom załogę.

A potem... nic.

Wziął głęboki oddech. Był cały spięty z powodu stresu, dzikiej paniki... A teraz okazywało się, że „Concord” znajdował się w zupełnie innym miejscu. Dane wskazywały, że już nie przyspieszał, nie poruszał się z prędkością podświetlną, a zamiast tego znajdował się w czymś w rodzaju hangaru.

Ilość spływających jak wodospad informacji o okręcie była przytłaczająca. Dahlquist sprawdził otoczenie i zorientował się, że „Concord” został unieruchomiony w doku kosmicznym i otoczony przez roboty Glothr. Nagły rozbłysk światła uświadomił mu, że gdziekolwiek by to było, to właśnie trwała tam zacięta bitwa. Jednostka Glothr wysuwała się z doku nieco oddalonego od „Concorda”. Uznał, że to właśnie był powód, dla którego czas zaczął ponownie płynąć – mechanizmy, które zwalniały go dla

„Paxa” i „Concorda”, właśnie się oddalały, zabierając swoje pole ze sobą.

W pewnej odległości ludzkie myśliwce, zarówno starblade’y, jak i velociraptory, w otoczeniu kapsuł MAPP-2 toczyły bój. Dahlquist widział, jak zestrzeliwani byli marines i myśliwce, a mimo to wiązki strumieni cząsteczek i laserów cały czas kierowały się ku zaginaczom czasu.

Komandor nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od przechwycenia „Concorda”, jako że każdy mechanizm, komputer, AI na pokładzie kutra zostały zamrożone w czasie. Mogły upłynąć równie dobrze godziny, jak i wieki.

Raczej nie były to stulecia. Modele myśliwców zmieniały się tak gwałtownie, że po upływie lat ich sylwetki byłyby nierozpoznawalne. Marines z pokładu „Marne” nadal używali velociraptorów. Tak więc bardzo prawdopodobne było, że myśliwce należały do Grupy Zadaniowej Jeden.

Cholera, w jednym z nich mógł siedzieć Fred!

Po tej myśli napłynęła następna.

Myśliwce i marines przybyli po nich. Nie kto inny, tylko admirał Gray przyciągnął całą grupę zadaniową w to miejsce, by znaleźć i uwolnić dwa okręty Straży Kosmicznej.

Uświadomienie sobie tego pchnęło myśli Dahlquista na zupełnie inne tory.

Oczywiście, że ludzie działali według pewnego etosu, mówiącego, że nigdy nie zostawia się swoich, jednak czasami – częściej, niżby się mogłoby wydawać – była to tylko honorowa dewiza, a nie realna obietnica.

A to sprawiało, że rzecz stawała się cholernie osobista, kiedy ktoś naprawdę wrócił specjalnie po ciebie.

Gregory  
VFA-96 „Black Demons”  
Powierzchnia Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.25 TFT



Gregory poczuł, jak kadłub uszkodzonego myśliwca zadrżał. Stygł szybko, co nie zostawiało pilotowi zbyt wiele czasu.

Udało mu się w końcu odpalić ponownie AI, mógł więc na swoim wyświetlaczu zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Niewiele to pomogło. Krajobraz wokół był poszarpany i czarny, ze skałami utworzonymi z lodu i Drogą Mleczną wiszącą gdzieś w oddali. Zimną, piękną i odległą. Zgodnie z odczytami temperatura wynosiła tylko dwadzieścia stopni Kelvina. Ciepło uchodziło na zewnątrz w zastraszającym tempie. System podtrzymania życia starał się temu zapobiec, ale Gregory wiedział, że niebawem padnie.

A w chwilę później odejdzie on sam.

Myśliwiec wysyłał automatycznie sygnał alarmowy, ale coraz słabiej. Don wątpił, by mogły go przechwycić holowniki SAR z „Ameryki”. Systemy łączności nie działały. Brak zasilania.

Gdzieś tam, daleko pod nim, setki kilometrów – o ile teoria o Invictusie była prawdziwa – było wystarczająco ciepło, by utrzymać ocean w stanie płynnym. Istniało tam życie, inteligencja i zaawansowana, podróżująca w gwiazdach cywilizacja. Glothr udało się opuścić ich lodowe więzienie i zbudować nieprawdopodobny pierścień, a teraz podróżowali między gwiazdami oraz w czasie.

Zastanawiał się, czy istniał jakiś sposób ściągnięcia uwagi Glothr żyjących pod lodem. Prawdopodobnie nie. AI nie miała na to żadnych pomysłów.

Przy obecnym tempie utraty ciepła przez maszynę zacznie odczuwać chłód za godzinę lub dwie, za cztery zamarzną na kość. Miał na sobie kombinezon ciśnieniowy, ale po otwarciu kokpitu i wyjściu na zewnątrz w lodowe piekło mógł on utrzymać pilota przy życiu zaledwie przez kilka minut.

Don Gregory cicho kontemplował nieuchronność śmierci, myślał o Meg i przygotowywał się na koniec.

Porucznik Connor podciągnęła myśliwiec, starając się uniknąć spowalniającego czas pola emitowanego z gładkiego okrętu Glothr. Jej maszyna wyraźnie zwolniła, a dziewczyna zdała sobie sprawę, że została złapana w pole czasowe.

– Uwaga! – krzyknęła na kanale eskadry. – To zakrzywiające czas gówno jest aktywne!

Wydawało jej się, że pole zostało dezaktywowane, jednak najwyraźniej znów je uruchomiono. Albo emitowane było raz w jednym kierunku, raz w innym.

– Przyjąłem, Demon Trzy – odparł Mackey. – Zabieraj stamtąd dupę!

– Próbuję.

Łzy spływały po jej twarzy, a ona nie mogła ich wytrzeć bez zdejmowania hełmu, jednak teraz czuła oddziaływanie grawitacji, potrząsnęła więc mocno głową, by pozbyć się przeklętych kropelek. Nie znosiła łez, słabości, nadal jednak nie mogła pogodzić się z faktem, że Dona nie było.

Na tym właśnie polegał największy problem przy budowaniu więzi emocjonalnych pomiędzy pilotami czy ogólnie kolegami z okrętu. Jedną sprawą było wiedzieć, że bliscy siedzą na Ziemi czy świecie kolonialnym i czekają na powrót żołnierza, a czymś zupełnie innym, gdy ktoś, kogo ten żołnierz kochał, leciał z nim skrzydło w skrzydło i tak samo ryzykował życie.

Oczywiście, dyskutowali na ten temat z Donem, ale zawsze była to tylko pieprzona teoria. Nigdy nie brali serio możliwości utraty tego drugiego. Ich związek nie był nawet niczym wielkim. Kumple do łóżka, to wszystko. Przyjaźń z korzyściami, jak mówiło stare powiedzenie. Seks rekreacyjny w założeniu miał nie przechodzić w nic poważniejszego.

Jednak teraz jego starblade zaginęła, a ona zdała sobie sprawę, że się oszukiwała. Oczywiście, że holowniki SAR zostaną wysłane na poszukiwania, jednak szansa odnalezienia małego myśliwca

w tym pustkowiu leżała gdzieś pomiędzy nikłe a niemożliwe. A co gorsza, zostaną one wysłane dopiero po zakończeniu bitwy, i to też tylko w przypadku zwycięstwa.

Zakładając oczywiście, że Don nadal żył. Connor krzyknęła, wyładowując frustrację. Jeśli ta bitwa miała się skończyć, to właśnie ona ją, kurwa, skończy! Zrównała się z zakrzywiaczem czasu, przesuwającym się powoli obok niej w odległości stu metrów, i wystrzeliła serię pocisków kinetycznych ze zubożonego uranu.

– Udław się tym, skurwysynu!

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.28 TFT

– Panie admirale? Tu Truitt.

– Tylko szybko, doktorze. Jesteśmy nieco zajęci.

– Rozumiem. Ale przebiłem się w końcu przez te dane, które zdobyliśmy miesiąc temu. Jest tam coś, co powinien pan zobaczyć.

Gray prawie odprawił Truitta szorstkim „później mi pan powie”. Ten facet był bardzo trudny we współpracy. Prawdziwy geniusz, absolutnie bez wyczucia i cierpliwości, które u innych odbierał jako przejawy głupoty.

Niewątpliwie jednak odznaczał się błyskotliwością i jeśli wpadł na coś, co jego zdaniem było wystarczająco ważne, by przeszkadzać dowódcy w czasie bitwy, to pewnie warto go było wysłuchać.

– Co pan znalazł?

– Kompletny bioprofil Glothr. Najwyraźniej naukowcy Konfederacji byli w połowie pracy, gdy okręt niespodziewanie odleciał.

– I co?

– Proszę spojrzeć.

Dane zaczęły się przesuwać. Było tego mnóstwo, włączając w to spekulacje na temat naturalnej historii Glothr, ich ewolucji, transformacji ze stworzeń wodnych w lądowe przed milionami lat, a nawet przypuszczenie, że tą ewolucją kierował inny rozumny gatunek.

Znowu przekłęci Gwiazdni Bogowie.

Ale nie to Truitt chciał mu pokazać. Gray dostrzegł podświetlony fragment, dotyczący zmysłów Glothr.

„O ile Glothr posiadają organy wrażliwe na światło, szczególnie o niskiej długości fali, aż do ultrafioletu, o tyle wzrok nie jest ich głównym zmysłem. Zamiast niego polegają przede wszystkim na zmyśle elektrycznym, podobnym nieco do tego, który posiadają rekiny czy płaszczki. Głównym sposobem rozróżniania kształtu czy otoczenia wydaje się dla nich być właśnie ten zmysł elektryczny...”

– Co ma pan na myśli, doktorze?

– Wydawało mi się to oczywiste, admirale. Glothr mogą być podatni na EMP.

– Sprawdź to – polecił admirał AI. Wracając do otwartego kanału z doktorem, zapytał: – W jaki sposób dostarczony?

– Wystarczająco silny strumień cząsteczkowy powinien załatwić sprawę.

– Okładamy ich strumieniami i atomówkami cały wieczór i nie ma to żadnego wpływu na ich działanie.

– Jeśli udałoby się przebić przez tarczę, podejść blisko, mogłoby się okazać coś zgoła innego.

Z AI zaczęły napływać dane.

– Proszę pozwolić mi to sprawdzić, doktorze. Odezwę się później.

VFA-31 „Impactors”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.29 TFT

Na pół godziny St. Clair wpadł w noc.

Jego przerażenie rosło w ciągu tych trzydziestu minut aż do momentu, w którym zaczął obawiać się, że serce mu eksploduje, a pot zalał oczy.

Widział jednak nadal dzięki wyświetlaczowi wewnętrznemu, lecz nie potrafił pozbyć się straszliwego strachu.

*Sam... sam w ciemnościach...*

Wydział psychologiczny „Ameryki” dokładnie go oczywiście sprawdził tuż po uratowaniu. On sam nie uważał nawet, że powinien być sprawdzany. Kiedy został trafiony podczas bitwy z Turuschami, stracił przytomność i odzyskał ją dopiero w izbie chorych „Ameryki”. To było... czternaście godzin temu.

Jednak coś musiało się stać, ponieważ teraz, gdy jego starblade po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin wypchnięty został w intergalaktyczną otchłań, St. Clair czuł niewypowiedziany strach.

Sprawdził, czy jego uszkodzony myśliwiec nadaje sygnał ratunkowy. Już raz został podjęty przez holownik SAR, może uda się po raz drugi. Jeśli nie, umrze tu w samotności, tysiące lat świetlnych od najbliższej gwiazdy.

Jego wektor niósł go poza czarny dysk Invictusa. Może go znajdą.

Coś odezwało się w jego głowie.

– Czekał – powiedział na głos. – Co to było?

AI sprawdziła dokładniej, wzmacniając sygnał. Nie było tego wiele, ale brzmiało jak inny sygnał ratowniczy, cichy szept dobiegający z powierzchni Invictusa.

Podczas bitew zawsze byli rozbitkowie. Widać jednemu udało się bezpiecznie dotrzeć do powierzchni.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.28 TFT

Na wyświetlaczu wewnętrznym Gray obserwował schematyczny obraz bitwy w strukturze pierścienia. Jeden z pilotów „Black Demons” meldował, że Glothr ponownie używają broni zakrzywiającej czas. Piachu wydał już rozkaz skoncentrowania ognia na tych dwóch urządzeniach, by spróbować wyłączyć je z boju.

Musiał założyć, że wysunięte jednostki będą w stanie to zrobić, by utworzyć korytarz dla nadciągających okrętów.

– „Nowy Jork” – powiedział – „Północna Kalifornia” i „Illinois”. Wy zostajecie na zewnątrz i zapewniacie osłonę. My wchodzimy.

W sieci rozległy się potwierdzenia.

Myślał nad „rewelacją” doktora Truitta. Uśmiechnął się lekko, wiedząc, że AI zaproponowała to samo kilka dni temu. Do tej pory Gray zastanawiał się, jak tego użyć... Aż do teraz.

EMP – impulsy elektromagnetyczne – były to przepięcia elektryczne, które mogły mieć pochodzenie naturalne, takie jak błyskawica, lub sztuczne, jak na przykład broń strumieniowa czy wybuch nuklearny. Efekt EMP znano od połowy dwudziestego wieku. Podczas eksperymentu w 1962 roku, znanego jako operacja Starfish Prime, bomba wodorowa o mocy jednej i czterech dziesiątych megatony zdetonowana została na wysokości czterystu kilometrów, w pobliżu Johnston Island. EMP pochodzący z wybuchu był znacznie silniejszy, niż się spodziewano, i zniszczył trzysta lamp ulicznych na Hawajach, prawie tysiąc pięćset kilometrów dalej, a także zakłócił rozmowy telefoniczne na wyspie. Wybuch wygenerował również bardzo jasne zorze. Przepływ elektronów niszczył niechroniony sprzęt elektryczny, stąd też współczesne systemy były bardzo dokładnie ekranowane. A na okrętach wojennych, które często używały głowic nuklearnych i strumieni cząsteczek, takie ekranowanie stanowiło coś absolutnie niezbędnego.

Trzeba było założyć, że Glothr także wiedzieli, jak chronić swoje jednostki przed EMP, skoro używali strumieni cząsteczkowych podobnie jak ludzie. A salwy wystrzeliwane dotychczas, choć skuteczne, nie wywoływały jakichś spektakularnych rezultatów.

Ale zgodnie z tym, co AI „Ameryki” kilka godzin temu przypomniała Grayowi, to wszystko była kwestia poziomu. Należało dostarczyć tarczom chroniącym Glothr wystarczający ładunek i powinno się udać przebić z monstrualnym EMP, takim, które nie tylko uszkodzi sprzęt, ale także będzie miało bezpośredni wpływ na obcych. Jeśli ich zmysł elektryczny był rzeczywiście analogiczny do ludzkiego wzroku, tak jak to sugerowały badania, to dostarczenie silnego EMP byłoby odpowiednikiem zaświecenia prosto w oczy bardzo silnym źródłem jaskrawego światła, lub nawet laserem.

Impuls Starfish Prime zniszczył obwody nawet w odległości tysiąca pięciuset kilometrów, ale Gray zakładał, że będą musieli podejść dużo bliżej, by przebić się przez tarcze Glothr. AI sugerowała, że jeśli to możliwe, powinni mieć parę ciężkich okrętów, najlepiej pancerników, tuż koło obwodów Glothr.

Fakt, że znajdowały się one głęboko w strukturze pierścienia, stanowił spore utrudnienie, jednak myśliwce, niszczyciele, fregaty i nacierający marines zdołali zniszczyć pozycje obronne przeciwnika w jaskini. Dwa zaginacze czasu kierowały się wprawdzie ku wylotowi, ale otrzymywały cios za ciosem.

Oba pancerniki miały po cztery wieże z działami elektronowymi, podczas gdy „Ameryka” posiadała tylko jedno. Wspólny ostrzał z prawie zerowej odległości powinien obezwładnić obronę magnetyczną Glothr i przepalić tarcze.

Na tym polegał pomysł.

– Kapitan Gutierrez – powiedział cicho Gray – proszę nas tam zabrać.

– Aye, aye, sir!

W jej głosie próżno by było szukać entuzjazmu.

USNS/HGF „Concord”  
Pierścień Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.31 TFT

– Uważaj na naszych – rzucił Dahlquist. – Nie chcę strzelać do własnej bramki.

– Jeśli cel eksploduje – ostrzegła Denise Ames – mogą być przypadkowe ofiary, sir.

– Wiem, ale musimy pomóc.

– Jeśli ograniczymy nasz ogień do pisków – odparła – powinniśmy być w stanie uszkodzić te maszyny, jednak nie doprowadzając do eksplozji uwalniającej osobliwości.

– Co z laserami?

– Niezbyt dobry pomysł, sir, bo kadłuby obcych lśnią jak lustro.

– Ames przywołała obraz obcego okrętu i wskazała kilka punktów. – Ale w tych miejscach poszycie wydaje się uszkodzone. Tarcze lokalne są osłabione.

– Świetnie. Celujemy w te miejsca. Wieża trzy. Ognia!

– Wystrzał z wieży trzy, sir.

Strumień spójnych protonów skoczył naprzód, odpalając do cylindra dryfującego powyżej śródkręca „Concorda”. Obcy byli oczywiście schowani za tarczą, która za pomocą pola magnetycznego ładowała się dodatnio lub ujemnie, w zależności od potrzeb. Mogli także wyemitować coś, co przypominało ludzką tarczę grawitacyjną, zdolną dosłownie zawinąć przestrzeń.

Jednak przy odległości mniejszej niż sto metrów strumień „Concorda” złapał obronę przeciwnika w kleszcze, skupiając się na małej plamie, gdzie przed chwilą uderzyły PK z myśliwca, a część energii zdołała się przebić przez pole magnetyczne. Niektóre z projektorów kadłuba wyparowały i część okrętu Glothr, która wcześniej była już osłabiona, pociemniała.

– Jeszcze raz! – krzyknął Dahlquist. – W to samo miejsce!

Lustrzany kadłub, wykonany z ultratwardego plastiku, pokrytego wysoce odbłaskowym filmem, poczerniał i wyparował z chmurą gorącej plazmy.

– Trafiony! – krzyknęła Ames. – Przepalony!

– Ta, pobawcie się teraz czasem, gnoje!

Znajdujący się w pobliżu marines widzieli, co stało się z jednostką Glothr, i zaczęli także zwracać broń w kierunku



kadłuba obcych, przyłączyły się do tego oddalone o kilka kilometrów niszczyciel i dwie fregaty.

Coś było jednak nie w porządku. Z rosnącym przerażeniem Dahlquist zaczynał zdawać sobie sprawę, że odległe jednostki USNA zaczynają się trząść, gwałtownie poruszać we wszystkich kierunkach.

Zaginacze czasu ponownie używały swojej broni, zwalniając czas dla „Concorda” i najbliższych marines, wciągając ich do strefy, w której upływ czasu był zdecydowanie wolniejszy niż dla okrętów na zewnątrz. Rozkład energii w czasie dla broni używanej w tym rejonie drastycznie spadał aż do momentu, gdy nie wyrządzała ona żadnej szkody.

Cholera, nie da uwolnić, będąc zamrożonym w czasie! Marines najwyraźniej borykali się z tym samym problemem, poruszając się w tę i z powrotem aż do chwili, gdy znieruchomieli.

– Ognia! – krzyczał komandor.

Ale upływały minuty, a on sam czuł się jak owad w smole.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.33 TFT

Gdy AI zameldowała, że myśliwiec ponownie działa, St. Clair był już bliski załamania. Przerażenie, samotność, koszmar strachu czyhającego na niego w ciemnościach prawie go przytłoczyły. Jednak w tym momencie napędy myśliwca zasygnalizowały sprawność i gotowość do użycia. Pierwszą myślą pilota było odpalić je, wykonać zwrot i dołączyć do swoich.

Jednak przypomniał sobie sygnał ratunkowy i zaczął zastanawiać się, do kogo mógł należeć. Był zbyt słaby, by dało się zidentyfikować nadawcę.

To nie miało znaczenia. Słyszał ludzki głos, należący do innego pilota grupy zadaniowej. Pilota, który znajdował się na powierzchni Invictusa i zamarzał na śmierć.

Przez chwilę St. Clair gnał w noc, starając się o tym po prostu nie myśleć, by w końcu wykonać ostry zwrot, ustawiając nos maszyny w kierunku krzywizny planety.

– AI – powiedział – nadal odbierasz ten sygnał?

Poczuł potwierdzenie komputera.

– Pokaż go.

Czerwony kursor zaczął migać na dysku planety, wskazując miejsce, skąd dobiegał sygnał.

St. Clair westchnął. Misje SAR nie znajdowały się w zakresie jego obowiązków, ale po prostu nie mógł zostawić nieznanego pilota na pewną śmierć.

Przyspieszył gwałtownie.

# Rozdział dwudziesty trzeci

**7 sierpnia 2425**

Connor

VFA-96 „Black Demons”

Powierzchnia Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.33 TFT

Starblade Connor ponownie zaczął przyspieszać, pomału, ale nieprzerwanie, jakby czas był płynącą rzeką, powolną przy brzegach i bardziej rwącą w środku, a myśliwiec przecinał prąd. Pole czasowe wydawało się oplatać maszynę obcych, ale mogło być także emitowane. Najwyraźniej nie mogli na szczęście emitować go we wszystkich kierunkach jednocześnie i gdy ich uwagę przykuwało co innego, myśliwiec Connor ponownie działał.

Pole czasowe było także nierówne. Gdy dziewczyna wyrwała się spod jego kontroli, zauważyła płat silnie uszkodzonego śródokręcia, dokładnie w miejscu, w które celowała PK.

Potrząsnęła głową. To nie był problem jej, tylko fizyków. Wszystko, co ją obchodziło w tej chwili, to fakt, że pole nie działało i zyskała idealne warunki do strzału.

Wypuściła strumień cząsteczek i wykonała unik, gdy okręt obcych zaczął otwierać się na całej długości, jakby ktoś rozsunął suwak. Kawałki maszyny poleciały w głąb jaskini. Wraz z nimi uwolniły się także osobliwości grawitacyjne, sztuczne anomalie odpowiedzialne za generowanie mocy, przyspieszanie i technologię zaginania czasu.

Meg nawet nie poczuła, kiedy osobliwość objęła jej starblade'a,

a dzikie fale grawitacyjne rozszarpały ją i myśliwiec.

USNS/HGF „Concord”  
Pierścień Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.33 TFT

Zaginacz czasu Glothr rozpadł się pod skoncentrowanym ogniem ze wszystkich stron, rozsiewając odłamki i koziółkując bezradnie. Dahlquist widział, jak wali w stalaktyty i stalagmity, urywając je. Kadłub uderzył w końcu w ścianę, uwolniły się trzy osobliwości, natychmiast pożerając plastikowy wrak i ludzkie myśliwce.

Komandor nigdy nie słyszał o bitwie kosmicznej prowadzonej w tak niewielkiej przestrzeni. „Concord” kontynuował ostrzał z wieżyczki, przenosząc ogień na drugi zaginacz, znajdujący się w odległości kilometra.

Marines roili się w pobliżu, niektórzy przywierali do zewnętrznego kadłuba „Concorda”.

– Zabierz nas stąd do diabła, Amsie – powiedział Dahlquist. – Zaczynam odczuwać klaustrofobię.

– Jasne, sir. Niech pan sobie wyobrazi, jak oni się czują.

Wskazała ruch na wyświetlaczu. Trzy okręty, ludzkie okręty, przechodziły teraz przez krater o średnicy dziesięciu kilometrów, a ich światła obrysowe jasno migały w ciemności. Pod tym kątem jedyne, co było widać, to ogromne kopuły ochronne, wszystkie podziurawione od intensywnego ostrzału. Użycie przyrządów optycznych pozwoliło odczytać zatarte i osmalone nazwy: „Nowy Jork”, „Północna Kalifornia” i „Ameryka”.

– Mogę powiedzieć, jak ja się czuję – powiedział Dahlquist. – Jakbym słyszał trąbki kawalerii gnającej z odsieczą.

Gregory

Zasilanie awaryjne było na wyczerpaniu, jednak Gregory zdecydował się pozostawić otwarty kanał wizualny. Nie podobał mu się pomysł samotnego umierania w ciemnościach.

Prawdę mówiąc, obecny widok niewiele zmieniał. Powierzchnia Invictusa była bezlitośnie płaska, pokryta kawałkami lodu o twardości bazaltu. Jednak nad horyzontem znajdowała się Galaktyka, bardzo delikatnie podświetlająca pustynny krajobraz. Wysoko widniał łuk pierścienia. Gregory nie dostrzegał żadnych oznak bitwy. Albo toczyła się za horyzontem, albo była zbyt odległa, by zobaczyć ją gołym okiem.

Trudno było przywyknąć do braku gwiazd. Mógł sobie po prostu wyobrazić, że to pochmurna noc, podczas której widać jedynie bardzo nieliczne ciała niebieskie.

Nagle...

Ruch...

Na początku wydawało mu się, że to tylko wyobraźnia płata figle, jednak później zobaczył coś czarnego jak smoła, poruszającego się na tle pierścienia. W jego głowie rozbrzmiał sygnał i pojawiła się tabliczka identyfikacyjna.

– Halo! – krzyknął. – Halo! Tu Demon Pięć! Demon Pięć wzywa pomocy! Pomocy!

– Widzę cię, Pięć – odparł głos, zniekształcony przez słabe zasilanie maszyny Dona. – Schodzę do podjęcia!

Tabliczka informowała, że głos należał do komandora porucznika St. Claira, dowódcy „Impactors”.

Teraz dawało się już dostrzec szczegóły starblade’a, który zniżał lot. Było to trochę jak czarny koc nakrywający Gregory’ego, otaczający go ciemnością. W komunikacji nastąpiła dłuższa przerwa.

– Cholera... – powiedział St. Clair.

Gregory poczuł paniczny strach.

– Co jest?

– Przymarzęś do gruntu! Nie mogę cię podnieść.

Należało się tego spodziewać. Nanotechnologia wydawała się na co dzień tak magiczna, tak wszechstronna, że łatwo było zapomnieć, iż posiada jednak pewne ograniczenia. Po utracie zasilania kadłub znieruchomiał, a ciepło uciekało z niego w temperaturze tylko o dwadzieścia stopni wyższej od zera bezwzględnego. Powłoka wewnętrzna, sąsiadująca z kokpitem, miała temperaturę minus stu stopni Celsjusza, zaś w środku myśliwca było około minus dziesięciu.

Gregory nie czuł, by było tak zimno. Jego kombinezon na jakiś czas zapewniał mu izolację i posiadał mikrosystem ogrzewający, który z całych sił starał się zapewnić komfortowe osiemnaście stopni, ale to nie mogło trwać w nieskończoność.

Drugi myśliwiec odleciał, ponownie odsłaniając Drogę Mleczną. Musiało być jakieś wyjście.

Zastanawiał się nad otwarciem kokpitu i wyjściem na zewnątrz, może udałoby mu się przetrwać kilka krytycznych sekund. Z desperacką nadzieją przeprowadzał obliczenia.

Nie. Przy tej różnicy temperatur i tempie wychładzania kombinezon chroniłby go przez dwie sekundy, może trzy, a potem system ogrzewania przestałby pracować, a środowisko wyssałoby z niego ciepło prawie natychmiast.

– Może holownik SAR mógłby cię wyciągnąć – rozległ się głos.

Gregory ponownie przeleciał wzrokiem po liczbach.

– W tempie, w jakim tu dzieją się sprawy – powiedział powoli – pozostało mi około pięciu minut. Czy jakiś holownik SAR jest w zasięgu trzech, czterech minut?

– Nie. Nie wystartowały nawet jeszcze. A przynajmniej nic o tym nie wiem. Nadal trwają walki wewnątrz pierścienia.

Holowniki SAR były nieuzbrojone i standardowa procedura nakazywała im pozostawanie na pokładzie lotniskowca do zakończenia bitwy.

– Nie mamy zbyt wielu opcji.

– Nie. – Drugi pilot był wyraźnie sfrustrowany. – Musi coś być.

– No cóż, jeśli nie zapewnisz mi wielkiego ognia...

Powiedziane to zostało jako żart, ale St. Clair chwycił się tej myśli.

– Mogę użyć lasera! Minimalna moc, i rysować koła wokół ciebie tak blisko, jak się da. Wchodzisz w to?

Żadne liczby tego nie opisywały, a Gregory wiedział tylko, że staje się piekielnie zimno.

– Taaa. Dawaj.

Drugi starblade uniósł się, przyjmując konfigurację bojową wydłużonej czarnej kropli.

Gregory wyłączył optykę. Nie chciał oglądać, jak inny myśliwiec odparowuje zamrożoną powierzchnię planety tuż obok niego.

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.36 TFT

– Cel: obszar na ścianie za okrętami Straży Kosmicznej – rozkazał Gray. – Uwaga na naszych!

– Nasi ludzie kręcą się tu wszędzie – odparła Taggart. – Czy możemy kazać im się stąd wynosić?

– Pułkownikowi Jamison? – spytał Gray. – Co pan o tym sądzi?

Pułkownik był na tym samym kanale.

– Wydałem już rozkazy, ale system dowodzenia zawodzi.

System dowodzenia, obejmujący samo dowodzenie, a także łączność i kontrolę, był absolutnie niezbędny podczas każdej bitwy. W jego doskonalenie włożone zostały nieprawdopodobne ilości nowych technologii, jednak czynnik ludzki nadal czasem zawodził. Ludzie podczas walki kierowali się emocjami, byli wystraszeni, chcieli chronić przyjaciół i nie słuchali rozkazów albo je ignorowali.

– Nie możemy dłużej czekać – powiedział cicho Gray. – Wszystkie jednostki ognia!

Strumienie elektronów wystrzeliły z trzech okrętów głównych i skupiły się w jednym punkcie za i pomiędzy jednostkami Straży Kosmicznej. Utworzyła się tam czarna kropla, zagotowała i wyparowała.

Strumienie, kierowane analizami pokładowych AI, przebiły się do sieci elektrycznej Glothr.

Gray usiadł na fotelu dowódczym i z narastającą grozą oglądał atak na wewnętrznym wyświetlaczu. Bitwy kosmiczne toczono były w... kosmosie, w otwartej przestrzeni, a przeciwników dzieliły tysiące, dziesiątki tysięcy kilometrów. Dowódca okrętu lub grupy zadaniowej mógł nawet nie widzieć na własne oczy jednostek podczas walki, polegając na komputerowej symulacji. Tu trzy okręty główne, każdy mający kilometr długości, wciśnięte w strukturę pierścienia uwalniały energię porównywalną z bombardowaniem planetarnym, znajdując się w przestrzeni o średnicy mniejszej niż pięć kilometrów. „Ameryka” obróciła się lekko, by wprowadzić do walki swoje pojedyncze działo elektronowe. Dwa pancerniki miały węższe, głębsze kopuły wyglądające jak pociski, zaś wieżyczki uzbrojenia mogły wysuwać się poza ich obrys.

W atmosferze strumień elektronów wyglądałby jak prosta błyskawica, którą w istocie był. W próżni strumienie były niewidzialne, jednak AI barwiła je dla informacji. Skupiły się w niemożliwie jasnym punkcie, topiąc plastikowe ściany i oświetlając otaczającą przestrzeń.

Impulsy elektromagnetyczne przenoszone mogły być na cztery sposoby: przez pole elektryczne, pole magnetyczne, przez promieniowanie elektromagnetyczne i bezpośrednio przewodnictwo elektryczne. Łącząc pierwsze trzy sposoby, strumienie elektronów stanowiły intensywne źródło promieniowania i przenoszenia pola elektromagnetycznego. Gdy trafiony został elektryczny system Glothr i przytłoczona ich obrona, wygenerowano również czwarty sposób: wyindukowany EMP wbijał się w strukturę obcych z prędkością dwóch trzecich c.

Zewnętrzne powierzchnie pierścienia były odporne na tego



rodzaju atak, przy pierwszym dotknięciu strumienia elektronów tarcze ładowały się ujemnie i odbijały atak.

Invictus nie był jednak obiektem agresji przez wiele milionów lat, a bez słońca jego mieszkańcy nie musieli obawiać się naturalnych efektów elektrycznych lub plazmowych, które mogłyby zniszczyć ich sprzęt. Jednym słowem, pomimo swojego zaawansowania technologicznego, nie posiadali żadnej realnej obrony przeciwko EMP generowanemu od wewnątrz.

Obwody przepaliły się. Jednocześnie systemy używające światłowodów zostały przeładowane danymi i także przestały działać. A najgorsze było to, że poszczególni Glothr doświadczyli bezpośredniego ataku na ich podstawowy zmysł.

Gray mógł sobie tylko wyobrazić, co w tym momencie stało się udziałem populacji Glothr.

Miał nadzieję, że wystarczyło to, by przekonać ich do zawieszenia broni. Na tym, bądź co bądź, polegała cała idea walki – kopnąć przeciwnika w krocze tak mocno, by uznał, że nie warto dalej się bić.

Dużo trudniej było jednak, gdy nie wiedziało się, czy przeciwnik w ogóle ma krocze i co oznaczał dla niego wymierzony tam kopniak.

VFA-31 „Impactors”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.36 TFT

St. Clair zawisł sto metrów ponad zamarznąłą powierzchnią Invictusa, kierując główny laser myśliwca wokół pozostałości maszyny Gregory’ego. Para unosiła się gęstymi kłębami, co tworzyło nieprzewidziany problem, ponieważ niemal natychmiast ponownie zamarzała i spadała w postaci kryształków lodu, a te rozpraszały promienie lasera.

Przerwał więc ogień, zawisł na wirnikach, próbując oddać czysty strzał. Jego laser wycinał okop dookoła uszkodzonego

myśliwca i obszar po obu stronach rowu był wyraźnie cieplejszy od reszty otoczenia.

Trudno było jednak określić, czy to cokolwiek dawało.

– Jaki masz odczyt temperatury, Gregory?

– Minus dziewiętnaście bezpośrednio pod kadłubem, sir... Ale nie jestem pewien, czy jest prawidłowy. Macierz zamarzyła całkiem solidnie i czujniki mogą pokazywać, co chcą.

– W porządku. Mam zamiar... – St. Clair przerwał w połowie zdania. – Kurwa!

– Co się dzieje? – spytał Gregory.

Tuzin wydłużonych srebrnych kształtów otoczył myśliwiec St. Claira.

– Obawiam się – powiedział – że mamy towarzystwo.

1/4 Marines

4 Pułkowa Grupa Szturmowa, 1 DM

Przestrzeń Invictusa, T+12 ML

Godzina 17.37 TFT

Major Harrison Smith uderzył kapsułą w czarną ścianę wnętrza pierścienia obcych i kliknął ikonę wejścia. Nanomacierz przedniej części kadłuba przylgnęła do powierzchni i uwolniła pakiet nano-D, rozkładaczy wielkości cząsteczek, które rozpoczęły rozbieranie ściany atom po atomie w nieprawdopodobnym tempie. Instrumenty pojazdu oficera zarejestrowały włamanie, a następnie dokonały analizy atmosfery po drugiej stronie: azot, wodór, metan, ślady amoniaku, ciśnienie trzy atmosfery, temperatura minus cztery stopnie Celsjusza. To odpowiadało danym z okrętu Glothr z Układu Słonecznego i musiało zgadzać się z naturalnym środowiskiem.

Majorzy zwykle nie prowadzą osobiście bezpośredniego ataku, jednak ten przypadek był wyjątkowy i z minuty na minutę stawał się taki coraz bardziej. Straty były ekstremalnie wysokie.

Zamiast udawać, że wie, co się dzieje, Smith wybrał przebicie się do wnętrza tego czegoś, żeby zabrać jak najwięcej marines i sprawdzić, czy uda się dotrzeć do ludzi, którzy byli tam najprawdopodobniej przetrzymywani.

Trójwymiarowy schemat wyświetlony w jego głowie ukazywał innych marines dostających się do wnętrza. Podniósł ciśnienie w kapsule, otworzył uszczelnienie oddzielające go od struktury Glothr, włączył dowódczy nadajnik lokalizacyjny i zrobił krok naprzód.

Gregory

VFA-96 „Black Demons”

Powierzchnia Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.35 TFT

– Co robią? – spytał Gregory. Próbował uruchomić ponownie wizję, ale mu się nie udało. Albo ze względu na zimno, albo z powodu uszkodzenia czegoś ważnego, spowodowanego szybkimi zmianami temperatury.

– N-nic – odparł St. Clair. – Jak na razie tylko patrzą.

– Może w ogóle nie są żołnierzami. Może to jakiś rodzaj zwiadowców?

– Może. Raporty, które widziałem jakiś czas temu, mówiły, że wewnątrz pierścienia zawzięcie walczyły.

Gregory zastanawiał się, jak ocenić intencje zupełnie obcych istot. Naturalnie były to roboty, a nie żywe stworzenia, jednak zaprogramowane zostały według systemu wartości Glothr. Czego chciały?

– Ruszają się... no, troszeczkę – relacjonował St. Clair. – Teraz się cofnęły o jakieś dwa, trzy metry.

– Nadal tylko patrzą?

– Tak. Myślę, że powinniśmy kontynuować. Nie zaatakowały nas, ale także nie wykazały chęci jakiegokolwiek pomocy.

– Czekaj, mam pomysł.

- Jaki?
- Otworzę mój kokpit i stanę. Bądź gotów mnie przechwycić.
- Czekaj! Wydaje mi się, że mówiłeś, że masz tylko kilka sekund. Nie zrobię tego tak szybko, a nawet jeśli się uda, ryzykujesz hipotermią i odmrożeniem kończyn.
- Obliczenia prowadziłem, opierając się na temperaturze gruntu.
- I co?
- Mam zamiar stanąć na kokpicie, który nie jest jeszcze taki zimny. I będę w próżni.
- Ajjjj...

Gdy Gregory wcześniej wyliczał szanse, robił to w oparciu o utratę ciepła przez całego starblade'a, który pozostawał w kontakcie z powierzchnią. Zapomniał o tym, że kokpit sam w sobie jest pewną izolacją, a najlepszym izolatorem termicznym jest próżnia. Trudno było dokonać dokładnych obliczeń, jednak wyglądało na to, że miał nieco więcej czasu, może nawet osiem sekund, zanim zamarznie.

Chciał zaryzykować.

- Co robią nasi przyjaciele? – spytał.
- Nic. Tylko patrzą. Trochę gra mi to na nerwach.
- Rozumiem. Zniż się nieco i powiedz, jeśli coś się zmieni.
- W porządku. Jestem dziesięć metrów nad tobą. Obcy towarzyszą mi cały czas, ale nadal wiszą tylko dookoła mnie. Jakby, no, nie wiem. Czekali na rozkazy.

To była bardzo denerwująca informacja. Mając przed sobą kilka minut życia, Gregory uznał, że musi coś zrobić.

Kliknął ikonę otwierającą kokpit.

Pokrywa eksplodowała.

1/4 Marines  
4 Pułkowa Grupa Szturmowa, 1 DM  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 17.38 TFT

Zgodnie ze skanami w podczerwieni w strukturze znajdowało się kilka niewielkich obszarów o wyższej temperaturze. Większość związana była zapewne z wymianą ciepłą, jednak jeden, zauważony przez wydział rozpoznania „Ameryki” i zanalizowany przez AI, wyglądał jak miejsce przetrzymywania ludzi. Odczyty temperatury wskazywały, że jest tam trzydzieści siedem stopni Celsjusza.

Major Smith upadł na podłogę, zaskoczony nagłą obecnością grawitacji. Mówiono mu, że na pokładzie Charlie Jeden funkcjonuje sztuczne ciężenie, jednak nie spodziewał się aż tak silnego. Kombinezon informował go, że wynosi jeden i osiem dziesiątych g, a co interesujące, nie przenosi się na zewnątrz. Może był to efekt małego zasięgu pola, tak jak przy zakłóceniach czasu.

Tak czy inaczej, ludzkość mogła się od tych istot sporo nauczyć. Jeśli uda się je zmusić, by zaczęły rozmawiać.

Oficer uruchomił funkcję egzozkieletu w kombinezonie, pozwalającą mu normalnie chodzić pomimo zwiększonej grawitacji. Włączył także zewnętrzne lampy. Korytarze były tu zupełnie ciemne.

Kilka sekund później ukazała się grupa uzbrojonych i opancerzonych marines, przywołanych sygnałem włączonego chwilę wcześniej nadajnika.

– Tędy! – rozkazał.

– Ooh-rah!

Przebiegli wskazany korytarz, skręcili i znaleźli się twarzą w twarz z jednym z robotów Glothr. Wisiał w powietrzu i patrzył na nich.

Jednak nie wydawało się, by ich widział.

– Co pan myśli, majorze? – spytał sierżant Vince Semmler. Wyciągnął rękę i pchnął wiszącą maszynę, która zaczęła dryfować wzdłuż korytarza. – Usmażony przez EMP?

– Na to wygląda. Albo nie dostaje poleceń od swoich kontrolerów.

– Nie wiem – włączył się sierżant sztabowy Razewski. – Gdyby miał usmażone obwody, nie mógłby latać, prawda?

– A pieprzyć to – odparł Semmler. – Zostawmy go i chodźmy.

Sprawdzili drogę pięćdziesiąt metrów w lewo, w prawo i na wprost, dochodząc w końcu do solidnej grodzi.

– Razewski! – rzucił Smith. – Użyj włamywacza.

– Aye, aye, panie majorze.

Włamywacz był to gumowy dysk o średnicy dwóch metrów, przyklejany do grodzi. Pakiet nano-D na krawędziach szybko przegryzł się przez ścianę, pozostawiając środek nietknięty. Gwałtowne szarpnięcie za gumę wyciągnęło cały fragment grodzi.

– Jest przejście, sir – oznajmił Razewski.

– Naprzód – powiedział Smith i pierwszy marine przeszedł przez otwór.

Gregory

VFA-96 „Black Demons”

Powierzchnia Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.38 TFT

Zewnętrzna powłoka kadłuba myśliwca została nadzwyczajnie wychłodzona przez powierzchnię Invictusa i sprowadzona pięćdziesiąt pięć stopni poniżej temperatury skraplania azotu. Gdy kokpit otworzył się, jego pokrywa rozpadła się na drobne kawałki.

Gregory widział kiedyś demonstrację – blok drewna schłodzony do temperatury skraplania azotu upuszczono na twardą powierzchnię. Kaskada zamrożonych cząsteczek rozpryskująca się jak stłuczone szkło przypominała to, co stało się z pokrywą. Ostrzeżony o grozie zwodniczo cichego otoczenia Gregory powstał.

Czuł, jak w próżni strój pokładowy, mogący służyć jako kombinezon środowiskowy, sztywnieje na nim, czuł, jak sączy się zimno.

Oczywiście było to niemożliwe. To ciepło wypływało z ciała, a

nie zimno się sączyło, ale takie były odczucia pilota. Nie czuł już stóp, a nogi zaczynały mu płonąć.

Czuł się dziwnie spokojny pomimo bólu, pomimo uświadomienia sobie, że być może popełnił właśnie ogromny błąd, ostatni w życiu. Krajobraz był pogodny, ciemny i cichy. Łatwo byłoby zejść z wraku starblade'a na tę płaską lodową powierzchnię. Wiedział także, że byłby to krok śmiertelny.

Czuł się ciężki. Grawitacja planety oddziaływała niemal dwukrotnie mocniej niż w domu. Zdołał jednak wstać i wyciągnąć w górę ramiona.

Myśliwiec St. Claira opadł na niego jak koc, otoczony przez obce roboty. Ciemność zamknęła się nad mężczyzną, otuliła go.

Gregory wrzasnął z bólu.

1/4 Marines

4 Pułkowa Grupa Szturmowa, 1 DM

Przeźreń Invictusa, T+12 mln

Godzina 17.38 TFT

Smith przeszedł przez otwór zaraz za pierwszymi marines.

Komora była klaustrofobicznie mała i zdominowana przez masywne podpory oraz czarne cienie, które drgnęły, gdy marines weszli do środka i zaczęli ruszać lampami.

Wewnątrz znajdowało się siedem kapsuł, a w każdej z nich przebywał człowiek.

– Zasilanie nie działa – zameldował Semmler. – EMP wyłączył wszystko. Musimy zabierać tych ludzi natychmiast.

– Działać!

Atmosfera w pomieszczeniu była trująca, a dodatnia temperatura utrzymywana jedynie przez ciepło wydostające się z kapsuł. Kobiety i mężczyźni wydawali się przytomni i świadomi obecności marines, których światła przesuwali się po nich.

Smith zastanawiał się nad sposobem wydostania ich poza

pierścieni. Wyglądało na to, że nie posiadali kombinezonów środowiskowych, a to oznaczało, że musieli być transportowani w kapsułach ratunkowych, będących w uproszczeniu nanolaminatowymi balonami, mieszczącymi jednego człowieka i zapas powietrza na około godzinę. W pomieszczeniu wypełnionym trującą mieszaniną gazów transfer był ekstremalnie trudny.

Na szczęście kapsuły podtrzymujące życie wydawały się przystosowane do transportu. Płytki naciskowe pozwoliły uwolnić każdą z nich od podstawy bez rozszczelnienia. Przy prawie dwukrotnej grawitacji ważyły dużo, prawie dwieście kilo, dało się je jednak toczyć, a następnie przenieść przez uszczelnienie.

Były za duże, by umieścić je w MAPP-2, ale Smith wezwał już pomoc i holownik SAR czekał na zewnątrz, wycinając w ścianie otwór, przez który marines mogli podać cylindry.

Co było najdziwniejsze, marines otrzymali wsparcie. W pewnej chwili pojawiła się grupa robotów i zaczęła pomagać przy transporcie cylindrów. Nic nie mówiły i ignorowały ludzi.

Jednak bez ich pomocy ewakuacja trwałaby znacznie dłużej.

O co chodziło?

Na zewnątrz bitwa najwyraźniej się skończyła.



# Rozdział dwudziesty czwarty

**8 sierpnia 2425**

Gray

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 10.15 TFT

Lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” orbitował wokół czarnej planety, tuż przy jej sztucznym pierścieniu. Na jego pokładzie toczyły się negocjacje pokojowe.

Gray miał nadzieję, że pokój znaczył to samo dla Glothr-Rodu, jak sami siebie nazywali, co dla ludzi.

– Roimy się wspólnie – zaczął obcy, a drgania jego pola elektrycznego przetłumaczone zostały przez AI „Ameryki” i rozesłane przez setki linków. Glothr dryfowali w swoim naturalnym środowisku, czarnym oceanie gdzieś głęboko pod powierzchnią niedostępnego Invictusa.

– Roimy się wspólnie – odparł doktor Lawrence Rand.

Gray i Rand znajdowali się na pokładzie „Ameryki”, w pokoju odpraw, w obecności setek oficerów i członków załogi. Gray siedział nieco z boku podwyższenia, zaś Rand stał przed ekranem ukazującym widok nadawany przez robota pierwszego kontaktu PiKo, nazwanego Pepper. Grayowi i pozostałym zgromadzonym wydawało się, że Rand stoi twarzą w twarz z jednym z Glothr – przezroczystą, szaroniebieską formą, przypominającą nieco przerośniętą meduzę, której macki poruszały się łagodnie w prądach wody.

– Uznajemy cię – kontynuował obcy – jako przywódcę roju.

– Co? – spytał Gray Randa na prywatnym kanale. – Co to dokładnie znaczy? Czy to poddanie się?

– Nie jestem pewien, admirale – na tym samym kanale odparł Rand. – Wiemy, że są organizmami kolonialnymi, więc każdy członek kolonii posiada własne zadanie, własną powinność wobec całości. Rój postrzegają w ten sam sposób. Lider roju przewodzi, ale to nie jest stałe.

– W jaki sposób?

– Liderem zostaje każdy osobnik, który znajdzie się we właściwym miejscu i czasie, i chce się podjąć zadania. Dzisiejszy przywódca jutro jest nikim. Nie dbają o rangę czy status. Obchodzi ich tylko, aby robota została wykonana.

– Nie wiem, jak to może funkcjonować.

– Szczerze mówiąc, admirale, ja także. Jednak oni działają tak od milionów lat.

– Prawda – powiedział Gray. – Jaka była ich reakcja na EMP?

– Powiedziano mi, że sparaliżowało ich to na pięć do dziesięciu sekund. Tak jak nas jaskrawe światło. No i zresetowało roboty.

– No, nie dokładnie zresetowało – odparł Gray, ale nie zagłębiał się w szczegóły.

Glothr najwidoczniej mieli swoją wersję zaawansowanej AI, takiej jak Konstantin na Ziemi. Najwyraźniej pracowała ona w cieniu, jednak tak jak i Glothr mogła wkroczyć i w razie konieczności objąć rolę przywódczą. Gdy miliony Glothr na pierścieniu zostały sparaliżowane przez EMP, AI Rodu ujawniła się, oceniła sytuację i zdecydowała, nieco arbitralnie, że współpraca z ludźmi daje Invictusowi większe szanse przetrwania.

Gray myślał o tym raporcie, odkąd tylko został dostarczony przez rozpoznanie. Zastanawiał się, jak bardzo cywilizacja ludzka zależała od oceny i zdolności decyzyjnych sztucznych inteligencji?

Tymczasem lider Glothr – ich organiczny lider – nadal mówił. Wzory luminescencji migwały i zmieniały się w jego ciele, jednak Gray wiedział już, że nie był to jego język, a przynajmniej nie całkowicie. Zgodnie z tym, co twierdził zespół kseno, układ

świateł wyrażał emocje, podkreślając i wzmacniając główny przekaz, który dostarczany był za pomocą pola elektrycznego.

– Niezwykle ważne jest – mówił przekład – abyśmy się czegoś o was dowiedzieli.

– O co chodzi? – spytał Rand. Jego słowa, przetłumaczone przez AI „Ameryki” na impulsy elektryczne Glothr, emitowane były przez robota pierwszego kontaktu w podlodowym oceanie. Choć obecnie Pepper nosił ciało, które bardziej przypominało rybę czy łódź podwodną niż człowieka, nazwany został na cześć prototypu robota z dwudziestego pierwszego wieku, który nawiązywał kontakt wzrokowy, żartował i analizował reakcje ludzkiego otoczenia, by wchodzić z nim w interakcje. W pewnym sensie oryginalny Pepper był najwcześniejszym robotem pierwszego kontaktu.

Wydawało się, że obcy dawno temu zmienili genetycznie swoją fizjologię tak, aby mogli funkcjonować zarówno w oceanie, jak i poza nim. Ludzcy ksenosofontolodzy nie mogli się doczekać, kiedy będą mogli porozmawiać z obcymi o ich historii i dowiedzieć się czegoś o Zhaotal Um z zamierzchłej przeszłości.

Wcześniej trzeba było jednak ustanowić z nimi solidny pokój.

Mówiący Glothr zawahał się chwilę, zanim przemówił.

– Musimy się dowiedzieć – powiedział w końcu – czemu odrzucacie dar przynależności?

– Cholera – cicho powiedział Rand. – Znowu to.

– O co chodzi?

– Gdy byliśmy więźniami, to było jedyne, o co nas pytali po tysiąc razy. A my mówiliśmy im o ludziach i o tym, jak kochamy wolność i indywidualność oraz samostanowienie, czego oni najwidoczniej nie mogli zrozumieć.

Gray pomyślał przez moment.

– Proszę im powiedzieć, doktorze, że odrzucamy dar dla dobra społeczeństwa.

Gdy Pepper przetłumaczył te słowa, wszyscy zgromadzeni Glothr zeszywnieli jak smagnięci nagłym impulsem. W chwilę później zamigotały zielone, niebieskie i żółte światełka, a macki zaczęły drzeć i skręcać się spazmatycznie.

Na ekranie pokazała się linia tekstu przedstawiająca analizę PiKo tego, czego był świadkiem: „Obiekty dyskutują nad ostatnim stwierdzeniem. Zaskoczenie, brak zgody, konfuzja”.

– Nie rozumiemy – powiedział w końcu przywódca.

– Proszę im powiedzieć...

– Hmm... – Rand zszedł z podwyższenia, kręcąc głową. – Proszę przejąć kanał, admirale. Nie wiem, dokąd pan zmierza.

*Myślisz, że ja wiem?* – pomyślał Gray, ale nic nie powiedział. Pojawił się nowy kanał, link łączący admirała i PiKo.

– Nie zauważą, że mówca się zmienił – dodał Rand.

– Rozumiem.

Gray otworzył kanał nadawania.

– Nasze rozumienie wszechświata opiera się na różnych punktach widzenia, na różnych sposobach robienia rzeczy, różnych ideach. Gdybyśmy byli wszyscy zamknięci w jednej filozofii, jednym sposobie postrzegania problemów, nie mielibyśmy takiej elastyczności przy ich rozwiązywaniu.

Nastąpiła długa cisza.

W końcu na ciele lidera zapłonęło ciągłe niebieskie światło.

– Teraz rozumiemy.

– Może wy nam teraz powiecie, czemu Sh'daar nalegają, abyśmy poświęcili swoją wolność?

– Bo przeciwnikowi musimy stawić czoła jako rój. Roimy się wspólnie.

Gray westchnął ciężko.

– Jakiemu przeciwnikowi?

– Bogom...

W ludzkiej świadomości pojawiły się strumienie danych, przetłumaczonych przez AI podłączone do sieci informacyjnej Glothr. W tej kaskadzie, w zakodowanym pliku, umieszczona była historia sojuszu Sh'daar, począwszy od transcendencji, *Schjaa Hok*, potężnych ur-Sh'daar prawie dziewięćset milionów lat wcześniej.

Sojusz był, tak jak przypuszczali ludzie, imperium rozciągającym się zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, obejmującym prawie miliard lat i populacje setek miliardów

istnień reprezentujących miliony inteligentnych gatunków. Na jednym końcu transtemporalnej unii znajdowali się Outsiderzy z Chmury N'gai, małej, nieregularnej galaktyki pożartej przez Drogę Mleczną w czasach, gdy na Ziemi królowały jednokomórkowce. Outsiderzy, pochodzący od starożytnych ur-Sh'daar, odmówili transcendencji i stali się sojuszem Sh'daar.

Na drugim końcu znajdowała się grupa gatunków technicznych, między nimi Glothr, uciekających z Drogi Mlecznej w poszukiwaniu schronienia gdziekolwiek: w Andromedzie, Obłoku Magellana, Smoku...

Cywilizacja – inteligentne życie w całej Drodze Mlecznej – wyglądała na zniszczoną.

Gray zastanawiał się, co się stało.

Dane nadal napływały do jego mózgu, otwierając kolejne obrazy. Gray widział Galaktykę z zewnątrz, znad jej płaszczyzny, prawdopodobnie z tego samego rejonu, w którym obecnie znajdował się Invictus. Galaktyka wydawała się... kompletna, perfekcyjna, rozległa, błyszcząca czterystoma miliardami gwiazd. Była to młoda galaktyka, zdrowa, a jej potężne chmury pyłu i wodoru co roku dawały życie nowym gwiazdom i planetom.

– Tak wyglądała za twoich czasów – rozległ się w jego głowie głos. – Ale gdy się przesuniemy...

Obraz zmienił się.

Z ogromną intensywnością i kompletnością rozpoczęła się transformacja. Matematyczna perfekcja spiralnych ramion została złamana, miliard gwiazd zniknęło, ich blask wyblakł i był tylko ułamkiem tego, co emitowały wcześniej. Chmury pyłu zostały pożarte. W jakiś sposób Galaktyka stała się nędznym echem samej siebie.

Na jej jądrze usadowił się potężny cień, zakrzywiający się, gładkokrawędziowy, półprzezroczysty i złoty w środku. Gray miał kłopoty z rozpoznaniem. Nie, nie z rozpoznaniem, lecz nadaniem właściwego znaczenia temu, co oglądał. To wyglądało jak ogromna, mętna sfera zrzucona na centralne rejony Galaktyki albo jak bąbel o średnicy kilku tysięcy lat świetlnych.

Rozpoczęło się zamieszanie, gdy inni zobaczyli to samo. Wszyscy w pomieszczeniu, prawdopodobnie w całej grupie zadaniowej, widzieli tę samą transmisję.

– Mój Boże na niebiosach – rozległ się przepełniony emocjami głos doktora Truitta. – To galaktyczna sfera Dysona.

Oczywiście.

Gray wiedział, czym była sfera Dysona. Opisany w połowie dwudziestego wieku przez Freemana Dysona koncept zakładał, że odpowiednio zaawansowane technologicznie gatunki mogą chcieć uwięzić każdy erg energii, generowanej przez gwiazdę. To mogło zostać osiągnięte albo przez budowę sfery całkowicie zamykającej słońce, skonstruowanej z jednej lub kilku rozebranych planet, lub też – co było bardziej prawdopodobne – przez otoczenie gwiazdy gęstą chmurą kolektorów słonecznych.

Koncept połączony był z klasyfikacją Kardaszewa, definiującą poziom rozwoju technologicznego cywilizacji. Według tej definicji cywilizacja drugiego typu zużywać będzie wszystko, co wyprodukuje jej gwiazda, prawdopodobnie dzięki sferze Dysona, podczas gdy pierwszemu typowi wystarczą będą tylko zasoby jego planety.

Jednak cywilizacja trzeciego typu potrzebować miała produkcji energetycznej całej galaktyki.

Gray zastanawiał się, czy to właśnie w tym momencie oglądał. Droga Mleczna transformowana przez cywilizację będącą w stanie uwięzić energię czterystu miliardów gwiazd?

Cywilizację zdolną zniszczyć całą Galaktykę?

– Kiedy... kiedy to się dzieje? – spytał.

– Zaczęło się w epoce, w której się pojawiliście – odparł głos.

– Ale widzieliśmy Drogę Mleczną i nie wyglądała tak.

– Ponieważ widzicie światło, które rozpoczęło swoją podróż mniej więcej czterdzieści tysięcy lat wcześniej. Tak czy inaczej, pierwsze wyraźne zmiany zaczęły być widoczne po milionie lat. Galaktyka jest dość duża, nawet z punktu widzenia bogów.

*Weź pod uwagę cywilizację techniczną przybywającą spoza wszechświata, cywilizację, która ewoluowała w jednej z rzeczywistości nieskończonego multiświata, a teraz włączyła się*

*do tej rzeczywistości i zaczęła transformować Galaktykę pod swoje potrzeby. Taka cywilizacja może być zaangażowana w proces podobny do terraformingu, jednak obejmujący całkowitą utylizację całej galaktyki, a nie pojedynczego świata.*

Myśl ta, uświadomił sobie Gray, pochodziła nie od Glothr, lecz od AI „Ameryki”.

– Po co miałyby to robić? – spytał.

*Prawdopodobnie rodzimy wszechświat cywilizacji jest dużo dalej na ścieżce entropii niż nasz. Jej wszechświat stygnie, wygasa, zmierza ku nieodwracalnej i ostatecznej śmierci ciepła, zaś cywilizacja szuka miejsca ucieczki i nieśmiertelności. Być może mają po prostu moc, by pożreć całą galaktykę, ale nie mogą zachować zapasów. Mogą być tak zaawansowani, że nie uznają nas za rozumnych, i po prostu pochłaniają zapasy z sąsiedniego wszechświata.*

– Mówimy o Obcych z Rozety, prawda?

*Prawdopodobnie. Na razie jest jeszcze zbyt wiele niewiadomych, by poprawnie to ocenić.*

– W porządku. Co z tym zrobimy? Co możemy zrobić?

*Jest jeszcze zbyt wiele niewiadomych, by poprawnie to ocenić.*

– Sh'daar starali się cały czas powstrzymać tę inwazję, prawda?

*Nie cały czas. Ale z całą pewnością od momentu, w którym zidentyfikowali problem.*

– Wygląda na to, że będziemy musieli im pomóc.

Gregory

Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”

Przestrzeń Invictusa, T+12 mln

Godzina 10.35 TFT

W grupie zadaniowej było kilka osób, które nie słuchały rozmowy z Glothr ani nie oglądały historii Drogi Mlecznej. Jedną z nich był porucznik Donald Gregory.

Znajdował się w izbie chorych „Ameryki”, świeżo wybudzony z farmakologicznej śpiączki, podczas której jego nogi zostały amputowane powyżej kolan. Był w tej chwili elektronicznie znieczulony i zapewniono go, że komórki odbudowujące już intensywnie pracują, nogi odrastają i za kilka tygodni powinien mieć zupełnie nową parę. Oczywiście, będzie się musiał ponownie nauczyć chodzić, ale to był stosunkowo mały problem dla fizykoterapeutów i oprogramowania. W ciągu miesiąca wszystko powinno wrócić do normy.

Marzył, żeby to była prawda.

Jego pierwsze pytanie po przebudzeniu brzmiało:

– Porucznik Connor. Moja koleżanka z eskadry. Mogę z nią rozmawiać?

Wtedy medyk sprawdził listę i łagodnie powiedział mu, że Meg Connor nie żyje. Bezsens tego był porażający. Została zabita przez odłamki ze zniszczonego zginacza czasu i uwolnioną osobliwość. Przypadkowo i brutalnie. Taka była wojna.

Gregory żałował, że nie został na zamrożonej powierzchni Invictusa.

Komandor porucznik Dahlquist  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 15.10 TFT

Dahlquista nie było fizycznie w biurze Graya na pokładzie „Ameryki”. Przebywał na „Concordzie”, na orbicie poza pierścieniem Invictusa, i poprosił o elektroniczne spotkanie, by zrzucić z piersi ciężar szpiegowania.

Czuł, że jest prymowi winien chociaż tyle, nawet jeśli miałyby to oznaczać koniec jego własnej kariery.

– Wydaje mi się – powiedział cicho Gray w odpowiedzi na wyznanie Dahlquista – że odpowiedni cytat brzmi „publikuj i bądź przeklęty”.



– Kto to powiedział? – spytał komandor.

– Arthur Wellesley, książę Wellington.

Dahlquist nie wiedział, kim był książę Wellington, ale znał zamiłowanie Graya do historii.

– Tak więc... moim zamiarem nie jest... „opublikowanie” niczego – powiedział. – Zmieniłem zdanie.

– Powiedział pan to, gdy prosił o rozmowę. Czemu się pan rozmyślił?

– Ja... no cóż...

– Wiem, że nie dba pan o mnie – powiedział Gray, a jego twarz przybrała zacięty wyraz. – Jak większość riste.

– To nie tak.

– Nie tak?

– No, może trochę. Wydawało mi się, że nie ma pan kwalifikacji na ten stopień. Myślałem, że skandal z panem i jedną z oficer...

– Że zostanę zdegradowany do porucznika?

– Nie, na pewno nie.

– Że posadzą mnie za biurkiem w SupraQuito?

– Może coś w tym stylu. – Dahlquist wyprostował się nieco. – Sir, myliłem się. Całkowicie się myliłem. Kiedy zobaczyłem pana na czele kawalerii w tym wyłomie... Tak czy inaczej, chciałbym złożyć rezygnację.

– Rezygnację z czego? Z dowodzenia? Czy ze stopnia oficerskiego?

– Jednego i drugiego, sir.

– Ach. – W umyśle komandora Gray oparł się wygodniej i zaplótł palce. – Doceniam gest, ale nie. Nie przyjmuję pana rezygnacji.

– Sir.

– Cisza. Jesteśmy czterdzieści tysięcy lat świetlnych i dwanaście milionów lat od domu, i potrzebuję każdego doświadczonego oficera, by doprowadzić tę grupę zadaniową na Ziemię, jaką znamy. Tak więc nie. Mam kilka pytań dotyczących tego, w jaki sposób pana ludzie złamali elektroniczne zabezpieczenie „Ameryki”, i w tym temacie przeprowadzę śledztwo, ale szczerze

mówiąc, nie widzę żadnych strat. Nagrał mnie pan, gdy uprawiam seks z jedną z oficerów mostka? Zdarza się. Jesteśmy ludźmi, nawet admirał prym jest człowiekiem, a koncepcja prywatności przestała istnieć już dawno, dawno temu, szczególnie na okręcie, gdzie wszystko monitorowane jest praktycznie cały czas. Pytanie brzmi, czy ofiarowałem Taggart jakieś specjalne przywileje w zamian za to... co miało miejsce. – Wzrok Graya stwardniał. – Odpowiedź brzmi „nie”.

– Sir...

– Gdybym miał wyrażać własne zdanie, uznałbym pana sposób myślenia za ocierający się o bunt. Ale spojrzę na to w najpozytywniejszy możliwy sposób: jako bardzo słabą ocenę sytuacji, dokonaną przez oficera zaślepionego zazdrością i uprzedzeniami społecznymi. Oficer flagowy potrzebuje wsparcia od każdego człowieka znajdującego się pod jego komendą. Względy polityczne, zazdrość, uprzedzenia – nie ma na to miejsca we flocie.

– Nie, sir.

– Ale jesteśmy ludźmi i robimy błędy. Od tego momentu oczekuję od pana więcej.

– Sir, wydaje mi się, że komandor porucznik Ames byłaby dobrą kandydatką na skippera „Concorda”.

– Pana ZDO?

– Tak jest.

– Będę o tym pamiętał. Jeśli będzie pan chciał zrezygnować po powrocie na Ziemię, to pana sprawa. Ale do tego czasu wymagam lojalności i wsparcia.

– Tak jest. Ma je pan.

– W takim razie wypad z mojej głowy.

– Aye, aye, sir.

– Och... jeszcze jedna sprawa.

– Sir?

– Zauważyłem, że wśród ofiar jest pański brat. Bardzo mi przykro.

Dahlquist pokiwał głową. Bratobójczy ogień.

Cholera, bratobójczy ogień w dosłownym znaczeniu. Z

„Concorda”.

- Dziękuję, sir.
- Może pan odejść.

Awatar Graya  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
Przestrzeń Invictusa, T+12 mln  
Godzina 15.18 TFT

Obraz Dahlquista pociemniał. Oficer Straży nie zdawał sobie sprawy, że admirał Gray był w tym momencie ogromnie zajęty dyskusją z ambasadorem Randem i konklawe Glothr.

Każdy człowiek z implantem mózgowym miał w swoim oprogramowaniu elektronicznego awatara, rodzaj sekretarza, asystenta, czy też zastępcy. Oprogramowanie to pozwalało zastępować umysł człowieka, z którym było połączone, tak jak ludzcy sekretarze mogło podejmować pomniejszych decyzje, ustalać spotkania, odbierać przychodzące połączenia i ogólnie służyć jako podstawowy interfejs człowieka do kontaktu ze światem, tak realnym, jak i wirtualnym.

W tym przypadku osobisty asystent Graya wiedział już o włamaniu do systemów bezpieczeństwa od samej AI „Ameryki”. Ludzki Gray był tak zajęty negocjacjami pokojowymi, że jego sekretarz zdecydował się nie zawracać mu głowy wewnętrznymi gierkami.

I to była standardowa procedura. Na pokładzie zastępca dowódcy był osobą, która w imieniu kapitana zajmowała się sprawami dnia codziennego, żeby kapitan mógł zająć się sprawami ważniejszymi, takimi jak to, dokąd leci okręt i po co. Tak samo dowódcy grup zadaniowych potrzebowali kogoś, kto zajmowałby się rutyną, pozwalając admirałowi martwić się o sprawy ważniejsze.

Takimi jak przyklepywanie porozumienia pokojowego z największymi wrogami ludzkości.

Elektroniczni sekretarze znali swoich ludzi doskonale, do tego stopnia, że w łączach elektronicznych mogli ich niezauważalnie zastępować. Awatar Graya wiedział, że jego największym zmartwieniem nie będzie to, co o nim czy o jego związku z Taggart pomyślą inni, ale to, czy sytuacja mogła jej zaszkodzić.

Laurie Taggart, oficer uzbrojenia „Ameryki”, czekała na awans. Miała stanąć przed komisją, gdy tylko lotniskowiec wróci na Ziemię, i prawie na pewno zostać awansowana na kapitana. Gdy to się wydarzy, najprawdopodobniej dostanie swój okręt, oczywiście po załadowaniu serii szkoleń i kadencji na stanowisku sztabowym.

Ten awans nie miał nic wspólnego z Grayem, a tym bardziej z faktem, że on i Taggart byli kochankami. Gray dawno już przedłożył jej rekomendację do awansu. Będzie mu brakowało Laurie, bardzo brakowało, ale nie miał zamiaru stawać na drodze jej kariery. Nie chciał także, aby ich związek zatrzymał ją w miejscu. Ani na moment.

Tak więc awatar Graya zdecydował nie podejmować żadnych oficjalnych działań związanych z wyznaniem Dahlquista. Później wprowadzi człowieka w szczegóły, jednak teraz nie było potrzeby mu przeszkadzać.

Awatar wiedział, że jest to coś, nad czym Gray dużo rozmyślał, i był mile zaskoczony tym, że admirał zdawał sobie sprawę, jak często AI komputerowe podejmowały także te ważne decyzje.

**1 września 2425**

Admirał Gray  
Lotniskowiec gwiazdny USNA „Ameryka”  
Baza Marynarki Wojennej SupraQuito  
Godzina 9.54 TFT

- Witamy w domu, panie admirale.
- Dziękuję, panie prezydencie.

– Wydaje się, że znów tego dokonałeś. Pokój z Glothr i coś, co może okazać się pokojem z całym sojuszem Sh'daar. Dobra robota. Zaiste doskonała.

– Mieliśmy szczęście, sir.

– Z doświadczenia wiem, że na szczęście trzeba ciężko zapracować.

Obraz Koeniga w głowie Graya drgnął i admirał nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy rozmawia z prawdziwym prezydentem, czy też z jego awatarem. Z całą pewnością prezydent Stanów Zjednoczonych miał na głowie ważniejsze rzeczy niż rozmowa z dowódcą grupy zadaniowej Marynarki, choć biorąc pod uwagę fakt, że GZ-1 właśnie wróciła do Układu Słonecznego, mogło to zwrócić osobistą uwagę ludzkiego Alexandra Koeniga.

Gray wzruszył ramionami. Nie było sposobu, aby się dowiedzieć.

– Sądzisz, że to porozumienie rozciągnie się na cały sojusz Sh'daar?

– Taką mam nadzieję, panie prezydencie, najszczerzą nadzieję. Problem polega na tym, że sojusz jest dużo większy, niż się spodziewaliśmy, jako że obejmuje setki milionów lat i setki miliardów gwiazd. Ale Glothr są na dobrej pozycji, by przekazać nasze odczucia całemu sojuszowi, włączając w to tych z głębi czasu, z zamierzchłej przeszłości.

– Hm. Czy wcześnie Sh'daar będą słuchać późnych? – zastanawiał się Koenig. – Czy to tylko głupie pytanie?

Gray zaśmiał się.

– Znaczy czy nowicjusze posłuchają kogoś, kto patrzy z perspektywy milionów lat? Może to wcale nie jest głupie pytanie. Wcześnie Sh'daar mogą założyć, że ci późni nie rozumieją ich problemów.

– Racja. Wszyscy musimy rozumieć perspektywę czasu.

– Co więcej, nadal nie wiemy, kto podejmuje u Sh'daar decyzje. Nie wydaje mi się, by byli to Glothr. Biorąc pod uwagę ich podejście do przywództwa, być może nikt. Jednak Sh'daar, wszyscy – tak nowi, jak i starzy – obawiają się paradoksu

czasowego. A jeszcze bardziej obawiają się Rozetowców.

– Ja także się ich boję – przyznał Koenig.

– Widział pan nagrania? Galaktyczną sferę Dysona?

– Widziałem. Oczywiście nie wiemy na pewno, że to Obcy z Rozety. Może to być także jakaś inna, superrozwinęta cywilizacja.

– Mamy jakichś innych podejrzanych?

– Jak na razie nie.

– Nie wiem, co możemy z tym zrobić, panie prezydencie. Mówimy o obcej cywilizacji, która wyprzedza nas o miliony, a może nawet miliardy lat. Jak możemy się komuś takiemu postawić?

– Współpraca ze Sh'daar pomoże.

– To drugi problem, sir. Właśnie wygraliśmy wojnę o niezależność od Sh'daar. Przeworsuje pan teraz sojusz z nimi? I politycznie przetrwa?

– Nie wiem. Ale z drugiej strony, nigdy nie byłem wielkim politykiem. – Koenig uśmiechnął się. – Uważam to za zaletę.

Gray także się uśmiechnął.

– Muszę się z panem zgodzić, panie prezydencie.

– Nie bardzo dbam o to, czy politycznie przetrwam, admirale. Jednak chcę, by ludzkość i Ziemia przetrwały. A współpraca ze Sh'daar zamiast walki z nimi jest dla nas najlepszą szansą.

– Jak pan ma to zamiar sprzedać Amerykanom? Po przewodzeniu walce przeciw współpracy?

– Przeciw poddaniu się, admirale. To duża różnica. Ale... nie wiem. Może Konstantin będzie miał jakiś pomysł.

– Mam nadzieję, sir. Bo jeśli chodzi o pomysły, jestem spłukany.

– W porządku, admirale. Zrobił pan wystarczająco dużo. Więcej niż wystarczająco. Tak jak mówiłem, witamy w domu. Przed panem i pana załogami trochę w wolnego czasu.

– Dziękuję, sir.

– A potem... Myślę, że już czas wysłać siły ponownie do Chmury N'gai, by się upewnić, że tamci Sh'daar także chcą z nami pracować.

- Rozumiem. Czyj to pomysł?
- Konstantina.
- Ma pan już wszystko opracowane, panie prezydencie, prawda?
- Nie – odparł Koenig, zamyślony. – Lecę na ślepo.
- Ale...
- Ale zaczynam mieć wrażenie, że Konstantin ma. Gray zmrużył oczy.
- Możemy mu zaufać? Mam na myśli super-AI.
- Myślę, że musimy. W tym momencie nie mamy wyboru. Gray ponownie zastanowił się, czy rozmawiał z prezydentem, czy z jego awatarem...  
...super-AI, która z ludźmi miała niewiele wspólnego.

# Epilog

**1 września 2425**

Konstantin

Baza Ciołkowski

Księżyc

Godzina 10.00 TFT

Pod kraterem o szerokości stu osiemdziesięciu kilometrów, znanym jako Ciołkowski, oddalony o trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów Konstantin przysłuchiwał się rozmowie Koeniga i Graya. Prywatność nie miała większego znaczenia dla AI, choć rozumiał ludzkie dążenia do niej.

Istniały pewne sprawy, których lepiej z nimi nie dzielić.

Jedno stało się jasne: trzeba będzie długo podyskutować z Koenigiem i innymi przywódcami państw. Imperatywem było, by ludzkość nauczyła się współpracować z niedawnymi wrogami, Sh'daar, tak jak USNA uczyło się współpracy z pozostałościami Konfederacji. Informacje przywiezione przez Graya na temat dalekiej przyszłości były niepokojące na kilku poziomach.

*Kształt i zasięg sojuszu Sh'daar był nareszcie znany: zbiór tysięcy, a może nawet milionów inteligentnych gatunków, rozrzuconych na dziewięciuset milionach lat. W samym sojuszu gatunki ewoluowały, dorastały, starzały się i wymierały. Informacje dotyczące całości jednak przetrwały.*

*Sh'daar, rozrzucony w czasie i przestrzeni po tym, jak ich rodzima Chmura N'gai pochłonięta została przez Drogę Mleczną, napotkali całkowicie typowy myślący gatunek, będący w trakcie*



*kolonizowania swojego małego zakątka Galaktyki. Ci ludzie, jak sami siebie nazywali, udowodnili, że są kłopotliwi, niechętni współpracy, pomimo ewidentnej przewagi sojuszu, a co najważniejsze, niechętni ograniczeniu rozwoju technologicznego, który, jak to zostało udowodnione, przyciągał uwagę cywilizacji typu trzeciego.*

*Próby wchłonięcia bądź pokonania ludzi nie powiodły się i istniało bardzo, bardzo duże zagrożenie, że ludzie będą płatać się w czasie i rozprzestrzeniać paradoks. Glothr z dalekiej przyszłości próbowali nawiązać z ludźmi kontakt w celu ich pozyskania i poznania powodów ludzkiej niechęci do współpracy.*

*A teraz cywilizacja typu trzeciego faktycznie przebiła się przez ściany metaświata i szybko zbliżała się ku Ziemi. Pierwsi najeźdźcy widziani już byli przy Gwieździe Kapteyna, zaledwie trzynaście lat świetlnych od Słońca.*

*Obrazy z dalekiej przyszłości pokazywały zniszczenie sojuszu Sh'daar i dużo potężniejszych obcych wysysających Galaktykę z energii, kurzu i życia podczas budowy tytanicznej megastruktury.*

*Burzyciele galaktyk.*

*Po dziewięciuset milionach lat nadal nie ma śladu Gwiezdných Bogów. Chyba że to sami najeźdźcy byli Bogami. Nie ma potencjalnych sojuszników. Znikąd pomocy.*

*Wszystko to Konstantin zrozumiał ze swoich połączeń z wieloma sieciami.*

*Wolno, lecz nieubłaganie zaczął tworzyć swój plan.*

[1] Door kicker (ang.) – członek zespołu szturmowego, którego zadaniem jest torowanie drogi. Slangowe określenie funkcjonujące w wielu krajach. (przyp.tłum.)

[2] ETA – Estimated Time of Arrival (ang.) – spodziewany czas przybycia, międzynarodowy termin funkcjonujący w lotnictwie, także cywilnym. (przyp. tłum.)

[3] „Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia”, sfilmowany dwukrotnie: w 1951 i 2008 r. (przyp.tłum.)

[4] Zaszeregowanie stopnia wojskowego tzw. „pay grade”, jednolite dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych i większości państw NATO. Pozwala na bezpośrednie porównanie stopnia, bez względu na często mylące nazewnictwo. O-10 – dziesiąty w kolejności stopień oficerski, czyli czterogwiazdkowy generał lub admirał. (przyp. tłum.)

[5] W oryginale E&E, Evasion and Escape (ang.) – unik i ucieczka. (przyp. tłum.)

[6] William Ernest Henley „Invictus”, tłumaczenie Maciek Froński, <http://maciek-fronski.liternet.pl/tekst/william-ernest-henley-1849-1903-invictus-ang-pol>.

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Epilog